

John  
**BURDETT**  
Tajemnice Bangkoku

W BANGKOKU NIC NIE JEST TYM, CZYM SIĘ WYDAJE - NAWET MORDERSTWO...





## JOHN BURDETT

John Burdett, prawnik, który został pisarzem, jest autorem *Bangkok 8*, okrzykniętego „najbardziej oryginalnym thrillerem ostatnich lat”. W powieści pojawia się nowy typ bohatera – oficer Królewskiej Policji Tajskiej, syn miejscowej prostytutki, półkini Amerykanin, półkini Taj, praktykujący buddyzm, inteligentny, wygadany i dowcipny. Fascynujący koloryt Bangkoku, świat płatnej miłości, zderzenie obyczajowości Wschodu i Zachodu, skorumpowani gliniarze – w tej gęstej atmosferze rozgrywa się akcja trzeciego thrillera z niekonwencjonalnym tajskim detektywem Sonchajem Jitpleechepem.

Sonchai tropi w Bangkoku zabójcę luksusowej prostytutki Damrong, z którą miał w przeszłości romans. Anonimowy nadawca przelał mu płytę DVD z zarejestrowaną sceną morderstwa. W śledztwie pomaga detektywowi zaprzyjaziłona agentka FBI, specjalizująca się w ściganiu producentów snuff movies – filmów pornograficznych urażających seks zakończony autentycznym zabójstwem. Dochodzenie kieruje Jitpleechepa do elitarnego klubu dla mężczyzn, miejsca pracy zamordowanej dziewczyny. Członkowie Parthenon Club, ważne postacie ze świata polityki i biznesu, zrobią wszystko, by ochronić swoją tożsamość. Tymczasem ginie kolejna prostytutka związana z klubem. Czy zabójca to jeden z klientów? Portret izometryczny mordercy sporządzony przez FBI wskazuje, iż może nim być mężczyzna, który aktualnie przebywa w stolicy Kambodży, Phnom Penh. W biednej kambodżańskiej wiosce nadął mieszka matka Damrong, która sprzedała ją do burdelu, gdy dziewczynka miała zaledwie 14 lat...

ISBN 978-83-7359-884-3



9 788373 598843

# John BURDETT

## Tajemnice Bangkoku

Z angielskiego przełożył  
PIOTR JANKOWSKI



Tytuł oryginału: BANGKOK HAUNTS

copyright © John Burdett 2007

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Piotr Jankowski 2010

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Manuel „Manny” Libres Librodo Jr.

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-884-3

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

Uf. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*Dla Nita*

*Rzuciłaś czar, ja się poddałem  
Już nie potrafię odejść stąd*

Bob Dylan, „Tonight I'll Be Staying Here With You”

*Wtem zstąpił Wiekuisty, wcielając się w postać alfonsa.  
Ucichła wrzawa.*

Jean Genet *Matka Boska Kwietna*,  
przekład Krzysztofa Zabłockiego

*Chwytliwa świadomość jest bardzo głęboka i subtelna;  
Wszelki potencjał jest niczym rwący strumień.  
Nie objaśniam tego ignorantom,  
Mogliby bowiem uznać, że to właśnie jest „ja”.*

Budda *The Sandhinirmochana Sutra*

1

Produkt doskonały

## 1

Rzadko się zdarza, żeby jakaś zbrodnia budziła w nas obawę o ewolucję gatunku ludzkiego. Dziś jednak właśnie tego doświadczam.

Siedzę w zaciemnionym pokoju komendy policji Okręgu 8 z Kimberley Jones, moją dobrą przyjaciółką i agentką FBI. Czterdziestodwucalowy monitor LCD Toshiba wisi wysoko na ścianie poza zasięgiem złoczyńców.

Film, który oglądamy z FBI, zrobiono dwoma profesjonalnymi kamerami, które bez widocznych cięć operują wszelkimi możliwymi trikami zbliżeń, najazdów i panoram, i jak mi powiedziano, w kręceniu tego obrazu musiało brać udział co najmniej dwóch kamerzystów. Kolor jest znakomity, dzięki iluś tam milionom pikseli oddających wszelkie niuanse odcieni. Patrzymy na produkt wyższej cywilizacji, nieznany naszym ojcom i dziadom. Pod koniec filmu twardzielka Kimberley wybucha płaczem, na co zresztą liczyłem. Naprawdę. Odwraca się do mnie z obłędem w oczach.

- Powiedz mi, że to nie jest prawda.
- Znaleźliśmy ciało — odpowiadam.
- O słodki Jezu — mówi Kimberley. — O dobry Boże. Widziałam już bardziej krwawe sceny, ale czegoś tak demonicznego



nigdy. A myślałam, że znam już wszystko. — Wstaje. — Muszę się przewietrzyć.

Przewietrzyć? W Bangkoku? — myślę. Prowadzę ją jednak korytarzami do części publicznej, gdzie brązowi mężczyźni i brązowe kobiety, niemal dwukrotnie niżsi od niej, czekają, by opowiedzieć dyżurnemu o swych codziennych krzywdach. Atmosfera jest może nie całkiem imprezowa, ale ludzka. Kimberley, amerykańska ekstrawertyczka, nie krępuje się ocierać oczu chusteczką, mimo że patrzą na nią wszyscy ci ludzie, którzy myślą zapewne, że przyłapałam tę kobietę, *faranga*, na jakiejś drobnej historii z narkotykami — może z haszyszem. Jej spojrzenie, tak samo jak moje, sprawdza, czy wśród siedzących na plastikowych krzeselkach, są jakieś atrakcyjne młode kobiety. Są trzy, wszystkie to prostytutki. (Szanująca się Tajka tak się nie ubiera). Dziewczyny gromią nas wzrokiem, złe, że zwracamy na nie uwagę. Czuję, że Kimberley najchętniej by je uściłaskała z samej wdzięczności, że żyją. Prowadzę ją na ulicę. Powietrze raczej trudno nazwać świeżym, lecz FBI oddycha głęboko.

— Boże, Sonchai. Co za świat. Czemu stwarzamy takie potwory?

Udała nam się z Kimberley rzadka rzecz: intymna acz nieseksualna relacja między kobietą a mężczyzną w tym samym wieku, którzy, choć pociągają się nawzajem, z powodów wymykających się analizie postanowili nic z tym nie robić. Ale i tak byłam zaskoczony, kiedy po moim nagłym telefonie od razu wsiadła w samolot i przyleciała. Nie miałem wtedy pojęcia, że specjalizuje się w *snuff movies*\*, nie wiedziałem też, że ten gatunek jest w międzynarodowych kręgach policyjnych przebojem sezonu.

\* Filmy skupiające się głównie na ukazaniu realnych scen gwałtu, tortur i zabójstwa człowieka.

Tak czy inaczej dobrze jest mieć u boku wybitną specjalistkę obeznaną z najnowszą techniką. Kimberley nie dorównuje mi intuicją, ale umysł ma jak potrzask. Nie wiem,

czy mam ją traktować jak kobietę, czy jak mężczyznę. Czy tam, skąd przyjechała, regulują to jakieś zasady? Przytulam ją po przyjacielsku i ściskam lekko za dłoń; to chyba załatwia oba aspekty.

— Fajnie, że znów tu jesteś, Kimberley — mówię. — Dzięki, że przyjechałaś.

Uśmiecha się niewinnie, jak przystało na kogoś po emocjonalnej katastrofie.

— Wybacz, że zachowałam się po babsku.

— Jak pierwszy raz to oglądałem, też się zachowałem po babsku.

Kiwa głową, nie jest zdziwiona.

— Skąd to masz? Zgarnęliście przy jakimś nalocie?

— Nie, dostałem pocztą. Anonimowo.

Patrzy na mnie znacząco, kontekst jest osobisty.

— A ciało? Znalezione na miejscu przestępstwa?

— Nie. Ktoś je przeniósł do jej mieszkania i ułożył ładnie na łóżku. Technicy mówią, że zabito ją gdzieś indziej.

Na scenę wkracza Amerykański Bohater.

— Dopadniemy ich, Sonchai. Powiedz mi tylko, czego potrzebujesz, a ja ci to załatwię.

— Nie obiecuj z góry — mówię. — To nie Irak.

Kimberley marszczy brwi. Przypuszczam, że większość Amerykanów ma już dość podobnych docinków.

— Wiem — odpowiada — ale ten film ma pewien styl, jest profesjonalnie zrobiony i jeśli ten samiec alfa nie jest Amerykaninem, to zwracam odznakę.

— Hollywoodzka produkcja?

— Przy czymś takim zaczęłabym szukać od Stanów, na prawdę. Szczególnie od Kalifornii, ale nie Hollywood. Raczej Los Angeles z międzynarodowymi odgałęzieniami. Ta sprawa pasuje do tych, którymi się zajmuję w kraju.

— Ale czego tu szukać? Miał maskę fetyszysty.

— Otwory na oczy były całkiem spore, weszło dość światła. Macie przecież obserwację izometryczną na wszystkich przejściach

granicznych. Zrób mi kopię tego DVD, niech nasi spece się do tego zabrają. Jeżeli uda im się zrobić dobre zdjęcie oczu i je powiększyć, to tak, jakbyśmy mieli odciski palców. Nawet lepiej. Będę mogła zobaczyć ciało?

— Jeżeli chcesz. Ale jak bardzo zamierzasz się w to zaangażować?

— Słuchaj, Sonchai, nie wiem zbyt wiele, ale Chanya mi powiedziała, że jesteś bardzo podenerwowany. Mnie też to porusza. Jeżeli mogę pomóc, to chcę.

— Chanya chlapała ozorem?

— Ona cię kocha. Zasugerowała tylko, że przyda ci się moralne wsparcie koleżanki po fachu. Powiedziałam, że jeśli ty się zgodzisz, zrobię, co się da.

FBI nawet nie ma pojęcia, ile punktów sobie u mnie nabiła, traktując ciężarną byłą prostytutkę z Trzeciego Świata jak przyjaciółkę i równą sobie. U nas taki heroizm wywołuje opadnięcie szczęki. Chanya oczywiście też ją kocha, a kiedy Tajka kocha, mówi wszystko.

Przejeżdża *tuk-tuk*, plując czarnymi spalinami z dwusuwowego silnika. Kiedyś był symbolem Tajlandii: trzy koła, blaszany daszek na pionowych prętach i szczęśliwy, uśmiechnięty kierowca. Teraz to już tylko ciekawostka, obsługująca coraz mniej turystów. Nowe milenium nie przyniosło nam na razie wiele nowego; obawiamy się raczej, że nasz udział w globalizacji oznaczać będzie powrót do dawnej, dręczącej nędzy. Kimberley jeszcze tego nie dostrzega — jest tu dopiero dwa dni, schwytana w sidła zawodowej etyki. Nie widzi ani *tuk-tuka*, ani jego spalin.

— Nie dam tego DVD do skopiowania naszym ludziom — mówię. FBI patrzy na mnie. — Takie filmy produkuje się w ograniczonym nakładzie i sprzedaje na specjalistycznym rynku. — Wciąż na mnie patrzy. Czuję, jak krew z żył na szyi podpływa mi do twarzy. — To biedny kraj. — Kimberley nadal się gapi, muszę wyłożyć kawę na ławę. — Oni by to przehandlowali.

Odwraca się, by mi oszczędzić swojej pogardy.

— Już mi przeszło. Jak chcesz to skopiować? — pyta po chwili.

— Nie chcę. Dam ci oryginał i wyślesz go e-mailem od razu z dysku, z centrum biznesowego w hotelu.

Zostawiam ją w poczekalni i idę po płytę: pięć i pół megabajta wydestylowanego zła. Na ulicy Kimberley przystaje, by przyjrzeć się młodemu mnichowi. Jest wysoki, a jego egzotyczna elegancja nie pasuje do kafejki internetowej, do której właśnie wchodzi.

— Sangha\* nie pochwała używania Internetu, szczególnie w miejscach publicznych, ale nie jest to wielkie wykroczenie. Mnisi często zaglądają na strony buddyjskie — wyjaśniam, zadowolony, że można poruszyć temat lżejszy niż ten film.

— Czy on tu często przychodzi? To miejsce jakoś nie wygląda na uczęszczane przez mnichów. — Kimberley też chce pogadać o niczym.

— Wczoraj widziałem go pierwszy raz. Nie wiem, z którego jest *wat*\*\*.

\* Wspólnota buddyjska zarówno mnisia, jak i świecka; tu również w znaczeniu „hierarchia”.

\*\* Świątynia buddyjska z klasztorem.

## 2

W podziemnym królestwie pani doktor Supatry wiszą na ścianach piły tarczowe i ze dwadzieścia różnych noży, od tasaków do mięsa po najostrzejsze sztylety. Nie powiedziałem jej jeszcze o DVD; właściwie nie powiedziałem nikomu poza FBI i Chanyą, co nie świadczy za dobrze o tajskiej uczciwości, prawda? Nie chodzi o to, że nie ufam Supatrze. W tych wyzutych z honoru czasach, jeżeli już ktoś go ma, zazwyczaj jest wręcz skrajnie honorowy. Supatra jest tak samo niepodatna na korupcję jak ja, a nie powiedziałem jej o filmie, żeby niczego nie sugerować.

Przedstawiam jej Kimberley. Lekarka patrzy na nią nieco podejrzliwie — w tej epoce kompleksu dominacji Zachodu wszyscy jesteśmy nieco nieufni, ale Kimberley się zmieniła. Poznaliśmy się tutaj, w Bangkoku, podczas śledztwa, pięć lat temu, gdy była jeszcze napakowanym hormonami psem gończym. Teraz ma w sobie więcej mądrości, ale i smutku. Nauczyła się nawet tajskich zwyczajów i składa całkiem niezłe *wai*, unosząc złożone dłonie do ust w geście uznania wyższości Supatry z racji jej wieku. Lekarka jest po pięćdziesiątce, szczupła, ma ledwie półtora metra wzrostu i wygląda dość sztywno w swym białym fartuchu laboratoryjnym. Ponieważ Kimberley okazała pokorę, Supatra gotowa jest otworzyć serce i prowadzi

nas do piwnicy. Idzie, przechylając głowę kontemplacyjnie na bok; ta technika kompensuje jej niski wzrost i sprawia, że wydaje się najwyższa z nas wszystkich.

— Czy wiesz coś na temat ofiary, Sonchai? — pyta.

Przez moją twarz przebiega grymas tak szybki, że Supatra go nie dostrzega. Co innego niebieskie, bezlitosne oczy Kimberley.

— Sprawdziłem jej odciski w krajowej bazie danych. Miała na imię Damrong, pochodziła z Isakit.

— prostytutka?

— Oczywiście.

— Hmm.

Dotarliśmy do magazynu zwłok, około setki wysuwanych ze ściany szuflad rozmiarów człowieka. Doktor Supatra, nie sprawdzając nawet numeru, podchodzi do jednej z nich i każe mi ją wyciągnąć. Szuflada jest ciężka, ale porusza się gładko; wystarczy średnio silne pociągnięcie i zaczyna się wysuwać, ukazując najpierw głowę Damrong. Znów się krzywię. Supatra myśli, że taki ze mnie wrażliwiec, ale FBI wie swoje.

Choć twarz jest obrzmiała wskutek uduszenia, wciąż robi wrażenie. Widać piękną linię podbródka, wysokie kości policzkowe, egipski wykrój skośnych oczu, niezliczone odmiany uśmiechu, w jakie mogłyby się układać wąskie, lecz zmysłowe usta, doskonałą biel zębów, nawet to coś wyjątkowego...

Kogo ja chcę oszukać? Oczywiście, że uduszenie ohydnie zniekształciło doskonałą harmonię jej twarzy, spuchniętej niemal nie do poznania; dla pozostałych są to tylko brzydkie zwłoki, bo ich umysłów nie zaćmiewa wcześniejsza wiedza. Po wysunięciu szuflady do końca perfekcja jej kształtów nie pozostawia jednak wątpliwości: piękne kończyny, pełne piersi, mocne, lecz ustępliwe uda. Włosy łonowe ma zgolone, a w jednej wardze sromowej tkwi srebrny kolczyk. Tatuaż w okolicy pępka, dość przeciętny, przedstawia węża owiniętego wokół miecza. Odruchowo sięgam do jej bezwładnej lewej ręki i odwracam przegub: cienka biaława blizna, blisko dwucentymetrowa, od podłużnego cięcia przez którąś z mniejszych żył. Doktor Supatra kiwa głową.

— Widziałam to. Stara rana. Jeśli po próbie samobójstwa, to niezbyt poważnej.

— Tak — zgadzam się.

Supatra całkiem nieźle ją pozszywała; sływie z porządnej roboty. Moje oczy chcą się przesliznąć po wielkim cięciu w kształcie Y na jej piersi, sięgającym aż do miednicy. Wszystkie narządy wewnętrzne zostały usunięte, robi to na mnie wrażenie, a FBI przygląda się raczej mojej twarzy niż zwłokom.

— No więc — przetykam ślinę. — Co nam pani może powiedzieć?

— Na temat przyczyny śmierci? W tym wypadku taka jak widać. Dziewczyna zginęła uduszona nylonową linką trzymilimetrowej grubości. Tą pomarańczową, którą twoi ludzie znaleźli na szyi ofiary; włókna się zgadzają. Inna przyczyna śmierci nie wchodzi w grę, wszystkie narządy wewnętrzne były w pełni sprawne, nie ma też śladów ran ani czynników wirusowych lub bakteryjnych, które mogłyby się przyczynić do zgonu.

— Brak śladów wymuszonej penetracji?

— Całkowity. Chyba nawet użyto lubrykantu. To oczywiście nie oznacza, że stosunek był dobrowolny, jedynie mniej bolesny.

— Sperma?

Doktor kręci głową.

— Zarówno pochwa, jak i odbył były niedawno penetrowane, przypuszczalnie penisem, a więc najpewniej użyto prezerwatywy. Nie ma śladów spermy ani męskiego płynu nasieniowego.

Odczekuję chwilkę, bo Supatra zaczyna odgrywać kapłankę: niczego nie ujawnia, dopóki nie zapytam.

— No i? — pytam.

— Żadnych substancji rozrywkowych. Nie wiem, w jakim stanie umysłu umierała, ale na pewno nie była pod wpływem narkotyków.

— Oznaki walki? — pyta z nadzieją FBI.

— To właśnie jest dziwne. — Supatra kręci głową. — Można by oczekiwać przynajmniej jakichś siniaków, śladów oporu,

może naciągniętych mięśni, a tu nic. Zupełnie jakby ją uduszono związaną, tylko że oznak przymusowego unieruchomienia też brak.

— Niech to diabli — mówi Kimberley. Supatra unosi brew. — Po prostu nie chcę się zgodzić na takie zakończenie.

— Zakończenie? — Lekarka nie rozumie. — Jakie zakończenie?

Kimberley zakrywa usta, ale jest za późno. Muszę ujawnić Supatrze historię z DVD. Kiwa głową, pełen profesjonalizm. Doskonale rozumie, dlaczego nie powiedziałem jej wcześniej. Nawet posyła mi matczyzny uśmiech.

— Indolencja to nasza wada narodowa — zwraca się do FBI. — Sonchai bał się, że jak zobaczę film, to się rozleniwię i odstawię fuzerkę.

— Chciałem powiedzieć o filmie dopiero wtedy, gdy będzie pewne, że przydzielą panią do sprawy jako lekarza sądowego.

— Myślę, że trzymałeś to w tajemnicy także z innego powodu. Słyszałam, że na takim *snuff movie* można nieźle zarobić za granicą. Masz w ręku bardzo wartościowy produkt. — Zwracając się do Kimberley: — Ale o co chodzi z tym zakończeniem, z którym nie może się pani zgodzić?

Kimberley nie chce odpowiedzieć, więc obiecuję pokazać film w całości, gdy znajdę wolną chwilę. FBI ma jednak kolejne pytanie.

— Doktor Supatra, czy kiedykolwiek spotkała się pani z uduszeniem bez zupełnie żadnych oznak walki?

Lekarka przygląda się jej ciekawie, jakby właśnie zdała sobie sprawę, co taka sprawa może oznaczać dla *faranga*.

— Raczej sobie nie przypominam, ale proszę pamiętać, że to jest inna kultura, wytwarzająca inny rodzaj świadomości.

— Inny rodzaj świadomości? — Kimberley marszy brwi.

— Chodzi o śmierć — wyjaśnia Supatra. — Stosunek danej kultury do śmierci definiuje jej podejście do życia. Proszę wybaczyć, ale Zachód czasem robi wrażenie, jakby jej zaprzeczał. Tajskie podejście jest nieco inne.



— A co jest takiego innego w tajskim podejściu?

— Och, nie chodzi tylko o Tajlandię. Cała Azja Południowo-Wschodnia ma bzika na punkcie duchów; Malajowie są jeszcze gorsi od nas. Nikt tego oczywiście nie oblicza, ale jeśli posłucha się Tajów, można dojść do wniosku, że żywych trupów jest jakieś sto razy więcej niż normalnych ludzi.

— Ale pani tak nie myśli, prawda? Jest pani naukowcem.

Doktor Supatra kwituje to uśmiechem i rzuca mi spojrzenie spod uniesionych brwi. Kiwam głową.

— Tak, jestem naukowcem — mówi — tylko że nie zachodnim. Za pozwoleniem Sonchaia coś pani pokażę. — Kiwam teraz głową w imieniu Kimberley i ruszamy za Supatra do jej gabinetu, który jest częścią kostnicy. Z tym samym wieloznacznym uśmiechem wyjmuje z szuflady laptop i kamerę wideo Sony. — To najczęściej robię po nocach — mówi, pokazując jak ustawia kamerę przed szybą dzielącą biuro od kostnicy, na wprost rzędów nieboszczyków w stalowych grobowcach, i jak nagrywa film na twardym dysku. — Chce pani zobaczyć kolekcję z zeszłej nocy? — Ponownie szuka mego wzroku; w końcu FBI jest moim gościem. Kiwam głową po raz trzeci, czując się dziwnie. Czyżbym pozwalał sobie na złośliwość? Nagle zaczyna mnie niepokoić ta niezapowiedziana inicjacja; a jeśli FBI się przestraszy? Ale już za późno na wątpliwości. Kimberley siada na krześle przy biurku, a Supatra manipuluje przy laptopie. — Proszę bardzo. Muszę niestety używać podczerwieni, więc obraz nie jest zbyt wyraźny. Nie potrafię tego wyjaśnić naukowo.

FBI wprost nie może uwierzyć w to, co się dzieje. Przed kilkoma sekundami był dzień jak co dzień w życiu gliny, a teraz? Obserwuję Kimberley bacznie, gdy zaczyna się projekcja. Supatra zrobiła kiedyś to samo ze mną, więc dobrze wiem, co ogląda FBI, choć sam nie widzę ekranu. Kimberley blednie, przykładając dłoń do twarzy, patrzy przez moment na mnie, potem znów na laptop, kręci głową, krzywi się. Zakrywa ręką usta, jakby zbierało jej się na wymioty. Supatra nachyla się nad nią i wyciąga odtwarzanie.

FBI wstaje, gniew zniekształca jej rysy.

— Przykro mi bardzo — mówi zaczerwieniona — ale jestem gościem w tym kraju i obawiam się, że wcale mnie to nie rozbawiło.

Supatra wymienia ze mną spojrzenie, unosząc lekko rękę. Mówię po tajsku: *W porządku, Kimberley robi dokładnie to samo co ja, kiedy to pierwszy raz zobaczyłem. Musi wymyślić, jak przekonać samą siebie, że to nie jest prawda, że takie rzeczy się nie zdarzają, że to jakaś sztuczka.*

Supatra: *I co mam zrobić? Ona jest bardzo zdenerwowana. To chyba był zły pomysł, Sonchai. Może będzie łatwiej jak powiem, że to był tylko trik filmowy?*

— Grunt, żeby się rozluźniła.

— Bardzo przepraszam — zwraca się Supatra po angielsku do FBI. — To takie tajskie żarty. Nie chciałam pani obrazić.

Kimberley zdobywa się na uśmiech już ułagodzona.

— Nie ma sprawy — mówi. — To te różnice kulturowe. Przypuszczam, że w innym kontekście mogłabym się z tego śmiać. Nie jestem sztywniakiem, po prostu nie spodziewałam się takiego kawału.

— Bardzo przepraszam — powtarza Supatra. Jej *wai* podkreśla szczerłość tego żalu.

— Bardzo to sprytnie zrobione — mówi Kimberley, chcąc teraz z kolei pokazać, jaka jest fajna. — Naprawdę nie wiem jak. Czy rzeczywiście w tajskiej kulturze wierzy się, że duchy cudzołożą ze sobą i robią te... te ohydne rzeczy? Nigdy o tym nie słyszałam. Jak pani uzyskała takie niesamowite efekty? Taki poziom to już coś więcej niż hobby.

— To prawda — odpowiada Supatra. — Komputer potrafi zdziałać cuda. Natomiast co do tych wybryków duchów, proszę Pamiętać, że mózg wprawdzie umiera, ale skłonności pozostają. I często są one dość ohydne, tu się zgodzę.

— A te inne stwory, nieludzie? Jak to pani zrobiła?

— Ach, mam taki specjalny program do animacji. — Supatra, mówiąc to, skłania się lekko w stronę Buddy na małym

ołtarzu na ścianie, prosząc, by wybaczył jej to wierutne kłamstwo.

— Naprawdę niewiarygodne. W życiu czegoś takiego nie widziałam; chyba nawet w Hollywood nie doszli jeszcze do takiego poziomu.

Supatra przyjmuje komplement i prowadzi nas z powrotem na górę. Gdy się żegnamy, nie patrzy mi w oczy. Wiem, że jest na mnie wściekła za to, że namówiłem ją do podzielenia się tym jej hobby z *farangiem*.



Po wyjściu nie chcę wcale rozmawiać o Damrong, ale jestem w potrzasku. Muszę odwieźć Kimberley taksówką do hotelu i jej milczenie coraz bardziej mi ciąży. Nawet nie musi na mnie patrzeć. Niby wygląda dyplomatycznie przez okno, ale przez cały czas buduje po kawałku ogromne, czarne brzemię ciszy.

— Chanya oczywiście wie — mówię po długiej pauzie. — To było jeszcze przed naszym spotkaniem. A z tobą rozmawiała o tej sprawie dlatego, że boi się, jak ja to odbiorę. Ciebie uważa za jedyną osobę, która może mi pomóc w podejściu psychologicznym; sama czuje się bezradna.

Kimberley przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Potem nachyla się do kierowcy i zamiast do swego hotelu każde mu jechać do State Tower. To było dobre posunięcie. Gdy siedzieliśmy w restauracji na otwartym powietrzu na szczycie wieży, dwieście metrów nad miastem, tylko pod gwiazdami, Kimberley z egzotycznym koktajlem kokosowym w dłoni, ja z butelką klostera, miałem wrażenie, jakby kopuła mojej czaszki sięgała aż pod nocne niebo: kosmiczny konfesjonał.

— No więc to było tak — zaczynam.

### 3

Kto tego sam nie przeżył, nie zrozumie. Gdybym nie spotkał Damrong, sam naigrawałbym się z mężczyzn wyczyniających idiotyzmy za przyczyną tego chorobliwego stanu, który koniecznie chcesz nazywać „zakochaniem”, *farangu*. My, Tajowie, patrzymy na to zupełnie inaczej.

Pozwól, że najpierw opowiem najmniej zenujący fragment całej historii: uwiodła mnie bez wysiłku, zaledwie po tygodniu pracy w barze mojej matki, który nadal pomagam prowadzić. Jak każdy dobry *papa-san*, kierowałem się zasadą niekorzystania z usług własnych pracowników i nigdy jej nie naruszyłem. Czułem się jednak samotny i bardzo mi brakowało mojego partnera z policji, Pichaia, który zginął na służbie. Okazałem się idiotą, bo zupełnie się nie zorientowałem, że nasza nowa gwiazda doskonale wie o moim uczuciu. Z perspektywy czasu widzę teraz, że Damrong dostrzegła je prędzej niż ja sam. Kiedy nadchodzi ten moment, gdy uczucie mężczyzny do kobiety przeradza się z obiektywnej admiracji w psychozę posiadania, przed którą tak bardzo przestrzega nas Budda? Wiem tylko, że było to w Songkran, tajski Nowy Rok i najgorętszy czas całego cyklu słonecznego. Tamten Songkran — przed czterema laty — był wyjątkowo parny. Gdy Słońce trwało w Baranie, Mars podążał za Wenus w bezlitosnym znaku Skorpiona. Konałem z

miłości, zredukowany do proustowskich peanów, dzielonych tylko z moim komputerem:

Wczoraj wieczorem patrzyłem, stojąc w wejściu do baru, jak nadjeżdża taksówką motocyklową w nowej, jaskrawej sukience, będącej jakby esencją tej straszliwej pory roku, a potem, wyniośle odrzucając głowę, ozdobioną niemal w nadmiarze grzywą gęstych czarnych włosów, tak że nawet jej posępne piękno ustępowało przed tą jedwabistą masą lśniącej ciemności, wkroczyła dumnie do burdelu, w którym czekałem na nią i tylko na nią...

O kurczę blade. Mężczyzna w tym stanie ducha jest całkiem przezroczysty dla swego miłosnego obiektu, prawda? Następnej nocy po napisaniu tego tekstu zdarzyło się tak, że akurat ona została ostatnia w barze, gdy już miałem zamykać. Wyłączyłem nagłośnienie i wydawało mi się, że brzydkie odgłosy towarzyszące zamykaniu — pobrzękiwanie butelkami, wyrzucanie śmieci do kontenera, chlupot wody w zlewie — oznajmiały o tej samotności, która mnie tak nękała. Gdy Damrong, mijając mnie, wychodząc, spuściłem głowę, żeby nie napotkać jej wzroku. Udała, że nie może mnie wyminąć, ale nie dałem się na to złapać. Ujęła mnie więc łagodnie dłonią za podbródek i uniosła mi głowę. Spojrzeliśmy sobie w oczy i to wystarczyło. Rozgorączkowani, nawet nie poszliśmy do sypialni na górę.

— Jesteś najniezwyklejszym kochankiem — szepnęła już po wszystkim. Standardowy tekst dziwki, w który ja, jak standardowy frajer, naprawdę chciałem uwierzyć.

Jako mądry po szkodzie widzę teraz, że cała ta historia była okropnie typowa na początku, w środku i na końcu. Mówię to FBI, która starała się na mnie nie patrzeć przez całą tę żalną opowieść. Właściwie to wszystko wyłoniło się jakby z dzikości samego święta Songkran. W swych początkach był to religijny festyn, podczas którego delikatnie i z miłością lało się świętą wodę na mnichów i szacowną starszyznę; teraz jednak święto

przechwyciły *farangi*, przynajmniej w Bangkoku: młodociani przestępcy po trzydziestce, czterdziestce i pięćdziesiątce, zaróżowieni z ekscytacji stoją na chodnikach z wielkimi pistoletami na wodę i oblewają przechodniów. Po pijanemu stają się agresywni, a potem, wyczerpani i rozemocjonowani, zwijają się w kłębek na trotuarze ze swymi plastikowymi zabawkami. Tego wieczoru każdy wchodzący do baru był przemoczony do suchej nitki; co mądrzejsi chowali komórki do plastikowych woreczków. Szaleństwo było wszechobecne.

Upijam łyk piwa. Patrzymy razem z FBI na Oriona w jego priapicznym marszu po niebie.

— Oszczędź mi środka. Jak się to skończyło? — pyta FBI bez śladu zazdrości czy innych emocji, ale głos ma lekko chrapawy.

— Czy kobiety doświadczają tak ekstremalnych namiętności jak my, mężczyźni?

— Kompletny rozpad psychiki, unicestwienie tożsamości, zabite ego, niepewność, czy się jest jedną osobą, czy dwiema, zero poczucia bezpieczeństwa, gdy nie jest się z tą drugą półówką w łóżku, i drogocenna odrobina tego poczucia, gdy się jest? Jasne, że tak.

— I jak się to zazwyczaj kończy?

— Temu, kto bardziej cierpi, pozostaje prosty wybór: zabić tę drugą osobę albo zmykać gdzie pieprz rośnie, póki się jeszcze da. — Spojrzenie spod oka. — Jesteś gliną, sam wiesz najlepiej, że najwięcej przemocy wydarza się w związkach.

Jej szorstka prawda *faranga* wprawia mnie w osłupienie na dłuższą chwilę. Nie spodziewałem się tak szybkiej kulminacji tego wieczoru. Zanim znów mogę mówić, mija dobrych dziesięć minut.

— Po tej pierwszej nocy wymogłem na niej obietnicę, że już nigdy nie pójdzie z klientem. Będzie podawać drinki i flirtować, a ja pokryję straty w jej zarobkach, niezależnie od sumy.

Klasyyczny przypadek zidociałego frajera, kupującego cnotę swej wybranki. Dotrzymywała swojej części układu co najmniej

przez dziesięć dni. Potem któregoś wieczoru popiła sobie w towarzystwie młodego muskularnego Anglika, a on zapłacił jej grzywnę barową i zaprowadził na górę tuż przed moim nosem. — Kolejna długa pauza. — Tak jak powiedziałaś, można albo zabić, albo się wynosić. Utrzymałem się w ryzach na tyle, że zdążyłem jeszcze zadzwonić do matki, żeby mnie zastąpiła w barze. Inne dziewczęta musiały jej powiedzieć, co się wydarzyło, a ja wyjechałem na dwutygodniowe wakacje na Ko Samui. Kiedy wróciłem, matka już się jej pozbyła.

Kimberley kręci głową. Jej oblicze rozjaśnia współczujący uśmiech, przyprawiony lekką kpina.

— Czyli w sumie uratowała cię mamusia?

— Tak — kiwam głową — ale nie tylko ona. Jak wróciłem z Samui akurat zaczęła u nas pracę Chanya. Pochoruj trochę, to zatęsknisz za zdrowiem. Nie wiem, czy doceniłbym tak bardzo Chanę, gdybym nie odleciał tak bardzo przy Damrong. Wszechrzecz zbudowany jest z przeciwieństw.

W taksówce wiozącej nas z powrotem na Sukhumvit FBI mówi:

— Tamtej nocy, gdy poszła z tym Anglikiem na twoich oczach, byłeś już bliski pójścia za nimi na górę, co? Prawie nie panowałeś nad sobą?

— Tak. Pistolet leżał w kaburze pod ladą baru. Dużo o nim myślałem.

— A potem, na Ko Samui, walczyłeś przez dwa tygodnie z fantazjami na temat zabijania?

— Przez cały czas. Przychodziły falami. Rano miałem jeszcze dość siły, żeby je znosić. Przez resztę dnia pomagałem sobie alkoholem i gandzią.

— A co z nią? Dlaczego właściwie to zrobiła? Czy to nie było autodestrukcyjne? W końcu byłeś jej szefem.

— Ludzie z dołów właściwie nie mają „ja”, które można by zniszczyć. I kiedy zyskują odrobinę władzy, wiedzą, że to tylko na moment. Nie mają praktyki w ustawianiu się na przyszłość, ponieważ nie wierzą, że czeka ich jakakolwiek przyszłość.

FBI przetrawia to w myślach.

— Naprawdę tak jest?

— Tak; dla nędzarzy pierwszym nieszczęściem są narodziny: dostajesz ciało, o które trzeba dbać, które trzeba karmić i chronić, a do tego potrzebę reprodukcji, potrzebę kontynuacji. Cała reszta, łącznie ze śmiercią, to już bułka z masłem.

— Obawiałam się, że powiesz coś takiego. — Wzdycha. Wiem, że myśli o filmie z Damrong. Wsiadając przy Grand Britannia, dodaje jeszcze: — Pozwoliłaby ci na wszystko, prawda? Na każdą perwersję czy poniżenie, byle tylko schwytać twoją duszę?

Odpowiadam milczeniem. FBI chce jednak zrzucić z serca jeszcze jeden drobny kamyczek.

— Powiedz mi jeszcze, czy to hobby doktor Supatry... czy to coś typowo tajskiego, czy może mam rację, sądząc, że jest nieco ekscentryczna?

Muszę odkasznąć.

— Wszyscy Tajowie są ekscentrykami, Kimberley. Nikt nas nie skolonizował i nie mamy poczucia globalnej normy, do której moglibyśmy się stosować.

— Ale ty też to oglądałeś, prawda? Nie chodzi tylko o kopolujące duchy, to wszystko było niesamowicie groteskowe, te demony, jakieś nieziemskie stwory. Czyste bestialstwo, poważnie mówię. Bardzo zręcznie zrobione, ale makabryczne.

Wzruszam ramionami.

— Supatra jest lekarzem sądowym od ponad dwudziestu lat. Możesz sobie wyobrazić, co siedzi w jej podświadomości.

FBI kwituje skinieniem głowy to wygodne wytłumaczenie, które pasuje do jej kulturowych uprzedzeń. Jednak coś jeszcze ją nurtuje.

— Sonchai, czuję, że to ma wiele warstw, jedna kryje się pod drugą, bardzo głęboko. Czy ty jesteś ze mną całkowicie szczerzy? No bo jeżeli te nagrania Supatry... jeżeli to jest autentyczne, to przecież ona powinna być sławna na cały świat. Pisaliby o tym w „National Geographic”, pokazywali na Discovery i w ogóle. Tak czy nie?



Powstrzymuję uśmiech jaki wywołuje u mnie sama myśl o tym, że Supatra mogłaby się w ogóle zgodzić na jakikolwiek rozgłos wokół swojej osoby.

— Ona bardzo pilnuje swojej prywatności — tłumaczę. — Wolalaby chyba umrzeć, niż dostać się do tego medialnego cyrku.

FBI już wysiadła, ale nie zamknęła drzwiczek taksówki; nachyla się do mnie, marszcząc czoło.

— Czyli potwierdzasz, że to rzeczywiście się zdarzyło? Albo mogłoby się zdarzyć?

— Zależy, co uważasz za rzeczywistość — odpowiadam i zamykam delikatnie drzwiczki.



Gdy wracam taksówką do Chanyi, mój umysł chce koniecznie powrócić do tych zmysłowych, nasyconych, zupełnie niedopuszczalnie namiętnych chwil z Damrong. Chyba nie było dnia, żebyśmy się nie kochali co najmniej trzykrotnie: „Otwórz się, Sonchai, powiedz co ci sprawi przyjemność. Chcę, żebyś robił ze mną rzeczy, jakich nie robiłeś z żadną inną kobietą. Możesz mnie uczynić swoją niewolnicą, możesz mi zadać ból, jeśli chcesz, wiesz, że możesz wszystko”.

W czerni i bieli może się to wydawać wulgarne, ale naprawdę oszałamia, gdy robi to czarodziejka, która już namieszała ci w głowie.

Gdy docieram do domu, Chanya wciąż na mnie czeka. Ogląda serial w telewizji (dramat dla kucharek, przyprawiony magikami, duchami i szkieletami) i wita mnie powolnym zmrużeniem oczu i odwiecznym pytaniem wieśniaków:

— Chcesz jeść?

— Coś tam przekąsiłem na mieście.

Po pocałunku najważniejsze jest pogłaskanie Kluski. Żartujemy sobie we dwojkę, że embrion jest inkarnacją mojego partnera i brata krwi Pichaia. Chociaż właściwie to wcale nie jest żart. Prawie co noc śnił się nam obojgu, a Chanya potrafiła go opisać, choć nigdy się nie spotkali.

— Jak tam Pichai? — pytam.

— Żyje i kopie. — Przygląda się mojej minie. — No i co?

— Pokazałem ten film Kimberley. Uważa, że uda jej się sprawdzić oczy sprawcy za pomocą izometrii. To coś jak odciski palców dla oczu. Każdemu obcokrajowcowi robi się teraz na granicy cyfrowe zdjęcie portretowe; naciskali na to Amerykanie. I to ma być wolność i demokracja. Chyba go złapiemy prędzej czy później.

Dotyka dłonią mojego policzka, a potem czoła, sprawdzając, czy nie mam gorączki

— Jeszcze nie widziałam, żeby jakaś sprawa tak cię poruszyła. Czy to dlatego, że byliście kochankami?

— No a dlaczego jeszcze?

— Dlaczego jeszcze? Z powodu zakończenia. Co powiedziała o tym Kimberley?

— Ona też nad tym nie panuje. Zrobiła się w ogóle dziwna atmosfera.

— Ta kobieta nawet po śmierci potrafi wywrócić twój świat do góry nogami.

Przez kilka chwil przetrawiam to głębokie spostrzeżenie.

— Nie tylko mój. FBI to przecież nie pierwsza naiwna, a jednak też jest w szoku. Coś takiego podważa w człowieku wiarę w życie. Sprawia, że trudniej się wstaje rano. Nie chce się w to wierzyć, ale trudno zignorować oczywistość.

W odpowiedzi Chanya bierze moją rękę i kładzie ją na Klusce.

## 4

Oczywiście obejrzałem już jej mieszkanie, to, w którym ochrona znalazła ciało. Był to jednak krótki, powierzchowny rekonesans i czułem, że chcę tam wrócić i rozejrzeć się dokładnie. Miałem na to dość czasu poprzedniego dnia, ale to była środa, a w środy nie należy zadzierać ze zmarłymi. Tak jak na Zachodzie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak na Wschodzie korzenie wszelkich przesądów wyrastają z Indii; nasi brahmińscy mentorzy pozostawili nam dokładne wskazówki w różnych kwestiach, łącznie z kodeksem barw na każdy dzień tygodnia. Dlatego właśnie zauważysz może, że we wtorki wielu z nas nosi się na różowo. Ja zazwyczaj nie stosuję się do tej tradycji, chyba że coś mnie wyprowadzi z równowagi. Dziś moje skarpetki, koszula i chusteczka mają akcenty czwartkowego pomarańczu; lepiej dmuchać na zimne.

Mieszkanie Damrong znajduje się w średniej klasy apartamentowcu przy Soi 23; można tam dojść pieszo z baru mojej matki, Old Man's Club, gdzie nocowałem tego dnia. (Dobra, przyznaję się, nie chciałem ściągnąć nieszczęścia na Chanę i Pichaię w środową noc, gdy niebiosami rządzi czarny bóg Rahu; gdyby zaatakował mnie duch Damrong, wolałem stawić mu czoło w klubie).

Gdy kończę przygotowywać bar na wieczór, jest późny ranek. Moje główne zajęcia to zamawianie piwa i trunków, sprawdzanie, czy sprzątaczkę dobrze się spisały, i opiekowanie się Buddą. Jest to nieduży, może półmetrowy koleżka, który siedzi sobie na półce wysoko ponad kasą, ale ma niespożyty apetyt na lotosowe girlandy i jeśli o nich zapomnę, od razu zsyła na mnie pecha. Przed wyjściem do mieszkania Damrong znajduję w bocznej *soi* handlarza z riksą wyładowaną girlandami, *kreung sangha tan* (koszyki mnichów pełne towarów — mydło, chipsy, banany, cukier, kawa; kupujesz to i darujesz swojej ulubionej *wat* dla zebrania zasługi), dzwonekami wietrznymi, bambusowymi stołeczkami, ciętymi kwiatami. Kupuję trzy girlandy, niosę je do klubu, dekoruję naszego Buddę ła-komczucha i z wiązką kadzidła w dłoniach składam *wai*, mając nadzieję, że dla zapewnienia sobie dobrego dnia zrobiłem, co należało.

Czekam jakieś pół godziny, aż zjawi się matka. Przyjeżdża bmw z przyciemnionymi szybami; kierowca wypuszcza ją pod klubem, po czym odjeżdża na prywatny parking przy Soi 23. Ostatnio przybrała trochę na wadze — w efekcie czarne legginsy opinające pośladki oraz koszulki opinające piersi ustąpiły pola luźniejszym, bardziej konserwatywnym strojom. Matka ma na sobie długą tweedową spódnicę z żakietem (dominują czwartkowe, pomarańczowe akcenty) — to ciuchy z górnej półki, lecz smutno niemłodzieżowe — i mnóstwo złota. Wypisz wymaluj profesjonalistka z klasy średniej; mogłaby uchodzić za wykładowcę z wyższej uczelni. Gdy przekracza próg i z aprobatą zauważa, że nakarmiłem Buddę, cmokam ją w policzek. Matka siada ociężale przy klubowym stoliku i zapala marlboro.

— To miejsce jest zbyt staroświeckie, Sonchai — mówi, patrząc na podrabianą szafę grającą z galaktyką migających gwiazdek i na ściany ozdobione plakatami z Marilyn Monroe, Sinatrą, Mamas & Papas, Doorsami, młodymi Beatlesami i Stonesami. — Musimy coś zmienić, żeby przyciągnąć więcej bolków. Inne bary są świeżo po remontach, w Fire House i Vixens dziewczyny tańczą nago, a my tracimy klientów.

Marszczę brwi i kręcę głową. Pomysł z tańczącymi nago dziewczynami to dla mnie krok dalej po śliskim zboczach, w kierunku bardziej wykalkulowanych form eksploatacji. Matka zna moje zastrzeżenia i też marszczy brwi.

— Czasy się zmieniają, Sonchai i my musimy się zmieniać razem z nimi. W barze całkiem nieźle zarabiasz, z pensji gliniarza byś nie przeżył. Musisz już zdjąć te swoje różowe okulary. Dziewięć dziewcząt na dziesięć z tych, które szukają u nas pracy, chce tańczyć nago. One dobrze wiedzą, że to działa na klientów. Jeżeli boleć nie wie, czy chce pobzykać, upić się czy odespać różnicę czasu, od razu wymięka na widok sutków i włosów łonowych. Zachód już tonie pod ciężarem własnej hipokryzji, a w barach jest ostatnio coraz więcej Chińczyków i Hindusów, którzy szukają konkretnej akcji. Spójrzmy prawdzie w oczy, dziewczyny są za biedne, żeby się przejmować manierami.

— A ty się nie przejmujesz tym, czym możemy się stać?

— Jakość następnego życia zależy od naszej szczodrości i współczucia w obecnym, a nie od tego, jak bardzo się naginamy do wymagań rynku.

Wiem, że ma rację, ale nie chcę teraz o tym dyskutować. Oddaję jej klucze, informuję, ile zamówiłem piwa i mocniejszego alkoholu, i całuję na dowidzenia jak smutny, ale posłuszny syn. Na ulicy uświadamiam sobie, jak bardzo się denerwuję przed powtórny wizytą w mieszkaniu Damrong, i zastanawiam się, czy nie zadzwonić po Leka, mojego asystenta. Wybieram jednak męski styl *faranga* i dziarsko tłumię ściskanie w dołku, maszerując po Soi Cowboy, na której pojawiają się w dzinsach i koszulkach dziewczęta, nocujące na piętach w barach, i buszują wśród stoisk z jedzeniem w poszukiwaniu śniadania. Skręcam w Soi 23.

Na tym końcu ulicy jest wiele restauracji odpowiadających zachodnim gustom i wiele stoisk z ciepłym jedzeniem, które odpowiadają gustom pracujących dziewcząt z Isaan — większość pochodzi z ubogiej północy i nie potrafi przywyknąć do

kuchni Bangkoku. Dalej, za ambasadą Indii, stoją w większości apartamentowce, częściowo zbudowane z myślą o klienteli Soi Cowboy. Dom Damrong należy jednak do tych czystych, funkcjonalnych w stylu budynków, zaprojektowanych dla dość zamownych miejscowych. Z drugiej strony, jako że większość właścicieli to Tajowie, poświęca się tu wiele uwagi uniformom portierów: biała kurtka, purpurowa szarfa, tureckie pantalony, białe skarpetki do lakierków, ozdobne czapki z błyszczącym daszkiem. Dlatego portier przy wejściu (z rozdętym przez tę elegancję ego), stara się nie okazywać, że moja policyjna legitymacja robi na nim wrażenie: najpierw spisuje jej numer i dopiero wtedy wzywa podobnie wystrojonego kolegę, który wiezie mnie windą na dwunaste piętro. Po drodze wyjaśnia, dlaczego przed kilkoma dniami zdecydowali się włamać do mieszkania: wciąż wydzwaniali na portiernię mężczyźni, głównie *farangi* i Japończycy, skarżąc się, że nie ma z nią kontaktu. A Damrong nie była z tych, co nie dbają o klienta. Włamali się więc i znaleźli zwłoki.

Otwiera drzwi kartą i wpuszcza mnie do środka, ale sam nie wchodzi, zupełnie się nie krępując tym, że tak otwarcie ulega fobii związanej z duchami. Nawet przygląda mi się trochę dziwnie; może nie boję się przekroczyć progu, bo jestem półkrwi *farangiem*?

Zamykam drzwi za sobą i doświadczam tego samego poczucia osamotnienia co za pierwszym razem. Bywałem tu oczywiście wcześniej wielokrotnie, gdy białe ściany aż się różowiły od żaru mojej namiętności. I nawet wtedy dostrzegałem surowość tego wnętrza. Każda ze znanych mi prostytutek ma w pokoju choć jednego pluszaka — z wyjątkiem Damrong. Nie miała też ani jednej swojej fotografii, co u tak pięknej kobiety jest wprost niebywałe.

Znaleźli ją nagą na łóżku, z pomarańczową linką centymetrowej grubości zaciśniętą na szyi tak mocno, że aż wrzynała się w ciało. Muszę zebrać całą swoją odwagę, żeby w ogóle wejść do pokoju.

Przez głowę przelatuje mi setka migawek z naszej szalonej, gorączkowej miłości; cóż to za kontrast z tym cichym, sterylnym, białym pokojem. Damrong skrupulatnie dbała o czystość; wyznała mi kiedyś, że z wyjątkiem chwil namiętnej ekstazy zawsze się trochę brzydzi bałaganu związanego z seksem. Podchodzę do łóżka i patrzę na przeciwległą ścianę. Słoń nadal tam jest, to jedyne zdjęcie w całym mieszkaniu. Zwierz z wielkimi kłami szarżuje w stronę widza, wydaje się, że za chwilę wyskoczy z ściany. Pytałem ją często, gdy skończyliśmy się kochać, po co go powiesiła, a ona tylko się śmiała, odpowiadając z jawną ironią: „Bo przypomina mi ciebie”.

Nie tęsknię za jej okrucieństwem, lecz trudno jest znieść myśl, że świat stracił tak nieokiełznaną istotę, tym bardziej że nie pozostał po niej właściwie żaden ślad. Prosta biała poduszka leży na białym prześcieradle, zawiniętym pod materac niczym bandaż. Lubiła spać na twardym, toteż materac wyprostował się, gdy tylko podnieśli jej ciało. Zero kwiatów, tapet, śmieci, zero życia. Klucz jest w tym, że nie ma klucza, mruczę do siebie jak jakiś wyznawca zen; w pewnym sensie jest to jednak prawda. Kuchnia, jeżeli to możliwe, jest jeszcze bardziej sterylna niż pokój. Otwieram szufladę, w której Damrong trzymała sztuce, i przypominam sobie, że ta kobieta, która zabawiała tutaj tylu mężczyzn, miała wszystkiego tylko po jednym: jedna łyżka, jeden widelec, jedne pałeczki. Co nie znaczy, że była skąpa, wręcz przeciwnie — w restauracji zawsze chciała płacić za siebie, rzecz u tajskiej dziewczyny niezwykła. Udało jej się stworzyć wrażenie, że to ona ma więcej pieniędzy; często czułem się tak, jakbym to ja z nas dwojga był dziwką.

Badam zamek w drzwiach wejściowych. Nie ma śladów włamania. Gdy sprawcy przynieśli ciało — z pewnością jeden nie dałby rady przytaszczyć go niepostrzeżenie — musieli użyć jej karty magnetycznej. Jak tego dokonali? Czy zawinęli ją w dywan jak Kleopatrze, czy raczej wlekli zataczającą się, niby pijaną? Ktoś bez wątpienia musiał przekupić chociaż jednego z tych pięknie wystrojonych portierów, żeby odwrócił na moment

głowę. Wątpiłem jednak, żebym się czegoś dowiedział tą drogą. Łapówka była zapewne wystarczająco duża, żeby uodpornić portiera na przesłuchanie, nawet gdybym odnalazł tego właściwego. Po prostu nie znajdowałem się na miejscu zbrodni, obecność zwłok w tym mieszkaniu była tylko zmyłką. Wycho-dzę i zamykam drzwi wdzięczny, że uniknąłem spotkania z jej duchem.



Następnym krokiem w takim dochodzeniu powinna być wizyta u rodziny Damrong. Pochodziła z Isakit, najuboższej części Isaan, naszego najbiedniejszego regionu na północnym wschodzie. Nie jestem jeszcze gotów do tej podróży, ale obo-wiązek nakazuje, bym poprosił miejscową policję o wykonanie telefonu. Proszę więc centralę o połączenie z posterunkiem położonym najbliżej rodzinnej wioski Damrong. W końcu w słuchawce rozlega się gburowaty wsiowy głos. Wie, że dzwonię z Bangkoku, ale upiera się, żeby mówić lokalnym dialektem, który jest odmianą khmerskiego. Proszę go więc o przejście na tajski, ale on trochę protestuje. W końcu godzi się posłać po-sterunkowego do matki Damrong. Według kartotek jej ojciec zmarł, gdy była jeszcze mała. Jedyne rodzeństwo to młodszy brat, który chyba wciąż żyje. W bazie danych jest informacja, że dziesięć lat temu był skazany za handel *yaa baa*, czyli metamfetaminą.

Gdybym nie wiedział niczego o młodości Damrong, mógł-bym rozważyć wezwanie jej matki na przesłuchanie do Bangkoku. Dowiedziałem się jednak cokolwiek w czasie naszego krótkiego romansu, więc ta strategia odpada. Tymczasem mu-szę przeprowadzić dość głębokie i wścibskie badanie z wyko-rzystaniem rządowej bazy danych, a to wymaga zezwolenia pułkownika Vikorna, szefa Okręgu 8. Na razie opisałem mu sprawę dość ogólnikowo i muszę się z nim dziś zobaczyć. Jest jednak czwartek, a w czwartki odprawiamy z pułkownikiem dziwny rytuał.



Można to nazwać konsekwencją globalizmu. Jak wielu Tajów (jakieś sześćdziesiąt trzy miliony, odliczając kilku takich dziwaków jak ja) pułkownik Vikorn jeszcze kilka lat temu miał do kultury Zachodu stosunek, który można by nazwać chłodnym. Z wiekiem jednak i w miarę jak jego narkotykowy biznes obejmował coraz więcej lukratywnych kontraktów eksportowych, doszedł do wniosku, że powinien coś wiedzieć o swojej klienteli. Polecił mi więc, żebym go informował o ważniejszych wydarzeniach w Europie i Stanach, z wahaniami ceny *yaa baa* na czele. I nagle okazało się, że uzasadnieniem mojej egzystencji jest wyłapywanie wszystkiego, co się ukazuje w „New York Timesie”, a związane jest z takimi słowami kluczowymi, jak: „meta”, „DEA”, „narkomania” — oraz „porno”. Porno z początku służyło mi tylko do ożywienia monotonii przy czytaniu chwytających za serce artykułów o tym, jak to narkotyki niszczą rodziny, które w przeciwnym razie zniszczyłyby się — bez dwóch zdań — alkoholem. Coś w tych tekstach o porno zaintrygowało jednak pułkownika; dostrzegał w nich nie tylko samą marność. Chciał wiedzieć coraz więcej i w rezultacie porno stało się przebojem miesiąca. Tak się składa, że przed kilkoma dniami trafiłem w archiwum „New York Timesa” na znakomity artykuł\*.

\* Patrz „Dodatek” na końcu książki.

Wiem, że sprawa Damrong niezbyt interesuje Vikorna, więc gdy tylko siadam po drugiej stronie jego rozległego biurka, zaczynam składać raport na temat porno.

— Niech pan posłucha tego — mówię i streszczam mu artykuł.

Pułkownik jest tak zaciekawiony, że muszę tłumaczyć całość słowo po słowie. W pigułce: spiralę ewolucji pornografii można prześledzić od świńskich pocztówek, poprzez małe salki kinowe i katalogi wysyłkowe, aż do ściągania materiałów bezpośrednio z sieci i to wszystko w ciągu dekady, podczas której przekształciła się z pogardzanego biznesu wartego miliony dolarów

w potężną, a więc już godną szacunku, gałąź gospodarki o wielomiliardowych obrotach. (W roku 2000 wypożyczono siedemset milionów filmów z ostrym porno; to jest dokładnie dwa i pół filmu na mieszkańca Stanów Zjednoczonych — a każdy z tych filmów pokazuje, średnio biorąc, dwa lub więcej penisów penetrujących podobną liczbę ust albo wagin, co oznacza, że przeciętny Amerykanin wziął w roku 2000, którego dotyczy tekst, udział w pięciu wirtualnych orgiach. Podobno od tamtego czasu ta liczba się podwoiła. Nie znam też liczb dotyczących porno dla homoseksualistów). Innymi słowy, dla części szacownych korporacji pornografia stała się inwestycją nie do odrzucenia. Podobnie jak hazard internetowy przetrwała bessa firm internetowych w latach 1995—2001, dołączając do tych branż, które — tak jak żywność, odzież, spanie i umieranie — młodemu człowiekowi wchodzącemu w życie dają pewny start. Gdy kończę tłumaczenie artykułu, pułkownik Vikorn, zazwyczaj dość zrelaksowany, emanujący cynizmem sześćdziesięcioczerolatek, siedzi sztywno wyprostowany, jakby dostał w serce zastrzyk z adrenaliny. Wygląda o dziesięć lat młodziej; świeżość nowego objawienia wygładziła mu czoło.

— Przeczytaj jeszcze raz te dane — mówi, po czym dodaje z podziwem: — Niesamowite. Te *farangi* są jeszcze bardziej dwulicowe niż Królewska Policja Tajska. Mówisz, że te wyszczekane zachodnie pismaki, które tyle piszą o naszych burdelach, spędzają większość życia w pięciogwiazdkowych hotelach, płacąc za oglądanie, jak inni ludzie bzykają się za pieniądze?

— Cóż, to kultura hipokryzji — odpowiadam, bardziej oceniająco, niżbym chciał.

Gangsterzy pokroju Vikorna potrafią jednak dostrzec okazję tam, gdzie zwykły śmiertelnik widzi tylko ciemność. Kręci głową, jakbym był upośledzonym umysłowo nędzarzem, który nie zauważa pół miliarda dolarów leżących mu pod nogami.

— To kultura masturbacji — poprawia mnie, zacierając dłonie i przybierając postawę wiejskiego nauczyciela. — Nie ma na co czekać. Robimy film.

Teraz ja kręcę mądrze głową.

— Nie ma mowy. Pan nie rozumie, szefie. Amerykańskie porno może być pełne silikonowych cycków i szminki na kutasach, aktorstwo jest jeszcze gorsze niż u nas, a większość kobiet ma pryszczę na tyłku. — Tak, tak, czasami dokładam te dziesięć dolarów do moich rachunków hotelowych (zupełnie jak ty, *farangu?*). — Ale zdjęcia są pierwszej klasy. Faceci za kamerami kiedyś wierzyli, że będą robić bardzo artystyczne filmy dla potomności. Stosują najazdy i panoramy, używają kilku kamer naraz, zwolnionego tempa, wstawek graficznych i zbliżeń takich fragmentów ludzkiego ciała, których człowiek sam nigdy nie widział na oczy. To profesjonaliści w każdym calu — tłumaczę z satysfakcją. Państwo Koniobijscy z Kalifornii nigdy nie kupią filmu nakręconego na zapleczu Soi 26 jedną kamerką. Dla nich ważna jest jakość.

Następuje chwila ciszy, podczas której mój szef pociera podbródek i wpatruje się we mnie tymi swoimi szczerymi oczami, nawet nie mrugając.

— Co to znaczy „film artystyczny”? — pyta w końcu.

— Nie wiem. — Drapię się po głowie. — To taki ich żargon zawodowy. Chyba coś, co ma się sprzedawać dzięki udawaniu, że nie jest komercyjne.

— A gdzie ja mogłem już to kiedyś słyszeć?

Mam zamiar odpowiedzieć, bo dobrze wiem, gdzie obaj to słyszeliśmy. I nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo pułkownik mnie wyprzedza. Wymieniamy spojrzenia.

— Yammy — mówię. — Ale on siedzi w więzieniu i czeka na proces, po którym zamierza go pan posłać na krzesło elektryczne.

Vikorn unosi ramiona i rozkłada ręce.

— Najlepszy moment, żeby mu zaproponować układ, nie sądzisz?

Uzmysławiam sobie z rezygnacją, że na dziś już zmarnowałem szansę poczynienia postępów w sprawie Damrong. Wybacz, *farangu*. Czuję nadchodzącą dygresję.

## 5

Jako detektyw prowadzący sprawę Yammy'ego i odpowiedzialny za jego uwięzienie, mam całość akt w głowie i odtwarzam je sobie, jadąc taksówką do Lard Yao.

Urodził się w rodzinie z niższej klasy średniej w Sendai. Ojciec miał etat w Sony, a matka była tradycyjną japońską gospodynią domową, gotującą wieloryby i wodorosty jak czarownica. Decydujące znaczenie w jego dzieciństwie miał dostęp ojca do prototypów firmy, szczególnie do kamer i aparatów fotograficznych. Nasz bohater nauczył się pstrykać zaraz po tym, jak nauczył się chodzić i w rezultacie nigdy nie opanował w pełni sztuki komunikacji werbalnej. W introwertycznej japońskiej kulturze nie miało to wielkiego znaczenia, lecz jego umiejętność pisania też była marna. Nieważne, ojciec Yammy'ego, aż nazbyt dobrze znając przygnębiające skutki życia spędzonego na słuchaniu szefa, dostrzegł w ułomnościach syna przebłysk geniuszu. Rodzina, poświęcając wiele, przeniosła się do Los Angeles, gdzie braki w edukacji Yammy'ego nikomu nie przeszkadzały. Został jak najszybciej posłany do szkoły filmowej. I wszystko szło dobrze aż do dnia, gdy rodzina wybrała się na wycieczkę do San Francisco, gdzie Yamahato senior stał się pierwszym od dwudziestu lat turystą przejechanym przez tramwaj. Matka opłaciła resztę studiów filmowych Yammy'ego

pieniężmi z ubezpieczenia, ale nie chciała zostać w Ameryce. Yammy, choć został sam, bez mamusi i jej słynnych, zawijanych w wodorosty wielorybich steków, bez trudu doszłusował do grona najlepszych kamerzystów Hollywood.

— Jesteś niesamowity — powiedział mu ulubiony reżyser. — Masz takie azjatyckie wycucie szczegółu, twoje ego nie wtrąca się do roboty i rozumiesz doskonałość w sztuce. Masz przed sobą świetlaną przyszłość w reklamie.

— Nie chcę świetlanej przyszłości w reklamie — odpowiedział Yammy. — Chcę zrobić film fabularny.

Reżyser pokręcił smutno głową. On też chciał kiedyś kręcić filmy fabularne. Podobnie jak pierwszy, drugi i trzeci kamerzysta, oświetleniowiec, inżynier dźwięku i wózkarz.

— To nie takie proste, kolego — powiedział reżyser. — I talent niewiele tutaj ma do rzeczy.

Yammy już to wie. Gdyby wytwórnice cenily talent, nie wypuszczałyby rok po roku tego samego starego śmiecia. Jasne, że nawet Hollywood zrobiło czasami coś dobrego, ale amerykański rynek go nie interesował. Miał zamiar wyostrzyć swój talent jak brzytwę i natychmiast wracać do domu. Jego bohaterowie srebrnego ekranu to Akira Kurosawa, Teinosuke Kinugasa, Siergiej Eisenstein, Vittorio de Sica, Ingmar Bergman, Luis Bunuel — geniusze kina, o których większość ludzi z Hollywood nigdy nie słyszała nawet w szkole filmowej. Wiedział też, że jest jeszcze jedna przeszkoda, najpewniej nie do przewyciężenia, która mu nie pozwoli odnieść sukcesu w Kalifornii. To przecież wtedy właśnie jego ekipa kręciła w Kolumbii reklamówkę perfum, którą spokojnie można było taniej i łatwiej nakręcić w górach Kolorado. I jak napisał Yammy w faksach do swoich kumpli w Sendai: „Po pierwsze nie biorę kokainy, po drugie nie wciągam koki, po trzecie nie wchłaniam śniegu. I wszyscy myślą, że jestem wtyką FBI”.

Co wieczór po pracy odbywali z reżyserem tę samą rytualną konwersację, podczas której ten drugi usypywał na marmurowym blacie ekstrawagancko długie kreski białego proszku.

— Chodzi o pieniądze — mówił reżyser. — Żeby nakręcić niezależny artystyczny film, musiałbyś znaleźć inwestorów, którzy potrafią załatwić tyle szmalu, ile chcą, kiedy chcą i nie muszą się przejmować stratą kilkudziesięciu milionów na ryzykowne przedsięwzięcie. Znasz kogoś, kto by podpadał pod tę kategorię?

— Tak — odpowiedział Yammy.

— Handlarze — mruknął reżyser, zatykając jedną dziurkę od nosa i pochylając się nad stołem. — A wiesz, kto rządzi handlarzami?

— Wiem — odparł Yammy.

— A wiesz, kto rządzi mafią w Los Angeles?

— Biuro — odparł Yammy.

Po powrocie do Kalifornii reżyser postanowił dać zdolnemu młodemu Japończykowi wielką szansę. Impreza odbywała się w sekretnym domu na pustyni, dobrze znanym każdemu, kto był kimś w branży filmowej. Yammy zapamiętał kobiety i mężczyzn wpatrujących się oczami wielkości spodków w biały kocyk na środku stołu bankietowego — nawet on wiedział, że nie jest to tort weselny. Niemal nagie kobiety i młodzi mężczyźni byli dostępni na każde zawołanie, a kilkanaście sypialni stało otworem dla wszystkich chętnych, lecz większość nie odrywała wzroku od białego kopca. Po pięciu minutach wszyscy, z wyjątkiem Yammy'ego, pokładali się zadowoleni i przepelnieni pewnością siebie na kanapach i zaczęli wygadywać bzdury.

— Nie musisz się przejmować szefem Biura w LA — tłumaczył reżyser, podchodząc do Yammy'ego i myśląc krok. — Oni muszą skądś brać informacje o tym, kogo trzeba zamordować w Boliwii czy Kolumbii, no a kto jest lepszym źródłem informacji jak nie mafia, która kupuje towar hurtowo? Gdyby ich pozamykali, źródło by wyszło. Dlatego szef też tu dzisiaj przyszedł. — Reżyser zarzucił głową jak koń, prawdopodobnie myśląc, że dyskretnie nią wskazuje niskiego, krępego mężczyznę po drugiej stronie stołu. Mężczyzna właśnie sięgał do białego kopca. — To jest wolność.

Nazajutrz Yammy — zgnębiony tym, że nie wykorzystał magicznej sposobności popchnięcia swej kariery naprzód poprzez zbratanie się z mafią na kokainowej orgii — uznał, że po prostu czegoś mu brakuje i nie ma w Los Angeles szans; spakował więc manatki i wrócił do Sendai. Gdy znalazł się w domu z mamą, zadzwonił do swego jedyne kumpla z branży filmowej w Tokio, któremu udało się zrobić film o psychotycznym tatu-ażyscie mordującym wszystko, co się ruszało, z wyjątkiem uko-chanego chomika. W końcu za zwierzątko oddał życie. Film był klapą, ale co z tego; kumpel przynajmniej mógł się chwalić, że nakręcił jedną fabułę w swoim dość nieciekawym życiu. Yammy odwiedził go w Shinbashi, dzielnicy Tokio.

— Słuchaj — powiedział kumpel po piątej butelce sake — w dzisiejszych czasach jest tylko jeden sposób na zrobienie filmu; trzeba znaleźć inwestora, który...

Yammy dokończył zdanie za niego.



No cóż, *farangu*, wiem, że domyśliłeś się reszty, choć wydarzyła się w czasie japońskim, co oznacza, że Yammy co najmniej na dekadę popadł w alkoholową depresję, a potem nastąpiło nieuniknione. Żeby mu oddać sprawiedliwość, niemalże odniósł sukces w interesach, popełnił tylko — jak wielu początkujących w moim kraju — ten fatalny błąd, że kupił od wojska zamiast od policji. Co gorsza, nabył swoje skromne dziesięć kilo towaru od śmiertelnego wroga pułkownika Vikorna, generała Zinny, co sprawiło, że pułkownik kazał chłopakom go zamknąć i tak dopiąć sprawę, żeby Yammy nie miał szans się wywinąć od podwójnego zastrzyku. (Zgodnie z najnowszym światowym trendem w branży egzekucyjnej przeszliśmy z rozstrzeliwania na zastrzyki — Budda wie czemu, bo nikt nigdy nawet nie poczuł, jak kula wnika w tył czaszki. Nie ma to nic wspólnego z humanitaryzmem, raczej z nowomodnym przewrażliwieniem. Ja osobiście też bym wołał gorący olów w potylicy,

zamiast powolnego zanurzania się w wielki sen z pomocą chemii. A ty jak myślisz, *farangu?*).

Sprawy Yammy'ego miały się więc kiepsko jeszcze pięć minut temu. Stąd moja bohatera wiza w Lard Yao (to nasze największe więzienie, mieści dziewięć tysięcy ludzi, a zbudowali je podczas drugiej wojny Japończycy jako obóz koncentracyjny).

Wyobraź sobie długą podróż w upale w sam środek tropikalnego pustkowia. I nagle pojawia się całkiem sympatyczna enklawa bujnej zieleni, wyznaczająca granice rozległych terenów zakładu karnego. Ale zaraz... co to za straszny smród? Ach, to otwarty zbiornik na ścieki, w którym trudni więźniowie muszą stać zanurzeni po szyję całymi godzinami, a czasem przez kilka dni. Kiepsko by było się w tym utopić. Zatkajmy nos, a klawisz o kamiennej twarzy zaprowadzi nas do sali widzeń, gdzie usiądziemy na drewnianym zydłu, czekając, aż przyprowadzą Yammy'ego. Szczupły, dość przystojny Japończyk po czterdziestce ma skute ręce i nogi, i otacza go aura posępnej determinacji prawdziwego artysty. Nie ma dla niego krzesła, więc musi stać. Jestem zachwycony, że to ja przynoszę mu te fantastyczne wieści, i czuję, że mam dobre układy z Buddą, bo stałem się dla Yammy'ego narzędziem zbawienia. Wyobraź więc sobie moją konsternację, gdy po wyłuszczeniu Japończykowi zarysów biznesplanu Vikorna, słyszę w odpowiedzi:

— Nie.

— Ależ Yamahato-san — mówię — może nie wyraziłem się dość precyzyjnie. Powiem jasno. Za kilka krótkich tygodni pańska sprawa znajdzie się w sądzie. I nie ma znaczenia, czy przyzna się pan do winy, czy nie, bo dowody przeciwko panu są przytłaczające. A nawet gdyby nie były, pułkownik Vikorn wie, jak załatwić wyrok skazujący. Zostanie pan skazany na śmierć i w ciągu kilku lat oczekiwania na egzekucję zostanie pan zgwałcony przez gang *farangów*, w wyniku czego uznany za nieszczęsnego pariasa przez Tajów, którzy odetną panu dostawy



świeżych karaluchów, czyli jedyne go w więzieniu źródła białka. Najpewniej będzie pan nieuleczalnie chory na długo przedtem, nim wreszcie zapną pana w pasy i przygotują długie igły, żeby...

— Dość! — woła Yammy. — Nie przestraszysz mnie. Po-  
stanowiłem się zabić. — Samurajskim gestem przeciąga kciukiem po podbrzuszu. — Zdobyłem już nóż.

— Ależ Yamahato-san — mówię — przecież już panu to wyjaśniłem. Nie musi pan się zabijać, bo przyszedłem pana uwolnić.

— Ale ja nie chcę być uwolniony. Co to za różnica? Wy, Tajowie, nie macie pojęcia o honorze. Zamierzałem się zabić tak czy inaczej, skoro nie mogę nakręcić filmu fabularnego. Jeśli mnie wypuścicie, to kim będę?

— Dobrze płatnym twórcą pornosów.

— Nie chcę być twórcą zasranych pornosów! Jestem artystą.

Oszołomiony, zdeprymowany, zrozpaczony — i pod głębokim wrażeniem — wyciągam komórkę, żeby zadzwonić do pułkownika.

— No to niech sobie będzie artystą — mówi Vikorn. — Może kręcić dziesięcioma kamerami naraz, może wstawić pomiędzy numerkami lądowanie na księżycu, może porozstawiać wszędzie kwiaty w wazonach i porozwieszać na ścianach drzeworyty. Damy mu całkowitą wolność artystyczną, jeżeli tylko pokaże wytryski jak należy i jeśli całe to gównno będzie się dobrze sprzedawało w Ameryce.

Przekazuję to wszystko Yammy'emu, który powoli się rozchmurza.

— Zastanowię się — mówi.

— Niech pan weźmie moją komórkę — mówię z anielską cierpliwością. — Jeśli zdecyduje się pan łaskawie zaakceptować naszą nieśmiałą propozycję zatrudnienia, proszę nacisnąć autowybieranie, odbierze pułkownik Vikorn.

W taksówce pożyczam komórkę od kierowcy i dzwonię do Vikorna, który chce się zakładać o pięć tysięcy bahtów, że

Yammy zadzwoni w ciągu najbliższych pięciu minut. Ja obstawiam, że nie zadzwoni, dopóki nie dotrę do komendy, bo jest upartym Japończykiem o skłonnościach samobójczych, któremu honor nie pozwoli odpuścić wcześniej niż za pół godziny.

Siedzimy potem z Vikornem w jego gabinecie, coraz bardziej zdumieni, aż do dziewiątej wieczorem. W końcu dzwoni telefon i pułkownik podaje mi słuchawkę, bo Yammy nie zna tajskiego.

— Chcę mieć prawo do ingerencji w scenariusz. Większość pornosów jest kretyńska i prostacka. Chcę mieć porządną, ciekawą akcję.

Tłumaczą to i Vikorn z rezygnacją macha ręką na znak zgody.

## 6

Ostatniej nocy przyszła do mnie Damrong. Wiedziałem, że to zrobi, niezależnie od tego, jakiego koloru będę miał piżamę i ile razy skłonię się przed Buddą na naszym domowym ołtarzyku, ozdobionym girlandą lampek choinkowych (to pomysł Chanyi). Czulem ją i Kluskę obok siebie w łóżku, choć jednocześnie przebywałem poza ciałem. Ta ukradkowość spotęgowała tylko moje pożądanie. Nie możemy obudzić Chanyi, próbowałem powiedzieć, nawet wtedy gdy usta Damrong zamykały się już na moim drżącym członku. Uwolniona od czasu i przestrzeni projektuje najróżniejsze obrazy: naga, półnaga, w czarnej wieczorowej sukni z biżuterią, topless w obcisłych džinsach i z długimi czarnymi włosami, które co chwila przesłaniają piersi; pochylona nade mną w postawie całkowitej uległości; stojąca w postawie władczej i rozkazującej. Sednem jest jednak obezwładniająca seksualna moc jej ducha, która jakimś sposobem potrafi uruchomić hormony po drugiej stronie lustra. Wiercie mi, mężczyźni, żadne erotyczne doświadczenie nie przewyższy bzykania się z duchem. Kiedy skończyła, musiałem pójść na podwórze i polać się wodą z węża, żeby ochłodzić rozgorączkowane ciało. Gdy wróciłem, Chanya na szczęście spała kamiennym snem.

Wracając do sprawy. Dzięki uprawnieniom Vikorna mogłem pogrzebać głębiej w krajowej bazie danych. Gdy wpisuję numer dowodu Damrong, wyskakuje dziwne nazwisko: **แบ็เคอ**. Rozszyfrowanie tego nietypowego zestawu liter zajmuje mi dłuższą chwilę. Próbuję różnych możliwości i wreszcie zapala się światełko: to nazwisko brzmi Baker. Z pomocą tego klucza dokonuję dalszych operacji i odnajduję jej nazwisko panieńskie: Tarasom. Jakieś pięć lat temu wyszła za Amerykanina, Daniela Bakera, i według danych Urzędu Imigracyjnego wyjechała z nim do Stanów, skąd powróciła po dwóch latach. Na oficjalnych dokumentach musiała się nadal podpisywać jako Damrong Baker i to nazwisko figurowało również w akcie zgonu.

Znajduję w bazie danych amerykański numer ubezpieczenia pana Daniela Bakera oraz numery paszportów. Dzwonię do Imigracyjnego, żeby sprawdzili, czy nie wjeżdżał ostatnio do Tajlandii. To strzał na ślepo, ale kto wie. Następnie dzwonię do hotelu Grand Britannia, do Kimberley, i podaję jej numer ubezpieczenia Bakera.

Obawiam się, że FBI odpowie pierwsza. I rzeczywiście odzwania w ciągu pół godziny, lekko zadyszana.

— To może być dobry trop, Sonchai — mówi. — Dan Baker miał wyrok za stręczycielstwo.

— Stręczycielstwo? — Oddaję tej informacji należyty jej szacunek. — A nie za nielegalne rozpowszechnianie pornografii?

— Nie, ale to zwykle towarzyszy stręczycielstwu, przynajmniej w Stanach.

— Noi?

— Ona była skazana za prowadzenie domu publicznego w Fort Lauderdale na Florydzie. Oboje się przyznali. On dostał rok, plus rok w zawieszeniu. Ona pół roku, ale została deportowana.

— Kiedy?

Cztery lata temu. — Po chwili Kimberley dodaje: — To by znaczyło, że podjęła pracę u ciebie zaraz po deportacji.

— Tak — odpowiadam, walcząc z wewnętrznym oporem.  
— Zawsze uważaliśmy, że to za niskie progi na jej nogi. Chyba użyła nas tylko jako chwilowej przystani, zanim rozejrzy się w Bangkoku. Po Stanach to musiał być dla niej upadek.

— Nie znam się na tym, ale prostytutki w Stanach wcale nie mają lekkiego życia.

— Coś jeszcze?

— Pracuję nad tym. Coś mi tam dzwoni w związku z tą całą sprawą. Chyba byli w to zamieszani jacyś urzędnicy z ratusza i cała historia trafiła na pierwsze strony gazet.



Pani Damrong Baker: asymetryczność tego nazwiska mogłaby starczyć za cały komentarz. Muszę pięć razy dzwonić do Imigracyjnego, żeby wreszcie ruszyli tyłki. A potem okazuje się, że wystarczy wrzucić numer paszportu Bakera do bazy danych. W końcu oddzwaniają.

— On jest w Bangkoku.

— Turystycznie?

— Nie. Ma licencję na nauczanie angielskiego. Wiza odnawialna co roku, z pozwoleniem na pracę. Co trzy miesiące musi się zgłaszać i potwierdzać adres zamieszkania.

— Jaki mianowicie?

— Sukhumvit, Soi dwadzieścia sześć.

Dzwonię do mojego asystenta Leka. Czekaając na niego, podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Młody mnich, którego nazwałem w myślach „internetowym mnichem”, wchodzi właśnie do kafejki po drugiej stronie ulicy. Patrząc, jak jego falująca szafranowa szata znika w jasnym wnętrzu; po chwili zjawia się Lek i bierzemy taksówkę.

— Chcę sprawdzić, czy on kłamie, czy nie — mówię Lekowi. — Obserwuj go, jak będzie odpowiadał.

Wszyscy taksówkarze w Bangkoku praktykują czarodziejstwo, ale ten nasz jest już chyba po doktoracie. Na lusterku wstecznym wiszą girlandy z amuletami ku czci bogini podróży

Mae Yanang, zasłaniając środkowy kawałek rzeczywistości na zewnątrz. Muszę tu wspomnieć o dwóch sposobach uniknięcia śmierci na naszych drogach: *pop pong* oraz *pop gun*. *Pop gun* oznacza wszystkie te nudne i nieskuteczne sposoby w rodzaju zapinania pasów i ostrożnej jazdy; my w zasadzie wolimy *pop pong*, czyli nienaruszalną ochronę duchową. Prawidłowo wykonane *pop pong* nie tylko uratuje ci życie, ale w dodatku ukarze surowo tego, kto ci zagroził. Kierowca właśnie z dumą snuje opowieść o jakimś durnym baranie, który wymusił na nim pierwszeństwo i pięć minut później został staranowany przez ciężarówkę.

— Ale był bajzel. — Szczerzy się radośnie, pokazując na sufit.

— Trup? — pyta Lek zaciekawiony.

— No jasne.

— Nie miał amuletu?

— Nie uwierzycie, ale miał *salika*\* zaszyte pod skórą.

— I mimo to zginął?

\* Rodzaj talizmanu.

Taksówkarz znów wskazuje sufit; jego mina mówi: dajże spokój.

— Wypadki nie wydarzają się same z siebie. Nasiona są w przeszłości. — Kieruje kciuk do tyłu, pokazując, gdzie ona jest. — *Gam* — mówi. — Karma.

Przyglądamy się z Lekiem sufitowi, na którym widnieje astrologiczny rysunek zapewniający szczęście, ubezpieczenie zdrowotne i ochronę przed drogówką. Inskrypcje są napisane nie po tajsku, lecz w starożytnym khmerskim alfabecie khom, z czasów Angkor Wat.

— Używa pan *moordu*? — dopytuje się Lek.

— Jasne, khmerskiego *moordu*. Tajscy jasnovidze nic nie wiedzą. Cała prawdziwa magia i tak pochodzi od Khmerów. — Odwraca się, by zerknąć szybko na Leka. — Zainteresowałem się tym na poważnie po tsunami. Przedtem trzymałem się na dystans.

— Z powodu duchów?

— A jak. Ludzie najczęściej w ogóle nie wiedzą, że większość Taj ów zabitych podczas tsunami nie pochodziła wcale z Pukhet, tylko z Krung Thep i z północy. Oczywiście duchy *farangów* też chciały wrócić do domów, więc wszystkie nieboszczyki ściągnęły tutaj, próbując się dostać do samolotów albo autobusów do Isaan. Mój partner, który jeździ tym wozem w nocy, opowiadał, że to było straszne. Brał czwórkę czy piątkę pasażerów na przykład do Don Muang, a kiedy się odwrócił, żeby skasować za kurs, w aucie nie było nikogo. Ale najgorsi byli ci, co wsiadali w ciemności. Kiedy po dojechaniu na miejsce włączał światło, zaczynali się już rozkładać, oczy im wisiały na nerwach i obijały się o policzki. No i *farangi*; ci nie mieli zielonego pojęcia o umieraniu i wciąż się rozglądali za bliskimi, płakali i w ogóle. Okropne to było. Takie coś to już wymaga profesjonalnej pomocy.

Lek kiwa ponuro głową. Nie wiem, czy mi odpowiada kontakt z tą częścią duszy *katoja*, wyglądam więc przez okno, za którym dwutlenek węgla miesza się z odrobiną powietrza. Stoimy w codziennym korku na skrzyżowaniu Asok i Sukhumvit. Między stojącymi pojazdami krąży dziesięciolatek o umorusanej twarzy i przesadnie nieszczęśliwej minie. Niby chce umyć szyby zlaną wycieraczką, ale po chwili wyciąga rękę. Kiedy opuszczam okno, żeby dać mu dziesięć bahtów, do środka wpada gorąca trucizna i kierowca się złości.

— Dawanie takim dzieciakom nie przynosi karmicznego pożytku — mówi. — Lepiej się zaopatrzyć w odpowiedni amulet. A pan dlaczego chodzi bez ochrony?

Lek patrzy na mnie znacząco: „A nie mówiłem?”. On sam stale nosi na szyi pęczek szamańskich korzeni jakichś roślin, owiniętych w żółtą tkaninę *yantra*. Często mnie strofuje, gdy traktuję rzeczywistość dosłownie, jakbym był tępym *farangiem*.

Skręcić w Sukhumvit z Asok bez *pop pong* jest prawie niemożliwością. Nasz szaman robi to z piskiem opon, niemal na dwóch kołach, tuż przed nosem zatłoczonego autobusu,

zmuszając motocyklistę do zjechania na bok, a autobus do zahamowania. I już pędzimy obok Grand Britannii w czołówce peletonu.

— Niesamowite — mówi Lek, podziwiając okropieństwa na suficie.



Jestem przyjemnie zaskoczony, bo ochroniarz w apartamentowcu Bakera (ciemno- i jasnoniebieski uniform, kajdanki, pałka; gdy wszedłem, grał właśnie w warcaby kapslami od butelek ze swoim kolegą) informuje mnie, że amerykański *farang* nie tylko tu mieszka, ale jest akurat właśnie w domu. Wręczam mu dwieście bahtów i kiedy docieram pod drzwi Bakera, wiem już niemal wszystko o jego życiu prywatnym. Pracuje regularnie, głównie w domu. W piątkowe i sobotnie wieczory przeprowadza dziewczynę, często tę samą. Facet nieźle mówi po tajsku. Lubi ćwiczyć w lokalnej siłowni. Forsy nie ma za dużo, ale czynsz płaci na czas. Pije niewiele, ale niekiedy pali gandzię. Ma dodatkową fuchę, coś związanego z fotografią, ale nie zarabia na tym zbyt wiele. Chyba nigdy nie jeździ do Ameryki, a wakacje spędza w Kambodży. Był dość kłótliwym typem *faranga*, kiedy przyjechał przed trzema laty, ale z czasem nauczył się naszego stylu. Spokojny, kulturalny, robi swoje i nie wadzi nikomu.

Namyślałem się przez chwilę, jak zapukać. Jeśli za mocno, to obawiam się, że wywołam w nim stan umysłu zwany „tajskim syndromem policyjnym”: zacznie się trząść ze strachu, przywołując z pamięci wszystkie straszliwe historie o naszym wymiarze sprawiedliwości. Tego bym nie chciał, ale gdy zapukam zbyt delikatnie, może stać się arogancki. Wybieram środkową drogę i w drzwiach pojawia się Baker, tylko w szortach.

Trzydzieści siedem lat, po męsku łysieje, włoski na piersi posiwiiałe, sylwetka kulturysty, brak tatuaży. Na widok mojej legitymacji serce w nim zamiera; tak to zazwyczaj jest. Nauczyciele angielskiego należą do podzbioru wędrowców plecakowych — w



naszych oczach pasują do wzorca cudzoziemców deportowanych i gdy odwiedza ich gliniarz, spodziewają się od razu wszystkiego najgorszego.

— Panie Baker, chciałem panu zadać kilka pytań na temat pańskiej byłej żony.

Gniewne spojrzenie ujawnia coś bardziej złowieszczego. Chyba jest nie dość zaskoczony. Zerkam na Leka, który uruchamia kobiecą intuicję, a w każdym razie to bystre, oceniające spojrzenie, jakie powinno jej towarzyszyć. Wydyma usta i kręci głową.

Mieszkanie zbudowano według tego samego nudnego projektu, stosowanego dziś na całym świecie. Jest okno i jest toaleta, a więc w hierarchii betonowych jaskiń plasuje się dwa poziomy powyżej podstawowego. Inne znaki także wskazują, że Baker nie osunął się w niebyt: otwarty laptop na krześle; na ścianie oklepany, lecz prowokacyjny plakat z półnągą tajską dziewczyną nad rzeką, drugi ze świątynią Angkor Wat; kilka książek. Jego miejsce w globalnej piramidzie to poziom „Nie wiele ci mogę dać”, przyznam, że dość powszechny. Ciekawią mnie od dawna te *farangi*, które przyjeżdżają tu, żeby stać się nikim, jakby nawet ta rola w ich utopii pochodzenia była zbyt trudna. Obaj z Lekiem patrzymy teraz na Bakera, który spogląda na zegarek, na mój gust podróbkę roleksa.

— Nie chciałbym obrazić policjanta, ale muszę panu powiedzieć, że za dziesięć minut mam lekcję angielskiego.

— Gdzie się ona odbędzie, panie Baker?

— Tu, w tym mieszkaniu. — Patrzy mi w oczy. — To prywatna lekcja. Możecie mnie oskarżyć o pracę na czarno, ale inaczej bym nie przetrwał. Za to, co mi płacą w szkole, nie da się przeżyć.

— Nie zamierzam pozbawiać pana dochodów. — Kiwam głową. — Sprawdźmy, jak daleko dojdziemy przed przyjściem pańskiego ucznia.

— Dobrze.

— Pańska była żona, Damrong Baker.

Nie jest pewien jak to rozegrać. Mija dłuższa chwila i wreszcie wybucha gniewnie:

— Ta suka... co ona znów zrobiła?

Marszczę brwi, nieco zdziwiony.

— A co zrobiła przedtem?

Błąd z mojej strony — przekombinowałem. Z twarzy Bakera znikają emocje; wzrusza ramionami.

— Była przez rok moją żoną, mieszkaliśmy razem. Równie dobrze mógłby pan spytać, czego nie zrobiła, żeby mnie zniszczyć. Lista byłaby dużo krótsza.

Wymieniamy z Lekiem spojrzenia. Widzę, że chłopak aż się pali, by wypróbować swoje śledcze umiejętności — i swój angielski.

— Panie Baker, jak pan poznał swoją tajską małżonkę? — pyta.

Baker po raz pierwszy zwraca na niego uwagę. W Bangkoku nie ma wielu transseksualnych gliniarzy; właściwie Lek jest jedynym. Na służbie stara się ukrywać swój rosnący biust i pedalskie maniery. Ale gdy się odezwie, język jego ciała mówi wszystko. Nie patrzy Bakerowi w oczy i jest w tym zachowaniu nieśmiałość, ale i coś kobieco przebiegłego. Baker eksperymentuje z postawą nieco pogardliwą, ale spojrzawszy na mnie natychmiast odpuszcza. Unoszę podbródek. *Tak, musisz odpowiedzieć na to pytanie.*

Baker stęka i zaraz bierze w nim górę rozwlekłe gawędziarstwo.

— Byłem po trzydziestce, skończyłem poprzedni związek i przyjechałem tutaj na dziesięć dni na wakacje. Poznałem Damrong i złapałem od niej chorobę. — Rzucam mu pytające spojrzenie, a on macha ręką. — To tylko taka figura retoryczna. Chorobę zwaną zazwyczaj namiętnością. Jedyną usankcjonowaną na Zachodzie formę szczęścia — stan zakochania. Pic na wodę i tyle. Byłem zielony i oczywiście wysyłałem jej pieniądze, ile tylko mogłem, żeby nie musiała się sprzedawać innym mężczyznom. I oczywiście wierzyłem we wszystkie jej przyrzeczenia, a ona oczywiście kłamała jak najęta. Pieprzyła się z każdym, kto chciał zapłacić jej cenę, a ja tymczasem rozkręcałem

biznes komputerowy w Fort Lauderdale, żebyśmy mogli żyć długo i szczęśliwie. Oczywiście wypełniłem tonę papierków, którymi zarzucił mnie Urząd Imigracyjny w Stanach, i oczywiście się z nią ożeniłem, ona oczywiście przyjechała do Stanów, a nasz związek nie przetrwał roku. Była jedyną kobietą, która mnie tak głęboko poruszyła; oczywiście z tego powodu, że lepiej ogarniała rzeczywistość. Oczywiście, oczywiście. — Machnięcie ręką. — Jestem pan *Farang* Typowy. Wpakowałem się w to gówno dokładnie tak samo jak wszyscy. Nieważne, Francuz, Włoch, Niemiec czy Anglik, zawsze ta sama debilna historia. Chyba nie muszę wam tego opowiadać, zgadza się? Jego złość wygląda na autentyczną, z typową chwilą konsternacji zaraz po fakcie. *Naprawdę to wszystko powiedziałem?* Baker zaciska szczękę z determinacją sprawiedliwego.

— Tak to właśnie z nami było. Syndrom kochanki i niewolnika. Chcecie posłuchać o mojej relacji z matką?

— Nie, dziękujemy — mówi Lek, krzywiąc się z obrzydzeniem i dając mi znak oczami, żebym przejął pałeczkę. Zażywanie estrogeneru nie sprzyja koncentracji.

— Sporo w panu rozgoryczenia, panie Baker — mówię ze współczującym uśmiechem.

On lekceważąco odwraca głowę.

— To chyba kwestia terytorium, nie sądzi pan? Zna pan jakiegoś *faranga* w mojej sytuacji, który nie byłby rozgoryczony?

Wzruszam ramionami.

— Zderzenie kultur zbiera ofiary.

— Zderzenie kultur? — Patrzy na mnie zdumiony. — Między facetem z Zachodu, żałośnie pragnącego się ukryć w ciepłym łonie, a tajską kurewką, szukającą kury znoszącej złote jaja? Może jakiś student antropologii mógłby to nazwać zderzeniem kultur, ale nie ja. — Drapie się w głowę, jednocześnie nią kręcąc. — Ja to nazywam totalnym wyruchaniem. Mnie przez nią. Kropka.

Sprawdzam, czy Lek jest tak samo zaintrygowany jak ja. Chyba jest. Taka rozczłonkowana psychologia często eksperymentuje

z różnymi postawami. Jaką postawę powinniśmy więc sprowokować?

— Panie Baker, będę z panem szczerzy — mówię. — Sprawdziłem to i owo w naszej krajowej bazie danych, poprosiłem też o pomoc FBI. — Uśmiecham się.

Wiedząc już, że ja wiem, stary Baker przeistacza się w nowego. Patrzy na mnie z krzywym uśmiechkiem.

— I Biuro pana poinformowało o jej drobnym przekręcie?

— Wiem tylko to, co mają w aktach sprawy. Z rozkoszą poznałbym szczegóły.

Uśmiezek zastyga, obwieszczając, jak mi niemam, wyzywając dumę.

— No więc tak — mówi Baker. — Ja odsiedziałem sześć miesięcy za sutenerstwo. Ją deportowali. Tak się to zakończyło, ale nie tak to sobie wyobrażałem, gdy braliśmy ślub. — Na chwilę milknie, wpatrując się w półnągą dziewczynę na plakacie. — Kiedy przyjechała do mnie do Stanów, wciąż jeszcze maszerowałem ku zachodowi słońca, trzymając się za rączki jak pensjonarka. Tymczasem ona, nie dalej jak miesiąc po ślubie, nagle pewnej soboty znika na całą prawie noc. Wydzwaniam po pogotowiach, na policję, odchodzę od zmysłów, że może ją zgwałcili albo zamordowali, albo jedno i drugie, jak to zakochany. Gównno tam. O czwartej rano wkracza do kuchni z wielkim uśmiechem na tej swojej ślicznej cynicznej buźce i kładzie mi na stole tysiąc dolarów.

Baker kończy napadem chrząkania, spowodowanym poważnym uderzeniem zgagi. Przełyka kilkakrotnie ślinę i mówi dalej:

— Chodziło nie tyle o pieniądze, ile o poczucie mocy. Taki akt wyzwolenia: wychodzi z domu o siódmej wieczór w nieznanym, wielkim kraju i po kilku godzinach wraca bogatsza o tysiąc dociców. To ją podniecało bardziej niż ja.

Przerywa i po chwili odzyskuje panowanie nad umysłem.

— Dała mi połowę tej kasy i oznajmiła, jak to od teraz będzie. Nigdy przedtem jej takiej nie widziałem, przeraziło mnie to. Płakałem potem jak dzieciak przez dwa dni, ale jej to zupełnie nie

ruszało. Widziała takich rozwrzeszczanych mężczyzn nie raz, nie dwa. Nie zamierzała się zmienić i nie bała się bicia. Ja zresztą nawet nie pomyślałem, żeby ją walnąć, była na to za twarda. Wyrzucić z domu też nie mogłem, bo potem przez kilka miesięcy dręczyłyby mnie myśli o tym, co ona robi gdzieś tam w Ameryce.

Drapie się po piersi, mija kilka sekund.

— Jak przestałem się wydzierać, zaczęła mówić o konkretnych. Opowiedziała mi o swoim dzieciństwie. Ale opowiedziała to tak, jak się nigdy nie usłyszy od Taja, chyba że jest się jednym z was. Zobaczyłem świat jej oczami. Dla mnie to była taka osobista rewolucja, zrozumiałem, co się musi dziać w głowie człowieka, który w ten sposób dorasta. Większość problemów na Zachodzie ma charakter społeczny albo psychologiczny, ale tu trzeba sobie wyobrazić, że jest się zaprogramowanym zupełnie inaczej, że samo istnienie człowieka jest nieustannie zagrożone i nie ma od tego ucieczki, absolutnie nie ma wyjścia.

To właśnie było jej przesłanie. Mało ją obchodziło, że może w Stanach zarobić mnóstwo kasy — to nie zmieniało faktu, że wszyscy bliscy jej ludzie, wszyscy, których znała i lubiła, wciąż mieszkali w Tajlandii, osaczeni, głodni i bezsilni. — Baker macha ręką. — W każdym razie na tym etapie tak mi to przedstawiła. Przyznała otwarcie, że przyjechała do Ameryki pracować, a nie cieszyć się miłością. Powiedziała, że musi zarobić na rodzinę; okazało się, że chodzi głównie o jej młodszego brata, bo pozostałych miała głęboko gdzieś.

Następuje dłuższa przerwa wypełniona ciężkimi westchnieniami. Coś mu tam chodzi po głowie.

— Początkowo zgodziłem się tylko dlatego, żeby jej nie stracić.

— Został pan jej alfonssem?

— Nie całkiem, ale w świetle prawa tak to wyglądało. I w sensie technicznym pewnie nim byłem, chociaż tej pani alfons był niepotrzebny. Potrzebowała natomiast mojego domu i obsługi biurowej. — Znów pauza; Baker przedstawia rzeczy na biurku. — A potem poprosiła, żebym trzymał kamerę, ukryty

w garderobie, podczas gdy ona obsługiwała frajera. — Patrzy mi prosto w oczy. — Po sześciu tygodniach miała komplet zapisów na każdy dzień, od pory lunchu do drugiej w nocy. W takich małych amerykańskich miasteczkach wieść o nowych atrakcjach roznosi się błyskawicznie. Miejscowe szychy ustawiły się do niej w kolejce — mam na myśli mężczyzn — praktycznie błagając o przywilej skorzystania z jej ciała. Właściciele limuzyn z kierowcami przywoziły pod nasz dom wynajęte auta i taksówki. Po kilku miesiącach mieliśmy dość materiału, żeby zaszantażować większość lokalnych oficjeli, z prokuratorami i sędziami włącznie. Właśnie dlatego ja dostałem tylko pół roku, a ją jedynie deportowali. Gdyby nam dokręcili śrubę, ujawnilibyśmy nagrania. A w tym układzie, zanim nas przymknęli, zarobiliśmy trzysta tysięcy.

Chodzi teraz po pokoju, przekłada przedmioty, udaje, że plakat z Angkor Wat krzywo wisi. Mój wzrok zatrzymuje się na tym plakacie: potężna, złowroga świątynia z falliczną wieżą, w samym środku dżungli. Konstatuję, że dotarliśmy do kolejnego ciekawego psychologicznie momentu, gdy nagle rozlega się pukanie do drzwi. Baker nie ukrywa ulgi i mówi z przepaszającym uśmiechem:

— To mój uczeń.

Szybko wkłada wyciągniętą z szuflady koszulkę, a ja daję mu znak, żeby otworzył, i razem z Lekiem przyglądamy się przybyszowi: szczupły Taj około dwudziestki, schludnie ubrany w białą koszulę, czarne spodnie i wyglansowane czarne półbuty; w oczach ma niewinność, jakiej u *farangów* w jego wieku prawie się nie widuje. Prawdopodobnie wziął wolny dzień w biurze. Cóż to za nierzeczywista ambicja każe mu tutaj przychodzić? W jakie historie na temat globalnej ekonomii i znajomości języków uwierzył? Na mój widok składa pełne szacunku *wai* i pyta straszliwie poprawną angielszczyzną:

— Przepraszam, czy przeszkodziłem panom w zebraniu?

— Już idziemy — odpowiadam po tajsku. A po angielsku do Bakera: — Może wrócimy w odpowiedniejszej chwili?

Baker bezradnie wzrusza ramionami. *Tajski glina może mnie zmusić do czego zechce.*

— Na przykład o dziewiętnastej?

— Lepiej by było jutro. Mam jeszcze lekcje o szóstej i o dziewiątej, a jutro normalny dzień pracy w szkole.

Lek i ja wstajemy.

— A więc jutro. — Pokasłuję przepraszająco. — Panie Baker, tymczasem muszę pana poprosić o pański paszport. Jutro go panu zwrócę.

Tajski uczeń robi wielkie oczy. Nie wiedział, że jestem policjantem, a widok szanowanego *ajaan* oddającego mi paszport zmienia nagle dynamikę sytuacji. Widać, że najchętniej by zwał, mówię więc do niego po tajsku:

— To tylko formalności imigracyjne. — Uśmiecham się, a on z ulgą odwzajemnia mój uśmiech. Na dole dokładam portierowi jeszcze sto bahtów, żeby miał oko na wyjścia i powroty Bakera.

W taksówce przeglądam paszport i podaję go Lekowi. Obaj wzruszamy ramionami. W dniu zabójstwa Damrong Baker był poza krajem. Wygląda na to, że poleciał do Siam Reap w Kambodży, gdzie jest lotnisko najbliższe Angkor Wat. Wyruszył kilka dni przed zabójstwem, a wrócił dopiero po przybliżonej dacie śmierci dziewczyny. Damrong miała paszporty tajski i amerykański; oba świadczyły o tym, że nie opuszczała Tajlandii przez ponad rok przed śmiercią. Skreślamy Bakera.

Skoro poza Bakerem nie mam innych tropów, postanawiam trochę się ucywilizować w towarzystwie kobiet mego życia. Zabieram matkę, Chanę i FBI na kolację do hotelu Grand Britannia przy Sukhumvit, tuż obok stacji kolejki napowietrznej Asok. Kelner pedał czaruje Chanę, wypytując o jej odmienny stan, i rozśmiesza ją przyznaniem, że jej zazdrości. Kimberley też się o nią troszczy, chce zamówić jedzenie, jakie tylko jej się zamarzy, a Nong tymczasem taksuje bystrym okiem klientelę.

— Widzisz tę dziwkę z Nong Kai? — pyta. — Ma na imię Sonja, pracuje w Rawhide. Chciałam ją ściągnąć do nas, ale jej jest dobrze tam, gdzie jest. Wiecie, jakie one są.

— Najważniejsze są przyjaciółki. Jeżeli ma ich dużo w Rawhide, to nigdy do nas nie przejdzie. Trudno mieć im to za złe. Są zagubione w Bangkoku nie mniej niż *farangi*, a nawet bardziej, bo nie mają pieniędzy.

— Ale klienta już ma pod kontrolą, widzisz? Obsługa w stylu „Ożeń się ze mną”. Patrzcie, nawet rodzinę sprowadziła z Isaan, żeby go przedstawić.

Wielki muskularny Australijczyk w szortach i sandałach z białymi skarpetkami, koło pięćdziesiątki, z wydatnym piwnym brzuszyskiem, niesie swój talerz do sąsiedniego stolika, przy którym siedzi dziewczyna z matką, stadkiem innych krewnych,



najpewniej kuzynów i rodzeństwa, oraz pięcioletnim chłopczykiem na dokładkę.

— To jej syn, ma go z Tajem — wyjaśnia Nong szeptem.

Australijczyk próbuje konwersować z rodziną, która jest mu przychylna, ale jego wielka miłość woli mówić w rodzimym laotańskim dialekcie i trudno jej się powstrzymać od plotkowania z krewnymi. Co jakiś czas obdarza mężczyznę ciepłym, krzepiącym uśmiechem, przyciska dłoń do jego uda i mówi kilka słów po angielsku, po czym powraca z nowym entuzjazmem do ploteczek. Australijczyk tego nie widzi, ale jego przyszli powinowaci zachowują się tak, jakby byli u siebie, w drewnianym domu na palach i siedząc boso na podłodze, oddawali się pogawędce przy grającym na cały głos telewizorze i gromadce rozwrzeszczanych dzieciaków w tle. Nong rozumie laotański lepiej ode mnie i kpiąco się uśmiecha. Gdy FBI wraca z talerzem ostryg dla Chanyi, moja matka tłumaczy jej z entuzjazmem po angielsku, co usłyszała.

— Jej ciotka właśnie zapytała jakiego koloru on ma kutas, a matka chce wiedzieć, jak oni to robią przy tym jego wielkim brzuchu. Dziewczyna wyjaśnia, że kutas najczęściej jest biały, ale po seksie robi się mocno różowy. Prosi go, żeby ją brał od tyłu, bo kiedy on jest na wierzchu — tylko przy specjalnych okazjach — brzuszysko oblewa ją jak tona galarety i w samym środku bara-bara robi jej się niedobrze. Przeważnie jednak nie ma z tym problemu, bo on wieczorem jest pijany i zasypia na kanapie, a ona ogląda sobie w łóżku telewizję. To wszystko bardzo dobrze wróży przyszłemu związkowi.

Podczas przemowy Nong rodziną nagle wybucha chrapliwym śmiechem. FBI wpatruje się w swoje ostrygi

— U was zawsze się tak rozmawia przy kolacji? — pyta.

Chanya, Nong i ja wymieniamy uśmiechy.

— W większości jesteście chłopami, dziećmi ziemi — tłumaczę. Australijczyk zaczyna mówić, a my wszyscy opuszczamy głowy.

— Chętnie bym się dowiedział, o czym tak gawędzisz z rodziną, Sonju — mówi z lekkim tylko odcieniem goryczy. Ona nie ma pojęcia o zachodnim *savoir-vivre*, więc powtarza mu wszystko wprost, słowo po słowie, dobrą, choć nieco drewnianą angielszczyzną. On na moment blednie, dopija piwo, zamawia następne. Podziwiam go jednak za błyskawiczne opanowanie.

— W Queenslandzie będzie ci bardzo dobrze, Sonju — mówi — zobaczysz. Widziałeś kiedyś zawody w rzucaniu karłami? — Wyjaśnia jej zasady tego sportu, a ona z błyskiem w oku tłumaczy to na laotański. Rodzina robi wielkie oczy i zasypuje ją natychmiast gradem pytań. Czy karłom się za to płaci? A ile? Jaki wzrost jest dopuszczalny? Brat mojej ciotki ma metr czterdzieści, nadawałby się? Czy te zawody się obstawia? Czy karłom łatwo jest załatwić wizę? Krewni Sonji byli już znudzeni Australijczykiem, lecz teraz atmosfera się ociepla. Uszczęśliwiony, że wreszcie ich czymś zainteresował — a próbował już podatku dochodowego, gospodarki światowej, poziomu życia, swojej nowej toyoty z napędem na cztery koła, olbrzymiej lodówki, służby zdrowia i systemu ubezpieczeń, Bliskiego Wschodu i tak dalej, bez rezultatu — przerzuca się na proste historie z buszu: o pułapkach na kangury, o krokodylach ludojadach, o upiornych ranach zadawanych przez pewien gatunek ośmiornicy i osy morskie. I nagle grubas staje się przebojem sezonu, nagle postanawiają go przyjąć do swych serc.

— Już jesteś w połowie Isaaninem — mówi dziewczyna. Brzuchacz promienieje, wychyla duszkiem piwo i zamawia następne. W sumie w Tajlandii jest prawie tak jak w Queenslandzie.

Idę wziąć dokładkę owoców morza. Pod lodową rzeźbą konika morskiego leżą na półmiskach ostrygi, krewetki, kraby. Na środku wielkiego pomieszczenia, wokół kolistej wyspy, piętrzą się potrawy kuchni chińskiej, tajskiej, włoskiej, francuskiej, bliskowschodniej i japońskiej. Obok mnie stoją delegaci na jakiś kongres, z wielkimi identyfikatorami na piersiach; wyrazem ich twarzy steruje specjalne oprogramowanie do kindersztuby. W swej higienicznej anonimowości tworzą odrębne

plemie, co skłania mnie do konkluzji, że Bangkok leży chyba na jakimś kosmicznym skrzyżowaniu, gdzie przybysze z różnych galaktyk spotykają się, lecz nigdy nie porozumiewają ze sobą. Gdy wracam do stolika z talerzem pełnym sushi i krewetek, FBI przynosi właśnie lody dla Chanyi. Jest nią zafascynowana, prawie jak kochankiem. Nie mogę jednak zapomnieć o sprawie i tak się składa (to oczywiście nie przypadek, ale kosmiczna interwencja), że kiedy znów zaczynam myśleć o Damrong, dzwoni mój telefon.

— Nie jestem pewien, ale chyba coś mam — mówi Lek. — Możliwe, że jest więcej kopii tego DVD.

Staram się nie okazać, jak mi ulżyło, że sprawa znów rusza z miejsca.

— Bardzo przepraszam — mówię do kobiet — ale muszę zmykać.

Wyjmuję portfel, chcę zapłacić za wszystko, ale Nong każe mi schować pieniądze. Weźmie to na rachunek klubu, jako spotkanie biznesowe. Zerkam na FBI, sprawdzając, jak się jej podoba korzystanie z dochodów z nierządu, ale jest pochłonięta jedzeniem i nie skojarzyła.

Przechodzę mostkiem kolejki napowietrznej na drugą stronę ulicy i zjeżdżam ruchomymi schodami do nowej stacji metra w Asok. Otwarto ją przed kilku laty, ale wciąż ma klimat nowości. Wsiadam w Klong Toey, gdzie czeka Lek.

— Nie uwierzysz — mówi podniecony i ostrożny zarazem. — Może to jeszcze daleka droga, ale po klubach krąży wieść o *snuff movie* z mężczyzną w masce i tajską dziwką.

Dotarłem tym tropem do pewnego *katoja*, słynnego na całe Soi 4, bo ma kochanka z towarzystwa.

Klong Toey to nasz największy, ale i najczystszy slums. Większość domostw ma podobne gabaryty, a wąskie chodniki utrzymywane są *riap roy*, czyli czysto i schludnie, w prawdziwie tajskim stylu. Jak się dobrze rozejrzeć, można tu oczywiście zobaczyć skrajną nędzę, ale ogólnie ludzie jakoś sobie radzą. Czynszu prawie nie płacą i jest to miejsce odpowiednie dla

każdego, kto chce się trochę doksztalić, albo jest dziewczyną z branży, której kończy się termin przydatności do spożycia, albo woli używki i lekkie dragi od rzeczywistości, albo po prostu nienawidzi pracować. Lek już tu bywał i prowadzi mnie ścieżką wzdłuż torów kolejowych. Po prawej mamy niekończący się ciąg drewnianych domków: iskające się psy, bojaźliwe koty, nagie dzieci kąpiące się w beczkach po ropie, nastolatki o pomarańczowych i zielonych włosach, rodziny przy wieczornym posiłku.

— To prawdziwy artysta — wyjaśnia Lek. — Dlatego tak się podoba temu swojemu panu z towarzystwa. Byłem tu kiedyś na imprezie. Właściwie to on jest totalnie *ban-nok*, jeszcze bardziej niż ja, ale ma twórczy styl i łapie kochanków z górnej półki. — *Ban-nok* w luźnym przekładzie oznacza wieśniaka, ale jest bardziej obraźliwe. Stajemy przed drzwiami z pięknym szkarłatnym smokiem na czarnym tle. — Rozumiesz teraz, co mam na myśli? — pyta Lek. Smok stoi na dwóch łapach o długich, jakby kobiecych szponach i krzywi się w złowrogim uśmiechu, ale ma w sobie też coś zabawnego.

— Bardzo ładnie odrobiony — mówię, a Lek czerwienieje z dumy, że doceniłem katojski talent. Puka do drzwi.

— Pi-Oon to ja, Lek! — Cisza, więc puka jeszcze raz. — On lubi zapalić gandzię, jak to artysta — tłumaczy. — Niczego poza tym nie bierze, nawet alkohol pije z rzadka, ale czasami wchodzi w trans na dobrych kilku dni. — Zawstydzony moją obecnością puka ponownie, bardziej agresywnie, po czym mamrocze pod nosem: „Pieprzona katojska dziwka” i wyciąga komórkę. Mówi coś po isaańsku głosem wkurzonej dziwki i wyciąga telefon do kieszeni. — Powiedziałem mu przecież, że przyjdę z tobą, a ten się naćpał jak bąk. — Patrzy na mnie z uśmiechem pełnym urazy. — Zaraz otworzy, tylko zjeździe z księżycy.

W końcu za drzwiami słychać jakieś oznaki życia. Szczęk odsuwanych zasuw, drzwi uchylają się odrobinę, a po chwili gospodarz ujawnia się w pełnej krasie. Ubrany tylko w spodenki

rowerowe, ma zaskakująco kościstą, męską twarz z czerwonym makijażem, czarne włosy ściągnięte na dawną modłę w koński ogon i wspaniały tatuaż chryzantemy na bezwłosym torsie z pączkującym już kobiecym biustem. Gestykułuje z przesadą, w tradycji swego plemienia, ale jest w nim coś jeszcze: nietrudno uwierzyć, że za obliczem wojownika kryje się kobieta. Kiedy porzuca pozę *katoja*, ta kobiecość wydaje się bardzo autentyczna.

— Kochanie — wydusza z siebie i zgina się w pół, żeby Lek mógł cmoknąć go w policzek.

— Jesteś naćpany — strofuje go mój asystent.

— Jestem w środku ważnej roboty, misiu. Muszę się wspomagać medytacją.

— To mój szef, detektyw Jitpleecheep — mówi Lek, wydymając usta.

— Jakże mi miło pana poznać. — Pi-Oon zaprasza nas gestem do środka.

Przychodzi mi na myśl Gauguin. Pi-Oon użył tych samych czerwieni, zabójczych fioletów i starego złota, by przyozdobić ściany i sufit swej drewnianej chaty obrazami z nocnego życia *katoja*. W centrum tryptyku stoi z mikrofonem gwiazda kabaretu o jego rysach twarzy. Zauważam, że wszystkie postacie ludzkie na tych malowidłach są transseksualistami. Najbardziej jednak fascynuje mnie to kościste oblicze twardziela, błagającego o miłość i ciepło. Pi-Oon wskazuje na podłogę. Mebli tu nie ma, jeśli nie liczyć kilku poduszek. Siadamy wszyscy w półłotosie, oparci plecami o ścianę.

— Przyszliśmy w sprawie tego filmu — mówi Lek, wciąż rozdrażniony.

Na te słowa oblicze naszego gospodarza ściąga się w bolesnym grymasie. Przykłada dłoń do policzka, w wybałuszonych oczach widać zgrozę.

— Och, Buddo święty, ojej, w życiu nie przypuszczałem, że to było naprawdę, rozumiecie? — Spogląda na mnie. — Dopiero gdy Pi-Lek powiedział mi, że pan prowadzi śledztwo,

pomyślałem sobie, o rany Pi-Oon, mój miły, ale się wpakowałeś w bagienko. Pi-Oon, powiedziałem sobie, mój kochaniutki, masz najdłuższy jezor w Krung Thep. Jakże ja teraz żałuję, że się upiłem i wygadałem to wszystkim. Zwykle nie piję, więc uderzyło mi do głowy i wywaliłem na wierzch wszystkie bebechy.

— Powiedz nam, co właściwie widziałeś — mówię.

— Z początku ziewałem z nudów, no bo wiecie, dziewczyna jest prawdziwa i co to za atrakcja patrzeć na dziwkę, która robi to normalnie, jak zwierzę, rozumiecie, ale mój facet jest bi, więc oglądałem razem z nim, grzecznościowo. Jego to oczywiście diabelnie podnieciło. — Zerka na Leka, mrużąc oczy. — Jak on mnie później ukarał... nie uwierzylibyście. — Lek powściąga kpiący uśmiezek, a Pi-Oon odwraca się do mnie. — No więc ta głupia dziwka bzyka się na różne wymyślne sposoby z całkiem przystojnym ogierkiem w czarnej lateksowej masce i na końcu on ją dusi linką. Ale w życiu by mi nie przyszło do głowy, że to się dzieje naprawdę! Myślałem, że to tylko gra, no bo dlaczego miałoby być inaczej? Po co zabijać dziwkę i narażać się na koszty, skoro można udawać i wykorzystać ją w następnym filmie? Zdrowy rozsądek podpowiada, że to powinna być tylko gra.

— Kim jest ten twój facet? — pyta Lek.

Obaj z Pi-Oonem marszczymy brwi zaskoczeni. *Katoj* rzuca mi bezradne spojrzenie.

— Jaki ten nasz Pi-Lek jest bezpośredni — mówi. — Nie owija w bawełnę, kawa na ławę i już. — Poważnieje. — Wiesz, że nie mogę powiedzieć. To wbrew zasadom.

— Całe miasto już wie o nim wszystko, tylko nie znają nazwiska. — Lek zwraca się do mnie: — To jakaś szycha z branży reklamowej, właściwie rządzi całym tym biznesem. Po czterdziestce, obwieszony złotem. Trzyma formę, woli *katojów* od kobiet, ale pedałów nienawidzi. Zawsze używa prezerwatywy. Zgadza się?

Pi-Oon wygląda jak po nokaucie. Znowu przyciska dłoń do policzka, przekrzywia głowę.

— Ojej, ja naprawdę to wszystko powiedziałem? — Z dumą dodaje: — To prawda, jest niesamowicie bogaty. — Chichocze, wywołując mimowolny uśmiech Leka. — Bardzo, bardzo majątna osoba. Pierwszej nocy mówię do niego: „Kochanie, będę ci musiał policzyć od centymetra”. Strasznie mu się to podobało. Naprawdę jest nam razem cudownie, nawet myślimy o małżeństwie, może w Kanadzie, tam to jest legalne. W łóżku istny tygrys, ale na co dzień łagodny jak baranek. Na pewno nie wiedział, że to prawdziwy *snuff movie*.

— Oczywiście, że wiedział — mówi Lek.

— Naprawdę tak uważasz? — Pi-Oon robi się szary. — Ojej, ale na pewno nie miał z tym nic wspólnego, na pewno jakiś bogaty kolega mu pożyczył ten film, jakiś hetero, rozumiecie, bo przecież seks hetero jest dzisiaj taki udziwniony, co te kobiety wyprawiają ze swoimi ciałami, to... zresztą nie muszę wam mówić, przecież jesteście gliniarzami.

— Podaj nam nazwisko albo cię wychłoszczemy do krwi — mówi Lek z poważną miną.

— Obiecujesz?

Obaj *katoje* wybuchają śmiechem, a ja drapię się w brodę, czując się tutaj zupełnie nie na miejscu. Pi-Oon wreszcie się uspokaja.

— Czy zaszczyicie moje skromne progi wypaleniem ze mną odrobiny eksportowego towaru? Dostałem od mojego mężczyzny, a wiecie jak to jest z pieniędzmi — przyciągają to, co najlepsze.

— Ja nie palę — mówi Lek. — Ale on tak.

— Naprawdę, kochanie? — Pi-Oon spogląda na mnie. — Nie bój się, nie powiem glinom. — Znów obaj się śmieją.

Oczywiście odmawiam, ale gdy Pi-Oon wyciąga sprzęt z pudła w kącie chaty, Lek tłumaczy mi szeptem, że jego przyjaciel jest po trawce jeszcze rozmowniejszy niż po alkoholu, ale jeżeli ktoś nie zapali z nim dla towarzystwa, będzie się pilnował. Jestem zaskoczony, bo Pi-Oon stawia przed nami domowej roboty inhalator zrobiony ze szklanego klosza, z zamontowaną wewnątrz lutownicą i wystającą plastikową rurką.

— Bardzo dbam o zdrowie — wyjaśnia. — Mój ojciec palił jednego za drugim, musiałem patrzeć jak umiera, nieszczęsny chłopina. I powiedziałem sobie wtedy: Pi-Oon, nigdy w życiu nie będziesz niczego palił. Ale z tego, co wiem, taki inhalator jest całkowicie bezpieczny. Instrukcję budowy znalazłem w Internecie.

Włącza lutownicę do prądu i po chwili pod kloszem zaczyna dymić druciany koszyczek z marihuaną. Pi-Oon zaciąga się kilka razy, częstuje Leka, który odmawia, w końcu podaje ustnik mnie. Nigdy nie używałem inhalatora i pociągam, jakby to był skręt, do przeloty i dalej. Zapach i smak czuć bardzo słabo, więc dochodzę do wniosku, że trawka jest niezbyt mocna albo to nie jest eksportowy towar, jak twierdził gospodarz. Pociągam mocno jeszcze kilka razy; Pi-Oon jest zaskoczony.

— Ojoj, zawodowy palacz z ciebie, nie ma co. Poważnie mówię, dla mnie jeden taki sztach jak twój byłby aż nadto. — Pociąga z rurki bardzo ostrożnie i przekazuje mi ją z powrotem. Szczerze powiedziawszy, jestem trochę rozczarowany, że ten towar tak słabo działa, więc wdycham jeszcze kilka porządných porcji, po czym osuwam się na ścianę. Kiedy jedna z postaci na ściennym malowidle zaczyna grać na saksofonie i słyszę pierwsze takty kawałka z *Blade Runner*, wiem już, że nie doceniłem mocy tego produktu.

— Paul — słyszę siebie mówiącego po angielsku — naprawdę jestem pod wrażeniem twojej decyzji odrzucenia materializmu współczesnej kultury na rzecz bardziej uduchowionego stylu życia. — Lek chichocze, a Gauguin patrzy na mnie, nie rozumiejąc. — Powiedz mi jednak, jak to zrobiłeś, że te postacie się ruszają? — To prawda, saksofonista na ścianie kołysze instrumentem, wydobywając z niego najbrzydszą wersję *Bye Bye Blackbird*, jaką kiedykolwiek słyszałem. Już rozumiem — to kolory wygrywiają melodię. Skomplikowana konstrukcja z tropikalnych rdzawych odcieni, ekstrawaganckich zachodów słońca, przejrziałych melonów; ciemnobrązowi mężczyźni i kobiety



tylko w połowie wyłaniają się z ziemi, brzmi krzyk pochwyconego w pułapkę ludzkiego ducha — i wszystko to przekształcone zostaje przez saksofon na ścianie w intensywny, akustyczny pejzaż. A potem pojawia się Damrong. Potrząsam mocno kalejdoskopem, cała ściana wiruje i z tego wiru wyłania się jej postać. Jest topless, w tahitańskim sarongu, a jej brązowa skóra harmonizuje doskonale z tonacją malowidła. Ale to smukłe ciało jest gibkie i tajskie, a nadludzka energia daje jej władzę nad otoczeniem. Czarne włosy rozwiewa wiatr, a w oczach ma mistyczny blask. *Cześć, Sonchai. Co tu porabiasz?*

— Zadzwońię po taksówkę — mówi Lek, trochę rozbawiony, trochę zakłopotany.

## 8

Obaj z Lekiem oczywiście dobrze wiemy, kim jest kochanek Pi-Oona. Jego oblicze zdobi stronice kolorowych magazynów o życiu towarzystwa, zarówno w wersji tajskiej, jak i angielskiej. Na przykład podczas jakiejś oficjalnej imprezy, w smokingu i czarnym krawacie, robi sobie zdjęcie z wydekoltowanymi żo-  
nami nadzianych waśniaków. Okrągła twarz, porcelanowa cera, obwieszona złotem przeguby, szyja i — według Leka — także kostki nóg. Przewidująco wszedł w sektor bankowy kręgów arystokratycznych i to podobno dzięki temu kwitnie jego reklamowy biznes. To Khun Kosana, znany w Bangkoku jako prawdziwy *na yai*: wielka twarz. Jego dziwny romans z ubogim i brzydkim, lecz wyjątkowo utalentowanym Pi-Oonem, przez ponad rok był tematem komentarzy w plotkarskim światku. Wygląda na to, że zyskali rozgłos i rzeczywiście zamierzają wziąć ślub w Kanadzie albo Amsterdamie. I wygląda też na to, że Khun Kosana, modelowy playboy, naprawdę darzy uczuciem swego kochasia: pokrył wszystkie koszty związane z jego zmianą płci, a co najbardziej niesamowite — do tej pory ani razu go nie zdradził.

Siedzę przy biurku i myślę sobie, że wszystko całkiem ładnie się układa. Muszę tylko wymyślić jakiś subtelny sposób wydu-  
szenia z Khun Kosany, skąd dostał film z Damrong w roli

głównej. Nie mam wątpliwości, że to któryś z kumpli z towarzystwa załatwił rekinowi reklamy kopię, zbierając punkty za swoje kontakty. Film zresztą krąży na pewno w całym tym świecie i dopóki będę się trzymał zasad (nigdy nie grozić im prawem, działa tylko szantaż), na pewno uda mi się z kogoś wydusić, skąd mają kopię. Będzie mi oczywiście potrzebne wsparcie Vikorna, żeby mnie przy okazji nie załatwili. Pozwolę mu po prostu wydoić kilka z tych nadzianych krów rządzących krajem. W sumie więc wyszło mi na dobre, że się naćpałem razem z Gauguinem. Wciąż zresztą myślę o nim w tamtej inkarnacji. (Rzadko do niej powracam, do mego tahitańskiego życia sprzed stulecia; cały ten „powrót do natury” okazał się nieporozumieniem: byłem wtedy francuskim lekarzem i tak poznałem tamtego Gauguina, który — jak widzieliśmy — nie wydostał się jeszcze z tej trzecioświatowej pułapki, którą sam na siebie zastawił z górą sto lat temu. Ale mniejsza z tym, to nie należy do tematu). Moja komórka wydzwania *Tonight I'll Be Staying Here with You* Dylana. To dzwoni Lek.

— Nie żyją — mówi. — Obaj.



— Torturowali Pi-Oona na jego oczach, a potem obu zastrzelili.

Lek wezwał kilku mundurowych do obstawienia domu, dopóki nie przyjedzie ekipa techniczna, która nie odkryje niczego, czego byśmy już nie wiedzieli. Pi-Oon póżeży, oparty o dolną część swego autoportretu; jego twarz wojownika wykrzywia krzyk udreki, jego ręce artysty są wykręcone i poranione, paznokcie wyrwane, w czole ma otwór, a z tyłu głowy drugi — wylotowy. Khun Kosana został chyba zlikwidowany na stojąco, bo pionowa smuga krwi biegnie w dół po ścianie do miejsca, w którym padł. On ma w sercu dziurę na wylot po jednym profesjonalnym strzale.

— Oczywiście nikt niczego nie wie? — pytam retorycznie Leka.

— Strzały usłyszano około trzeciej nad ranem. Wczoraj około siódmej wieczorem przyszedł wysoki, dobrze ubrany

*farang*. Pytał o drogę, więc był tu pierwszy raz. Mówił po tajsku z ciężkim angielskim akcentem. — Lek unika mojego wzroku. Kiedy próbuję nawiązać kontakt, oznajmia: „Idę do *wat*” i muszę czekać na techników sam. Gdy przybywają ze swymi gumowymi rękawiczkami i sprzętem wideo, odnajduję Leka w małej świątyni przy wejściu do slumsu. Siedzi w półłotosie, twarzą do Buddy; proste plecy, zamknięte oczy. Zapalam wiązkę kadzidła, wtykam ją w piasek kadzielnicy i siedzę przy nim przez pół godziny, a później wychodzę. Na ulicy wyjmuję komórkę i dzwonię do Vikorna. Gdy opisuję mu miejsce tortur i zbrodni, stęka; kiedy mówię, że jedną z ofiar jest znany playboy Khun Kosana, rzuca bez namysłu:

— To się nie wydarzyło.

— Ale...

— To się nie wydarzyło.

— A co z rodziną i przyjaciółmi?

— Zginął tragicznie pod kołami niezidentyfikowanej ciężarówki.

Biorę głęboki oddech.

— Pułkownika, to morderstwo. A my jesteśmy policjantami.

— To jest Tajlandia, a ja pięć minut temu miałem telefon.

— Wystarczył jeden telefon? A ten, który dzwonił — ile chce zapłacić?

— Pilnuj swojego nosa.

— Nie ma pan ani odrobiny poczucia odpowiedzialności?

— Uspokój się, bałwanie. Gdybyś nie węszył, nikt by ich nie ruszył. Jeżeli biorę pieniądze, to jako rekompensatę za krycie twoich wpadek. Może to ciebie trzeba przeszkolić w odpowiedzialnym działaniu? Kto ci kazał tak się ekscytować jakimś durnym filmikiem? Oprócz ciebie nikt się w ogóle nie interesuje tą kurewką.

Używa swego Teflonowego Tonu, który wyklucza wszelką dyskusję. Będę musiał posłużyć się Bakerem, myślę, chowając telefon. To jedyny ślad jaki mi pozostał. Ale czy on cokolwiek wie?

## 9

Trzy godziny później jadę taksówką na Soi 23, gdzie czeka na mnie Lek. Ochroniarz w apartamentowcu Bakera informuje nas, że amerykański *farang* miał tego popołudnia trzech gości. Dwóch z nich to byli młodzi Tajowie, prawdopodobnie przyszli na lekcje angielskiego; trzeci to dobrze ubrany Anglik koło czterdziestki. Ten ostatni wyszedł po dziesięciu minutach, wyraźnie zafrasowany.

Tym razem Baker otwiera drzwi ubrany w koszulę i białe spodnie. Ale jest bosy. Siadamy na jego plastikowych krzesłach i zaczynam od tego miejsca, w którym skończyliśmy.

— A więc pańską żonę deportowano, pan odsiedział swoje, a następnie zjawił się w Tajlandii jako nauczyciel angielskiego.

Może jakieś szczegóły?

Kręci głową z marsmem na czole. Jego postawa wyraża bohaterską walkę z demonem dumy, którego zwycięża z teatralnym jękiem.

— Oczywiście przyjechałem z jej powodu — mówi, tłumiąc mimowolny szloch. — Po prostu taki już jestem, kręci mnie życie w całej nagości. Ale nie jestem idiotą, tylko tak się zachowuję. Znam tylko jedną kobietę, która potrafi obdarować mężczyznę tak olbrzymim doświadczeniem, i przyznaję się do tego z całą pokorą. Przejechałem pół świata, przesiedziałem tu kilka

lat tylko dla tych okruchów, które czasami mi rzucała, i nawet się tego nie wstydzę. Patrzy na mnie z dziwnym, krzywym uśmiechem.

— Zazdroszczę heroinistom. Rzucić narkotyki jest o wiele łatwiej niż odejść od kobiety tak niesamowicie pełnej życia.

— Pełnej życia — powtarza Lek. Gromię go wzrokiem i zakrywa usta dłonią. Baker spogląda to na niego, to na mnie. Pozwalam, by odpowiedziała za nas cisza. Jeżeli Baker już wie o Damrong, trudno mu będzie udawać gwałtowną reakcję. Obserwujemy go z Lekiem uważnie, próbując oddzielić *maję* od rzeczywistości. Powoli, gestem, który może, ale nie musi być teatralny, odwraca krzesło i wspierając się na nim, patrzy w okno.

— Jak umarła? — pyta cicho.

— A jaką śmierć pan dla niej szykował, panie Baker? Odwraca gwałtownie głowę i patrzy na mnie gniewnie.

— Co pan wygaduje, do ciężkiej cholery?

Wzruszam ramionami.

— Przyznał pan, że jest we władzy skrajnego rozgoryczenia, jest pan swoistym emocjonalnym niewolnikiem. Stan zniewolenia psychicznego nieodmiennie skutkuje żądzą morderstwa. Więc pytam: jak ją pan uśmiercał w tych swoich fantazjach? — Gapi się na mnie, niezdolny wykrztusić słowa. — Obawiam się, panie Baker, że moja technika śledcza nie całkiem spełnia zachodnie standardy. Proszę mi wybaczyć. Wie pan, jak to jest z tajskimi policjantami; nie uczą nas tych subtelniejszych metod, więc musimy polegać na własnej, mało wyrafinowanej intuicji Azjatów i na tych okruchach wiedzy o ludzkiej naturze, które sami jakoś tam po wieśniacku zdobywamy. Czasami fantazjował pan, że ją zabija, prawda?

Chyba przebiłem się do innego, bardziej interesującego Bakera, bo odpowiedź brzmi:

— Została zamordowana? Dobrze, może mnie pan oskarżyć o planowanie zabójstwa, ale niech pan oskarży o to samo połowę jej klientów z Bangkoku.

I nagle, zupełnie bez ostrzeżenia przed silnym sztormem, włącza się inna część jego osobowości.

— Nie żyje? Niech to szlag, panowie, rzygać mi się chce. Przychodźcie tu powiadomić człowieka o śmierci byłej żony i komunikujecie to tak, jakby to była prognoza pogody, po prostu fakt jak każdy inny.

Ma gniewne błyski w oczach, prowokuje mnie swoją wściekłością. Być może taka reakcja przekonałaby mnie u nowicjusza, ale ten człowiek mieszka w Tajlandii od pięciu lat. W końcu się uspokaja, choć nieco teatralnie.

— Powieście mi, jak zginęła czy nie?

— Najpierw niech pan nam powie, jak bardzo to pana zaskoczyło — mówię. Ot, dziwne i głupawe pytanie, jakiego można się spodziewać po takim osobniku jak ja, prawda? Ale nielstwo jest na nie odpowiedzieć.

— Jak bardzo mnie to zaskoczyło? Co pan w ogóle wygaduje? — Przygląda mi się przez chwilę. — Chyba muszę wziąć adwokata.

Rozglądam się po pokoju.

— Zdecydowanie. Ale prawnicy kosztują i trudno jest znaleźć takiego, który weźmie sobie nasz interes do serca, że się tak wyrażę. Może się okazać, że spędzi pan dłuższy czas w więzieniu, czekając na odpowiedniego obrońcę, a potem i tak będzie pan musiał odpowiedzieć na moje pytania. Pański wybór.

Zastanawia się nad tym chwilę.

— Osobiście jestem zszokowany jej śmiercią, ale nikogo, kto ją znał, nie zdziwi, że spotkał ją przedwczesny koniec.

— No dobrze, wreszcie do czegoś dochodzimy. Jakiego rodzaju przedwczesną śmierć swojej byłej żony pan sobie wyobrażał?

Pauza, cichy jęk i odpowiedź wyglądająca na szczerą:

— Nie wyobrażałem sobie niczego, czego pan sam by się nie domyślił. Naprawdę.

Pozwalam na chwilę milczenia, podczas której Baker toczy wewnętrzną walkę.

— Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

— Kilka miesięcy temu. — Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. — Oczywiście, że nie wezmę prawnika. Wy tu nie macie wymiaru sprawiedliwości, tylko system wymuszeń. To kleptokracja, wie to każdy, kto posiedział w Tajlandii trochę dłużej. — Unoszę pytająco brwi. — Nie może mnie pan trochę uspokoić? Przymknąć oka na moje drobne wykroczenia w zamian za szansę złapania zabójcy? — Już nie jest taki skrępowany i nie gra; chce pójść na układ.

— Nie mogę niczego obiecać, bo nie wiem, o czym pan mówi. Ale zdobędę się na wyrozumiałość, jeżeli pan się nałóżcie zachowa.

— Ile pan chce?

— Nie mówię o pieniądzach. Potrzebuję informacji. Wszystkiego, co pan wie o jej życiu, tu w kraju.

— Nie chce pan pieniędzy? — Jest autentycznie zdumiony. Wzdycha i wydyma usta. — Kiedy mnie wypuścili z aresztu, od razu przyjechałem tutaj, żeby ją odszukać. Okazało się, że pracuje w barze przy Soi Cowboy prowadzonym przez policjanta i jego matkę. Nawet się ucieszyła na mój widok, ale oznajmiła, że nasz związek będzie teraz trochę inny. Wyłącznie biznesowy. Zacząłem robić jej zdjęcia, miękkie porno dla jakichś amerykańskich magazynów i do sieci. Zdarzało się też ostre, to jest obecnie specjalistyczna nisza, anonimowi klienci składają indywidualne zamówienia na konkretną dziewczynę ze strony internetowej. Przy mniej skomplikowanych zamówieniach, typu robienie loda czy coś w tym stylu, włączałem samowyzwalacz w kamerze i używałem własnego kutasa. Po to się spotykaliśmy. Czasami ja załatwiałem zamówienie, czasami ona. Pracowało nam się bardzo dobrze, ceniła mnie jako kamerzystę i jako ogiera. Nie zarabialiśmy wiele, ale dorabiałem sobie do pensji. — Wskazuje gestem mieszkanie na potwierdzenie skromnych warunków swego życia.

— Strona internetowa?

— Nie znalazłby jej pan. — Kręci głową. — Zmienialiśmy



adres co tydzień. Maniacy porno potrafią pójść za tropem, ściągnąć film za darmo, a potem strona zdycha. Niektóre strony stosują nawet dobowy cykl zmiany hasła.

— Czyli dla obojga z was było to tylko marginesowe zajęcie?

— Oczywiście. Ona brała osiemdziesiąt procent, ale to i tak nie była duża kasa. Oboje musieliśmy normalnie pracować. — Spogląda za okno. — Ona nie była z tych, co to potrafią usiedzieć w jednym miejscu. Nawet przestałem ją pytać, gdzie pracuje. Ale lubiła piąć się w górę. Wspominała coś o ekskluzywnym męskim klubie, gdzieś w bocznej *soi* od Sukhumvit. Ale tak jak mówię, nigdzie nie zagrzała miejsca dłużej. Nienawidziła tego dziadowskiego baru u policjanta i jego matki, ale bawiło ją uwodzenie gliniarza i patrzenie, jak się płaszczy, żeby mu pozwoliła wylizać cipkę. Jak sobie golnęła ryżowej whisky, była naprawdę przezabawna; świetnie parodiowała zakochanego idiotę. Ten glina chyba zabujał się w niej na amen. — Patrzy na mnie ze szczerym, przepraszającym uśmiechem. — Zupełnie jak ja na początku.

W głowie mi się kręci, twarz nabiega krwią, a Lek nie rozumie dlaczego. Może Dan Baker wie już o moim romansie z Damrong i drażni mnie celowo? Wątpię, bo pogorszyłby w ten sposób swoją sytuację. Uznaję, że opowiedział mi to ot tak, w dobrej wierze.

— Na razie wystarczy — mówię drętwym głosem. — Paszportu jeszcze panu nie oddam. — Odwracam się do okna, nie mogę patrzeć mu w twarz. — Jak wrócę na posterunek, wystawię panu oficjalne pokwitowanie i przyślę jutro przez mundurowego.

Rozglądam się ostatni raz po pokoju i przypomina mi się, że nie widziałem łazienki. Baker niezbyt się kwapi, żeby mi ją pokazać, ale znajduję maleńkie pomieszczenie. W wąską przestrzeń obok sedesu wciśnięta jest wysoka, tania komódka z szufladami. Otwieram je kolejno, świadom, że Baker stoi w drzwiach. Wszystkie zajmuje sprzęt fotograficzny wysokiej jakości. Najlepsza jest zgrabna, półprofesjonalna kamera Sony.

Kiedy odwracam się do gospodarza, jego lewa powieka drga w nerwowym tiku, a czoło ma zroszone potem.

— Trzyma pan to w łazience?

— No a gdzie? Widzi pan, jaka tu ciasnota.

— Proszę nie opuszczać Bangkoku bez mojego zezwolenia, panie Baker — ostrzegam go przy wyjściu. Trochę się niecierpliwię, bo Lek pokazuje nagle na jego lewy przegub i pyta:

— Skąd pan ma tę bransoletkę, panie Baker? To słoniowe włosie, prawda?

Taka bransoletka ze lśniącego słoniowego włosia to talizman wspomagający męskość. Baker patrzy na nią ciekawie, jakby zapomniał o jej istnieniu.

— Dostałem ją kilka dni temu od jakiegoś mnicha na Sukhumvit. Powiedział, że przyniesie mi szczęście. Nie chciał pieniędzy, więc pomyślałem, że mówi prawdę.

Nieobliczalny umysł Leka zaskoczył Amerykanina tak samo jak mnie. Przy drzwiach zadaję pytanie, które zachowałem na koniec:

— Kim jest ten dobrze ubrany Anglik, który dziś pana odwiedził?

Liczyłem na to, że wpadnie w panikę i zacznie mi wciskać jakąś bajkę, lecz on odpowiada z ironicznym uśmiechem:

— To prawnik. Pomaga mi w sprawach imigracyjnych.

Zjeżdżamy windą na parter. Podchodzę swobodnym krokiem do dwóch portierów grających w warcaby. Wyglądają, jakby siedzieli w tym samym miejscu od dłuższego czasu, może od tygodnia, ale witają mnie uśmiechem i lekkim ukłonem. Ten, którego podpląciłem, wstaje bez słowa i prowadzi nas na tył budynku.

— To mieszkanie Bakera — mówi, pokazując okno na piątym piętrze. Pod oknem wisi na długim sznurze lśniący, czarny laptop. — Powiesił go tam mniej więcej w tym czasie, kiedy pukaliście do jego drzwi — wyjaśnia portier.

Gapimy się z Lekiem na wiszący laptop i drapiemy po głowach.

— Chcecie pożyczyć drabinę? — pyta ochroniarz. — Lepiej się pospieszcie, bo na pewno zaraz go ściągnie, skoro już poszliście.

Negocjuję z nim cenę wypożyczenia drabiny, nożyczek i robocizny, i każę Lekowi nadzorować operację, a sam wracam do mieszkania Bakera. Mój powrót wytrąca go z równowagi, nie potrafi ukryć spłoszonej miny. Udaję, że chcę jeszcze pooglądać jego wspaniały sprzęt fotograficzny, wystawiam jego nerwy na próbę jeszcze przez dobrych dziesięć minut, po czym łaskawie wychodzę.

Na dole czeka rozpromieniony Lek z laptopem w objęciach.

— Ależ to było ekscytujące! — cieszy się. — Byłem pewien, że Baker zobaczy portiera na drabinie, kopnie ją i drabina się przewróci. — Udaję, że kopie w bardzo elegancki sposób, można by pomyśleć, że ma na nogach szpilki. Daję ochroniarzowi mój numer i każę zadzwonić, gdy będzie coś wiedział o reakcji Bakera. Telefon dzwoni, w taksówce, w połowie drogi do komisarjatu.

— Kompletnie mu odbiło — melduje portier. — Otworzył okno, chciał wciągnąć laptop, zobaczył, że linka jest odcięta, i zaczął świrować. Najpierw się wychylił, prawie wypadł z okna, a potem zbiegł na dół i zaczął szukać po ciemku na ziemi; chyba myślał, że komputer spadł. Zobaczył, że mu się przyglądam, i wtedy już zrozumiał, co się stało. Minę miał, jakby zobaczył ducha. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak wariował. W końcu usiadł pod ścianą i przez dobrych pięć minut trzymał się za głowę. Nie wiem, czy płakał, czy nie, ale zdenerwowany był niesamowicie.

— Gdzie jest teraz?

— Wrócił do mieszkania.

Po półgodzinie portier znów zadzwonił.

— Przyszedł Anglik, ten sam co przedtem. Jest teraz u niego.

— Niech pan go jeszcze raz opisz.

— Wysoki *farang*, wysportowany. Elegancki garnitur w prążki, biała koszula, jedwabny krawat. Przystojny jak gwiazdor filmowy.

- Rozmawiał z panem?
- Jasne. Zapytałem go po tajsku, dokąd idzie, a on powiedział, że do Bakera.
- Jak mówił po tajsku?
- Dobrze, ale z mocnym angielskim akcentem.

Podrzucam Leka taksówką do jego mieszkania i jadę do domu. Zaraz po wejściu otwieram laptopa. Światelka pod klawiaturą wskazują, że bateria jeszcze działa, ale do wejścia w foldery potrzebuję numeru PIN. Nie wiem, jak to obejść, a nie chcę dawać sprzętu do rąk naszym technikom z komendy, bo Budda jeden wie, czy nie znajdą na dysku jakichś obrazków i nie zaczną nimi handlować. Trzeba się więc zwrócić do FBI.

— Będzie potrzebny otwieracz do konserw — mówi Kimberley. — To taki slang komputerowców. Poproszę, żeby mi przysłali e-mailem, powinien dojść jutro.

Chanya zauważyła moje niecierpliwie operacje przy laptopie i chyba patrzy na mnie pytająco. Ale gdy spoglądam jej w oczy, robi tylko przepraszającą minkę i wznosi oczy ku niebu. Odpowiadam jękami. Akurat mam teraz ochotę jeździć po mieście w poszukiwaniu otwartego sklepu.

- Lody? — pytam.
- Nie, makaron *moomah*.
- Chyba żartujesz. W tym świństwie nie ma nic odżywczego! Będziesz się tym opychać, zrobisz się okrągła jak piłka, a i tak umrzesz z niedożywienia.
- Moja mama to jadła, jak była w ciąży.

Zaliczam maksimum punktów, demonstrując swe skrajne zmęczenie, po czym posłusznie się ubieram. Wiem, że na pewno jest otwarty Foodland w pobliżu Nana Plaza, toteż jadę tam taksówką. Zegar na desce rozdzielczej wskazuje wpół do drugiej w nocy. W budach z jedzeniem wzdłuż całej Sukhumvit pożywiają się już tylko głodne dziwki i ich frajerzy. Ulica jest rozbawiona, ludzie siedzą na schodkach sklepów i gadają, opowiadają sobie o nocnych przygodach. Między budami kiwa się kilku pijanych *farangów*, ale większość zachowuje się jak

należy. Kiedy docieram do Nana, plac wypełnia tłum dziewczyn z barów go-go; właśnie skończyły pracę. W supermarkecie przy kasach jest mały bar, też obleżony. Ale między półkami kręci się tylko parę osób — kilku *farangów* wybiera wino na podsumowanie wieczoru, pracujące dziewczyny robią zakupy do domu, jacyś Tajowie kupują ryżową whisky. Makaron *moomah* znajduję po dłuższym szukaniu; chyba już lepiej by było zjeść opakowanie niż zawartość, ale kto będzie dyskutował z ciężarną żoną? Wrzucam do koszyka pięć paczek (bo a nuż Chanya znowu nabierze ochoty na *moomah*) i ruszam do najbliższej kasy. Nagle dostrzegam kątem oka znajomy profil. Oczywiście nie ma mowy, żeby to była ona, poza tym stoi tyłem, ale coś w jej ruchach... Pamiętasz *Something* Beatlesów, *farangu*? *Something in the way she moves, attracts me as no other lover*”? Mam gęsią skórkę na rękach i czuję dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Nie chcę jednak ryzykować skomplikowanego manewru zaglądania jej w twarz, gdy ogląda torebkę chili, uznaję więc, że jest późno, jestem zmęczony i rano poczuję się lepiej. Dumny z przewyciężenia skłonności do zabobonu, mijam ją w drodze do kasy, kładę na ladzie pięć paczek *moomah*, wyjmuję portfel... i czuję za plecami obecność młodej kobiety. Dlaczego nie potrafię na nią spojrzeć? Dlaczego wpatruję się jak nienormalny w paczkę chili, którą ona kupuje? Dlaczego moja ścisnąca pięćset bahtów dłoń drży jak liść? Kasjerka to zauważa i uznaje mnie chyba za jednego z tych niebezpiecznych klientów, z jakimi ma codziennie do czynienia. Chcę, żeby się pospieszyła z wydawaniem reszty i chwytając w pośpiechu pieniądze, strącam z lady paczkę makaronu. Leży na podłodze pomiędzy mną a tą kobietą. Obie z kasjerką czekają, żebym ją podniósł — co ze mnie za dżentelmen, skoro czekam, aż kobieta schyli się po coś, co sam upuściłem? (U nas wciąż jeszcze funkcjonuje model tradycyjny). Kiedy przykucam, udaje mi się uniknąć jej spojrzenia, ale gdy wstaję, nie pozwala mi już na taką strategię. Spoglądam więc prosto w twarz Damrong, to nie ulega kwestii, do najdrobniejszego niuansu, włącznie z dobrze mi znanym triumfalnym uśmiechem.

— Dobry wieczór, detektywie — mówi cicho i opuszcza wzrok, udając niewiniątko.

Bełkoczę coś i nie czekając na plastikową siatkę, porywam z lady paczki makaronu i zmykam do wyjścia. Oczywiście nie mogę się powstrzymać i czekam po drugiej stronie ulicy, aż wyjdzie ze sklepu. Mija dwadzieścia minut i nic. Według reguł postępowania z duchami nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do środka. Ale tam już nikogo nie ma. Pytam kasjerkę, co się stało z dziewczyną, która kupowała chili. Patrzy na mnie jak na wariata.



— Dziękuję — mówi Chanya z wesołym uśmiechem. — Zraz go ugotuję, Chcesz trochę?

— Nie jestem głodny — odpowiadam równie wesoło.

Gdy już leżymy w łóżku, zamykam oczy i obserwuję, jak mój umysł ucieka w zaprzeczenie. Oczywiście, że to się nie wydarzyło. Oczywiście, oczywiście. Takie rzeczy się nie zdarzają, to tylko wytwór wyobraźni znudzonych, głupich wieśniaków, prawda? Prawda. Na Buddę, człowieku, przecież jesteś Tajem tylko w połowie, nie poddasz się tej prymitywnej magii, dobrze? Dobrze.

Kiedy zasypiam, cała historia jest już rozmontowana na drobne kawałki i pogrzebana w ciemnej czeluści.

Siedzę przy biurku na posterunku i patrzę na idącego w moją stronę Leka. Manewruje między meblami, a w ręce niesie plastikowy woreczek z pomarańczową mrożoną herbatą, której barwa kojarzy mi się z Czarnobylem i którą popija przez słomkę. Spostrzegam z aprobatą, że omija z daleka biurko detektywa konstabla Gasorna, który się w nim zakochał. A może nie tylko, ponieważ prywatne e-maile Gasorna do mojego asystenta, choć pełne uczucia, wskazują na coś poważniejszego niż romans. W kwestii skłonności do zmiany płci wśród młodych Tajów istnieją różne teorie i statystyki (dla niektórych wstydlive). W pigułce: tradycyjny system — według którego tajski mężczyzna powinien zadbać o wszystko, by jego tajska żona mogła żyć sobie na bardziej gościnnej planecie na jego koszt — chyba się załamuje. Detektyw Gasorn należy do tych, którzy skłaniają się ku pogładowi, że najlepiej odciąć całe to brzemie i znaleźć sponsora: niech walkę z wolnym rynkiem weźmie na siebie jakiś frajer o większej sile przebicia. Gasorn jest jednak niezdecydowany, a ja zabroniłem Lekowi odpowiadać na jego e-maile. Mój asystent nie wyleciał z policji tylko dzięki mojej opiece, mnie zaś ochrania Vikorn. Jeśli pułkownik uzna, że zaczynamy szerzyć modę na transwestytyzm, powiesi nas obu za jaja.

W cywilu Lek zaczął już kręcić tyłkiem à la Marilyn Monroe, ale na komendzie bardzo się pilnuje. Nie potrafi się jednak powstrzymać i strzela oczyma w stronę Gasorna, który siedzi w drugim kącie sali. Im więcej bierze estrogenu, tym trudniej mu lekceważyć takie jałowe zaloty. Z drugiej strony z wieloma sprawami radzi sobie lepiej niż kiedyś. Przebrnął już przez udrękę akceptacji tego faktu, że nawet w takim kraju jak Tajlandia uchodzi za dziwoląga. Stwardniał wewnętrznie i znosi bez trudu spojrzenia niegodziwców. Przypisanie do innej płci wpłynęło więc korzystnie, w pewnym sensie, na jego karierę zawodową. Ale i tak nie awansuje nigdy powyżej zwykłego posterunkowego.

Lek staje przed moim biurkiem, wyjmuje słomkę z ust i składa mi *wai* ze słomką w palcach. Wręczam mu zdjęcie Damrong i każe się dowiedzieć, gdzie pracowała przed śmiercią. Zdjęcie jest bardzo aktualne, bo FBI pokazała mi na swoim laptopie, jak zrobić odblask z wideo. Twarz na fotografii ma przed sobą trzy minuty życia. Lek będzie obnosił ją po barach, najpierw przy Soi Cowboy, potem przy Nana Plaza i wreszcie na Pat Pongu. Jeśli nic z tego nie wyniknie, zaczniemy kopać głębiej, może w agencjach towarzyskich. Oceniam, że w Bangkoku, spośród kobiet, których ciała kwalifikują się do sprzedaży, dwadzieścia procent właśnie tym się zajmuje. A to oznacza szukanie igły w naprawdę wielkim stogu siana. Damrong jednakże była wyjątkowa, ludzie powinni ją pamiętać. Ja na przykład pamiętam ją doskonale. Zapewne istnieje jeszcze co najmniej kilku mężczyzn, którzy mogą nam pomóc w śledztwie. Zastanawiam się, czy nie przyśpieszyć poszukiwań i nie połączyć też trochę samemu, ale na razie wzywa mnie do siebie Vikorn.

Po drodze przygotowuję w myślach podsumowanie sprawy Damrong, na wypadek gdyby pułkownik wreszcie chciał się nią zainteresować. Vikorn rezyduje na tle wielkiego plakatu antykorupcyjnego, a dokładnie za głową ma portret Jego Wysokości Króla Tajlandii w pełnym rynsztunku. Siadam naprzeciwko i zaczynam składać raport. Vikorn przyodziewa maskę



cierpliwości, ale nie na długo. Gdy opowiadam o sprzęcie fotograficznym, zgromadzonym przez Bakera w jego klitce, i o skradzionym laptopie, wykorzystuje ten moment, żeby mi przerwać.

— A więc to on. Brawo, Sonchai, rozwikłałeś sprawę w ciągu doby. Ty rzeczywiście jesteś naszym najlepszym detektywem.

— Baker był w dniu zabójstwa poza krajem, a laptopa jeszcze nie sprawdziłem.

Vikorn uśmiecha się i grozi mi pobłaźliwie palcem.

— Nie popsuj sprawy przez nadmierny perfekcjonizm. Oczywiście, że to Baker. Znał ją, był jej mężem, jej alfonsem i sprzedawał jej pornosy. Dlaczego go nie zamykasz? Mógłbyś mu zaproponować układ w zamian za przyznanie się. Niech nam poda nazwiska współników, a ja załatwię mu osiem lat zamiast wyroku śmierci. Jak będzie podsłakiwał, to skopiuj ten *snuff* na jego laptop i jest załatwiony.

— Na laptopie będzie widoczna data skopiowania filmu.

— Nie pozwolimy obronie tego sprawdzić.

— A jeśli on tego nie zrobił?

— No to zamkniesz niewinnego człowieka. Jakie jest prawdopodobieństwo?

Nie zamierzam się z nim użerać. Wie, że mnie to nie odpowiada i że będę tyrał jak dziki osioł, zanim zdecyduję się oskarżyć Bakera. W oczach Vikorna jestem żalonym nieudacznikiem. Każdy inny glina na moim miejscu już siedziałby w barze z dziewczynami, świętując rekordowo szybkie rozwiązanie sprawy. Mój pułkownik ma gdzieś, czy Baker to zrobił, czy nie — dla niego jest jednym z tych *farangów*, którzy zawsze sprawiają kłopoty, nie wzbogacają narodu tajskiego o żadne wartości i z całą pewnością skorzystaliby na przyspieszonym kursie odpowiedzialności obywatelskiej na uniwersytecie Lard Yao.

Pułkownik zaciera ręce zadowolony, że pozbył się mojej sprawy.

— Robimy postępy z naszym projektem, Sonchai — mówi.

— Kazałem komuś sprawdzić, co tam kombinuje nasz Japoniec

w swoim nowym studiu. Mówiłem ci, że wynająłem nieruchomości w Chinatown, nad rzeką?

— Nie. Szybko to poszło.

— Bardzo mnie podekscytował ten twój artykuł z „New York Timesa”. Nie miałem pojęcia, że na porno można zarobić więcej siana niż na *yaa baa*.

— Rewelacja.

Vikorn nachyla się do mnie konfidencjonalnie jak zawsze, gdy chce mnie poprosić o przysługę.

— Sonchai, mianuję cię moimi oczami i uszami. Wybacz, że dokładam ci obowiązków, ale jesteś jedynym gliną w Okręgu Ósmym, który może w ogóle mieć pojęcie, jak się robi dobre pornosy. Chcę żebyś regularnie odwiedzał Yammy'ego, zaprzyjaźnił się z nim. Zrobisz to dla mnie?

Vikornowi się nie odmawia, więc kiwam głową. Na korytarzu uświadamiam sobie, że powinienem się uważać za szczęściarza — bo nie kazał mi zamknąć sprawy Damrong. W kantine, przy puszcze 7-Up przychodzi mi do głowy, żeby zabrać FBI na wycieczkę w teren, nad rzekę. Informuję Manny, że będę załatwiał ważną sprawę dla Vikorna i nie wolno mi przeszkadzać. Dzwonię do Kimberley w Grand Britannia; okazuje się, że dostała właśnie „otwieracz do konserw”. Potem dzwonię na komórkę do mojej partnerki Chanyi. Wraca ze świątyni, więc powinna być w domu przede mną.



Jak to bywa, obie kobiety dotarły do naszego mieszkania przede mną. Po raz pierwszy są sam na sam, ciekaw jestem ich relacji, ponieważ do tej pory bały się siebie. Chanya nie bardzo potrafi uwierzyć, że kobieta może się brać ze światem za bary w tak męskim stylu, że może zyskać taką moc i władzę. FBI z kolei podziwia bezwysiłkową elegancję, z jaką Chanya chodzi, mówi i się uśmiecha; nie rozumie, dlaczego moja miłość nie zarabia jeszcze grubych milionów w Hollywood, i nie jest pewna, czy łagodność Chanyi pochodzi z tego świata. „Nic jej

nie rusza — zdumiewała się po pierwszych kilku spotkaniach. — Sto procent zimnej krwi, jak lamparcica”. Poza tym Chanya jest w zaawansowanej ciąży, a dla Kimberley ten mistyczny stan to źródło niepokoju.

„Zimna krew” tłumaczy się dosłownie *luak jen*; to jest dokładnie to samo wyrażenie. Zastanawiam się nad tym. W moim życiu są dwie kobiety, które posiadały *luak jen* w stopniu niezwykłym — moja matka i Chanya. Ta myśl prowadzi mnie naturalnie ku trzeciej kobiecie — Damrong. Ta rzeczywiście była jak lampart: okrutna, uwodzicielska, niepojęta; zimny spokój przychodził jej bez trudu. Ale nie miała w sobie nic małego. Kiedy zaczęła u nas pracę, spodziewaliśmy się z matką, że będzie przewodzić pozostałym dziewczynom, ponieważ bez wątpienia przewyższała je klasą. Ale nic z tego. Zachowała pokorę, kupowała im prezenty na urodziny, okazywała wiele dobroci, doradzała tym, które chciały spróbować sił w zawodzie za granicą, po prostu je kochała. Wszystkie były zgodne co do tego, że ma w nadmiarze *jai dii*, dobrego serca. W brzuchu czuję laskotanie, bo nie wiem, jak zareaguję na sceny, w których występuje nago dla innych mężczyzn.

— Cześć — mówię. — Już jestem.

Do pewnego stopnia oczekiwałem, że będą rozmawiać o mnie, i czuję się trochę zlekceważony, ponieważ siedzą sobie w kuchni i słuchają radia. Program ma tytuł *Myśleć nowocześnie* i dla Chanyi słuchanie go jest rytuałem niemal religijnym.

— Rozumiesz — tłumaczy Kimberley po angielsku — zamiast zaczynać gotowanie i dopiero szukać składników potrawy, najpierw gromadzisz wszystkie składniki i układasz je w odpowiedniej kolejności. A teraz mówią o praniu: nie rzucasz wszystkich rzeczy na kupę, tylko używasz trzech koszy — jednego do białego, jednego do kolorów, jednego do delikatnych ubrań. Rozumiesz, prawda?

Chanya patrzy na Kimberley z triumfalnym uśmiechem, a ta ma problem z ukryciem swej konsternacji. Wie, że Chanya nie

jest idiotką, więc po co jej takie wskazówki na temat prostych czynności domowych.

— Świetnie — mówi FBI. — Skuteczność ułatwia życie.

Mój powrót wita z wyraźną ulgą; spogląda na mnie z nadzieją, że coś powiem. Ale jak mam jej wytłumaczyć, że naród, który przez wieki funkcjonował dzięki intuicji i obyczajowi, nie może się nagle przestawić na logikę arystotelesowską? Do naszych niedualistycznych umysłów niełatwo dociera to objawienie, że „A nie może być nie-A”.

Wygodniej jest zmienić temat. Ze schowka pod schodami wydaję komputer Bakera. Obie kobiety obserwują mnie w milczeniu. Kupiłem zasilacz i włączam laptop w dużym pokoju. Więc jednak rozmawiały o mnie... FBI powiedziała, że na dysku są prawdopodobnie klipy z Damrong i różnymi mężczyznami. Twarze obu pań wyrażają czystą, dziecięcą ciekawość: Jak on to przyjmie? Ile cierpienia zaraz się pojawi? Nie mamy krzeseł, toteż siadamy na podłodze przed stolikiem, na którym postawiłem laptop. Ekranik LCD zaczyna z szybkością błyskawicy wyświetlać cyfry, litery i różne symbole na „otwieraczu”, który ma miejsca na blisko trzydzieści znaków. W końcu „otwieracz” zatrzymuje się na: {jack\*\*\*rongdam\\29==forty. No faktycznie, sam bym na to nie wpadł... Ożywają ikony Windowsa XP i wita nas wesoła muzyczka.

Eksperymentuję z kilkoma frazami w „Wyszukaj pliki” i w końcu okazuje się, że Baker oznacza pliki z pornografią prefiksem XXX.

— Bardzo oryginalne — komentuje FBI.

Jeszcze kliknięcie i oto mamy zbliżenie Damrong ze sztywnym penisem w ustach. Penis prawdopodobnie należy do Bakera, bo ten czterdziestosekundowy klip wygląda na próbny. To jednak mocny strzał, przeniesie się tak nagle w przejmujący dreszczem obraz pięknej kobiety, uczestniczącej w obscenicznej scenie z taką *joie de vivre*. Damrong śmieje się do kamery za każdym razem, gdy wydaję go z ust.

— Nic mi nie jest — mówię do kobiet, zainteresowanych bardziej moją reakcją niż samym pornosem.

— Przecież ona nawet nie jest ładna — mówi Chanya i nie wypływa to tylko z zazdrości. Chanya po prostu widzi na ekranie zwyczajną kambodżańską twarz, bardziej brązową niż jej własna, z nieco wydętymi ustami khmerskiej kobiety. Dla mnie Damrong jest chudą, wyniosłą pięknoską, Chanya natomiast jest wesoła i ma pełne ciało. Ale FBI też kręci głową.

— Coś takiego może podniecać tylko mężczyzn — mruczy.

Przeglądamy całe „archiwum X” Bakera, zaczynając od najkrótszych filmików. Po dziesięciu minutach znamy już cały repertuar seksualny Damrong, przy czym nie widać śladu jakiegokolwiek namiętności z jej strony. Twarze mężczyzn pokazywane są rzadko, jeżeli już, to jako różowe, owłosione tło dla jej występów. Wzruszam w duchu ramionami, kupując sobie w ten sposób pewną dozę taniej odporności. Gdy zaczynamy oglądać pierwszy z dwóch dłuższych filmów, zaczynam nawet gratulować sobie buddyjskiego panowania nad emocjami.

Atmosfera zupełnie się zmienia. Od razu widać, że film został nakręcony z ukrycia, bez wiedzy klienta. Początkowo para kręci się w kadrze, aż Damrong udaje się umiejscowić mężczyznę w odpowiedniej pozycji na łóżku. Sprawia mu przyjemność ustami, z wielkim entuzjazmem; intensywność jej występu wyrywa dziurę w moich trzewiach. (Nasza męska zazdrość seksualna zaczęła się jeszcze w inkarnacjach gadzich i jest bardzo mocno zakodowana w pniu mózgowym; badania nad jej wpływem na zniekształcenie osobowości są prowadzone od setek lat).

— Sonchai, dobrze się czujesz? — pyta FBI.

Chanya przygląda mi się z niesmakiem.

— On wciąż jest w niej zakochany, tylko popatrz na niego.

— Nic mi nie jest — skrzeczę. — Naprawdę.

— To dlaczego zrobiłeś się zielony? — chce wiedzieć moja ciężarna partnerka.

— Wcale nie. — Tylko tyle udaje mi się wykrztusić w odpowiedzi. Walczę z wewnętrznym tornadem przez pierwszych pięć minut filmu i zaczynam się otrząsać dopiero wtedy, gdy na ekranie miga twarz mężczyzny.

— Popatrzcie tylko — mówi Kimberley — jak ona pod nim manewruje, żeby się ustawił twarzą do kamery.

Dziewczyna robi to bardzo subtelnie, każdym poruszeniem miednicy symulując reakcję na wysublimowaną torturę seksualnego szaleństwa. Teraz już mamy mężczyznę en face. Wcale mi nie pomaga to, że facet jest przystojnym *farangiem*: mocna szczeka, kasztanowe włosy, piwne oczy, pańskie maniery.

— Ty gnojku — mruczę, unikając spojrzenia kobiet. — Tak właśnie pracowała — wyjaśniam ochrypłym głosem. — Pozwala mu myśleć, że zdominował jej umysł, że jest tak świetny, a jego kutas taki wielki, że się po prostu w nim zakochała po same uszy.

— To nie ona wynalazła tę technikę, Sonchai — zauważa FBI. Chanya kiwa potakująco głową, na ustach wciąż ma drwiący uśmieszek. Nasze trzy pary oczu przykuwa teraz sekwencja postcoitalna.

— Niesamowite — zauważa FBI.

— Jest genialna — rzuca Chanya, niegdyś barowa królowa. Ja przecieram oczy.

— Puść jeszcze raz — mówi Chanya.

— Prawdziwe łyżki — zauważa FBI.

I rzeczywiście. Damrong udało się wypuścić z kącików obu oczu delikatne, nieśmiałe strużki, które po chwili dzielnie ociera dłonią.

— Tom, jesteś nieprawdopodobny — mówi, udając, że nie może nawet na niego spojrzeć. Lekkie drzenie podbródka i finałna kwestia: — Nie wiem, jak zniosę świadomość, że mógłbyś być z inną kobietą. Nie udźwignę tego...

— Nie martw się o to — odpowiada Tom z kluchą w gardle — Żadna inna nie będzie mi potrzebna, naprawdę. — Jego oczy też robią się szkliste. Jeszcze przez chwilę oboje tak gaworzą, po czym znów zaczynają. Tym razem udaje się jej ustawić

Toma w taki sposób, gdy go obrabia, że widać jego twarz i genitalia jednocześnie.

Stosowała tę sztuczkę na tobie? — chce wiedzieć Chanya.

FBI zresztą też, sądząc po jej minie.

Nie — odpowiadam, nie całkiem pewny tego, jak się czuję — Absolutnie nie. Przypuszczam, że on jest milion razy bogatszy ode mnie.

— Hmm — zastanawia się FBI — to jednak lekkie przegięcie, chyba że chodziło jej o coś więcej niż tylko pieniądze.

— Ale o co? Przecież nie o małżeństwo.

— Jasne, że nie — zgadza się Kimberley.

— Puszczam ostatni — mówię, biorąc głęboki oddech.

Ten sam pokój, ale atmosfera zupełnie inna. Mężczyzna jest ze Wschodu i przez pierwszych siedem minut nic więcej o nim nie wiemy. Damrong dostosowuje się perfekcyjnie do swego bezwzględnego azjatyckiego pana i władcy, reagując na jego niez mordowane pchnięcia bezradnymi okrzykami i jękami. Gdy staje się zbyt agresywny, gryzie go mocno w dłoń: ostrzeżenie czy zaproszenie do jeszcze ostrzejszego seksu? Tym klientem nie daje się jednak tak łatwo manewrować, ponieważ nie ma w tym akcie miejsca na anachroniczne elementy miłoseg Wersalu, które mogłyby mu zaciemnić trzeźwy osąd. Gdy wreszcie w kadrze pojawia się jego fizjonomia, wymieniamy z Chanyą spojrzenia i zatrzymuję obraz. Twarz mężczyzny jest pięknie ustawiona do kamery w pełnej frontalnej ekstazie, podczas gdy Damrong pracuje nad jego członkiem. Ten seksualny akcent wydaje nam się nagle zupełnie nie na miejscu.

— Co jest? — dopytuje się FBI.

— Chcę mieć tego odbitkę.

Kimberley dłubie chwilę w oprogramowaniu, ściąga kadr na dysk i zaplata ręce na piersi.

— Czy ktoś mi wreszcie powie, co jest takiego szczególnego w tym facecie? Widzę, że to Azjata, z przewagą krwi chińskiej, zresztą całkiem przystojny.

— To Khun Tanakan — szeptem Chanya, nie zapominając,

pomimo pogardy dla niego, o grzecznościowym *Khun* — jak każe feudalne prawo.

— Kto taki?

— Wielki ważniak z sektora bankowego — wyjaśniam, przelękając ślinę. — Najważniejszy z ważnych. Mówimy tutaj o towarzystwie z samego szczytu piramidy. On i jego kołesie kontrolują całą gospodarkę; wszystkie najważniejsze transakcje przez niego przechodzą.

Przez chwilę rozmawiamy z Chanyą po tajsku.

Chanya: *I co teraz zrobisz? Przecież oni cię zabiją.*

Ja: *Wiem.*

Chanya: *Musisz powiedzieć Vikornowi.*

Ja, ponuro: *Myślisz, że to poprawi moje bezpieczeństwo?*

*Wiesz, co on mi każe zrobić.*

Chanya: *Sonchai, ja jestem w ciąży. Nie chcę zostać samotną matką naszego dziecka.*

Ja, pocierając czoło: *Muszę się zastanowić. Zrobią to, co będzie najbezpieczniejsze.*

Chanya: *To zacznij od wyniesienia stąd tego laptopa. Ja się boję, Sonchai, naprawdę się boję.*

Ja: *Dobrze.*

Szybko wyłączam komputer z sieci i chowam go do pokrowca pod czujnym spojrzeniem FBI.

— O rany — mówi Kimberley, gdy po niecałych pięciu minutach jestem gotowy do wyjścia z mieszkania. — Wy to umiecie nastraszyć człowieka. Może mi jednak wytłumaczysz, o co chodzi?

— W taksówce — odpowiadam.

Stoimy więc na ulicy, łapiemy taksówkę. Chanya została w domu.

— Podwożę cię do Grand Britannia — mówię.

— A ty gdzie jedziesz z tym towarem?

— Do komendy — stękam.

Wsiadamy i zaczynam wyjaśniać. — Damrong zrobiła te



nagrania, żeby ich szantażować. Nie ma innego wytłumaczenia.

— Zgadzam się. I co dalej?

— Jeśli zdążyła z tym wystartować, to ludzie Tanakana węszą już po całym mieście.

— Ale ty jesteś policjantem. Czy to się w ogóle liczy w tym kraju?

— Jasne. — Uśmiecham się ironicznie.

— Więc?

— Więc Chanya ma rację. Mądrze będzie powiedzieć Vikornowi. Dzięki temu przynajmniej jego będę miał po swojej stronie.

— Dlaczego jest ci tak trudno podjąć tę decyzję?

— A jak myślisz, co on będzie chciał zrobić z tym filmem?

Kiedy Kimberley wysiada pod hotelem, mam wrażenie, że rozpracowała już tę małą kulturową zagadkę. Zatrzymuje się przy otwartych drzwiczkach i wsuwa głowę do środka.

— Ale to jednak dziwne, nie sądzisz?

— Co?

— To, że w zasadzie dwa czy trzy posunięcia doprowadziły cię tak daleko. Wykonałeś tylko rutynowe czynności, prawda?

— Sprawdziłem nazwisko Damrong w bazie danych, a to doprowadziło mnie do Bakera.

— A on z kolei do najniebezpieczniejszej sprawy w twojej karierze. Dziwne. Nie wiem, jak to jest w Bangkoku, ale w Stanach śledztwo raczej nie bywa takie proste.

Zastanawiam się nad tym po drodze na posterunek, z laptopem na siedzeniu obok. Proste śledztwo? Wyjmuję komórkę, żeby zadzwonić do Vikorna. Zabawia się w jednym ze swoich klubów niedaleko komendy. Kiedy komunikuję mu szyfrem, co leży obok mnie, odpowiada, że już się ubiera i za trzydzieści minut będzie u siebie. Na komisariacie jestem tak niespokojny, że nie wypuszczam laptopa z rąk. Czytałem kiedyś o kurierze, który przewoził z Londynu do Hongkongu dwie butelki mouton rothschilda rocznik 1945 i dla bezpieczeństwa przykuł sobie

walizkę kajdankami do przegubu. W branży porno to jest z pewnością odpowiednik tamtego wina. Dopiero po godzinie dostają telefon: pułkownik przybył.



Siedzimy w jego gabinecie, występy Damrong z Khun Tanakanem już są za nami. Zbliża się północ. Gdy Vikorn odwraca się do mnie, nie mogę rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Ma niby marsa na czole, ale raz po raz igra na jego ustach cwany uśmieszek. Znam go jednak dość długo i wiem, że wystarczy spojrzeć mu w oczy: są jasne i błyszczące. Mówi prawie szepcąc, jak kochanek. W jego głosie słychać wdzięczność i pieszczotę.

— Mogę potrzebować świadka, Sonchai.

— Tak?

— Kogoś na tyle sprytnego, żeby rozumiał, co jest grane, a jednocześnie świadomego, że nadszarpnięcie zaufania może się źle skończyć.

— Nie nadążam, panie pułkowniku.

— Wiesz jak funkcjonuje nasz kraj, prawda? *Ti-soong, ti tam*. — To odniesienie do feudalnego systemu, zwanego „wysoko-nisko” albo, jeśli wolicie, „szczyt i dno”. — Jeżeli zrobię to sam, on może wykorzystać swoją wyższą pozycję.

Do moich płatów czołowych dociera wreszcie światło. Czuję rozkoszny dreszczyk lęku zmieszanego z podnieceniem.

— Chce pan, żebym był obecny, gdy będzie pan przyciskał do muru Khun Tanakana?

Vikorn unosi palec do ust.

— Nie będzie wiedział, że tam jesteś.

— A może pan mógłby to sfilmować?

— Nie da się, on mnie na pewno zaprosi do swojego biura.

— Więc jakim sposobem ja się tam znajdę?

— Jako mój asystent i ochrona. Nie wpuszczą cię do pokoju Podczas negocjacji, dlatego ja będę miał ukryty mikrofon. A ty będziesz nagrywał. Będziesz też słuchał tego przez słuchawki,

żebyś mógł świadczyć, gdyby coś poszło nie tak. Będziesz udawał, że puszczasz sobie muzykę z... jak się nazywa to durne urządzenie?

— iPod.

— Właśnie, z iPoda. Zagrasz takiego nowoczesnego, młodego glinę z plakatu o rekrutacji.

— To może dla mnie oznaczać zagrożenie życia, pułkowniku.

Unosi brwi i patrzy w bok.

— Dziesięć procent dodatku socjalnego.

— Dwadzieścia.

— Zgoda.

Wzruszam ramionami. Jeżeli wołą Buddy jest, żeby majątek Khun Tanakana został rozdystrybuowany bardziej sprawiedliwie, to nie ma co dyskutować. Zresztą i tak chcę być obecny, gdy Vikorn będzie robił to, co potrafi najlepiej.

— Opowiedz mi tę całą historię jeszcze raz — mówi. — To dochodzenie w sprawie morderstwa, czy się myłę?

— Do pewnego stopnia.

— Jedno w każdym razie jest pewne. Ten Baker nie może tak sobie chodzić bez ochrony. Trzeba go przymknąć za rozposzechnianie pornografii. Chcę go mieć w areszcie, żeby nic mu się nie stało.

— Dobrze — mówię. — Przymknę go.

Szykując się do wyjścia, w niemal pustym i ciemnym komisaracie, uświadamiam sobie, że od kilku godzin nie myślałem o Bakerze. To wywieszenie komputera za okno było zabawne, amatorszczyzna urodzonego nieudacznika. Ale nieudacznika łatwo jest wystraszyć, a ja teraz wiem, co jest na jego twardym dysku. Dzwonię do ochroniarza w apartamentowcu.

— Wyszedł jakąś godzinę temu, z plecakiem, zaraz po wyjściu tego Anglika.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś?

— Dostałem w łapę tylko za jeden telefon.

Rozłączam się z ciężkim westchnieniem i proszę centralę komendy o połączenie z imigracyjnym.

— Bez paszportu daleko nie zajedzie — mówi po chwili wesoły głos.

— Facet ucieka przed śmiercią — tłumaczę. — Mógł sobie kupić fałszywy paszport na Kaosan Road.

— No dobrze. Niech mi pan przyśle jutro rano kopię jego zdjęcia paszportowego, a my ją roześlemy do wszystkich głównych przejść granicznych.

Odpowiadam coś sarkastycznego, używając słów „jutro rano” i „głównych przejść”. Tajowie jednak nie zawsze wyczuwają ironię, więc mój rozmówca wydaje tylko jakiś pomruk i rozłącza się. Dzwonię do Vikorna, który obiecuje skopać im tyłki; w końcu to on chce przymknąć Bakera.

Spodziewałem się, że Vikorn weźmie swego bentleya, co świadczy tylko o moim prostactwie. On przecież składa wizytę wielkiemu Khun Tanakanowi jako skromny gлина, jedziemy więc zdezelowanym wozem patrolowym. Jazda na szczęście trwa tylko dziesięć minut, a to górny limit czasu, jaki Vikorn wytrzymuje na sfatygowanym tylnym siedzeniu. Ubrał się jednak w swój mundur pułkownika z wszystkimi dystynkcjami; w brązowej kurtce ze złotymi pagonami wygląda bardzo schludnie. Podczas jazdy wykonuje dziwne, delikatne ruchy dłońmi, wyrażające niezgłębianą subtelność jego umysłu. Podążam za nim do przestronnego bankowego holu. Recepcjonistkę pułkownik czaruje wdziękiem, zamiast straszyć władzę, a ona natychmiast wykonuje telefon. Wyraz jej twarzy po odłożeniu słuchawki mówi: zaprowadzić tych dwóch gliniarzy do prywatnego pomieszczenia, *pronto*. Wiozą więc nas windą do wyłożonego dębem i zieloną skórą pokoju konferencyjnego na którymś z górnych pięter. Siadamy przy długim stole. Normalnie na tym etapie powinna to załatwiać sekretarka, ale Tanakan nie doszedłby do swojej pozycji, gdyby nie znał każdego możliwego gambitu w tej grze. Otwierają się drzwi i oto on we własnej osobie. Obaj z pułkownikiem natychmiast wstajemy, unosząc dłonie do czoła w wysokim *wai*. Khun okazuje skromność,

odpowiadając nam *wat* na tej samej wysokości. Ten koleś jest za cwany, żeby próbować się bronić przed nieuniknionym.

Wśród tajskiej śmietanki szczególnie bankierzy są kojarzeni automatycznie z chińskimi korzeniami. Porcelanowa skóra Khun Tanakana, przenikliwe spojrzenie małych czarnych oczu — bardziej skośnych niż u czystej krwi Taja — kruczoczarne włosy, wyszukane maniery i pięknie skrojony garnitur, wszystko to plasuje go na najwyższym szczeblu tajsko-chińskiej grupy trzymającej władzę. Tanakan jednak ma w sobie coś jeszcze: jego przodków z pewnością nie należy szukać wśród niewysokich Cziu Czou, rybaków z regionu Shantou. Ma bowiem prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, co wskazuje na pochodzenie z Północy, może z Mandżurii. Wyobrazenie sobie tego człowieka w szale nieokiełznanej namiętności jest prawie niemożliwością, ale ja oglądałem film Bakera. Widziałem, jak ta niepohamowana, skondensowana ambicja przekształca się w żądzę o gadziej mocy. Tanakan jest po pięćdziesiątce, fizycznie trzyma się świetnie i ma — patrz film — gładki instrument z kości słoniowej, o godnych respektu rozmiarach.

— Pozwolę sobie przedstawić mojego asystenta, detektywa Jitpleecheepa — mówi Vikorn. Widząc subtelną zmianę w oczach tamtego, dodaje: — Podczas naszej rozmowy będzie czekał tutaj albo w pańskim biurze.

Tanakan kiwa głową.

— Może usiąść, gdzie chce — mówi łaskawie. — Moja sekretarka ma osobny gabinet. Może pójść tam albo zaczekać tutaj.

— Sądzę, że wybierze gościnność pańskiej sekretarki — mówi Vikorn, pamiętając o zasięgu swego nadajnika.

— Dobrze — odpowiada bankier, patrząc na mnie z uśmiechem tak ciepłym i życzliwym, że czuję się prawie jak jego ukochany siostrzeniec. W biurze przedstawia mnie sekretarce, a pułkownika zaprasza do swego gabinetu i starannie zamyka za sobą drzwi.



Sekretarka jest zaskakująco atrakcyjna. Jeśli Tanakan ją bzyka (stawiam Wall Street przeciwko mango, że tak), to można by zapytać, po co mu była Damrong.

Ale czy na pewno? Jej długie włosy płyną w powietrzu, gdy się porusza, zupełnie jak w reklamie szamponu. Ma na sobie najmodniejszą biznesową kreację (czern z bielą, akcent koloru w biżuterii). Jestem pewien, że zapach perfum, rozprawiany dyskretnie przez klimatyzację, to Van Cleef & Arpels. Każdy ruch dziewczyny, nawet mrugnięcie, jest efektem zaleceń jakiejś kosmetyczki, a w dodatku chyba potrafi pisać na komputerze. Miałem jednak już wgląd w poziom usług, jakie rekinowi bankowości świadczyła Damrong — ich charakter mógłby zaszokować tę dziewczynę do tego stopnia, że przyznałaby się do wszystkiego matce. Innymi słowy: jest raczej niemożliwe, by potrafiła zaspokoić najmroczniejsze potrzeby Tanakana.

Dostała najwyraźniej polecenie uwodzenia mnie na tyle intensywnie, żebym był jej posłuszny. Nie flirtowała jeszcze nigdy z policjantem i widać, że ma problem z ukryciem obrzydzenia. Nie pomagam jej w tych rozterkach. Wyjmuję iPoda i słuchawki i rozwalam się na włoskiej skórzanej kanapie, pod porcelanowymi lwami, wyciągając wygodnie nogi — jak klasyczny Roboczo-cop, za jakiego dziewczyna mnie i tak uważa.

— Witam w moich skromnych progach — mówi Tanakan do mego prawego ucha.

— To wielki zaszczyt, Khun Tanakan — odpowiada Vikorn. — Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknego gabinetu. Pański gust jest nieskazitelny.

— Och, przesadza pan, pułkowniku. Kimże ja jestem? Tylko bankierem, liczę pieniądze. Porównując to ze służbą, jaką pełni dla społeczeństwa oficer pańskiego kalibru, to raczej ja powinienem gratulować panu.

— Ach, Khun Tanakan jest zbyt łaskawy. Powiedzmy sobie szczerze, należymy do innych klas. Pan jest porcelaną, ja tylko kamionką.

— Nawet jeżeli przystałbym na to zachwycająco skromne porównanie, dodałbym, pułkownik, że w starciu porcelany z kamionką, uszczerbku dozna z pewnością ta pierwsza.

— Sam miałem ochotę to powiedzieć — szepce do mikrofonu Vikorn.

Tymczasem sekretarka Tanakana zaczyna się denerwować, że chyba nie wypełnia należycie jego rozkazu. Znalazła pretekst, żeby wstać, odwrócić się bokiem, wziąć wdech i rozprostować ramiona; piersi ma rzeczywiście perfekcyjne, ale co ja mam z tym zrobić? Teraz wyłoniła się zza biurka w całej postaci, poczuła bowiem pilną potrzebę uporządkowania kolorowych czasopism na stoliku przed kanapą. Marszczy w skupieniu brwi z „Fortune” w jednej ręce i nagle odkrywa, że powinna mi się jakoś wytłumaczyć. Patrzy więc na mnie z zakłopotanym uśmiechem. Gdy nawet to nie rzuca mnie na kolana, przełyka ślinę i mówi słodkim głosem:

— Nie pamiętam, gdzie to ma leżeć.

Teraz już rozumiem, dlaczego Tanakan potrzebował Damrong.

— Oczywiście — mówi Vikorn — przeciwieństwa się przyciągają, jak nauczał Budda.

— Zgadza się — potwierdza Tanakan.

— Nie trzeba uzasadniać, że skromna kamionka odczuwa lęk, podziw czy nawet namiętność wobec porcelany, nie wspominając o zazdrości, lecz pociąg porcelany do kamionki jest znacznie słabiej udokumentowany.

— Śledcze talenty pułkownika Vikorna są szeroko znane. Podziwiam pański wgląd w najsztudniejsze niuanse.

— Świat oczywiście nie ma pojęcia o prawdziwej naturze pracy, jaką wykonują dla społeczeństwa ludzie tacy jak pan. Całymi dniami, a nawet i nocami, haruje pan, żeby utrzymać naszą gospodarkę w dobrej kondycji. Na poziomie Khun Tanakana trzeba umieć znosić taką presję, że niejednego zwyczajnego człowieka już dawno by zabiła. Powinien pan trochę odpocząć, zrelaksować się... Może nawet w sposób nie zawsze akceptowany przez różnych pobożnisiów i ignorantów?



— Pułkownik jest nie tylko znakomitym policjantem, lecz również znawcą ludzkiej natury i ucieleśnieniem współczucia.

— Staram się praktykować współczucie, gdy tylko jest to możliwe — odpowiada Vikorn. — Czyż jednak do głębokich myśli Buddy nie należy twierdzenie, że nawet mnisi potrzebują wsparcia? Innymi słowy, również współczucie wymaga pomocy materialnej.

— W rzeczy samej. Współczucie z pewnością wymaga wsparcia, a moim największym pragnieniem jest go udzielić, w miarę moich skromnych możliwości.

— Na przykład — mówi Vikorn — wyobraźmy sobie, że w tym momencie weszła do pokoju służąca. Najpewniej młoda, niezbyt wykształcona kobieta, która w trakcie sprząwania przesunęła tę tutaj piękną wazę, a ta, powiedzmy sobie, za chwilę spadnie na podłogę, chyba że jakaś bardzo zręczna osoba założy ją w porę i zapobiegnie niebezpieczeństwu.

Chwila milczenia, po czym Tanakan mówi:

— Taka płynąca ze współczucia pomoc zostałaby wynagrodzona w stopniu przewyższającym nawet wartość samej wazy.

— A jaka jest wartość tej wazy, Khun Tanakan? — pyta Vikorn.

— Dawno już nie robiłem jej wyceny. Pułkownik jednakże nie jest amatorem, jeśli idzie o takie dzieła sztuki. Jak cenna jest więc ta waza w pańskim zdaniem?

— Czy mogę?

— Oczywiście.

Jak przypuszczam, Vikorn wziął teraz wazę do rąk.

— Proszę spojrzeć, jak perfekcyjnie garncarz sprzed ponad tysiąclecia wykonał te smoki — mówi. — W dzisiejszych czasach nie spotyka się już takiego kunsztu i cierpliwości, nie wspominając o poczuciu piękna. Jest unikatowa. Powiedziałbym, milion dolarów, co pan na to?

Głośne westchnienie ulgi.

— W rzeczy samej, uważam wycenę pułkownika za wielce precyzyjną. Milion dolarów, to nie ulega wątpliwości.

— Obawiam się, że Khun Tanakan mnie nie zrozumiał — mówi Vikorn z drażniącą pokorą w głosie. — Miałem na myśli wartość każdego smoka z osobna.

Tanakan, głucho:

— A ile ich tam jest?

— Sporo, Khun Tanakan, całkiem sporo.

— Czy pułkownik zechce wyświadczyć mi przysługę i je policzyć?

— Nie dzisiaj, Khun Tanakan, nie dzisiaj. Żeby właściwie ocenić tę wagę, muszę ją zbadać o wiele dokładniej.

Głos Tanakana lekko się załamuje.

— Dokładniej? Obawiam się, że nie rozumiem.

— No cóż; Khun Tanakan znany jest jako wybitny kolekcjoner tego rodzaju dzieł sztuki. Czy wobec tego przyzna pan, że dwie wazy mogą wyglądać identycznie, a jednak jedna z nich może osiągnąć o wiele wyższą cenę dzięki związanej z nią ciekawej historii? Jest tak, nieprawdaż? Sława, a nawet niesława, dodaje dziś wielu rzeczom fałszywej wartości; tak jest chociażby z gitarą Elvisa Presleya. Zgodzi się pan ze mną?

— Obawiam się, że nie nadażam już za błyskotliwym tokiem myśli pułkownika Vikorna.

Uprzejme chrząknięcie.

— Założmy, że nieco zmienimy tę analogię. Wyobraźmy sobie, że służąca właśnie trzyma wagę w rękach i grozi, że ją rozbije. Khun Tanakan byłby przecież w takiej sytuacji upoważniony do podjęcia wszelkich kroków dla ochrony swojej własności.

— Tak?

— Z drugiej strony, gdyby podjęte przez Khun Tanakana środki doprowadziły nieszczęśliwie do śmierci dziewczyny...

Dziwna cisza.

— Śmierci dziewczyny?

— Obawiam się, że tak, Khun Tanakan. Strasznie mi przykro, że przynoszę takie smutne wieści. Sądzę, że byłoby z mojej strony nietaktem próbować w takiej chwili wyceniać tę piękną

wagę. Kiedy indziej, dobrze? Jeżeli oczywiście Khun Tanakan zechce mi jeszcze poświęcić swój cenny czas. Tanakan odpowiada pokonany:

— Kiedy tylko pułkownik sobie życzy. Jestem do dyspozycji. — Po chwili wahania dodaje: — Czy pułkownik jest świadom, że przez cały ubiegły tydzień byłem w podróży służbowej w Malezji?

— Nie byłem tego świadom, Khun Tanakan.

— Czy można to uznać za czynnik zmniejszający wartość wazy?

— Całkiem możliwe, Khun Tanakan. Cała ta sprawa z wyceną wymaga dojrzałego namysłu. Do widzenia, Khun Tanakan.

— Odprowadzę pana.

Kiedy jej szef otwiera drzwi, sekretarka nachyla się do mnie, prezentując najbardziej bezwstydną zaproszenie, jakie widziałem poza branżą.

— I jak mi poszło? — pyta Vikorn, gdy już siedzimy w wozie patrolowym.

— Genialnie, jak zwykle. Ta historia z wagą pozwoliła mi zachować twarz. Ale będzie mógł też powiedzieć, że do niczego się nie przyznał.

— Jasne, może tak mówić w sądzie, może nawet przekupić sędziego. Ale nikt nigdy już nie uwierzy mu na słowo, szczególnie w międzynarodowych kręgach bankierskich, a przecież rolę Ważnego Bankiera ceni sobie wyżej niż własne życie.

Wyglądamy z Vikornem przez dwa różne okna, ale myślimy o tym samym.

— Czy był przekonujący?

— W tym, że nie wie o śmierci dziewczyny? Nie jestem pewien, on jest tak bardzo *luak jen*, że każde jego słowo brzmi sztucznie i nieszczerze. O tej Malezji chyba mówił prawdę, ale jakie to ma znaczenie? Chciałem mu uzmysłwić, że musi stawić czoło nie tylko jakiejś tam pogłosce, ale że istnieją również konkretne zwłoki. Sprzedaję rozgrzeszenie z poważnego przestępstwa. — Vikorn przesuwając dłoń po swej wielkiej głowie

mędrca. — Coś ci powiem, Sonchai. Ta sprawa będzie dla mnie jednym z największych prezentów od ciebie i świetnie się bawiłem z tym Tanakanem. Co powiesz na dwadzieścia jeden procent zapomogi?

— Świetnie.

— Ach, zapomniałbym zapytać. Czy byłeś nad rzeką, u Yammy'ego?

— Jeszcze nie. Wciąż szukam Bakera, pamięta pan?

Przeciągły jęk.

— Zapomniałem ci powiedzieć. Znaleźliśmy go.

— My znaleźliśmy? Tak szybko?

Mój pułkownik klepie się po czaszce.

— Niektórzy z nas wciąż są gliniarzami, Sonchai. Kazałem Imigracji sprawdzić te przejścia graniczne z Kambodżą, które nie mają jeszcze systemu izometrycznej identyfikacji twarzy. Jest takich tylko pięć, z tego jedno używane powszechnie przez *farangów* z półświatka. Powiedziałem chłopakom, że sprawa jest warta sto tysięcy bahtów. — Uśmiech pułkownika to kwintesencja mądrości i współczucia. — Motywacja w przypadku źródeł osobowych jest najważniejsza. W ramach łapówki musiałem się zgodzić, żeby go trochę poturbowali. Jak tam dotrzesz, powinien już być skory do współpracy. — Mija kilka minut, Vikorn zmaga się z irytacją z powodu zapadniętej tapicerki. — Nie musisz się spieszyć, on już donikąd nie pojedzie. Najpierw sprawdź, co słychać u Yammy'ego.

Gdy Superman przemienia się w Godota, możecie być pewni, że macie do czynienia z głębszym i subtelniejszym poziomem amerykańskiej inicjacji — wystarczy spytać Irakijczyków. Mój biologiczny ojciec vel Superman wymyśla jedną wymówkę po drugiej. Skontaktowałem się z nim przed rokiem, przy wściekłych pomrukach Nong („Jakby chciał nas znaleźć, to już dawno by znalazł”) i ku mojemu zdumieniu odpowiedział, z iście jankeskim entuzjazmem, że nas odwiedzi, gdy tylko złapie trochę luzu w swojej prawniczej harówce. I od tej pory ciągle się tłumaczy. Nong oczywiście nie wierzy, że w ogóle zamierzał przyjechać, a ostatnio dostaliśmy e-mail, że musi znów przełożyć wizytę z powodu choroby. Siedzimy w Old Man's Club; jest wpół do siódmej wieczorem i Nong wygłasza tyradę na temat *farangów* w ogóle, a jego w szczególności. Dlaczego składają głupie obietnice, których nie zamierzają dotrzymać? Jakbyśmy byli dziećmi, którym nie można powiedzieć prawdy wprost. To właśnie problem z ich kulturą, myślą, że reszta świata jest tak samo infantylna jak oni. Gdyby był Tajem, powiedziałby nam po prostu, żebyśmy się odczepili i już dawno zdążylibyśmy o nim zapomnieć.

Siedzimy przy stoliku obok baru, który jest pusty, jeśli nie liczyć Marly, mającej właśnie przerwę w swojej nowej pracy —

robi karierę w pornografii pod okiem Yammy'ego — oraz Henri Francuza, który przyszedł wcześniej, bo dowiedział się, że ona tu jest. Henri to jeden z tych nieszczęśników, którzy postanowili w młodym wieku zostać pisarzami i nie spostrzegli upływu czasu, a potem było już za późno. Jest łysym, niskim czterdziestotrzylatkiem. I jak to zwykle bywa z geniuszami literatury, szczególnie tymi piszącymi do szuflady, brak mu stałego źródła dochodu. Ledwie wiąże koniec z końcem, tłumacząc z angielskiego na francuski w sieci — zajęcie to uważa zresztą za poważne zagrożenie dla swego zdrowia psychicznego, nie do przyjęcia przez dłużej niż godzinę dziennie („*Mon dieu*, znowu jakaś pieprzona instrukcja do mikrofalówki, nawet nie muszę tłumaczyć tego syfu, już wiem na pamięć, że te osrane duże ziemniaki pieką się przez *cinq minutes*, a jak się to gównno zawinie w folię aluminiową, to będą piękne osrane fajerwerki z iskierką, niech to szlag, czasami oddałbym mego *membre virile* za odrobinę dwuznaczności, za *double entendre*, za choćby cień literackości, albo chociażby dobrze umiejscowiony przymiotnik, *nom de dieu*”). Henri mieszka w małym pokoiku przy sławetnej Soi 26, rzut kamieniem od jeszcze sławetniejszego dystryktu Klong Toey (prawie że płacą ludziom, żeby tam mieszkali). Z powodu swej bezgotówkowej kondycji jest więc klientem mało popularnym wśród dziewcząt, co tłumaczy tęskne klimaty jego prozy. Ma jednak, i to mu trzeba przyznać, sporą dozę elegancji dziewiętnastowiecznego Paryża, w którym tak bardzo chciałby żyć, a kiedy się rozkręci, potrafi czarować dziewczyny swą złotoustą mową. Henri do Marły (jak podejrzewam, sekretnej bohaterki jego nigdy niedokończonej pisaniny):

— Jak tylko się dowiedziałem, że przyjdiesz wieczorem, porzuciłem pracę i przybiegłem.

— Ty pracować?

— Tak. W dodatku udręka chyba wyostrzyła mi percepcję, bo kiedy tylko cię ujrzałem, znów doświadczyłem tej radości, tego przeblysku rozpoznania, który pojawił się, gdy cię spotkałem po raz pierwszy.

— Ty pracować?

— Kocham nawet, jak mówisz „ty pracować”. W ustach innej tajskiej kobiety brzmiałoby to równie okropnie, jak to żalosne angielskie *really?* — ale w twoich ma nieuchwytny posmak nirwany.

— Chcesz mnie dzisiaj? Mam czas na szybki numer, potem idą występować w filmie.

Henri zmusza się do promiennego uśmiechu.

— Odkładam na to. Jeszcze trzy instrukcje do mikrofali i pięć do odtwarzaczy DVD i będziesz moja, *chérie*. Z drugiej strony, dlaczego nie miałabyś mi udzielić drobnego kredytu? Zamówienia mam, muszę tylko odwalić robotę.

Marly, która na skutek nieodpowiedzialnych pochwał Yammy'ego już widzi siebie oczyma duszy w Hollywood, spogląda z niesmakiem na sufit i odwraca głowę. Uśmiecham się i zapraszam ją do stolika, licząc, że przerwie to zrzęczenie Nong.

— Jak idzie filmowanie? — pytam.

— Świetnie, chyba. Yammy jest *ting-tong*, rozumiecie, koleś jest kompletnie odjechany. Ale naprawdę wie, co robi. — Marly zerka na zegarek.

— Wolę odjechanego Japońca od dwulicowego *faranga* — mruczy Nong.

Czuję smutek, bo wiem, skąd pochodzi jej gniew. Nie spodziewała się wiele po odnowionej znajomości z amerykańskim żołnierzem, którego pokochała przed ponad trzydziestu laty, ale oczekiwała jednak pewnego spóźnionego poczucia wspólnoty, dumy z syna, którego razem spłodzili (w porównaniu z większością *leuk kreung* z wojny wietnamskiej w sumie wyszedłem na ludzi), może pogawędki o dawnych czasach. Pokrętność jego duszy i rasistowski podtekst budzą jej odrazę: czy tak samo lekceważyłby białą Amerykankę? Marly patrzy na mnie, a ja unoszę dłonie w bezradnym geście. Na szczęście w tym momencie wchodzi Greg, Australijczyk. Nong ma taką samą słabość do niego jak ja do Henri i wita go szerokim uśmiechem. Greg odpowiada niewczesnym *wai*, a Nong kręci głową i nie

czekając na zamówienie, podchodzi do baru, otwiera butelkę zimnego fostera i podaje mu — nie dopisując do długu. Ten gest poprawia jej nastrój.

— Uwielbiam, jak tak o mnie dbasz — mówi Greg. — Jesteś lepsza niż dwanaście matek.

Idea posiadania dwunastu matek trafia w poczucie humoru Nong i wywołuje jej śmiech.

Słówko o Gregu. Wyposażony przez naturę w metabolizm, który pozwala mu zachować szczupłą sylwetkę niezależnie od liczby wypitych fosterów, wygląda młodziej niż na swoje trzydzieści osiem lat. Jako produkt tego, co jego krajanie nazywają „syndromem wysokiego maku”, manifestuje normalność w stopniu wręcz chorobliwym. Pije piwo z mężczyznami, uprawia seks z kobietami, kocha rugby, futbol i krykieta, obstawianie zakładów w „gierkach”, jak je nazywa, i wszystkich wita przyjaznym „czołem”, zachowując świeżość na każdym etapie pijaństwa — poza ostatnim.

Najczęściej to Lek ratuje Grega z napadów niekontrolowanego płaczu pod koniec fosterowego wieczoru, zazwyczaj w łazience, gdzie Australijczyka nie krępuje, że z otchłani samobójczej rozpaczycy wyciąga go wyjątkowo zniewieściały transseksualista.

— Cały jestem w kawałkach, chłopie. Zatomizowany — mawia wówczas Greg do Leka. — Moja mama wygnała mojego tatę, gdy byłem mały. Potem zrobiła mi pranie mózgu, chłopie. Nienawidzi mężczyzn, rozumiesz? W Australii wszystkie kobiety tak mają. Tak sobie myślę, że to może być wina jedzenia. Na przykład purée z groszku.

Lek wzdryga się z obrzydzeniem.

— Purée z groszku? Och, biedaku.

— Tak naprawdę nigdy nie miałem rodziny — ciągnie Greg. — Sam się wychowywałem. Jestem jak produkt przypadkowego bzykania na sobotniej imprezie. Moja rodzina to wy i to jest najszczęsza prawda.

— To straszne. Ale nie martw się, kochanie, zajmiemy się tobą.



— Kocham dziewczęta, są fantastyczne. W ciągu godziny robią dla mnie więcej niż ktokolwiek inny przez trzydzieści dziewięć lat mojego życia.

— To dlatego, że jesteś taki męski, kochanie — mówi Lek.

— Naprawdę? Całkiem ładnie wyglądasz z tego miejsca.

— Jesteś pijany, słoneczko. — Lek chichocze. — Nie rób tego... nie możesz mnie mieć, mój miły. Jestem policjantem.

— Odrzucasz mnie?

— Ja? Ja nie odrzucam ludzi, kochaniutki, bo sam jestem na dnie, a nawet pod dnem. Odrzucony to moja rola. Nie prowokuj mnie do zazdrości, proszę.

Greg wygrał dziś na wyścigach konnych i chętnie stawia Henri, który przeżywa swego tysięcznego kosza od Marly. Dość szybko pograżają się obaj w odmętach alkoholu (w zeszłym tygodniu wdali się w bójkę, której żaden na drugi dzień nie pamiętał), a im bardziej są pijani, tym głośniej mówią. Siedzę przyszpilony do krzesła obok Marly i Nong, tymczasem dwóch pijacków omawia sprawę bardzo dla mnie bolesne.

— Pamiętasz ją? — pyta Greg Henri. — Pracowała tu kilka lat temu.

Francuz ogląda się szybko przez ramię; chyba nawet nie wie, że go słyszymy.

— Jasne, że pamiętam. Nawet nie była prostytutką, raczej kurtyzaną, istotą z belle epoque uwięzioną w tych czasach funkcjonalnego barbarzyństwa. Czulem z nią pewną wspólnotę, ale była tak strasznie *elegant*, że nie ośmieliłem się do niej odezwać. Bałem się usłyszeć cenę wywoławczą.

— Ja usłyszałem. I uzbierałem sobie. W łóżku była niesamowita, ale nie dało się tego wytrzymać. Po drugim razie wpadłem w depresję na tydzień. Po prostu poza moją klasą.

— Ciszej. Syn szefowej też ją miał.

Greg jest zaskoczony.

— Sonchai? On by nie poszedł z dziewczyną z ekipy.

— Ale się zakochał. To był oryginalny *coup de foudre*, z wszystkimi bajerami.

Greg konspiracyjnie zniża głos.

— Podobno krąży jakiś *snuff movie* z nią. Zdaje się, że tak kopnęła w kalendarz.

— *Mon dieu*, nie wiedziałem.

— Sonchai, może byś sprawdził na górze, czy jest dobrze posprzątane? — mówi Nong, unikając wzroku Marly i rzucając wściekle spojrzenie ku plecóm Grega i Henri.

Idę na górę, kładę się na jednym z łózek i oddaję rozmyślaniom. Zabawne, prostytutki były prekursorkami kapitalizmu. Starożytni dobrze wiedzieli, że u mężczyzn potrzeba seksu jest większa niż u kobiet. Było więc naturalne, że tę nierównowagę należy zniwelować za pomocą pieniądza, który miał jeszcze wtedy niewielkie zastosowanie. Później dziwki odkryły oczywiście inne rzeczy nadające się na sprzedaż i w następnym życiu zostawały prawniczkami, lekarkami, bankierami, prezesami, właścicielkami cukierni, burmistrzami i tak dalej. Narodził się handel, a wojna stała się troszkę *passee*. Gdyby nie prostytutcja, ludzkość nie wyszłaby nigdy z etapu obłężenia Troi. Zresztą wielu ludzi pozostało na nim do dziś.

Nie planowałem już na wieczór żadnych zajęć — byłem w nastroju tajskoleniowym — ale Greg z Henri wzburzyli we mnie żółć i spokój prysnął. Sprawdzam godzinę, okazuje się, że jest dopiero ósma. O tej porze nie ma już samolotów do tego przygranicznego regionu, gdzie przyskrzynili Bakera, ale jest sporo autobusów. Nie sądzę jednak, żebym wytrzymał długą, niewygodną jazdę w rozgrzanym autobusie, dzwonię więc na dworzec Hualamphong i rezerwuję sliping w pierwszej klasie. To jeden z tych luksusów Trzeciego Świata, na które od czasu do czasu lubię sobie pozwolić. Czekam potem, bardzo podekscytowany, aż kuszetkowy w uniformie przyniesie białe, wykrochmalone prześcieradła i pościeli mi łóżko. Nagle znów jestem chłopcem jadącym z Nong pierwszą klasą na północ; matka ma mnóstwo kasy zarobionej podczas pobytu u monsieur

Truffauta w Paryżu. Stuk-stuk, stuk-stuk, może i moja mama nie należy do najszacowniejszych na świecie, ale z pewnością jest najsprytniejsza. Stuk-stuk, stuk-stuk, mamy pieniądze w banku i na lekarstwo na oczy dla babci, i zapłaciliśmy czynsz. Mamy spokój co najmniej na miesiąc. Stuk-stuk. Umiejętność rozweselenia samego siebie to pierwszy krok ku oświeceniu. Zabawnie jest sprzeciwić się Vikornowi, który myśli, że zająłem się sprawdzaniem Yammy'ego.

Budzę się o brzasku, w czystym powietrzu. To wiejska stacja z jednym peronem, ale na podróży czeka kilka taksówek. Umawiam z kierowcą cenę za cały dzień i wyruszamy na piknik.

Wioska Śpiący Słoń to właściwie przysiółek, nie ma tu nawet siedziby wójta. Odróżnia się od krajobrazu nieco większą gęstością zabudowy. Posterunek, na którym trzymają Bakera, ma wielkość wiejskiego sklepu z dobudówką, w której mieści się pięć cel. Za budynkiem pasie się, nie wiedzieć czemu, srebrzysty bawół. Młody policjant za biurkiem zajmuje się właśnie karmieniem małpki. Pokazuję mu legitymację i oznajmiam, że prowadzę dochodzenie w sprawie niejakiej Damrong Baker, co zupełnie nie robi na nim wrażenia. Mówię więc, że *farang* Baker, jej były mąż, jest głównym podejrzanym w sprawie. Mruga zdziwiony: *No i co z tego?*

— Imigracja — wyjaśniam. — Trzymacie tu *faranga*, który próbował wczoraj nielegalnie przekroczyć granicę. Oni nie mają aresztu, więc facet siedzi u was. — Jego brew przypomina kawałek drewna z przyklejonymi włoskami. Okazuje się, że głupotę można udawać ze względów strategicznych.

Problem z policją na wsi polega na tym, że ktoś taki jak wiejski policjant w ogóle nie istnieje. Można tu liczyć co najwyżej na młodego wieśniaka czy młodą wieśniaczkę, którzy potrafią nosić mundur bez wpadania przy tym w poważne tarapaty. Ci ludzie są jednak lojalni przede wszystkim wobec swoich, a ja jestem z pogardzanego wielkiego miasta. Według wszelkich

zasad powinienem go podplącić, ale odrzucam ten pomysł, tym bardziej że chłopak jest za młody i do niczego mi się nie przyda. Postanawiam skoncentrować się na małpce. To jeszcze dziecko, emocjonalnie zależne od młodego policjanta. Patrzy na mnie wielkimi wilgotnymi oczami, potem uczepia się jego szyi, wskakuje na głowę, trzyma w maleńkich łapkach pęczki jego włosów.

Wreszcie policjant z małpą na głowie spogląda wprost na mnie. Nie jest całkiem pewien, czy rozmowa ze mną jest bezpieczna, a ja nie jestem pewien, czy on w ogóle mówi po tą jsku; jak na razie zdobył się tylko na parę słów w lokalnym khmerskim dialekcie. No, ale zyskałem jego uwagę.

— Daj mi szefa — rzucam.

Kiwa głową i mówi kilka słów do telefonu.

Szef, tak jak przypuszczałem, podsłuchiwał z drugiego pokoju. Wkracza teraz, dopinając guziki swego munduru sierżanta i ocierając usta. Jest po czterdziestce, a spojrzenie ma po pijacku buńczuczne.

— Czy macie w areszcie *faranga* o nazwisku Baker? — pytam.

Sierżant przymierza się do pokręcenia głową, więc przerywam mu, mrużąc oczy i koncentrując się na szóstej czakrze. Gdy to nie pomaga, mówię:

— Pułkownik Vikorn, szef Okręgu Ósmego w Bangkoku, będzie bardzo na pana zły, jeżeli wziął pan pieniądze, a potem wystawił go do wiatru. Czy dostał pan wczoraj łapówkę od Bakera?

Sierżantowi nawet się nie śniło, że jeszcze w tym życiu znajdzie się na widelcu. Jego strategia przetrwania w obecnym cieple polega na kopaniu puszek po ulicy jak najdalej od siebie, żeby ktoś inny ją podniósł... albo też kopnął. Posterunek leży piętnaście kilometrów od najmniejszego, najmniej uczęszczanego i najbardziej zacofanego technologicznie przejścia granicznego w Tajlandii, miał więc mnóstwo okazji do rozwijania tego *modus operandi* aż do poziomu sztuki. I teraz ma poważny

problem, bo nagle przedstawiono mu do zapłaty karmiczny rachunek, którego spodziewał się dopiero za jakieś dwieście lat.

— Aż do wczoraj nie słyszał pan o pułkowniku Vikornie, co? — Kręci głową. — Myślał pan, że to jakiś goguś ze stolicy, który podrzuci panu trochę kasy, a potem pozwoli sprzedać Bakera z powrotem Bakerowi albo Imigracji, albo komukolwiek, i wykręcić się jakimś marnym kłamstwem, że uciekł z aresztu i przedostał się za granicę, i jakie to straszne, że nie macie funduszy na porządne więzienie. Zgadza się?

Idiota mruga i kiwa głową: *Przecież wszyscy tak robią, nie?* Ja też kiwam głową w zamyśleniu. Chyba nie ma innego wyjścia jak zadzwonić do Vikorna i przyznać się, że zamiast rozwijać jego pornograficzny biznes, wyrabiam nadgodziny w policji. Wyjmuję komórkę, a sierżant patrzy na to z lękiem w oczach.

Gdy Vikorn odbiera, prześlizguję się gładko nad moją nie-subordynacją i przechodzę do rzeczy: oto wiejscy gliniarze robią z mojego pułkownika idiotę. Wzięli od niego pieniądze, a potem pozwolili uciec Bakerowi, najpewniej w zмовie z Imigracją, którą Baker też musiał przekupić. Kiedy oddaję telefon sierżantowi, ciśnienie po drugiej stronie wynosi jakieś tysiąc funtów na cal kwadratowy. Przyglądam się z ciekawością, jak twarz dowódcy posterunku purpurowieje, bieleje, szarzeje. Bełkoce tylko: „tak, tak, tak” i oddaje mi komórkę mocno drżącą ręką. Łapie za telefon na biurku i wybiera numer, chyba trzycyfrowy. Trajkoce coś po khmersku i bardzo szybko jego głos przechodzi we wrzask. Nie znam khmerskiego, ale stawiam diamenty przeciwko orzechom, że mówi coś w tym stylu: „Weźcie go, kurwa, przyprowadźcie z powrotem, albo jesteście wszyscy, kurwa, skończeni”. Pokazuje mi teraz niecierpliwym gestem, żebym szedł za nim — jakbym to ja był przyczyną opóźnienia. Ruszam więc jego śladem na tyły posterunku, gdzie stoi zaparkowany jeep z napędem na cztery koła. Ale nie stara, wysłużona, policyjna toyota, jaka musiałaby wystarczyć policji w stolicy; nie, proszę państwa, to jest range rover sport TDV6 4WD w kolorze rdzawy metalik. Pięć minut później

rozumiem już, dlaczego potrzebują tutaj dobrej terenówki. Nowiutka tłuczniowa droga prowadząca do przejścia granicznego jest najwyraźniej dla mięczaków; sierżant wybiera szarzę dobrze wyjeżdżonymi koleinami, które prowadzą przez gęstwinę dżungli. W niecałe pięć minut przejeżdżamy przez rozwalony płot z drutu kolczastego i ignorując czaszkę ze skrzyżowanymi puszczelami, przestrzegającą przed nielegalnym przekraczaniem granicy, kierujemy się do posterunku granicznego po stronie khmerskiej. Równocześnie z nami podjeżdża tam swym range roverem sport (szary metalik) oficer tajskiego Urzędu Imigracyjnego. Identyfikuje mnie natychmiast jako źródło swoich problemów i marszczy brwi. Niemniej wbiega natychmiast do budynku i kiedy wchodzimy z sierżantem do środka, widzimy, jak nachylony nad biurkiem kambodżańskiego strażnika krzyczy na niego po khmersku. Znów w tłumaczeniu muszę zdać się na intuicję.

Tajski oficer: *Oddawajcie go w tej chwili. Mamy poważny problem.*

Kambodżański strażnik: *Wal się, kolego. Zapłacono nam i wbiłszy mu pieczętę do paszportu.*

Tajski oficer: *Paszport jest fałszywy.*

Kambodżański strażnik: *Wiem o tym. Inaczej nie musiałby nam płacić.*

Tajski oficer: *Czy nie rozumiesz, że możemy przez to wpaść?*

Kambodżański strażnik: *Tylko ty wpadniesz, kolego. A twoi następcy nie będą uczciwsi od ciebie.*

Tajski oficer: *Proszę.*

Kambodżanin patrzy przez okno na dwa range rovery.

Tajski oficer: *Którego chcesz?*

Kambodżański strażnik: *Obydwa.*

Tajski oficer: *A czym my wrócimy?*

Kambodżanin wskazuje głową dwa zaparkowane przy je-epach motorowery.

Tajski oficer: *Czy farang może chodzić?*

Kambodżanin rozmyśla chwilę nad tym pytaniem. W końcu mówi: *Dobra, podwieziemy was.*

Wychodzimy z budynku; dwa wysłużone motorowery zostają załadowane na tył jednego z jeepów, a potem z jakiejś zatechłej nory pod budynkiem wyprowadzają Bakera. Musi mu pomagać dwóch ludzi, a mimo to głowa Amerykanina niebezpiecznie się kiwa. Pod lewym okiem ma dużego barwnego sińca.

— Pierdolone Kambodżańce — mówi do mnie po tajsku oficer z Imigracji. Ale kambodżański strażnik też zna tajski.

— To oni zrobili. — Pokazuje na tajskiego policjanta.

— Na pewno nie my — odpowiada tamten, wskazując na siniak. — My używamy książki telefonicznej, nie zostawiamy śladów. Coś takiego mogli zrobić tylko barbarzyńcy, tacy jak wy.

— Tak? To dlaczego nie mógł chodzić, gdy go przywieźliście zeszłej nocy? Wy wiedzieliście, kim on jest, my nie. Biliście, żeby wydusić z niego więcej pieniędzy.

Sadowią Bakera na przednim fotelu. Sprawdzam mu puls; jest zaskakująco równy i mocny. Inne oznaki życia są równie obiecujące. Zastanawiam się, czy i on też się nie posłużył strategiczną pantomimą. Może jego stan nie jest aż tak zły, jak na to wygląda?

— Leż spokojnie, cienki bolku, dopóki stąd nie wyjedziemy — szepczę do niego.

Wracamy tą samą drogą przez dżunglę i po pięciu minutach stajemy przed wiejskim posterunkiem tajskiej policji. Baker zostaje wyciągnięty z auta i oparty o ścianę, motorowery wyładowane. Tajscy gliniarze wyglądają na skwaszonych, gdy Kambodżanie wracają ich range roverami na swoją stronę granicy. Sierżant nagle odzyskał jaja.

— Zabieraj go stąd — mówi. — Musisz wziąć taksówkę, my już nie mamy transportu. — Spogląda z żalością na motorowery.

A ja spoglądam na Bakera i zastanawiam się, czy wytrzyma dwanaście godzin podróży do Krung Thep.



— Macie jakieś środki przeciwbólowe? — pytam.

Sierżant tylko się krzywi, więc grożę, że znów zadzwonię do Vikorna.

— To może opium? Nic innego nie ma.

Wzruszam ramionami. Sierżant wchodzi do budynku i wraca po kilku minutach z długą fajką o blaszanej główce, klinikiem czarnego opium między dwoma przezroczystymi kwadratami z plastiku oraz kilkoma tabletkami. Tabletki to paracetamol, który miesza z opium, żeby było mniej kleiste. Następnie umieszcza szczyptę w główce fajki i podpala zapalniczką. Opium skwierczy i pieni się, sierżant najpierw zaciąga się sam, po czym podaje fajkę Bakerowi, który przysysa się do niej z niespodziewanym entuzjazmem. Przez piętnaście machów udaje mu się symulować cierpienie, aż w końcu nie potrafi już ukryć uczucia boskiej błogości, które przenika go na wskroś.

— Chyba już może ruszać w drogę — mówię do policjanta, a on pomaga mi umieścić Bakera na tylnym siedzeniu taksówki.

Kiedy docieramy do stacji kolejowej, Baker jest pogrążony w głębokim opiumowym śnie. Muszę zapłacić taksówkarzowi ekstra, żeby mi pomógł wnieść go do pociągu i ułożyć na siedzeniach w przedziale pierwszej klasy. Pociąg rusza, a ja zaciągam zasłony w oknach i oddycham z ulgą. Po upływie kilku godzin Baker wciąż nie zamierza porzucić swego rajy na rzecz sterylnego przyłodka [Hamlet], wpuszczam więc w jego sen imię *Damrong*, szepcząc mu je wielokrotnie do ucha, powoli i wyraźnie. Nagle otwiera oczy, wypełnione tym światłem, którego od lat sześćdziesiątych nie widuje się już w oczach *farangów*, i mówi:

*W ogóle z wiekiem nie więdnie. Jej powab*

*Jest nieskończony, nigdy się nie znudzi.*

*Podczas gdy inne kobiety z łatwością*

*Głód żądz mężczyzny zaspokoić mogą,*

*Ona, gdy karmi, głód ich tylko wzmacnia.*

*Nawet najbardziej rozpustne uczynki*

*W jej wykonaniu nie zdają się grzeszne.*

*Święci kapłani gotowi są dawać  
Błogosławieństwo jej czynom wszetecznym\*.*

\* Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, tłum. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski.

— Przedstawienie szkolne — wyjaśnia z kołtuńskim uśmiechem. — Grałem Enobarbusa. — I znów zamyka oczy.

Narkotyczny przyływ ustępuje dopiero na przedmieściach Krung Thep. Baker obmacuje gniewny siniec pod okiem i inne miejsca, w które był bity. Kiedy jednak zaczyna opowiadać o swej wewnętrznej podróży, widać, że umysł ma pobudzony mocniej niż ciało.

— Monochromatycznie, w odcieniach szarości, biała posadzka z wielkich płyt, z dziesięć metrów kwadratowych, a między nimi czarne, jak na gigantycznej szachownicy. Na każdym kwadracie szare kręcone schodki prowadzą na szarą platformę. Ona jest barwą: głównie złoto z zielenią, olśniewające, z ciemną purpurą, oranżem, fioletem, z odblaskiem barwnego światła na jedwabnej szacie; schodzi z platformy w pustkę. Przejść na następne pole i znowu spiralne schody, tym razem wyższe niż poprzednio; ta sama konwencja: ona jako jedyny barwny obiekt w tej szarości, schodząca w pustkę. I tak dalej, w nieskończoność, schody za schodami, każde następne wyższe od poprzednich, Damrong za Damrong — a każda w innej sukni.

Rozumiesz? I zawsze daje krok w zupełną pustkę. — Chwyta mnie za ramię. — Przychodzi do mnie co noc, taka świetlista, złoto-zielona. Rządzi moim kutasem, moim orgazmem, wszystkim. Potrafi przedłużać to godzinami, dosłownie przez całą noc, albo dochodzę w pięć minut i cześć. Co noc, rozumiesz? — Wbija we mnie paznokcie. — Chcę skoczyć w tę pustkę razem z nią, ale brak mi odwagi.

Zadzwońłem wcześniej na komendę i pod dworcem Hu-alamphong czeka na nas policyjna furgonetka.

Jesteśmy małąkami ludzikami wiszącymi na magicznej bransoletce nieskończoności. Gdy nasze ciała się zużyją, przeniesiemy się w inne. Kim będę w następnym — krawcem, kolarzem, tygrysem, muchą? Demon, Budda, góra, wesz — wszystkie rzeczy są równe w swej esencji, są pustką. Ale czy za pięćdziesiąt lat będzie jeszcze istniała planeta, na której warto się odrodzić? *Chart na* znaczy „następne życie”, jako buddysta troszczysz się o nie. Nie tylko o swoje, lecz także o życie Ziemi, bo i ona również jest żywą istotą, której karma nierozzerwalnie splata się z naszą.

Z każdym rokiem wzrasta temperatura — potwierdzono to w końcu oficjalnie. Nawet uczeni związani z rządem amerykańskim nie zaprzeczają, że będziemy jedynym gatunkiem w historii wszechświata, który na własne życzenie usmażył się na śmierć. Rano oglądałem na kablówce BBC i niemal się spodziewałem, że spiker wpadnie w alarmujący ton, lecz on tym samym głosem mówił o ptakach, śmierci i piłce nożnej. To oczywiście nie jego wina, już on najlepiej wie, jak bardzo niemodna jest normalność; jednak gdy umysł buduje swą równowagę na zaprzeczaniu, reakcja jest zazwyczaj taka sama: zachowujmy się jak gdyby nigdy nic, nadal spalajmy węgiel. W końcu pojawi się ekologiczny faszyzm. Gdy zaczną topnieć

Himalaje, przywódcy krajów anglojęzycznych zagrożą krajom Trzeciego Świata (używającym nadal paliw kopalnych), że zmieniają je w grzanekę za pomocą bomby atomowej. A to z pewnością powstrzyma globalne ocieplenie. Prawda?

Wreszcie siedzimy, FBI i ja, w taksówce, która wiezie nas do magazynu w Chinatown nad rzeką Chao Praya. Vikorn wynajął, a teraz już kupuje to miejsce dla rozwijania artystycznej gałęzi swego imperium. Chyba strzeliłem gafę, informując Kimberley o nowym punkcie w moim zakresie czynności, ponieważ tak się składa, że nienawidzę swojej nowej roli. Żeby się zmusić do wizyty w atelier Yammy'ego, muszę najpierw wypić kilka piw.

W kafejce nad rzeką zamawiam klostera, a Kimberley ku memu zdziwieniu przyłącza się do mnie. Łapiemy chwilę oddechu, przyglądając się rzece, która jak zwykle tętni życiem. Środkiem płyną jaskrawo wymalowane holowniki ciągnące barki ozdobione na dziobie wielkimi oczami. W górę i w dół rzeki suną z warkotem długie łodzie z zamontowanym na żurawiku silnikiem autobusowym i wałem korbowym długości pięciu metrów, wyładowane turystami. Dla wielu ludzi dojeżdżających do pracy rzeka jest nadal jedyną trasą bez korków, więc długie, wąskie promy pasażerskie też są zatłoczone; przybijają i odbijają od przystani przy wtórze historycznych gwizdków sterników, którzy uwielbiają udawać, że cudem uniknęli katastrofy.

FBI prawie nigdy nie pije, lecz z naszych rozmów telefonicznych wiem, że od przyjazdu do Tajlandii jest w dość dziwnym stanie. Oczywiście interesuje się sprawą i to, czego dokonała do tej pory, łączy się z jej pracą w Ameryce. Jednak agenci FBI, nawet tak inteligentni, nie wskakują w samolot ot tak, tylko z powodu telefonu od przyjaciela. Choć jestem zachwycony, że mam ją przy sobie, cała ta sytuacja mnie zastanawia. Właściwie nasza przyjaźń uległa zawieszeniu na ponad rok i odżyła dopiero po nagłym telefonie, specjalności *farangów*. „Cześć, Sonchai, co tam u ciebie?”. Jakby dzwoniła z budki na rogu, jakbyśmy byli cały czas w kontakcie. U mnie był środek

nocy i chwilę potrwało, zanim oprzytomniałem. Musiałem wyjść z komórką na dwór, żeby nie zbudzić Chanyi i Kluski (ale nie powiedziałem: „Kimberley, czy ty zdajesz sobie sprawę, że u nas jest trzecia w nocy?”). Tajska kurtuazja). Moje podejście zaczęło się zmieniać, gdy zrozumiałem poziom jej nieszczęścia. W miarę jak głos Kimberley przygasał, we mnie wzbierało współczucie, ale gdy zebrało jej się na amory, musiałem powiedzieć o Chanyi i dziecku. To ją na moment otrzeźwiło. Właściwie nie przyznała się nawet, że fantazjuje o tym, żeby żyć długo i szczęśliwie z szurniętym gliną z Bangkoku, z którym los związał ją przy sprawie pytona. (Taj transseksualista [z mężczyzny w kobietę] zamordował wówczas czarnego Amerykanina, żołnierza piechoty morskiej, używając nafaszerowanych narkotykami kobr i wielkiego pytona). Nie przyznała się więc i stopniowo zaczęło wychodzić na jaw, że jej potrzeby mają charakter pozahormonalny. „Doszłam już tutaj do ściany, Sonchai. Poza Stanami nie mam zbyt wielu przyjaciół, właściwie tylko ciebie. Ameryka to wielki kraj, ale czasami zaczyna się tu człowiekowi robić ciasno”. I tak sobie gawędziliśmy podczas kolejnych nocnych rozmów, aż w końcu sprawa Damrong dała nam konkretny temat do dyskusji. Ale nie spodziewałem się, że taka superagentka jak Kimberley od razu wsiądzie w samolot. Tak więc, pomijawszy sprawę, czekałem na jakiś sygnał z jej strony, że jest gotowa na coś głębszego i sensowniejszego. Zabrało mi to cały tydzień (są takie miejsca w duszy *faranga*, do których nawet mnie trudno jest dotrzeć), ale przekonałem się, że pod tą twardą skorupą, bezwzględnie ekstrawertyczną i wyznającą zasadę „nie brać jeńców”, mieszka raczej nieśmiała dziewczyna, która nieczęsto miała sposobność otwarcia serca przed innymi.

W tym momencie jednak nie rozmawiamy o jej nastroju, tylko o moim.

— To zabawne, że tak nie znosisz pornografii, zważywszy na to, że... no wiesz — mówi FBI.

— Że jestem związany z branżą od dziecka i pracuję w burdelu? To nie to samo, Kimberley.

— A na czym polega ta głęboka moralna różnica?

Szukam właściwych słów. W rzeczy samej „moralna różnica” to odpowiednie określenie.

— Na spontaniczności. Dziewczyna z Isaan przybywa do Krung Thep, czuje się osamotniona, wystraszona, jest biedna i z dala od bliskich. Facet w średnim wieku przyjeżdża z Zachodu i też jest osamotniony i wystraszony — ale bogaty. Są jak dwie strony tej samej monety. Bar mojej matki umożliwia im tylko nieuniknione spotkanie, zapewnia piwo i muzykę, zakwaterowanie na krótko — i bierze za to niewygórowaną opłatę. Całą historię napędza zdrowa, pierwotna ludzka potrzeba zwierzęcego ciepła i ukojenia. Przez wszystkie te lata w branży tylko kilka razy byłem świadkiem poważniejszego wykorzystania jednej strony przez drugą. Prawdopodobnie jest tak dlatego, że wszystko to działa perfekcyjnie jako wyraz naturalnej moralności i takiego organicznego „kapitalizmu u podstaw”. Ja to widzę tak, że my jesteśmy jak pośrednik w handlu nieruchomościami, tyle że handlujemy ciałami, a nie działkami budowlanymi. Ale aranżowanie tego wszystkiego, filmowanie z całą wymyślną choreografią, żeby jakiś sflaczały grubas w Sussex, Bawarii, Minnesocie czy Normandii mógł sobie zwalić konia, nie płacąc marży za swoje fantazje — to jest dla mnie uderzająco niemoralne, prawie jak zbrodnia przeciwko życiu. Różnica polega tak naprawdę na tym, że w burdelu ludzie robią to naprawdę. Nie ma w tym oszustwa.

FBI kręci z uśmiechem głową.

— Jesteś niemożliwy, Sonchai. Można by nawet powiedzieć, że lekko szalony. Ale jak tak ciebie słucham, to jest w tym jakiś sens, w każdym razie w chwili gdy to mówisz. Jak ty to robisz, że masz tyle wolności w umyśle? Skąd to się bierze? Czy wszyscy tajscy alfonsi są tacy?

— Nie — odpowiadam. — Ja chyba jestem dziwny.

Kimberley osuszyła dość szybko butelkę klostera i chyba popada w depresję. Zamawia jednak kolejną i pije łąpczywie z gwinta. „Robią to naprawdę”, mruczy z zadumą.

— To właśnie słabość Zachodu — mówi. — Może dlatego tak kochamy wojny: zaspokajają głód prawdziwości.

Rzuca mi zagadkowe spojrzenie, jeszcze takiego u niej nie widziałem.

— Zmieniłaś się — mówię. — I to bardzo. Co się stało?  
Kolejny haust z butelki.

— Stuknęło mi trzydzieści pięć. Połówka. I wreszcie mi zaświtało, że cały opis rzeczywistości miałam dotąd z drugiej ręki. Moje pokolenie kobiet nigdy się nie buntowało, uważałyśmy, że nie musimy. Dostało nam się w spadku przesłanie nienawiści, wystarczyło je tylko trochę podrasować. Ja swojego ojca prawie nie widywałam — matka o to zadbała. A w najważniejszy związek mojego życia weszłam chyba tylko po to, żeby być suką, żeby dać wyraz nienawiści. Czy to nie chore?

Jak można odpowiedzieć na takie pytanie? Zmieniając temat.

— Po co właściwie przyjechałaś do Bangkoku?  
Westchnienie.

— Może właśnie dla tej rozmowy? U nas już się tak nie rozmawia, wiesz? Może to modernizm: wymieniamy między sobą plemienne odgłosy, żeby mieć poczucie przynależności. Przyjechałam dla twojego umysłu, Sonchai. Chanya niech sobie ma twoje ciało, zasługuje na to. To bardzo inteligentna kobieta. Naprawdę trudno mi jest patrzeć na was dwoje razem. Za tę waszą przytulną, niewypowiedzianą, autentyczną miłość najchętniej bym was aresztowała. Coś takiego w Stanach chyba nie istnieje, działa tu bardzo potężne tabu. Nie wypada marnować tyle czasu na kochanie, trzeba robić pieniądze.

— Idziemy — mówię.

— Chcę jeszcze piwo.

— Nie.

W taksówce przez chwilę cieszymy się ciszą.

— Byłam mężatką. Okłamałam cię. I oczywiście skończyło się rozwodem.

— Dzieci?

— Jedno. Chłopiec. Pozwoliłam mu zostać przy ojcu. Mój mąż powiedział, że jeśli dziecko zostanie ze mną, to przepadnie. I obawiam się, że mógł mieć rację. Byłam jak bomba

samonaprowadzająca, zaprogramowana na niszczenie wszystkiego, co męskie. — Milczy przez dłuższą chwilę. — To bardzo dawne czasy, właściwie byłam prawie nastolatką. A kiedy związek się rozpadł, wstąpiłam do FBI. Uznałam, że skoro już jestem urodzonym mordercą mężczyzn, to mogę się postarać o licencję. Kimberley przemyciła jakoś do taksówki puszkę piwa, którą otwiera i unosi do ust.

— Nie wiem, Sonchai, jak to jest — mówi. — Gdy tylko człowiek zaczyna szukać sensu, od razu się gubi. A gdy go nie odnajdzie, też będzie zagubiony. *Kim jestem, skąd przychodzę, dokąd idę?* Ni cholery nie wiem. W małżeństwie sobie nie radzę, mój poziom tolerancji tak wysoko nie sięga. Ale gdyby jakiś kochanek utrzymał się dłużej niż przez weekend, mógłby poprawić moją stabilność emocjonalną. — Wychyla porządny łyk piwa. — No a teraz się masturbuję — mówią jej Tragiczne Usta — co noc, cholera, co noc. Może powinnam sobie kupić dmuchanego chłopaka?



Żeby sprawdzić, czy jest się w Chinatown, najlepiej liczyć sklepy ze złotem. Jeśli na każdym rogu nie ma przynajmniej jednego, chyba zabłądziliście. Szyldy są nieodmiennie czerwone, z żółtymi chińskimi znakami, a złoto wyjątkowo lśniące, aż krzyczy z każdej wystawy. Wiele z nich to nawet nie sklepy w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz pomieszczenia rozmiarów magazynu, z wagą szalkową na ladzie i uzbrojonym w strzelbę Sikhem w turbanie jako ochroniarzem; światło neonówek odbija się jaskrawo w niekończących się szeregach złotych Buddów, złotych smoków, złotych pasów, złotych naszyjników, złotych bransolet. Druga branża to odzież: zatłoczone wąskie uliczki, zastawione straganami z każdym możliwym rodzajem ciuchów z bawełny czy jedwabiu, w zaskakująco niskich cenach.

FBI jest podpita po tych kilku piwach i chwytą mnie za rękę, gdy chcę płacić taksówkarzowi.

— Czy wiesz, że ja w ogóle nie znam zwyczajnej radości?



Bardziej skomplikowane, mroczniejsze uczucia tak, ale radości nie. Tak samo jest z moimi przyjaciółkami. W wieku pięciu lat zarazili nas psychozą wygranej. Ale ty znasz radość, Sonchai, i to jest dopiero czadowe. Jesteś synem kurwy, alfonsiem, który prowadzi burdel, pracujesz w najbardziej skorumpowanej policji w Azji, ale pozostałeś niewinny. Nigdy w życiu nie złamałam prawa, nie oszukałam, nie skłamałam, nie wykonałam żadnego przekreślenia, ale jestem zepsuta. Czuję się brudna przez okrągłą dobę. Czy oprócz mnie ktokolwiek na tej planecie rozumie, co to oznacza? Wy jesteście zrobieni z materiału o połowę lżejszego niż my. Dlaczego tak jest?

— U nas nie ma grzechu pierwotnego — wyjaśniam, wręczając kierowcy sto bahtów. — Tego metalowego pręta, wbitego w czaszkę. Po prostu nas to nie dotyczy.

Vikorn postawił przed budynkiem kilku policjantów w cywilu. Poznają mnie i wchodzimy do studia Yammy'ego, gdzie Marly i Jock-z-Edem rozmawiają o wojnie w Iraku, odziani w białe jedwabne szlafroki z czerwonym obrzeżem. Gdy FBI spozstrzega Eda, czuję w niej seksualny dreszczyk. Pozwólcie, że wyjaśnię, kim jest Jock-z-Edem.

Stanowią zespół, sławny w całym przemyśle porno Bangoku. Zatrudnia się ich zawsze, gdy kadłubowy scenariusz wymaga wypełnienia kadru ciałem *faranga*. Ed jest... no, po prostu wspaniały. Męskie zwierzę z muskularną klatą, która lśni zawsze od oliwki dla niemowląt, o potężnych udach, które zadowolilybyby lwicę, zgrabnej budowy, z orlim nosem emitującym erotyczny ogień przy każdym wydechu, uwodzicielskim spojrzeniem dziecinnych niebieskich oczu i wiele mówiącym dołączkiem w brodzie, który jest tak amerykański, że mógłby go wynaleźć Henry Ford. (Tak naprawdę Ed jest londyńczykiem z Elephant and Castle i mówi cockneyem). A z drugiej strony karmicznej wagi, ma żałośnię... hmm, jak to powiedzieć? Jego interes nawet w pełnej krasie nie ma rozmiarów Big Maca, którego mogłaby pożerać oczami jakaś napalona babcia w Omaha, pałaszując obiad z mrożonki. Wymaga wspomagania — czyli

zastosowania magii srebrnego ekranu, której oszustwa tak uwielbiamy. A teraz Jock. Mikry, półtorametrowy Szkot, mówiący gardłowym dialektem bez spółgłosek, łysy i z brzuszkiem (powstałym dzięki heroicznej wierności piwu), niemal bez zarysowanej brody, o obleśnych ustach, których pocałunku nie życzyłbyś najgorszemu wrogowi — wyposażony jednak (zgadliście!) w gigantycznego członka, którego hydraulika działa na zawołanie.

Jock-z-Edem to nierozłączni przyjaciele i prawdziwi fachmani, którzy taksują Kimberley wzrokiem z góry na dół, jak klacz na końskim targu. Ich przypuszczenie, że przyszła tu do pracy, jest w tych okolicznościach całkowicie zrozumiałe.

A teraz Marly: zapewne pamiętacie, że pracuje u nas i została wybrana osobiście przez Vikorna ze względu na swe wyjątkowe walory. Dzięki świetnej znajomości angielskiego rozumie wskazówki sceniczne Yammy'ego, które, jak mi powiedziano, stopniem komplikacji przewyższają znacznie normy w tej branży. Widząc w Kimberley potencjalną rywalkę na planie, nie odpowiada od razu na jej przesadnie serdeczny, pijacki uśmiech. Zostawiam więc FBI z jej ofensywą wdzięku i czaru (jest wyraźnie zafascynowana chłopakami, dziewczyną, łóżkiem, światłami i kamerami — do tego stopnia, że jej usta wydymają się lubieżnie), a sam idę poszukać Yammy'ego, który udał się na twórczą przerwę do swego biura. Znajduję go skulonego przy butelce sake.

— Cześć — wydusza z głębi swej niezmiętej depresji. — Przyszedłeś sprawdzić, czy nie marnuję mięsa?

— Nie utrudniaj, Yammy. Ja tylko wykonuję swoją robotę. Pije wino ryżowe wprost z gwinta.

— Słuchaj, miałem taki świetny pomysł, totalny surrealizm, z kobrą i młodym tygrysiem, białe kimono, Kioto wprost z Hokusai... — Chwyta moje spojrzenie, jedną dłonią wykonuje bezradny gest i osuwa się znów w rozpacz.

— No i? W czym problem?

— Nie rozumiesz? Byłoby o wiele bardziej erotycznie, gdyby zostali w kimonach! Błagam cię, Sonchai.

Kręcę głową, choć w pełni mu współczuję.

— On tego nie łyknie. Ale to też nie jego wina, tylko konsumenta. Jeśli nie będzie brutalnie obsceniczne, poważne sieci hotelowe tego nie wezmą.

— Wiedziałem, że to powiesz.

— A może zrób jedno i drugie? Subtelna erotyka w kimonach, a potem standard na golasa?

Kręci z rezygnacją głową.

— To by zburzyło równowagę estetyczną. Kompletna popelina.

— Nie próbuj mu tego tłumaczyć, Yammy, nie ma sensu. Powie, że film ma zarobić pieniądze i tyle.

Milczenie. I po chwili:

— Zastanawiałem się. Znalazłem paru inwestorów w Japonii. Zgadzą się na pół na pół. Zrobimy skromny, artystyczny kawałek w stylu japońskim, za jakieś pięćdziesiąt milionów. Muszę tylko gdzieś zdobyć te drugie dwadzieścia pięć.

— Yammy, już to przerabialiśmy. On nie jest przeciwko tobie, po prostu nie pasujesz do profilu.

— Tak? A jak właściwie wygląda przemytnik, któremu się wieszcie?

Przyglądam mu się przez chwilę: neurotyczny, mruga, krzywi się niczym koń gryziony przez gzy, zdesperowany bliskością wieku średniego, piętno więzienia w zapadniętych policzkach i stężonych bruzdach pod oczami.

— Nie tak jak ty, Yammy — mówię. — Każdy celnik, który by cię nie przeszukał za samą facjatę, wyleciałby z pracy.

Wiem z doświadczenia, że nie ma sensu tu siedzieć i go przekonywać. Yammy robi wszystko w swoim tempie albo wcale. Wracam na plan, gdzie FBI przepytuje Marly.

— A mnie się zawsze zdawało, że takim kobietom jak ty świetnie by się wiodło w Stanach — mówi Kimberley z uśmiechem. — Co się właściwie stało?

— To nie jest takie proste, jak się wydaje — tłumaczy Marly. — Jak odgrywałam bidulę z Trzeciego Świata, przychodzili impotenci ze skrwawionym sercem; jak próbowałam tajskiej

kurwy w stringach, zjawiali się geriatrycy na viagrze. — Z cieniem agresji kontynuuje: — A czemu pytasz? W co grasz?

— W postmodernizmie — odpowiada Kimberley. — Mam wibrator.

— Kręcimy za minutę! — krzyczy Yammy, wychodząc z biura i ociekając nagle autorytetem. Marly i Jock-z-Edem zrzucają natychmiast szlafroki, są teraz całkiem nadszy. Marly podchodzi do łóżka i pochyla się nad nim, oparta na rękach, tak żeby piersi swobodnie dyndały.

— Możemy dalej rozmawiać — zwraca się do Kimberley. — W tym ujęciu kręca tylko tyłek.

Na dany znak Ed zaczyna smarować oliwką jej pośladki o kształcie jabłka, jak gdyby polerował chińską wazę.

— Na co patrzysz? — pyta Marly FBI i ogląda się przez ramię. — Ach, Jock. Niesamowity, co? Na ulicy nawet byś na niego nie spojrzała, ale to świetny fachowiec, najlepszy w branży. Może to robić nawet po pijaku. Jakby miał hydraulicznego. I jest olbrzymi.

Kimberley wyraźnie doskwiera burza hormonów.

— Powiedz mi, czy kiedy to robisz, to czujesz się, jakbyś pieprzyła cały feministyczny matriarchat?

— Nie — odpowiada Marly, marszcząc brwi. — Jakbym pieprzyła cały tajski patriarchat.

— Zawsze coś. — Kimberley kiwa głową.

Yammy daje jej znak, żeby się cofnęła.

— Scena dwunasta, ujęcie pierwsze! — woła. Marly od razu zaczyna jęczeć. — Stop! — krzyczy Yammy. — Jeszcze w ciebie nie wszedł — tłumaczy jej. — Jak zaczniesz od werbli, to co ci zostanie na crescendo? — Sprawdza coś w leżącym na stole laptopie. — Poza tym nie ustawiałaś się dokładnie, kochana — rzuca przez ramię, klikając myszką. — W dolnej kamerze mam twoją lechtaczkę i górę cipki, ale obetnie nam połowę fiuta Jocka. Przesuń pośladki minimalnie do przodu. Świetnie. Doskonale. Niech twoje ciało zapamięta tę pozycję. Jock, sflaczałeś?

— Nie, wrzuciłem na luz — odpowiada ogier, patrząc w dół.

— Dobra, pamiętaj, nie grzmoć jej na całego, bo ją wypchniesz z kadru i zamiast cipki będziemy oglądać twoje włochate jaja. To ma wyglądać na bezlitosne rżnięcie, ale nie używaj presji w poziomie. Łagodnie kontrolowana orka wychodzi najlepiej. Jasne?

— Tak jest — mówi Jock.

— Grzeczny chłopiec. — Yammy'emu wyraźnie poprawił się humor. Prometejska wola prawdziwego artysty pomogła mu pokonać desperację. — Chciałbym mieć jego sprawność — mówi do mnie z uśmiechem. — Marly, kochanie, pamiętaj: nasz piękny Ed poleruje ci tyłek jakby to była waza z dynastii Sung. Ty wiesz, co się potem wydarzy, ale nie wiesz kiedy, a on cię drażni do granic szaleństwa. Proszę o udrękę oczekiwania na twarzy. Dziękuję, tak trzymaj. Jeszcze trochę języka; nie, nie wystawiaj całego, chcemy mieć tylko czubeczek między tymi zgłodniałymi wargami. Doskonale. Ujęcie drugie.

Ujęcie drugie to penetracja z Jockiem w roli głównej. Zerkam na FBI.

— Idźmy już, co? — jęczy. — Muszę posiedzieć w chłodzie albo znaleźć faceta.

Dopiero teraz spostrzegam wysokiego, atletycznego Anglika po czterdziestce, w sportowym garniturze o nienagannym kroju. Siedzi na plastikowym krześle w odległym kącie studia i pilnie wszystko obserwuje. W rozcięciu lnianej koszuli widać złoty łańcuszek. Wiem, jak ten człowiek wygląda nago i znam jego imię: Tom. Czuję ukłucie seksualnej zazdrości, zupełnie jakby Damrong nadal żyła.

— „Tom, jesteś nieprawdopodobny. Nie wiem, jak zniosę świadomość, że mógłbyś być z inną kobietą. Nie udźwignę tego...”

— Nie martw się o to. Po cholerę mi inna, skoro mam ciebie?

Co on tu robi?”.



W drodze powrotnej informuję Kimberley, że muszę odebrać Leka ze szpitala, gdzie przechodził comiesięczne badania. Ona od razu wnioskuje z tego, że Lek jest nosicielem HIV, i zastanawia się nad środkami ostrożności, na przykład zmianą taksówki. Wyjaśniam więc, że chłopak jest całkiem zdrowy, a badania mają związek ze zmianą płci. Procedura polega zasadniczo na tym, żeby nie ucinać mu od razu klejnotów, tylko stopniowo przyzwyczajając do nowej tożsamości za pomocą estrogeny. Operacja to właściwie ostatni etap. FBI jest teraz bezradnym, skazanym na zatracenie stworzeniem, pochwyconym przez lawinę ciekawości i kiedy Lek sadowi się na tylnym siedzeniu obok niej, wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Jakiś ty piękny — mówi, pozerając wzrokiem długie czarne włosy z przedziałkiem na środku, duże owalne oczy lekko dotknięte tuszem, wystające kości policzkowe, nastoletnią lekkość, której Lek nadal nie zatracił.

— Ty pracować? — pyta Lek, szukając mojego wzroku.

Kimberley wysiada przy Grand Britannia. Ma kluchę w gardle, kiedy mówi:

— Mój pierwszy anioł.

Po powrocie do komendy nie przestaję myśleć o Tomie. Co on, u diabła, robił w studiu Yammy'ego? Dzwoni moja komórka.

— To się nie stanie — mówi FBI.

— Ale co?

— Nie pozwolimy mu tego zrobić. Jeszcze nawet nie śpię, a już mam koszmary na temat noża!

— Oczywiście, że pozwolimy. Dla prawdziwego transseksualisty dzień operacji jest najważniejszym dniem jego życia. Dniem narodzin jego prawdziwego ja.

— To się nie stanie — mówi FBI tym tonem, którego używają Amerykanie, gdy zamierzają bombami zmusić przyszłość do posłuszeństwa. — Jest na to za piękny. Daj mi jego numer.

— Nie — mówię i wyłączam komórkę.

Nazajutrz Lek zjawia się przy moim biurku około czwartej po południu. Wygląda jak zafrasowany zawodowiec, udaje mu się jednak zaakcentować kobiecość: przeczesuje palcami swoje czarne włosy i wzdryga się lekko. Nie oparł się też pokusie muśnięcia policzków akcentem różu. Wyjmuje inhalator do aromaterapii *yaa dum* i wtyka do lewego nozdrza.

— Ganiałem za tropami przez cały dzień — wyjaśnia, zmieniając dziurkę nosa — a tam jest upał i smród. Ten kurwieszon był wszędzie, dosłownie wszędzie, ale nigdzie nie zagrzał długo miejsca. Próbowałem sprawdzić to, co nam o niej mówił Baker, ten jej były mąż. Zasadniczo miał rację; ona przez cały czas starała się iść w górę.

— Czy w momencie śmierci była związana z jakimś konkretnym barem?

— Do tego właśnie zmierzam. Działała na Soi Cowboy, Nana Plaza i w Pat Pongu, zarabiała chyba najlepiej ze wszystkich. Potem związała się z Parthenon Club. — Lek obserwuje moją minę.

— Parthenon — powtarzam, przelękając ślinę. Należało się tego spodziewać, ale sprawy nam to nie ułatwia. Lek patrzy na mnie, chcąc się upewnić, że jestem świadom możliwych trudnień w dalszym dochodzeniu. — No i? Z kim tam rozmawiałeś?

- Potrzebowałem jakiejś przykrywki, prawda?
- Lek, co ty wykonałeś?
- Udawałem, że szukam pracy. Inaczej nikt by nie chciał ze mną rozmawiać. Gdybym się przyznał, że jestem gliną, miałbyś zaraz na głowie całą męską połowę towarzystwa.
- Przyjmują *katojów*?
- Dumnie wyduęte usta.
- Oczywiście. W dzisiejszych czasach bar bez nas się nie liczy.
- Z kim rozmawiałeś?
- Z jakąś pomniejszą *mama-san*. Powiedziałem, że jestem kuzynem Damrong i miałem się na nią powołać. Okazało się, że Damrong pracowała tam przez ostatnie dwa miesiące, ale kobieta nie wiedziała, dlaczego od pewnego czasu nie przychodzi. Jej zdaniem znalazła sobie jakiegoś absztyfikanta na stałe. Wszystkie dziewczyny z Parthenonu polują na coś takiego.
- A dowiedziałeś się, którzy członkowie klubu byli jej klientami? Czy był w jej życiu ktoś szczególnie?
- Musiałem raczej utrzymywać konwencję plotkarską, wiesz, jaka to świetna pracownica z tej mojej kuzynki i tak dalej. *Mama-san* nie była zbyt wylewna, ale wymusnęło jej się, że Damrong jest ulubienicą dwóch klubowiczów.
- *Farangi* czy Tajowie?
- *Jeden farang*, jeden Taj.
- Masz nazwiska?
- Nie. Gdybym ją zaczął wypytywać, przykrywkę szlag by trafił.
- To prawda.
- A przy okazji, ta kobieta *farang* z taksówki jest sto procent hetero czy nie?
- FBI? Dlaczego pytasz?
- Dostała mój numer z centralki na komendzie i zadzwoniła wczoraj. Powiedziała, że interesuje ją zmiana płci i chce się ze mną umówić na lunch, żeby porozmawiać. Mówiłem jej, że K/M jest bardzo skomplikowane i jej przypadek jest zupełnie



nieporównywalny z moim, ale się upierała, więc się zgodziłem, tylko ze względu na *greng jai* wobec ciebie.

Mrugam raptownie.

— Kiedy ta randka?

— Jutro.

— Zdasz mi pełną relację — mówię, nie patrząc mu w oczy.



Dostałem cynk od szefa aresztu, że *farang* Baker dojrzał już do przesłuchania. Schodząc na dół do cel, rozmyślam nad tym, czy uda mi się jakoś spenetrować Parthenon Club bez popełniania zawodowego samobójstwa. Zastanawiam się też, czy ta sprawa nie ujawni w końcu mojego ukrytego kompleksu męczennika.

Baker siedzi na końcu pryczy, z głową przyciśniętą do krat tak mocno, jakby była przyspawana.

— Siedzi tak godzinami — mówi szef aresztu. — Nie je, nie pije. Chyba go złamaliśmy.

Pokazuję mu głowę, żeby otworzył celę i zniknął z pola widzenia. Ale ma zostać w pobliżu na wypadek, gdyby *farang* był agresywny. Przy takiej rozszczępionej osobowości nigdy nic nie wiadomo.

Wkraczam do celi, co oznacza, że wkraczam w psychologię jej mieszkańca: kompletny rozpad systemu. Chwytam go za włosy z tyłu głowy i odciągam od krat. Krzywi się i drży jak przerażony królik. Próbuje go uspokoić, głaszcząc po głowie i twarzy. Siniak pod okiem dobrze się goi, ale poczerniał. Baker spogląda na mnie bezradnie. Biorę krzesło i siadam naprzeciwko niego.

— Dlaczego tutaj jesteś, Dan?

Mruganie. Przymus werbalnej komunikacji wytrąca go ze stanu, który jest do zniesienia tylko w samotności. Ale to właśnie samotność, w połączeniu z „tajską paranoją policyjną”, go złamała. Początkowo tylko bełkoce.

— Dlaczego tu jestem? Bo ty mnie tu wsadziłeś. Bo jesteś

tajskim gliną, który znalazł sobie kozła ofiarnego i ma gdzieś prawdę, sprawiedliwość, wolność i demokrację. Chcesz mnie jak najszybciej posłać do celi śmierci, żeby odfajkować sprawę. Dlatego uciekłem, a ty masz teraz jeszcze lepszy pretekst.

— Tak dobrze znasz tajski wymiar sprawiedliwości?

— Człowieku, jestem tu cztery lata — odpowiada z goryczą. — Widziałem niejedno. Wy nie macie wymiaru sprawiedliwości.

— Skoro Tajlandia jest taka okropna, to czemu nie wyjechałeś?

Nagle spada lawina słów, które musiały się gromadzić w tym rozgorączkowanym umyśle, odkąd Baker tu siedzi. Jego język ledwo nadąza za myślami.

— Nie wyjechałem, bo w wolnym świecie nie ma czegoś takiego jak rehabilitacja: raz byłeś skazany i wylatujesz poza nawias, nie dostaniesz dobrej pracy. Nie wyjechałem, bo małżeństwo nie działa. Nie wyjechałem, bo łysieję i jestem prawie w średnim wieku; może to zabrzmie głupio, ale nie spotkałem Tajki, którą by obchodziło, czy masz trzydziestkę, czy czterdziestkę, czy łysiejesz, czy nie, czy jesteś rozwiedziony, czy nie. Wy w ogóle nie osądzacie; cztery lata starałem się zrozumieć, dlaczego tak jest. Macie olbrzymie podziemne piekło, nazywane systemem więziennictwa, które pochłania każdego, komu się powinie noga. Chyba nie ma na świecie bardziej szokującej instytucji. Zresztą, jakiej tam instytucji, to po prostu fabryka pieniędzy z epoki kamienia łupanego, zarządzana przez gliny i prokuratorów. Nikt nie jest bezpieczny; Taj czy *farang*, stary czy młody, kobieta czy mężczyzna, każdemu może się przydarzyć, że idzie sobie spokojnie ulicą w nocy, a tu nagle wyrasta jak spod ziemi gliniarz, podrzuca ci do kieszeni tabletkę ekstazy albo *yaa baa* i łądujesz w więzieniu. A tam masz do wyboru: albo zapłacić mu za uwolnienie, albo przez resztę życia patrzeć, jak system cię pożera. W waszym społeczeństwie istnieje tylko jedno kryterium oceny człowieka: wpadł do dziury czy nie?

— A z tej dziury jest jakieś wyjście?  
— Ja nie mam pieniędzy, żeby ci zapłacić za uwolnienie. Po prostu nie mam, i tyle. — Patrzy mi w oczy. — Nie zabiłem jej.

Kiwam głową jak mądry gnom.

— Załóżmy, że masz farta i trafiłeś na jedyne go policjanta w Bangkoku, który nie bierze. Załóżmy, że naprawdę chcę ustalić, co się stało z Damrong?

Chyba nie powinienem wypowiadać jej imienia takim tonem. Baker zerka na mnie spod oka. Powoli kielkuje w nim jakaś myśl.

— A skąd ja miałbym to wiedzieć? — pyta.

— Byłeś jej mężem, byliście współnikami w interesach; na pewno mówiła ci więcej niż innym. Może jej nie zabiłeś, ale domyślasz się, dlaczego musiała umrzeć?

Użycie zwrotu „dlaczego musiała umrzeć” okazało się strzałem w dziesiątkę. Wywołało opowieść, która przeniosła go w inny wymiar.

— A czy musiała umrzeć? — pyta w końcu Baker. — Nie powiedziałeś mi, jak to się stało.

— Chcę to usłyszeć od ciebie.

— Ale ja nie wiem. Nie wiem nawet, kiedy umarła. — Znów patrzy mi prosto w oczy. — Kiedy dokładnie to się stało?

— Dobre pytanie — przyznaję — ale nie całkiem na temat. Pewne rzeczy, które w bardziej prymitywnych czasach musieliśmy wykonywać ręcznie, dziś, dzięki nowoczesnej technice, możemy robić dzięki pilotowi.

Teraz patrzy na mnie jeszcze inaczej; z większym strachem w oczach. Strzelałem jednak w ciemno i nie wiem, dlaczego moje słowa podziały tak mocno. Baker ma minę tonącego. Przysuwam się z krzesłem trochę bliżej.

— Powiedz — mówię łagodnie. — Powiedz, może będę mógł ci pomóc.

Wzruszenie ramion.

— Pomóc? Jestem między młotem a kowadłem. Nawet jeżeli mnie wypuścisz, będę miał szczęście, gdy w ogóle dotrę na lotnisko.

Kiwam głową z miną mędrca i porzucam krzesło, żeby mówić na stojąco.

— Rozumiem. To znaczy, że w ogóle nie powinieneś mieć tych filmów w swoim laptopie, zgadza się?

Kręci głową, zdumiony powściągliwością mojej wypowiedzi.

— No, można by to tak określić.

— To po co je trzymałeś?

— Z odruchowego oportunisty. Przez całe życie mam ten problem. Świetna taktyka, a strategia do niczego. To było głupie. Karcilem się za to w myślach, ale po prostu brak mi dyscypliny. Gdybym ją miał, byłbym bogaty i wolny.

— Myślałeś, że dzięki tym nagraniom będziesz miał w razie czego przewagę nad przeciwnikiem?

— Właśnie.

— Wiesz, kim jest ten tajski Chińczyk?

— Nie całkiem. Jakiś ważniak, *jao paw*.

— Zgadza się, ojciec chrzestny; można tak powiedzieć. Nie miałeś filmu przechowywać na twardym dysku, tylko nagrać na DVD i dać jej płytę, a ona sama miała zdecydować, kiedy i jak przykręcić śrubę. Dlaczego nie posłuchałeś?

Odwraca wzrok.

— W tym mieście nikt nikomu nie ufa. — Po chwili przerwy dodaje: — Nie myślałem o tym aż tak szczegółowo. Po prostu, tak jak powiedziałaś, chciałem mieć coś na wszelki wypadek.

— Podjąłeś wielkie ryzyko w zamian za iluzję bezpieczeństwa. Strach? Tak, teraz rozumiem, jak to się działo. Zapewne już przywykłeś do jej humorów, do nagłych zmian planów, do tej sadystycznej gry na strunach twojego serca. I rozumiem, że ujawnienie w kluczowym momencie, że jesteś w posiadaniu filmu z jej występem z *jao paw*, mogło przechylić szalę na twoją korzyść, chociaż ryzykowałeś życie. Był jeszcze ten Anglik. Domyślałam się, że go szantażowała?

Wzruszenie ramion.

— To tylko jakiś durny japiszon z kutasem zamiast mózgu. Żaden przeciwnik, a już na pewno nie dla niej.

Dotykam palcem nosa; ten gest oznacza, że stoję na rozdrożu. Wiem, że Anglik przychodził do niego dwukrotnie w ostatnim czasie, aż w końcu jeden z portierów wychlapał, że Baker siedzi w areszcie. Instynkt każe mi wybrać powściągliwość, pokaszuję więc i zmieniam temat.

— Ale ten *jao paw* był inny, prawda?

Baker prawie się roześmiał.

— Nigdy przedtem nie widziałem jej zdenerwowanej. Ale dla niego pozbyła się wszystkich hamulców, oglądałeś klip, to wiesz. Filmowałem ją setki razy, ale czegoś takiego jeszcze nie było. — Lęk nagle znika z jego spojrzenia. — Możesz mnie zabić, nie wchodzę w twoją grę. Nie przestraszysz mnie tak jak ten Chińczyk, kimkolwiek jest. — Zęby zaciśnięte, decyzja podjęta.

To, co za chwilę powiem, może mnie wiele kosztować, ale czuję, że nie mam wyboru.

— Damrong nie była kobietą, tylko chorobą — mówię, chodząc po celi. — Chorobą, która zatrzała krew połowy jej klientów. — Baker podnosi głowę, patrzy na mnie. — Twoje ciało zmieniało się w jej rękach w dziecinną harmonijkę, na której mogła zagrać, co chciała. Ale mniejsza o ciało, chodziło przecież o to, co potrafiła wyprawiać z sercem człowieka, prawda? Umiała wzniecać pożary. Była uzależnieniem, gorszym od cracku, od *y aa baa*, od heroiny. Chyba tak właśnie to opisałeś podczas naszej pierwszej rozmowy. — Baker wyraźnie czeka na dalszy ciąg. Chodzę po celi, nie ukrywając już własnej udręki. — Jak ona to robiła? Czy instynkt seksualny naprawdę jest u mężczyzn tak wszechmocny? Czy może chodzi o coś innego — sam siebie o to pytam — o coś bardziej fundamentalnego? Może Damrong odkryła coś, czego inne kobiety są ledwie świadome? Może sugerowała jakimś sposobem, delikatnie, subtelnie, że może cię uleczyć z samego bólu istnienia? Że ten spokój, którego tak pragniesz, znajdziesz pomiędzy jej udami?

Że tylko ona naprawdę cię rozumie? Że to jest właśnie, innymi słowy, ów święty Graal, którego my, mężczyźni, szukamy

bezsukutecznie do dziś? — Przerywam, szukam jego wzroku. — Czy to naprawdę seks cię tak usidlił, Dan, czy raczej to niesamowite poczucie ukojenia, które umiała dawać jak nikt inny, jak gdyby rozumiała wszystkie twoje problemy?

Patrzy na mnie zdumiony. Może powinienem zamilknąć, ale skoro ruszyłem już drogą ku ukrzyżowaniu, mogę ją przebyć do końca, co tam.

— I oczywiście na końcu czekało cię doświadczenie zupełnie przeciwne. Na końcu dostawałeś śmiertelną dawkę zgagi, ponieważ zaczynałeś rozumieć, że się tobą bawiła — w pełni profesjonalnie, bo przecież była wybitnym fachowcem. Zgadza się? Czy bardzo ci szkoda, że Damrong nie żyje?

Twarz mu się zmieniła, wróciło złowrogie spojrzenie.

— A więc to jednak ty — mówi. — Domyślałem się, ale w końcu uznałem, że byłby to zbyt dziwny zbieg okoliczności. To ty jesteś tym policjantem, który był w niej śmiertelnie zakochany.

— Chcę znaleźć ludzi, którzy to zrobili, Dan — odpowiadam, nie patrząc mu w oczy. — Jeżeli nawet brałeś w tym udział, to jest bez znaczenia. Mamy do czynienia z organizacją i z pieniędzmi, które są absolutnie poza twoim zasięgiem. I będę o tym pamiętał na sali sądowej. Prawdopodobnie mógłbym się postarać, żebyś dostał nie więcej niż pięć lat i żebyś siedział w takim miejscu, gdzie zdołasz przeżyć. Przy odrobinie szczęścia może nawet unikniesz gwałtu, HIV i gruźlicy.

— Nawet nie wiesz, o co prosisz — rzuca Baker z nagłą pogardą w głosie. — Rozmowa skończona.

Odwraca się tyłem, muszę więc podejść i odwrócić mu głowę tak, żeby widzieć oczy.

— Ani razu cię tutaj nie odwiedził, co? — Na widok jego zdumionej miny dodaję: — Pewnie w ogóle na to nie liczyłeś. Ale to jednak dziwne, nie uważasz? Jesteś w zażyłych stosunkach z Anglikiem o imieniu Tom, który ubiera się jak kwintesencja prawnika, więc na pewno nim jest — ewentualnie agentem nieruchomości — i który odwiedza cię w domu równie często

jak ja. Właściwie to przychodzi zawsze po moim wyjściu. Więc albo cię obserwuje, albo sam dajesz mu znać za każdym razem, gdy prawo zapuka do twoich drzwi. Jak posłuszny niewolnik. W dodatku gra też główne role męskie w twoich prywatnych filmach. Wygląda zresztą na to, że interesuje się starożytną sztuką pornografii na poziomie wyższym niż amatorski i ma prawo obserwować próby. — Baker rzuca mi kolejne wściekłe spojrzenie, ale rezygnuje ze słownej riposty. — Ale odkąd popadłeś w kłopoty z prawem, nawet nie kiwnął palcem, żeby ci pomóc. — W oczach mam teraz zamyślenie. — W każdym razie widzialnym palcem, o niewidzialnym nic nie wiem. Zapłata ciasno ramiona, unosi je powoli. Znowu drży.

— Wal się — mówi.

— Aha, znasz skorpiona, więc ropucha już ci nie straszna, co Dan? — Gniewnie marszczy brwi. — To właśnie powiedzieli Tybetańczycy, kiedy Anglicy zastąpili Chińczyków w roli ich największych ciemiężców. A teraz skorpion wrócił. To się nazywa postęp. Ty rozumujesz podobnym torem: lepsza ropucha, czyli ja, niż skorpion, czyli Tom Brytyjczyk, Tom Prawnik, Tom Japiszon... a może Tom Dręczyciel?

Myśli, że chcę mu patrzeć w oczy, lecz ja odwracam go w przeciwną stronę, ku otwartym drzwiom celi.

— Skazuję cię na wolność, Dan. Jeżeli wolisz zostać tutaj, musisz odpowiedzieć na moje pytania.

Rzuca mi dzikie spojrzenie, kręci głową.

— Strażnik! — wołam po tajsku. — Wyrzucić stąd tego łązęgę!

— Oni mnie zabijają — mówi rozgorączkowany.

— Wiem. Dzięki temu ich złapiemy.

— Jak tylko stąd wyjdę, znowu ci ucieknę.

— Przypuszczam, że wątpię. Twoja facjata jest we wszystkich komputerach na każdym przejściu granicznym w Azji Południowo-Wschodniej. I przyznasz chyba, że twoja ostatnia wycieczka do wolności skończyła się niezbyt sympatycznie, oględnie mówiąc. Ale próbuj, próbuj. Może tym razem pozwolę, żeby Tom Dręczyciel dopadł cię przede mną.

Mam zamiar odwiedzić Parthenon Club for Men.

Mam na sobie blezer od Zegny, dwurzędowy, na cztery guziki oraz lnianą koszulę od Givenchy'ego, spodnie z wełny tropikalnej i najlepsze z tego wszystkiego, skórzane mokasyny od Bakera-Benjesa, a całą tę garderobę — niezbyt typową dla policjanta — zawdzięczam niewielkiemu udziałowi w zyskach z baru matki. Moja woda kolońska to czarujący niski numer od Russella Simmonsa. Jestem skromnym, unikającym rozgłosu buddystą, więc na pewno mi uwierzycie, gdy powiem, że wyglądam — i pachnę — seksownie jak sam diabeł. Gen tajski zapewnia mi wygląd nawiedzonego; gen *faranga* — złudzenie skuteczności; bezwzględny technokrata czy łowca duchów z Azji? Obie te kategorie wcale nie wykluczają się nawzajem.

Choć sama *soi* jest wąska i zamknięta ceglanym murem, klub jest ogromny: to cztery neorzymskie piętra oślepiającej bieli, kolumn, kiczu i pretensjonalności oraz — niestety — mnóstwa czerwonych świateł. Półkolisty zwirowany podjazd prowadzi do doryckiego portyku i obitych mosiądzem podwójnych drzwi. Za progiem znajdujemy orientalny kryzys tożsamości.

Na chwilę powracam do Paryża pana Truffauta, starego Francuza, który wynajął moją matkę na kilka miesięcy, gdy



byłem jeszcze dzieckiem. Truffaut kochał paryskiego Maxima przy rue Royale, moją uwagę przyciągają więc teraz lampy z wielkimi postaciami kobiet z brązu, tyle że te w Parthenonie są pięciokrotnie większe od tych z Maxima i są to fabryczne odlewy: kobiety wyglądają identycznie. Tak czy inaczej mój mózg przetwarza już wystrój wnętrza w aspekcie bardziej globalnym. Szezlongi w stylu Ludwika XV, z wygiętymi nogami, złożone stoliki, aksamitne frędzle w kolorze purpury i starego złota; kopułowe sklepienie z pulchnymi amorkami; na postumentach rzeźby Wenus z Milo i innych postaci po amputacji; kondygnacje balkoników prowadzących do nieba prywatnych pokoi wynajmowanych na godziny. Jest też estrada, w tej chwili pusta, jeśli nie liczyć drażniącego oczy oświetlenia — niebieski snop światła (to chyba stroboskop) mógłby oznajmiać przybycie UFO.

Zjawia się *mama-san*, mocno upudrowana; ubrana jest w coś w rodzaju osiemnastowiecznej sukni balowej, lecz ciało pod suknią nie ma jeszcze trzydziestki. Siedzę na jednej z kanap zwróconych ku scenie, a *mama-san* przykłęka, żeby jej głowa znalazła się niżej od mojej. Informuje mnie, że oficjalnie Parthenon jest klubem, więc muszę zostać formalnym członkiem; ta trudna procedura zabiera mi pięć minut, podczas których robią odbitkę mojej karty kredytowej, a dziewczyna powtarza w kółko, że lista klubowiczów jest tajna i przechowuje się ją w zaszyfrowanej formie, w specjalnym pozasieciowym komputerze.

Przyszedłem wcześniej; jest parę minut po ósmej i jako jedy-ny w tej chwili członek klubu otrzymuję nagrody za wniesioną właśnie składkę. Pojawiają się niepostrzeżenie z różnych stron i nagle jestem nimi otoczony. Cztery siedzą ze mną na kanapie, sześć kolejnych na krzesłach, a wszystkie pilnie patrzą i słuchają zaciekawione i pełne szacunku; wystarczy dać znak, a w ich szklistych oczach pojawi się wyraz uwielbienia. Wszystkie ubrane są w suknie balowe, a główne akcenty to upudrowany dekolt, róż na policzkach i czerwone cienie na powiekach. Patrzą na te twarze i myślę o Damrong. Wszystkie są oczywiście

młode i piękne, lecz żadna nie ma w sobie tej promienności, nawet twarz *katoja* (dojrzałem go/ją dopiero po chwili, całego we wstążkach niczym Maria Antonina). Nie zdradziła go/jej fizjonomii, lecz pewien szczególny rodzaj nieśmiałości. Wiem jednak dobrze, że w tym orientalnym klubie musi panować feudalna hierarchia. I rzeczywiście słyszę kobiece głosy dobiegające na dół z wyższych balkonów. Jak najdyskretniej przywołuję *mama-san* i wskazuję górne piętra. Kilka jej cichych słów i moje nowe przyjaciółki znikają. Prowadząc mnie po wyłożonych aksamitem schodach ze złożoną poręczą, *mama-san* tłumaczy, że dziewczęta z drugiego poziomu są wyjątkowo wartościowe, co oznacza, że biorą podwójną stawkę. Parada piękności odbywa się po raz drugi. Ciała są tutaj nieco bielsze (co świadczy o wyższej zawartości genów chińskich), a za trzepocącymi powiekami widać o wiele bystrzejsze spojrzenia, lecz wciąż nie dostrzegam w nich tej czujności, której szukam. Nie widzę też *katojów*.

*Mama-san* stoi w pobliżu i zauważa mój brak pełnej satysfakcji. Podchwytuję jej spojrzenie, a ona wskazuje mi niemal niezauważalnie najwyższe piętro. Po drodze przyglądam się jej dokładniej: jest to osoba ciężko pracująca i kompetentna, ale o wiele za młoda i atrakcyjna, by pełnić tylko chwalebny funkcję bileterki. Spostrzega oczywiście, że ją obserwuję, lecz nie zachęca mnie najmniejszym gestem. W polityce firmy jest sprawą najwyższej wagi, by *mama-san* nie oferowała swoich usług, dopóki nie zostaną odrzucone wszystkie obecne na miejscu profesjonalistki. Na najwyższym piętrze pólleżą na szeszlonych prawdziwe primadonny w liczbie pięciu. Podejrzenie idealne biusty, oblicza chińskich lalek, gnuśne pozy gwiazd filmowych. *Katoj* jest tutaj królem/królową i spoczywa ociężale w środku grupy i rzuca mi lubieżne spojrzenie. Wymieniam z *mama-san* skinienie głową. Prywatne pokoje są ledwie kilka schodków wyżej.



Rozebrała się, wzięła prysznic i przyszła do mnie w szlafroku. Na imię ma Nok. Najwyraźniej sądziła, że ja w tym czasie też się rozbiore. Ponieważ jednak tego nie zrobiłem, zabiera się do guzików mojej koszuli. Nie mam pełnego planu działania i czuję się rozdarty. Wiem, że Chanya nie miałaby pretensji, że przespałem się z Nok służbowo; najpewniej uznałaby to w ogóle za nieistotne. Ja osobiście też nie miałbym skrupułów; powstrzymuje mnie jednak bardzo tajaska interpretacja nauk Buddy. Od kiedy Chanya zaszła w ciążę, staliśmy się oboje dość religijni — staramy się nie tworzyć negatywnej karmy, która mogłaby zaszkodzić dziecku. Mój problem polega więc na tym, że nie wiem, jak nakłonić Nok do rozmowy, nie kochając się z nią. Ona tymczasem pracuje nad moim rozporkiem. Jej szlafrok opada i dochodzę do wniosku, że byłoby niegrzecznie, gdybym choć przez chwilę nie popieścił jej piersi. Ten moment intymności rozluźnia nas oboje. Gdy Nok już zdjęła ze mnie wszystko poza szortami, mówię jej o Chanyi i jej błogosławnym stanie. Jako buddystka rozumie mnie doskonale, lecz nie zaprzestaje starań.

Przez większość spotkania trwamy w takim układzie: ona łagodnie, otwartą dłonią, pociera mojego ptaka przez szorty, a ja badam jej biust, poświęcając szczególną uwagę siateczce żyłek zbiegających się ku dużym, brązowym sutkom, które czyniam nieco nerwowo pieścić kciukiem i palcem wskazującym. Zważywszy na to, że nie chcę przemieszczać koncentracji klasyczną trasą ku dołowi, muszę wykazać się szczególną inwencją wobec piersi. Próbuję więc kołysania każdej po kolei i obu na raz, chwytu od dołu i od góry, uciskania rozpostartymi palcami i całą dłonią, oraz innych zapożyczeń ze sztuk walki. Obserwuję jej twarz, sprawdzając, czy humor nie przerodzi się w obraźliwą satyrę, ale dziewczyna jest zrelaksowana i protestuje tylko wtedy, gdy doświadcza *jikati*: łaskotek.

— Chcesz, żebym cię possała?

Wyraz mej twarzy mówi bardzo uprzejmie i z wahaniem: *Nie, dziękuję*. Nok się uśmiecha, podobam się jej.

— Jesteś dobrym człowiekiem. Niewielu już takich zostało.

— Po prostu okoliczności moich narodzin były niezbyt korzystne, więc teraz chcę dać mojemu dziecku maksimum szans.

Nok kiwa mądrze głową, patrząc na moje palce, pocierające jej sutek niczym monetę.

— Rozumiem, o czym mówisz. — Rozpromienia się. Myślała, że jestem rozpuszczonym synalkiem bogaczy, jak cała reszta. Jej tajski odrobinę się zmienia, teraz to język klas niższych, bardziej idiomatyczny, wsiowy. I już po chwili wymieniamy się opowieściami o dorastaniu w ubóstwie i kłopotach z utrzymaniem się z niewielkiego gospodarstwa. Jej rodzice mają dwudziestoakrowy kawałek ziemi w pobliżu Kong Kaen w Isaan; gleba jest tam niezła, ale nie da się wypracować większego dochodu z powodu dotacji dla rolnictwa w krajach G8; Nok jest prawdziwym ekspertem w tych kwestiach. Postanawiam pogłębić rozmowę, chwytam więc obie jej piersi w dłonie i trzymam tak, jak się trzyma cenne dzieła sztuki. Patrzy na moje ręce z uśmiechem.

— *Siaou* — mówi; napalony. — Na pewno nie chcesz tego zrobić?

— Na pewno — odpowiadam, lecz ona słyszy w moim głosie podniecenie. Próżność nakazuje jej grać kusicielkę, ale ujmuję ją łagodnie za podbródek i unoszę jej twarz, żeby spojrzeć w oczy. — Wiem, że tak naprawdę wcale nie lubisz tej pracy — mówię.

Jeżeli chce się skłonić dziwkę do mówienia, nie ma lepszej zagrywki. Słucham więc szczegółowej historii jej upadku, sagi o tym, jak to mogłaby wyjść za mąż z miłości, za cudownego, kochającego chłopaka i prowadzić zacne, buddyjskie życie, gdyby rodzice nie popadli w dług, a ona nie musiałaby posyłać im co miesiąc co najmniej dziesięciu tysięcy bahtów, by mieli za co żyć razem z jej młodszym rodzeństwem. Ludzie nie rozumieją, że jedzenie to nawet nie połowa problemu — a co z opieką medyczną, czesnym za szkołę i całą resztą spraw, bez

których człowiek nie jest w pełni człowiekiem na tym świecie? Odpowiadam, że pewnie wszystkie pracujące tu dziewczyny są w podobnej sytuacji, a Nok zgadza się ze mną: większość to ubogie wieśniaczki, którym udało się nabrać dość ogłady, żeby dostać tę pracę; w przeciwnym razie wylądowałyby w barach, takich jak Old Man's Club mojej matki. Wyjątkiem są chińskie primadonny na najwyższym piętrze, które wydały fortunę na modyfikację swoich ciał i pochodzą z nieco zasobniej szych środowisk. Mówię, że wstąpiłem do klubu właściwie dlatego, że należy do niego mój przyjaciel. Szczególne wrażenie zrobiła na nim, mówię dalej, dziewczyna o imieniu Damrong.

Pieszczoty na chwilę zostają przerwane, lecz ręka Nok zaraz powraca do hipnotycznego masażu.

— To on jest twoim przyjacielem? — Jej ton staje się bardziej formalny, podszyty lękiem. Pokasłuję, by ukryć zaskoczenie.

— To Damrong miała tylko jednego klienta?

Nok natychmiast przerywa masaż i patrzy na mnie z wyzwaniem w oczach.

— Przyszedłeś tutaj z jego polecenia, żeby ją sprawdzić, tak? Tylko dlatego tu jesteś. Twój przyjaciel to najbardziej zaborczy człowiek, jakiego znam. Niestety, nikt jej nie widział już od tygodnia. Domyślamy się tylko, że z nim zamieszkała.

Jestem w kropce, bo nie wiem, jak wydobyć od niej jego nazwisko.

— To on też nie przychodzi od tygodnia?

— Nie.

— Może pojechał do domu.

— Do Anglii? Nie, on nienawidzi Anglii, powiedział mi.

— Ach tak? — Próbuję dalej. — Mnie nigdy tego nie mówił.

— A mnie Khun Smith powiedział, że jego życie zaczęło się dopiero po przybyciu na Wschód.

— Ja go nie znam aż tak blisko — tłumaczę. — Właściwie łączą nas wspólne interesy.

Chyba jej ulżyło, że nie znam Khuna Smitha aż tak dobrze.

Po dziesięciu minutach jej opowieści o zaborczym Angliku się kończą — dwukrotnie stracił panowanie nad sobą i trzeba było go powstrzymać — a ja już wiem, że jest prawnikiem i pracuje dla międzynarodowej firmy. Przyprawia do klubu niektórych swoich klientów, a Damrong poznał przed dwoma miesiącami i od tej pory ma na jej punkcie obsesję. Wysoki, elegancki, mówi po tajsku z ciężkim angielskim akcentem. Mam jeszcze jedno pytanie:

— Czy znasz może Khun Kosanę, magnata reklamowego, o którym ciągle piszą w plotkarskich czasopismach? Może on też jest członkiem klubu?

Nok nie odpowiada, jakby w ogóle nie usłyszała pytania. Dziękuję jej za pieśczęty i oznajmiam, że muszę już iść. Płacę jej dokładnie tę horrendalną sumę, którą dostałaby, gdybyśmy to zrobili.



Stojąc na żwirowym podjeździe i patrząc na surreálną fantazję, jaką niewątpliwie jest Parthenon, wyjmuję komórkę. Przy odrobinie wysiłku odnalazłbym zapewne firmę prawniczą pana Smitha, ale ten klub mnie jakoś wkurza. Dzwonię więc do Vikorna, żeby zarządził nalot antynarkotykowy. Nie wierzę, żeby taka instytucja była całkowicie wolna od kokainy, a poza tym głównym celem nalotu ma być zdobycie tajnej listy członków. Mówię pułkownikowi, żeby funkcjonariusze poszukali pojedynczego, pozasieciowego komputera.

— Przyjdź do mnie — mówi Vikorn. — Chcę cię komuś przedstawić.

Przed drzwiami jego gabinetu czuję lekkie mrowienie w dole brzucha. Podejrzewam, że pułkownik kombinuje coś z listą członków Parthenonu, zdobytą przez naszych dzielnych policjantów podczas wczorajszego nalotu. Wiem od Manny, jego lojalnej sekretarki i postrachu całej komendy, że dziś od rana urywały się telefony od różnych ważniaków, chociaż w klubie nie znaleziono narkotyków i nie wniesiono żadnego oskarżenia. Ja potrzebuję tylko namiarów Khun Smitha, angielskiego prawnika opętanego obsesją przez Damrong. Podobno jednak Vikorn ma dla mnie coś poważniejszego.

Tym większe jest więc moje zaskoczenie, gdy na krześle przed biurkiem pułkownika widzę wysokiego, różowego *faranga* o kasztanowych włosach i orzechowych oczach, ubranego w garnitur.

— Pozwól, że ci przedstawię Khun Toma Smitha — mówi Vikorn z niezwykłą u niego kurtuazją.

Smith zdążył już wstać, złożyć mi *wai* i z wielkim entuzjazmem uścisnąć dłoń.

— Bardzo się cieszę, że pana poznałem — mówi. — Widziałem pana przedwczoraj w studiu pana Yamahato.

— Sonchai Jitpleecheep — przedstawiam się. — Tak, ja też pana widziałem, siedział pan w kącie i patrzył, jak kręcą.

Vikorn krzywi się w uśmiechu.

— Nie przyszedł tam na darmowe podglądactwo, tylko pilnował interesów swojego klienta. Czyż nie tak, panie Smith?

— Vikorn zna tylko tajski; Smith odpowiada mu poprawnym zwrotem:

— Zgadza się, panie pułkowniku. Naprawdę bardzo się cieszę, że pana poznałem — dodaje i podaje mi wizytówkę obiema dłońmi; widać, że mieszka już w Tajlandii jakiś czas.

— Będziecie razem pracować — oznajmia Vikorn.

Otwieram usta, lecz ucisza mnie gestem ręki.

— Dla mnie to przyjemność — mówi Smith po angielsku, istną syntezą londyńskich akcentów: BBC zmieszane z dorzeczem Tamizy i szczyptą autentycznego cockneya; do tego tu i ówdzie ślad Los Angeles. — Naprawdę, wielka przyjemność.

— Dla mnie również — odpowiadam, na znak Vikorna (mało subtelny). Smith się rozpromienia.

— Panie pułkowniku — mówi — myślę, że to na dzisiaj wszystko. Wspaniale się z panem rozmawiało.

Po jego wyjściu Vikorn pozwala sobie na uśmiezek nieskrywanego triumfu. Nie widziałem go takiego od czasu, gdy udało mu się wysłać ponad pół tony metamfetaminy do San Francisco przed nadejściem huraganu Katrina.

— Są zachwyceniu, Sonchai — mówi, zacierając ręce.

— Kto i dlaczego?

— Syndykat, który zaopatruje międzynarodowe sieci hoteli. Smith jest ich prawnikiem. Pracował w Kalifornii, ma bardzo dobre doświadczenia. Profesjonalizm Yammy'ego zrobił na nim wielkie wrażenie. Powiedział mi, że w ciągu dziesięciu lat pracy w branży nie widział lepiej reżyserowanego pornosa i to już na etapie kręcenia. Zatrudnienie Yammy'ego to było genialne posunięcie, Sonchai.

— Tak jest — mówię.



— Podpiszemy z nimi umowę. Chcą też zrobić wideokonferencję z głównym szefem. Powiedziałem im, że będziesz mnie reprezentował na każdym etapie.

— Co oznacza, że w razie jakiejś obsuwy to ja będę do odstrzału, a nie pan. Dzięki.

Surowe spojrzenie Vikorna przypomina mi, żebym pamiętał o moich feudalnych zobowiązaniach. Kumoterstwo jest nie tyle wpisane w system, ile samo w sobie jest systemem. A on przecież zarządził nalot na Parthenon dla mojej przelotnej zachcianki. I teraz ma na głowie stado posłów, senatorów, bankierów i przemysłowców, obawiających się nagłośnienia sprawy.

— No dobrze — mówię, zamiast powiedzieć: *I chętnych zapłacić, ile pan zażąda, żeby tylko ich nazwiska nie znalazły się w mediach.* — Niech będzie.

— Po prostu rób, co on powie, przestudiuj umowę, przetłumacz ją sam, nie pokazuj nikomu i zdaj mi relację.

— Nie ma sprawy, panie pułkowniku — odpowiadam. — Czy możemy porozmawiać chwilę na temat organów ścigania?

— Jasne — mówi Vikorn bez namysłu. — Chodzi ci o ten wczorajszy nalot? Jaką działkę byś widział dla siebie? — Pytanie jest ironiczne; pułkownik wie dobrze, że nie wezmę grosza.

— Żadnej — odpowiadam. — Czy pan wie, że ten człowiek, który właśnie stąd wyszedł, jest aktywnym członkiem Parthenonu? Romansował z Damrong. To on jest tym frajerem na drugim filmie, tym, w którym nie występuje Tanakan. Może jest nawet egzekutorem gangu produkującego *snuffy*?

Vikorn na kilka sekund zamiera w bezruchu.

— Powinniśmy się skoncentrować na naszych głównych inwestycjach — mówi w końcu. — Nie zajmujmy się teraz nieistotnymi drobiazgami.

— Niech mi pan powie tylko jedną rzecz. Czy Tanakan należy do Parthenonu? Czy jego nazwisko jest na liście?

Pułkownik odpowiada mi poważnym tonem, zarezerwowanym zazwyczaj dla spraw życia, śmierci i pieniędzy.

— Na twoim miejscu nie pakowałbym się w to, Sonchai. Pozwól, że ja się zajmę Khun Tanakanem osobiście.

Tygrysi uśmiech oznajmia mi, że rozmowa skończona.



Okolo jedenastej na moim biurku pojawia się dokument. To wydruk z komputera, zawierający około stu pięćdziesięciu nazwisk. Mnie interesuje nazwisko Thomas Smith. Jedyne konkret na tajnej liście Parthenon Clubu to numer jego karty kredytowej. Wyjmuję jego wizytówkę, firma nazywa się Simpson, Sirakorn i Prassuman. Ich strona w sieci informuje, że zajmują się nieruchomościami, handlem, prawem gospodarczym i prowadzą międzynarodowe interesy osób prywatnych. Ich specjalność to obsługa przedsięwzięć importowo-eksportowych; potrafią załatwić zabezpieczenia bankowe nawet w najtrudniejszych okolicznościach. Podnoszę słuchawkę, żeby do nich zadzwonić, ale akurat odzywa się moja komórka. Tom Smith. W wyjątkowo miłych, pokornych i skrajnie obłudnych słowach prosi mnie, a właściwie rozkazuje, bym zjawił się zaraz w jego biurze, gdzie ma się odbyć wideokonferencja. Przyczyną tego pośpiechu, wyjaśnia Tom, jest różnica stref czasowych.

W recepcji firmy przeglądam „Fortune”, potem „House and Garden” i kończę na „International Herald Tribune”. Są też tajskie gazety, ale nieaktualne. Zjawia się Smith, który wita mnie ciepłym uściskiem dłoni. Francuski mankiet jego koszuli, ze złotą spinką, odsuwa się i ukazuje zgrabną bransoletkę ze słoniowego włosia, której wcześniej nie widziałem. Smith zauważa, że ją podziwiam.

— Wczoraj pan jej nie miał — mówię.

— Fachowiec z pana, detektywie. — Uśmiecha się. — To prawda. Dziwna historia, czekałem na kolejkę w Asok i wpadł na mnie jakiś młody mnich, a potem dał mi to w ramach przeprosin. — Unosi skręcone mocno, lśniące włosie, a ja nie pytam, dlaczego jakiś mnich miałby rozdawać talizmany męskości na stacji kolejki. Z drugiej strony taki talizman to prawdziwa

gratka dla kogoś, kto ceni swoje erekcje tak wysoko jak Tom Smith.

Prowadzi mnie do samego serca swojej kancelarii, składającej się z szeregu biur: to pokój bez okien, z niedużym stołem konferencyjnym, jednym komputerem i dużym płaskim monitorem, ustawionym na końcu stołu. Smith jest ekspertem od obsługi urzędnika, a w każdym razie potrafi je włączyć i dostroić. Następnie mówi do telefonu:

— Jestem umówiony na telekonferencję z panem Gerrym Yipem, na... dokładnie na tę godzinę. Już jest na linii? Rany boskie, jak długo czekał? Dobra, proszę łączyć, migiem.

Ledwie zdążyliśmy zasiąść przed kamerą cyfrową, umieszczoną na małym postumencie, gdy na ekranie pojawia się niski, chudy Chińczyk około pięćdziesiątki, z piwnym brzuszkiem, ubrany tylko w kąpielówki. Stoi na brzegu morza na szeroko rozstawionych nogach i wygląda na znudzonego. Wyraźny australijski akcent.

— Jestem już, kurwa, na linii czy nie? Jestem? To czemu nic nie mówisz? Tommy, kumplu, widzisz mnie?

— Widzę, panie Yip. Jestem tu z panem Sonchai Jitpleecheepem, tak jak uzgodniliśmy.

— W porządku. Problem, kurwa, w tym, że ja was nie widzę. — Podciąga szorty. — O, już widzę. Szacunek, panie Jitpleecheep, dzięki za przybycie.

— Nie ma za co — mówię.

— To prawda. Słuchajcie, nie mamy za wiele czasu, bo mam tu jutro, kurwa, premiera na głowie i jestem zupełnie nieprzygotowany, więc przechodzimy do rzeczy. Pański produkt zrobił na nas duże wrażenie. Dobrze mówię, Tommy?

— Och tak, ogromne wrażenie. Mistrzostwo świata.

— Widział pan umowę, panie Jitpleecheep. Czy ma pan jakieś uwagi?

— Nie zdążyliśmy jej jeszcze przeczytać, ani mój pułkownik, ani ja — odpowiadam.

— Pański pułkownik? Imperator Vikorn, tak? Szkoda, że

nie mógł uczestniczyć w naszej naradzie. Słuchaj pan, ja może mówię po kangurzemu, ale jestem w stu procentach Azjata, Chińczykiem do szpiku kości i na co dzień gadam, kurwa, po mandaryńsku. Wiem, czemu ten cwaniaczek Vikorn nie chciał przyjść. Sprawdziłem go, to wielki cwaniak. Nie ma mowy, żeby się wystawił. Woli wystawić pana, żeby w razie czego móc się nie zgodzić na nasze ustalenia. Nie, proszę, niech pan nie zaprzecza, mówię to z podziwem i szacunkiem, jak Azjata do Azjaty. Podoba mi się ten Vikorn. Więc jak Azjata do Azjaty — z całym szacunkiem oczywiście dla Tommy'ego, który stawał na rżesach, żeby przygotować tę umowę — pieprzyć umowę, co, panie Jitpleecheep? Przyślijcie produkt tej samej jakości jak zajawka, a my przelejemy wam kasę do dowolnego banku na dowolnych wyspach. Jeżeli nawalimy, nie dostajemy następnego produktu; jeżeli wy nawalicie, nie płacimy i tyle. W razie jakichś problemów z produktem będziecie mieli możliwość poprawek, ale za przekroczenie terminu liczymy karę. Ile dziennie, Tommy?

— Dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów — odpowiada Smith.

— Tak jest. Pasuje to panu? Jasne, że pasuje. Pański pułkownik nie ma zamiaru płacić jakichkolwiek kar, a ja nie będę mógł go ścigać w Tajlandii, bo mnie załatwi i tyle, no nie? A teraz może dobrze by było, żebym pana poinformował, jakie my tutaj mamy dojsčia. — Pan Yip podciąga kąpielówki. — Reprezentuję, panie Jitpleecheep, bardzo duże konsorcjum firm z całego świata. To są nie tylko sieci hotelowe, lecz także inne rynki zbytu we wszystkich cywilizowanych krajach na tej planecie, szczególnie media. Więc jeśli nawalicie, to pan pułkownik może sobie od razu szukać innego zajęcia; w tej branży będzie skończony. Rozumiemy się? Świetnie. Teraz ty, Tommy. Podobno miałeś jakieś problemy z jedną z naszych firm?

— Tak, z pewną spółką naftową, która ma bliskie powiązania z...

— Ach tak, z tym gościem Białego Domu. Wyjaśnię panu

przy okazji, panie Jitpleecheep, że kompanie naftowe również są zainteresowane waszym produktem, jako rozrywką dla ludzi na platformach, żeby nie wariowali z nudów. Wszyscy mają już po dziurki w nosie klasycznych ruchanek, więc wasza odlotowa produkcja może im się spodobać. Ale kilka osób zaczęło kręcić nosem na te fragmenty sadomaso. Zgadza się, Tommy?

— To też, ale według pewnego tajnego protokołu i według kilku ważnych członków rządu związanych z tą firmą wydobywczą, samo pokazywanie penetracji też budzi zastrzeżenia.

— A to pieprzone sztywniaki. — Mały Chińczyk aż jęknął. — Widzi pan, panie Jitpleecheep, z czym my się tutaj borykamy? Reguły zmieniają się od spółki do spółki, od rządu do rządu i prawie że, kurwa, z miesiąca na miesiąc. Nie ma żadnych branżowych standardów, mówiłem o tym zresztą na zjeździe producentów tego typu towaru w Manili, kilka miesięcy temu. Powiedziałem: „Koledzy, to jest obłąd. Za dziesięć lat dogonimy finansowo sektor paliwowy, a nie mamy kompletnie żadnych standardów. Raz można pokazać włosy łonowe, ale nie sutki, a znów o innej porze dnia można sutki, ale nie można włosów. Można pokazać bzykającą się parę, ale nie można samego urzędnika albo z kolei można pokazać urzędnika, ale laska musi być w biustonoszu”... zresztą chuj z tym. Tommy, niech ktoś przekaże temu kutasowi, że może mi przyjść do głowy globalny renesans dziennikarstwa śledczego. To mu powinno dać do myślenia.

— Będzie załatwione, panie Yip — mówi Smith.

— Twoja broszka. Tak czy inaczej, panie Jitpleecheep, czas nam się skończył. Dzięki za zajawkę. Tommy, zostań jeszcze na słówko w cztery oczy.

— Oczywiście. Jeżeli pan pozwoli, odprowadzę pana Jitpleecheepa do drzwi.

Chińczyk przygląda się z ekranu, jak Smith mnie odprowadza. Na korytarzu Anglik mówi:

— Świetny facet, co? Spotkał pan kiedyś geniusza tego kalibru? — Potrafi czytać z twarzy, a adaptację mojej osoby do

nowych zadań uważa za część swojej pracy. Unosi ramiona, rozkłada ręce. — Co można na to poradzić? Patologiczni chciwcy zawładnęli światem.



Na ulicy wyjmuję komórkę i wizytówkę *mama-san* z Parthenon Club. Zgadza się spotkać ze mną w Starbucksie przy Sukhumvit, od strony Nana Plaza. Przedtem muszę jeszcze zajrzeć na posterunek, a że czasu jest mało, biorę taksówkę motocyklową. U wylotu *soi* zebrało się z pięćdziesięciu jeźdźców; siedzą zgarbieni, grają w warcaby kapslami od butelek, rozmawiają o pieniądzach i kobietach. Wszyscy ubrani są w znoszone *seua win*, pomarańczowe bezrękawniki z numerem wypisanym na plecach wielkimi tajskimi zawijaszami. Chcę wybrać dziewiątkę, bo to najszczęśliwsza cyfra, ale muszę poprzestać na następnej w hierarchii, czwórce, uważanej za cyfrę śmierci przez Kantończyków i wszystkie nacje będące pod ich wpływem, łącznie z nami. Uznaję jednak, że taksówkarz funkcjonuje z czwórką już dość długo i wciąż oddycha, więc i mnie też nic nie grozi. Pod koniec jazdy muszę jednakże zrewidować ten pogląd. Jazda taksówką motocyklową zawsze budzi obawę o kolana, gdy kierowcy wyprzedzają ciężarówki i pomykają w *corrida de la muerte* bez marginesu bezpieczeństwa — ale ten mój kierowca w ogóle nie zna lęku. Wynika z tego, że chociaż czwórka nie w każdych okolicznościach musi być śmiertcionośna, to jednak nie jest to cyfra, na której można polegać. Wsiadam przy posterunku mocno wstrząśnięty, płacę, odwracam się i zderzam z internetowym mnichem.

— *Kautot*, przepraszam — mówię automatycznie na widok szafranowej szaty i wchodzę do budynku. Dochodzę jednak do wniosku, że to była jego wina. Musiał przecież widzieć, że wsiadam z motoru i ustawił się za mną specjalnie, żeby doszło do zderzenia. To dziwne, bo mnisi bardzo dbają o swój wizerunek w oczach ludzi z zewnątrz. Ten moment jednak przemija i biorę się do roboty. Tego popołudnia jesteśmy z Lekiem na

„czerwonym punkcie”, co oznacza, że musimy odbierać wszystkie zgłoszenia przez radio i nie przyjmujemy dzisiaj innych spraw. Wzywam Leka do siebie na szybką burzę mózgow. W jego przekonaniu powinniśmy się skoncentrować na bransoletkach.

— To się zdarzyło dwukrotnie — mówi. — Za każdym razem był to młody mnich. A tak się składa, że mamy w okolicy młodego mnicha, który nagle wpadł na ciebie na ulicy. Może to jednak jest jakiś trop, nie sądzisz? Przepraszam, jeśli ci utrudniam śledztwo.

— Nie musisz się silić na sarkazm. Oczywiście, myślałem o tym mnichu i bransoletkach, ale co mam zrobić? W tym kraju nie da się zaciągnąć mnicha na przesłuchanie ot tak, zaraz byś miał Sanghę na karku; poza tym on nie zrobił na razie nic złego.

— A jak to się dzieje, że rozdaje słoniowe bransoletki akurat osobom, które były związane z Damrong?

— Przesadzasz. Nie wiemy, czy to był on. Nie chcę go naciskać zbyt wcześnie, zaczekajmy, aż wyłoży wszystkie karty.

Obserwuję, jak nowa koncepcja wnika do umysłu Leka i rozwija się. Ma lepszą intuicję ode mnie — intuicja w rzeczy samej przenika całą jego mentalność i kiedy Lek już się do czegoś przekona, bardzo trudno jest mu to wyperswadować. A teraz patrzy na mnie z przerażeniem w oczach.

— Chcesz pozwolić mu wygrać, tak?

Powinienem może zapytać: „Co wygrać?”, ale to byłoby zaprzeczanie subtelnej prawdy. Nie mam pojęcia, co kombinuje ten młody mnich, lecz jestem pewien, że jest to uczciwsze od każdej roboty zleconej mi kiedykolwiek przez Vikorna. Odwracam głowę, żeby uniknąć wzroku Leka.

A teraz siedzę już na motorowerze i jadę do Starbucksa. Dzwoni moja komórka i muszę odebrać, bo może to Nok chce odwołać spotkanie. W ulicznym hałasie kiepsko słyhać, a sygnał jest przerywany.

— Czy to prawda, że dajesz mu pieniądze na operację? — chce wiedzieć FBI. Na razie muszę się złapać obiema rękami za uchwyt za siodełkiem, bo kierowca kładzie się akurat w zakręt

pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Sztuka polega na tym, żeby ucześcić się uchwytu kciukiem i małym palcem, a ze środkowych nie wypuścić komórki, nie naciskając też niechcący żadnego klawisza.

— Halo, halo?

— Sonchai, jesteś tam jeszcze?

Odpowiadam, łapiąc haustami powietrze po doświadczeniu bliskości śmierci.

— Nie daję, tylko pożyczam. Byliście już na tym lunchu?

— Skończyło się tylko na kawie, bo powiedział, że dzisiaj macie dyżur w komendzie. Jak mogłeś coś takiego zrobić?

Mam chyba najgorszego w życiu kierowcę, chociaż na plecach ma dziewiątkę; nie do wiary, co? Czasami człowiek się zastanawia, czy wraz z globalną zmianą klimatu nie nastąpiła zmiana wzorca i czy przypadkiem czwórka z dziewiątką nie zamieniły się miejscami w dystrybucji szczęścia. Wyprzedzamy taksówkę, przyklejam się więc do jego pleców.

— Co zrobić? Pożyczyć mu kasę? Błagał mnie o to na kolacjach, a kiedy powiedziałem „tak”, stałem się najważniejszą osobą w jego życiu. I teraz mamy *gatdanyu*.

— Co?

— Nieważne. Wyjaśnię ci, jak będziesz miała wolny tydzień.

— Chcę wiedzieć. Gdybyś mu nie pożyczył, nie miałby szans na operację, tak? Nikt inny nie wyłożyłby za niego takich pieniędzy.

— Kimberley — wzdycham ciężko — gdybym mu nie pożyczył na operację pierwszej klasy, spróbowałby to zrobić na czarno. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza w Bangkoku?

— Ja ciebie po prostu nie rozumiem, Sonchai. Lek to jeden z najpiękniejszych osobników płci męskiej, jakiego kiedykolwiek widziałam. — W tym momencie przenika mnie niesmaczne poczucie, że całe to jej nakręcenie przeżarte jest przez robaka uszczęśliwiania innych na siłę. — Jesteś przecież współczującym człowiekiem. Jak możesz to robić? Chłopak będzie nieszczęśliwy do końca życia.



— Zaczekaj chwilę. — Przy całym optymizmie świata trudno jest uwierzyć, bym przeżył spotkanie z nadjeżdżającą z przeciwka cysterną. Ale przeżyłem. — Nieszczęśliwy, bo bez kutasa? Ja się na tym nie znam, ale ty jakoś sobie radzisz. Męski członek nie zapewnia już dzisiaj żadnych przywilejów. I wielu z nas, właścicieli takowego, zastanawia się, czy nie ma z niego więcej szkody niż pożytku.

— Nie żartuj sobie. To jest poważna sprawa. Mówimy o przyszłości młodego mężczyzny.

Denerwuję się, bo muszę zsiąść z motoru przed punktem docelowym, żeby w ogóle móc z nią dalej rozmawiać.

— Zaczekaj chwilę, coś ci powiem. — Zatrzymuję tak-sówkę przy stoisku z jedzeniem, kupuję 7-Up i siadam, żeby się napić. — Słuchaj, Kimberley, więc to jest tak. — Aplikowanie FBI takiej porcji rzeczywistości nie jest łatwe, ale chyba nie mam alternatywy. — W wieku pięciu lat Lek miał wypadek. Skoczył na tylne nogi bawołu, żeby przeskoczyć na grzbiet, to taka wiejska zabawa. Bawół wierzgnął i Lek pofrunął. Na szczęście nie spadł na rogi, bo byłby trupem na miejscu, ale rozwalił sobie głowę o kamień. Nie mieli tam lekarza, w ogóle niczego. Uznali, że chłopak umrze, zresztą już wyglądał jak martwy. Słuchasz mnie?

— Tak.

— Wezwali szamana, a ten rozpałił ognisko przy jego głowie i dmuchał na niego dymem, żeby wywołać wizję. Wezwano rodziców. Szaman powiedział im, że dzieciak już właściwie nie żyje. Pozostała im jedna, jedyna nadzieja: muszą go ofiarować duchowi, który wejdzie w jego ciało i przywróci je do życia. Ale chłopiec będzie odtąd należał do tego ducha, a nie do nich.

— Że co?

— Była w tym tylko jedna zagwozdzka. Duch był rodzaju żeńskiego. Mówiąc wprost, Lek nie jest tak do końca człowiekiem. Jest żeńskim duchem w ciele mężczyzny.

Popijam 7-Up i czekam na odpowiedź, która się nie pojawia. Nie sądzę jednak, żeby FBI się rozłączyła, bo po chwili telefon

zaczyna piszczeć. Zamykam go, ale po kilku minutach odzywa się znowu, sygnalizując SMS-a. Otwieram go z wielką ciekawością, lecz okazuje się, że to nie FBI.

Czy wiesz, że od wejścia NATO do Afganistanu produkcja maku wzrosła tam o 500 procent? A cena surowego soku spadła o połowę. Mogę przez moje kontakty przerzucić to nawet do Laosu, a stamtąd dokąd będziemy chcieli. Co ty na to? Yammy.

Wystukuję w odpowiedzi trzy literki: NIE, i wyłączam telefon.

Siedzę na piętorku w Starbucksie, na kanapie i wyglądam na ulicę. Czekam na Nok. Przylepiony do okna, jestem tylko częściowo świadom obecności innych osób. Wiem, czego Nok oczekuje po naszym spotkaniu i czuję się winny, że ją zwodzę, ale w tej chwili nie dysponuję innym tropem. Poza tym czuję się niełojalny wobec Vikorna, który wołałby bez wątpienia, że-  
bym nie badał sprawy filmu z Damrong tak dogłębnie. Niesamowite, jak można sobie podzielić umysł na dwie części. Jest we mnie fanatyk, który nie spocznie, dopóki nie rozwiąże sprawy tego *snuff movie*; ale w tym samym domu mieszka z nim ten drugi, który wołałby pójść po linii Vikorna i żyć sobie długo i szczęśliwie ze swą ciężarną żoną. Fanatyk na razie wygrywa.

Spostrzegam Nok i od razu wnioskuje z jej stroju, czego się spodziewa. W opiętych džinsach i koszulce z krótkim rękawkiem zupełnie nie przypomina osiemnastowiecznej *mama-san* z zeszłej nocy. Założyła, że skoro wybrałem rejon Nana Plaza, z jego obfitością tanich hotelików, przejdziemy od razu do seksu — więc nie ma sensu wymyślnie się ubierać. Dziewczyna idzie zwawym krokiem: jest już myślami przy miłym spotkaniu, które być może doprowadzi do czegoś trwalszego, a w dodatku zrobi sobie na boku. Kto wie, może nawet zostanie moją *mia*

*noi*, „mniejszą żoną”; dostanie stałą pensję i mieszkanie. W dodatku, skoro mimo wszystko zdecydowałem się zdradzić żonę, widocznie nie mogę się jej oprzeć: w uśmiechu Nok jest duma i poczucie dominacji.

— Wiesz, że wczoraj po twoim wyjściu mieliśmy nalot policji?

Kręcę głową.

— Coś ty, naprawdę? Znaleźli coś?

— Narkotyków nie, ale zabrali komputer z listą członków. Szef od rana odbiera telefony od ważniaków, którzy się boją, że lista przecieknie do prasy. Podobno jakiś pułkownik Vikorn bierze za to kasę. Pieprzone gliny.

— To prawda — odpowiadam, porzucając pomysł ujawnienia się. — Ale ty przecież nie musisz się tym zajmować.

— W tej chwili na pewno nie. — Uśmiecha się wyczekująco. Ponieważ nie zaczynam się targować o cenę za jej usługi, przygląda się uważniej mojej twarzy. A może jestem jednym z tych pomieszanych facetów, którzy tkwią w niechcianym małżeństwie, a nie są pewni, czy chcieliby mieć kochankę? Nie przygotowałem się odpowiednio do tej rozmowy i jestem świadom, że przekraczam swoje uprawnienia. Wyjmuję portfel i zaczynam wykladać na stół tysiącbahtowe banknoty, czując się przy tym bardziej jak gangster niż policjant. Na widok mojej niedyskrecji na jej obliczu pojawia się cień gniewu, który znika, w miarę jak przybywa banknotów. Naliczyła dziesięć tysięcy i teraz patrzy mi głęboko w oczy. Tylko *farangi* proponują takie pieniądze za bzykanie w ciągu dnia: *Dobra, jestem wyjątkowa, ale nie aż tak*. Zwijam pieniądze w ciasny rulonik.

— Powiedzmy, że jestem inspektorem śledczym — mówię.

— Pracuję dla banków.

Nok przeskakuje w nową rzeczywistość z zaskakującą swobodą i szybkością.

— Zajmujesz się ochroną naszych członków? To dlatego wczoraj nie chciałeś tego robić? Bankierzy ci płacą?

— Nie. Płaci mi ktoś inny.

Robię minę, którą ona uznaje za potwierdzenie swoich podejrzeń. Jej rysy twardnieją, a w oczach pojawia się przejrzyistość.

— Chcę więcej — mówi.

— Podwajam.

— To za mało.

— Więcej nie dam.

— To nie rozmawiamy.

Wydymam policzki. Dwadzieścia tysięcy bahtów to ona zarabia prawdopodobnie przez miesiąc. Większość dziewczyn rzuciłaby się na takie pieniądze... chyba że silniejszy byłby strach.

— Posłuchaj — mówię. — Skąd ja w ogóle mogę wiedzieć, że masz informacje, których mi potrzeba?

— Domyślam się, że mam. Jeżeli nie płacą ci bankierzy, to jesteś zamieszany w jakiś szantaż. Nie chcę w to wchodzić, ale chcę zarobić. Za pięćdziesiąt tysięcy mogę porozmawiać.

W jej tonie pobrzmiewa stanowczość.

— Dobrze. W takim razie muszę iść do bankomatu.

— Pójdziemy razem do bankomatu, a potem do hotelu na godziny. Jeśli nawet nas ktoś zobaczy, pomyśli, że mnie wynajęłaś. — Nok rozgląda się po kawiarni. Trzech białych w średnim wieku siedzi z dziewczętami, spotkanymi najpewniej w tej okolicy zeszłej nocy. Reszta to też w większości *farangi*, młodzi mężczyźni i kobiety; odpoczywają sobie chwilowo od Trzeciego Świata, siedząc nad *caffè latte* albo *machiato* i czytając gazety. Idziemy do najbliższego bankomatu, gdzie grupka młodych *farangów* z świekami w brwiach przygląda się z rozbawieniem, jak w towarzystwie mojej dziwki wypłacam plik banknotów.

Nok zna miejscowe hotele lepiej ode mnie, bo pracowała w tych rejonach, zanim dostała się do Parthenonu. Jedziemy tak-sówką do motelu, w którym można odizolować się w samochodzie, zaciągając wokół zasłony, albo skorzystać z dobudowanych naprędce pokoiów, połączonych bezpośrednio z parkingiem. Płacę ochroniarzowi trzysta bahtów. Pyta, czy chcę

ogłądać porno na DVD podczas bzykania; odpowiadam, że nie. Nok tymczasem trochę się napaliła. Siedzi na podwójnym łożu z prowokacyjnym uśmieszkiem i obserwuje nas w lustrze na suficie. Uśmiecham się i kręcę głową. Ona wyciąga rękę. Wręczam jej dziesięć tysięcy i obiecuję dołożyć resztę, jeżeli informacje okażą się przydatne.

W jednym kącie stoi fotel ginekologiczny. Podczas użytkowania zapewnia chyba dostęp do pochwy z każdej strony świata. Nok wskazuje fotel podbródkiem, uśmiechając się wieloznacznie: *Popatrz, ile moglibyśmy dokonać, gdybyś się nie upierał przy zadawaniu głupich pytań. A może potraktujemy sprawę wielozadaniowo?* Ponownie kręcę głową. Ona z westchnieniem kładzie się na plecach. Kładę się obok niej i patrzymy na swoje odbicia w sufitowym lustrze, które nas nieco zniekształca. Być może jest w tym cel erotyczny, ponieważ wszystko wygląda na dłuższe.

— Co chcesz wiedzieć? — pyta Nok.

— Jak naprawdę działa Parthenon.

Na jej wydłużonej twarzy w lustrze pojawia się sprytna minika.

— To powiedz najpierw, co sam wiesz.

— Wiem, że oficjalnie zarejestrowanych członków jest tylko stu pięćdziesięciu. Opłata nie jest wysoka i nie ma szans, żeby klub się z niej utrzymał. Przy takiej liczbie gości nie starczyłoby nawet na wasze jedwabne szlafrocзки.

Żeński demon w lustrze kiwa ponuro głową.

— Bystrzak z ciebie. Więc jak to działa twoim zdaniem?

— Tajne członkostwo — odpowiadam. — Na tej liście jest kilka mocnych nazwisk, ale nawet w połowie nie tak mocnych, jak mogłyby być.

— To prawda. — Nok kiwa głową. — Niewiele osób o tym wie, nawet nie wszystkie dziewczyny wiedzą. Nie ma niczego na piśmie.

— No to opowiedz mi jak to działa.

— Nazywamy ich „członkami X”. Właściwie to oni założyli

klub i dzięki ich pieniądзом on funkcjonuje. Dla nich to rzeczywiście jest prywatny klub. Mogą mieć każdą dziewczynę o każdej porze, w każdym miejscu, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu. Któraś z *mama-san* dostaje tylko wiadomość od kierownika: ta i ta ma pojechać pod taki a taki adres, o tej i o tej godzinie. I dziewczyna to wykonuje, nic nie wiedząc o istnieniu tajnych członków. Nie protestuje, bo dostaje podwójną stawkę i następną noc wolną. Czasem spotkanie jest na górze w klubie. Najczęściej nawet się nie wie, z kim się spało. My jesteśmy proste dziewczyny ze wsi, mało wiemy o towarzystwie.

— Na górze, czyli w prywatnym pokoju, tak jak my?

— Nie. Naprawdę prywatne pokoje są gdzie indziej. Wjeżdża się tam prywatną windą.

— Kim są ci członkowie X?

— A jak myślisz? Największe szczyty w Tajlandii — wysocy rangą wojskowi, szefowie policji, bankierzy, biznesmeni, politycy. Podobny gatunek jak oficjalni członkowie, ale wyższa półka.

— Czyli ci oficjalni są tylko dla zmyłki?

Wzruszenie ramion.

— Dostają to, za co płacą. Zresztą często są współpracownikami tych tajnych, więc opłaca się im należeć.

Przyglądam się uważnie jej twarzy.

— Czy powinienem cię zapytać, skąd tyle wiesz na ten temat?

Nok kręci głową.

— Jestem dość popularna wśród iksów. Nakłoniłam ich, żeby mnie awansowali na *mama-san*, i teraz już nie muszę chodzić z oficjalnymi. Lepszy jeden wielki sukinsyn raz w tygodniu niż mały boleć co noc.

— A Damrong? — pytam. — Chyba też była bardzo popularna wśród iksów, prawda?

Nok odwraca się i mówi do ściany:

— Powiedz mi, co się z nią stało. Nie żyje?

— Tak.

— Tak podejrzewałam. Jej rodzina cię wynajęła?

— Nie całkiem.

Odwraca się i patrzy mi w oczy.

— Nie była wcale taka popularna. Wielu facetów nawet na nią nie spojrzęło, a kobiety też nie uważały, że jest jakaś wyjątkowa.

— A pozostali, z tych tajnych?

— Powiedzmy, że cieszyła się wielkim wzięciem u jednego z nich. Pasuje ci? Jakie to ma znaczenie, skoro jej już nie ma?

— Zlecono mi zbadanie tej sprawy.

Po chwili namysłu mówi:

— W pewnym sensie była mistrzynią prostytucji, obdarzoną genialnym instynktem, który reagował precyzyjnie i szybko, jak u dzikiego zwierzęcia. Rzuciła tylko okiem na faceta i już wiedziała, czy się w niej zadurzy, czy nie. Jeśli nie mogła dotrzeć do mężczyzny przez pierwszych dziesięć sekund, ignorowała go, przestawał dla niej istnieć. To jej dawało czas i energię, żeby się skoncentrować na innych. Ona rozumiała coś, czego nie rozumie większość dziewcząt łącznie ze mną. — Unoszę pytająco brwi. — Im wyżej taki zaszedł, tym mocniej upada. Nie uwierzyłabym, gdybym tego nie widziała na własne oczy. — Gdy to mówi, jej lewa ręka szuka mojej. — Ale byliśmy przyjaciółkami. Była dla mnie bardzo dobra, chroniła mnie.

Teraz patrzemy sobie prosto w oczy.

— Przed czym?

— Przed świnią. Powiedziałam jej, że chyba sobie z nim nie poradzę. Traciłam już szacunek dla samej siebie. Oczywiście nie znałam jego nazwiska — płacił dużo, ale był brutalny. I Damrong go uwiodła, odciągnęła ode mnie. Jakoś ten sadyzm jej nie przeszkadzał. Może ją to kręciło, a może to ja jestem przewrażliwiona, nie wiem. Nawet podzieliła się ze mną pieniędzmi, które jej zapłacił za pierwszy numer. Taka z niej była kobieta. *Jai di mark mark*. — Kręci głową. — Chyba żadna z



nas nie umiałyby go tak trafić prosto w serce jak ona. Dla mnie był twardy jak diament.

— Jak wygląda?

— Tajski Chińczyk. Wysoki, szczupły, dobiegający pięćdziesiątki, ale przystojny, w taki jakiś zły sposób.

Odczekuję dłuższą chwilę.

— Myślę, że wiesz, kto to jest.

— Dowiedziałam się.

— Khun Tanakan?

Nok najwyraźniej nie chce wypowiadać tego nazwiska, więc tylko potwierdza skinieniem głowy.

— Ale z tego, co wiem, to jeden z oficjalnych członków też oszalał na jej punkcie. Ten prawnik, Tom Smith, wspominałaś o nim.

— Ten kretyn. Nie ma nawet pojęcia, jak mało brakowało, żeby Chińczyk go załatwił. Gdyby wiedział, kogo ma za rywala, trzymałby gębę na kłódkę. A on dostawał szalu za każdym razem, gdy przychodził do klubu, a jej nie było. Groził, wrzeszczał. *Farangi* są jak dzieci, brak im samokontroli.

— Czy Tanakan wiedział o Smisie?

— Oczywiście. Tacy kolesie wiedzą o wszystkim. Przecież płacił.

— Ale nic mu nie zrobił?

— Smith żyje, tak czy nie?

— Czy pracował też dla Tanakana jako prawnik?

— A skąd ja bym miała wiedzieć coś takiego?

— No jasne. Przepraszam. — Unoszę pozostałe banknoty.

— Kto to wszystko organizuje? Musi być ktoś, kto panuje nad całością.

— Portier przy wejściu. Przyjrzyj mu się, to wielki cwaniak. Całą listę tajnych członków ma w głowie i to on eskortuje dziewczyny do miejsca przeznaczenia. Tajni płacą mu dużą kasę za dyskrecję. Zresztą i tak nie odważyłyby się chlapać ozorem.

Macham plikiem banknotów, ale gdy Nok chce po nie sięgnąć, cofam dłoń.

— A Khun Kosana, ten od reklamy, też jest tajnym członkiem?

Mruga oczami, przelyka ślinę.

— Tak. Był bliskim przyjacielem Khun Tanakana.

— Był?

— Zniknął. Wszyscy uważają, że nie żyje.

— Czy to robota Tanakana?

Błysk gniewu w oczach.

— A skąd, u diabła, ja mam to wiedzieć? — Uspokaja się po chwili. — To Khun Kosana najbardziej chciał, żeby klub zatrudnił *katojów*. Chyba tylko udawał, że woli dziewczyny. Przy mnie brał jedynie transseksualnych. Był takim jakby niewolnikiem Tanakana. Podobno nie miał głowy do interesów i Tanakan musiał go wiele razy wykupywać. Ale był bardzo zręczny w kontaktach z mediami i w rewanżu budował Tanakanowi wizerunek.

Podaje jej resztę pieniędzy, ale kilka banknotów zostawiam.

— Zaprowadź mnie do tej tajnej części klubu, tam gdzie się wjeżdża windą — mówię.

— A po co?

— Chcę rzucić okiem.

Nok znów zmienia opinię na mój temat.

— Coś mi się zdaje, że jednak jesteś gliną — mówi. — To tam ją zabili, tak? W prywatnych pokojach?

— Skąd mogę wiedzieć, skoro ich nie widziałem?

— Zrobię to za darmo. Przyjdź wieczorem do klubu — mówi Nok i wyciąga z mojej dłoni pozostałe banknoty. — Wcześniej zadzwoń, zamów sobie mnie i zarezerwuj dla nas pokój.

Wychodzimy z hotelu osobno. Lek dzwoni do mnie na komórkę i pyta, czy wracam do komendy, bo zaczynają się zgłoszenia. Odpowiadam, że zaraz będę. Dzisiaj dyżurnymi rządzi sierżant Ruamsantiah.



W taksówce komórka znów wibruje mi w kieszeni. Tym razem to sierżant.

— Macie zrobić nalot na kasyno pogrzebowe — mówi niemal przeprasającym tonem.

— Myślałem, że już zostawiliśmy je w spokoju.

— Nieoficjalnie. Mamy raport od policjanta; możliwe, że to jakiś wkurzony krewny, którego nie zaprosili. Nie możemy tego zignorować, ale działajcie na luzie. Po prostu spisz nazwiska i coś tam zanotuj, żebyśmy mogli się wykazać działaniem.

Dzwonię do Leka, ma na mnie czekać przy stacji Skytrain najbliższej miejsca akcji.



Wybacz, *farangu*, że w połowie opowieści funduję ci szok kulturowy. A więc kasyna pogrzebowe funkcjonują tak:

Jesteś oto świeżo upieczonym duchem, zupełnie sam po Drugiej Stronie, bez ciała, kompletnie, co zrozumiałe, zdeorientowanym. Wciąż jesteś mocno połączony z rodziną, subtelnymi więzami, których naturę nauka odkryje być może za kilkakaset lat. Po ustaniu funkcji życiowych komunikacja odbywa się głównie poprzez przepływ energii emocjonalnej: pragnienia przeżyły, rozum nie. Choć pozbawiony ciała, jesteś jednak zależny od swego rodzaju resztkowej świadomości, złożonej głównie z frustracji związanej z rozstaniem. A czego najbardziej nie chcesz? Odpowiedź: najbardziej nie chcesz być sam. Krewni, którzy tak cię wkurzali, zanim stałeś się zwłokami, teraz mają odgrywać ważną — choć nie kluczową — rolę. Obowiązkiem najbliższej rodziny jest otoczyć cię jak największą liczbą osób podczas czuwania, które może trwać do czterdziestu dziewięciu dni i zakończy się znalezieniem przez ciebie nowej przystani w należącem do kogoś — lub czegoś — łonie. Istnieje tylko jedna rzecz, która może skłonić przeciętnego Taja, żeby przychodził do domu nieboszczyka codziennie przez siedem tygodni, szczególnie jeśli za życia niezbyt cię lubił. Dodatkowa korzyść z zakupu kilku kół do ruletki i zorganizowania domowego kasyna jest taka, że pogrążona w smutku wdowa zarobi

na opłacenie mnichów, najedzenie, spłaci wyposażenie kasyna i odłoży jeszcze parę bahtów na utrzymanie rodziny w trudnym okresie po czuwaniu.

To właśnie tłumaczy, dlaczego znaleźliśmy się z Lekiem przed mieszkaniem Nang Chawiiwan, na trzecim piętrze skromnego budynku przy Soi 26. Lek zajrzał na tył domu i odkrył, że mieszkanie można opuścić wyjściem pożarowym. Walał głośno w drzwi i krzycząc „Policja!”, możemy więc spowodować natychmiastową ewakuację. Odgłos najlepszych niedzielnych butów na żelaznej drabince, podniecone szepty, jakieś chichoty. Ucieczka trwa dobrych dziesięć minut, z czego należy wnosić, że ponad setka gości oddała się teraz pospiesznie ulicą z miejsca akcji. Walimy w drzwi ponownie i tym razem otwiera nam wymęczona i zapłakana, lecz żwawa kobieta w tradycyjnym tajskim stroju; Nang Chawiiwan ma ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu.

Nie chcę jej robić przykrości w czas żałoby, pozwalam więc na pewną zwłokę, żeby ostatni goście zdążyli się ewakuować. Wreszcie kobieta prowadzi nas do środka. Nie próbowała nawet ukryć kół do ruletki; jest ich pięć. Przy każdym zostawiła sprytnie kupkę banknotów i popatruje teraz to na mnie, to na Leka, to na pieniądze.

— To bardzo poważne naruszenie prawa, za które grozi więzienie — mówi Lek, spoglądając na nieboszczyka, leżącego z rękami złożonymi na piersi w jasnej sosnowej trumnie. Ma ściągniętą, pokorną twarz robotnika. Właściwie jest tak chudy, że zastanawiam się, czy Nang nie zagłodziła go na śmierć. Nikczemny domysł, ale nieboszczyk faktycznie przypomina szkielet.

— Przepraszam — mówi Nang Chawiiwan.

Lek nie potrafi już dłużej grać surowego gliny i patrzy na trupa współczująco.

— Biedaczyna już jest samotny — mówi. — Czuję to.

Nang Chawiiwan pociąga nosem.

— Dlatego to zrobiłam, chciałam, żeby ludzie coś mieli z

tego, że dotrzymają mu towarzystwa. Jakże inaczej mogłabym spełnić swój obowiązek żony?

To pytanie jest za trudne dla Leka, który spogląda na mnie w oczekiwaniu pomocy. Chyba trochę się zafiksowałem na tym nieboszczyku, jak policyjny rekrut przy swoim pierwszym trupie. W tym tygodniu śmierć jakoś dziwnie na mnie działa.

— Weźcie pieniądze — mówi Nang zniecierpliwiona, wskazując leżące obok ruletki banknoty.

— My nie bierzemy pieniędzy — odpowiada Lek, szukając u mnie potwierdzenia.

— To prawda — mówię i uśmiecham się. — Lepiej je schowaj, nie powinny leżeć tak na wierzchu.

— Nie bierzecie pieniędzy? — Pani Chawiiwan robi wielkie oczy. — Jej twarz rozjaśnia uśmiech. — Mój Tung był dobrym człowiekiem, ale nie wiedziałam, że miał aż tak dobrą karmę. Wyobraźcie sobie tylko, dwóch policjantów nachodzi nas podczas czuwania i okazuje się, że nie biorą pieniędzy! — Chowa banknoty do biustonosza. — Właściwie był *arhatem*, świętym, to najlepszy dowód.

— Musimy zabrać twoje dokumenty — mówię — a jeśli ktoś zapyta, powiesz, że miałaś poważny nalot, który się nie udał, bo nie wiedzieliśmy o wyjściu pożarowym.

— Dobrze.

— I nigdy więcej tego nie zrobisz, prawda? Innymi słowy, nie zaczniesz zaraz po naszym wyjściu obdzwaniać znajomych z informacją, że teren jest już czysty?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— To był tylko ten jeden raz.

Kobieta szuka mojego wzroku.

— Może jednak wzięlibyście trochę pieniędzy? Czułabym się bezpieczniej.

— Nie — odpowiada Lek, celując w nią palcem, znów cały zwarty i gotowy. — Musisz nam zaufać.

Nang Chawiiwan jest bardzo podekscytowana z powodu świetnej karmy starego Tunga. Wciąż powtarza, jakim to był wspaniałym mężem, opiekuńczym nawet po śmierci. Rzadko kiedy zmarłym tak się szczęści we własnym kasynie pogrzebowym. Duchowa moc nieboszczyka natchnęła Nang taką życiową siłą, że wyjmuje komórkę i zaczyna obdzwaniać gości, choć jeszcze nie wyszliśmy z mieszkania.

Kiedy idziemy Soi 26, szukając taksówki, czuję się trochę oszołomiony, zatrzymujemy się więc przy barze. Zwykle nie piję na służbie, ale tym razem pozwalam sobie na piwo. Lek bierze 7-Up, po czym podchodzi do ulicznego sprzedawcy, pchającego chodnikiem swój wózek z aluminium i szkła. Patrząc, jak sprzedawca otwiera szklaną kłapę, wyjmuje zielone mango, kładzie je na płycie i sieka na plastry tak szybko, że prawie nie widać ruchu rąk. Przez lejkowaty koniec stalowej płyty plastry wpadają do plastikowej torebki, którą wkłada do drugiej, razem z różowymi saszetkami chili, soli i cukru do maczania mango. Finalny akcent to patyczek koktajlowy, który służy jako widelec.

— Co się dzieje? — pyta Lek po powrocie.

Opadam ciężko na plastikowe krzeselko. Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, która na pewno poszarzała. Na tej ulicy jadają głównie pracownicy przemysłu rozrywkowego. Można tu spotkać wielu *katojów*, idących do pracy dziewczyn w dżinsach i T-shirtach, kręci się sporo *farangów*.

— To śmierć — odpowiadam Lekowi. — Każdy policjant buduje w sobie odporność na nią od pierwszego dnia służby. Ale zlekceważyć jej się nie da, ot tak. — Pstrykam palcami, a on robi wielkie oczy. Nie rozumie, a nie ma mowy, żebym się przyznał do żenującej sytuacji, która wynikła po wczorajszym nalożeniu na Parthenon. Wypijam szybko piwo, lecz nie udaje mi się powstrzymać wspomnienia.

Obudziłem się w nocy tak twardy, że czułem to nawet w kościach. Pomyślałem od razu o Chanyi, ale ona już nie spała. Leżała wpatrzona w sufit, a robi tak tylko wtedy, gdy jest zła.

— To znowu ona, tak? — zapytała.

Odczekałem, ile się dało, ale musiałem potwierdzić.

— Tak.

— Sonchai, ja nie wiem, jak długo jeszcze dam radę to znosić. Walczyłabym o ciebie z każdą żywą kobietą, ale z umarłą? Czy wiesz w ogóle, co robiłeś przez ostatnie pół godziny?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

— Pieprzyłeś się z nią, prawda?

Odwrociłem głowę.

— Tak.

— Wciąż to samo. Trzeci raz w ciągu trzech nocy. I doszedłeś, cały się lepisz.

Nie wiedziałem o tym. A teraz cały sen powraca do mnie. Z tą różnicą, że to nie był sen, tylko odwiedziny. Cały się trząsłem.

Moje kochanie z pewnym wysiłkiem powściągnęło gniew i poszło po mokry ręcznik. Wycierała mnie tak mocno, że prawie zdarła mi naskórek.

— Normalni mężczyźni mają prawdziwe *mia noi*. A ty koniecznie musisz mieć pieprzonego trupa.

— Bardzo mi przykro.

— To się dzieje, od kiedy poszedłeś do jej mieszkania, tak?

— Wezmę prysznic.

— W środku nocy?

Wyszedłem na podwórko i oblałem się cały wodą z gumowego węża, jak słoń trąbą. Rano nie mogliśmy spojrzeć sobie w oczy.



Dopijam piwo i patrzę na Leka.

— To sprawa Damrong, tak? — pyta z nieomylnym instynktem *katoja*. Kiwam głową, nie patrząc mu w oczy. — Chciałbym, żebyś przyszedł na spotkanie z moim *moordu*. Zgadzasz się, mistrzu?

Lek odkrył swego nieomylnego jasnowidza jakiś rok temu

i od tej pory namawia mnie na spotkanie z nim/nią. Jest przekonany, że krążymy wokół siebie od setek żywotów, odgrywając wzajemnie różne role: matki i ojca, siostry i brata, męża i żony. Najbardziej chciałby jednak się dowiedzieć, kiedy ostatnio byłem *katojem*, tak jak on. Doktryna buddyjska mówi, że każda istota ludzka przechodzi raz na jakiś czas przez doświadczenie transseksualizmu.

— Nie dzisiaj, Lek — odpowiadam. — Jak będę się lepiej czuł.

Kiedy płacę za piwo i 7-Up, mój telefon sygnalizuje SMS-a. Czytam go i pokazuję Lekowi. To od Yammy'ego, już piąty w tym tygodniu.

Załatwiłem muła, więc nie będę musiał nieść sam. Porozmawiaj z Pułkownikiem, proszę. Już długo tego nie wytrzymam. Muszę się zająć moją sztuką. Yammy.

Kwituję to jęknięciem i chowam telefon, ale zaraz znów go wyjmuję, bo jest kolejna wiadomość. Tym razem od FBI.

Żyjesz w kraju zdewastowanym przez magię.



Nok powiedziała, żebym przyszedł po dwudziestej trzeciej, gdy w Parthenonie jest największy ruch. Wszystkie kanapy są zajęte przez mężczyzn w ciemnych garniturach, obsługiwanych przez dwie lub trzy wystrojone dziewczyny. Nok, w swojej sukni balowej, przedstawia im klientów, prowadzi na drugie lub trzecie piętro i powraca, by witać kolejnych, jeszcze bardziej ochoczych dawców spermy. Unika mego wzroku, nawet gdy patrzę wprost na nią, ale gdy przechodzi, chwytam mnie przelotnie za przegub. Nadeszła chyba wielka chwila, gdy w końcu coś się zacznie dziać na estradzie.

Światła przygasają, a niewidoczna orkiestra gra jakiś przesłodzony kawałek z lat pięćdziesiątych, dzięki czemu pięćdziesiąt panienek w skąpych strojach kąpielowych może jednocześnie wymachiwać nogami. Występ jest dokładną kopią hollywoodzkich rewii filmowych z lat pięćdziesiątych, z całym skomplikowanym układem tanecznym i finałem eksponującym dziewczę o największym biuście. Biust jest faktycznie gigantyczny; dziewczyna stoi na kolistym podium, a pozostałe składają jej hołd, klękając na kolano. W przeciwieństwie do innych barów w okolicy choreografia nie dopuszcza tutaj obnażania sutków i włosów łonowych; to występ niemal familijny. Nok podesłała mi dla zachowania pozorów trzy młode kobiety. Są

zachwycone, że pomimo nieco zachodnich rysów mówię po tajsku i dla zabicia czasu opowiadają mi historyjki ze swego życia. Uznały mnie chyba za faceta *mama-san*, ponieważ żadna nie wykonała choćby jednego erotycznego gestu. W końcu, gdy występ osiąga apogeum i rozlegają się niezborne oklaski, Nok zjawia się przy mnie i pyta, czy chciałbym pójść z którąś z dziewcząt. Odmawiam uprzejmie nieco zakłopotany i wszystkie trzy natychmiast znikają. Idziemy teraz z Nok na drugie i trzecie piętro, gdzie odbywamy ten sam rytuał. W końcu prowadzi mnie ostentacyjnie do jednego z prywatnych pokoi i zamyka drzwi. Opiera się o nie, prężąc w moją stronę swój biust w stylu Ludwika XV.

— Myślałem, że pójdziemy do tajnej części — mówię.

Nok przykłada palec do ust.

— Nie martw się, mam kartę. — Z czeluści swej sukni wyciąga plastikowy prostokąt z magnetycznym paskiem. — Portier jest mi winien przysługę. Powiedziałam mu, że jesteś moim wyjątkowym chłopakiem i chciałabym się z tobą kochać w tajnym pokoju. To uniwersalna karta, otwiera tam wszystkie drzwi. — Uśmiecham się. — Może zdecydujesz się jednak ze mną pokochać, jak zobaczysz pokój.

Schodzimy schodkami pożarowymi na małe gospodarcze podwórko. Nok otwiera kartą niepozorne drzwi, za którymi jest korytarz z grubym dywanem i windą o drzwiach obitych czerwoną skórą. Winda, też wyłożona dywanem, wwozi nas na górę w kilka sekund.

Wysiadamy na fantastycznym placu zabaw. Monitory pokazują obrazki z Paryża, Rzymu, Wenecji oraz fellatio. Nok pokazuje mi, jak zmienić kanał; można sobie wybrać dowolną scenę erotyczną: każdą pozycję z Kamasutry, oraz inne, o których w tej optymistycznej księdze nie ma nawet wzmianki. Sufity są tu wysokie, złożone, ale nie tak ozdobne jak w części ogólnej. Cały wystrój wykazuje więcej smaku, a mniej upodobania do aksamitów i purpury. Centralnym miejscem jest olimpijskich rozmiarów basen, z którego unoszą się obłoczki pary. Ma kształt

ameby z licznymi Dawidami, Zeusami, Posejdonami na obrzeżach oraz stadkiem żywych, nagich rusalek, chlapiących się wodą. Przypuszczam, że uaktywniły się na odgłos windy. Nok macha do nich ręką poprzez mistyczną mgiełkę.

— To mój chłopak — wyjaśnia.

— Chcesz go odstąpić? — woła któraś.

— Nie. — Odrzuca z uśmiechem włosy z czoła i prowadzi mnie za rękę korytarzem w głąb pięttra. W ciszy słycać tylko szelest jej sukni i plusk wody w basenie. Widzę tylko troje drzwi. Nok potwierdza, że istotnie, są tu tylko trzy pokoje. Na więcej nie ma miejsca.

Rozumiem to, gdy otwiera jeden z nich. Pokój ma chyba z dwieście metrów kwadratowych. Na środku jest jaccuzzi o nerkowatym kształcie, a wokół niego mnóstwo ręczników, mydeł w płynie, balsamów i szamponów prosto z Paryża. Wszędzie są lustra, a wysoko na półkach stoją bezcenne na pierwszy rzut oka porcelanowe i nefrytowe antyki. Moje spojrzenie zatrzymuje się na półmetrowej rzeźbie odpoczywającego Buddy: mistrzostwo wykonania i masa nefrytu.

— Wszystko autentyczne — mówi Nok, podążając za moim wzrokiem.

Dziesięć metrów przed nami stoi łóżko, większe niż podwójne. Ale prawdziwe wrażenie robią ogromne monitory pokrywające ściany niczym kolekcja malarstwa. Dostrzegam też liczne kamery. Prawdopodobnie z dowolnego miejsca w pomieszczeniu można za pomocą pilota wykonać zbliżenie aktywności genitalnej, własnej bądź cudzej. Wymieniamy z Nok spojrzenia.

— To pokój Tanakana — wyznaje. Zdobyła się wreszcie na wymówienie nazwiska swego dręczyciela.

Dotąd nie wymieniała z imienia żadnego z właścicieli tajnych pokoi; teraz, gdy to zrobiła, sporo spraw się wyjaśnia. Chcę wiedzieć więcej, lecz Nok prowadzi mnie do jaccuzzi i zaczyna rozbierać.

— Przynajmniej się razem wykąpmy — mówi. Chcę zaprotestować, ale jej ton nie pobrzmiewa wcale erotyzmem, raczej

smutkiem i niespełnieniem. Gdy jestem już nagi, rozbiera się szybko, rzuca suknię na ziemię i ciągnie mnie za sobą do ciepłej wody.

— Często cię tutaj przyprowadzał, prawda? — pytam.

— Ty to masz intuicję — mówi, nie patrząc na mnie. — Czysty instynkt, to dzięki niemu udaje ci się przeżyć. Chyba rzeczywiście pochodzisz z biedoty, bo taki instynkt potrafią rozwinać tylko ludzie z dołów i więźniowie. — Wzdycha. — Tak, często, zgadłeś. Kiedyś byłam jego faworytą. Jego żądza działa na czas, każdą dziewczynę trzyma prawie równe pół roku, a potem ją zostawia i bierze inną.

— Ale myślałem...

— Wiem, co ci powiedziałam. Mam swoją dumę. Był sady-  
stycznym sukinsynem, to prawda, ale był też... — robi gest dłoń-  
nią— ...niesamowity.

— I to Damrong go odciągnęła od ciebie?

Patrzy na mnie z ukosa.

— Z tajnymi członkami to działa inaczej. Mężczyźni decydują. — Nok wzdycha. — Moje półrocze i tak się już kończyło.

*Mama-san* powiedziała mi o nowej dziewczynie i wyleciałam od razu na drugi dzień. Ale Damrong zachowała się bardzo przyzwoicie, oddała mi połowę pieniędzy ze swojej pierwszej nocy. Pełny profesjonalizm i dobre serce. Żartowałyśmy sobie, że wzięła zamiast mnie sobotnie biczowanie.

Nagle, bez ostrzeżenia, wszystkie dysze wodne na obwodzie jaccuzzi włączają się na pełną moc. Rytm mego serca się podwaja, a w ramionach mam Nok. Naga, mokra, zalękniona, wtula twarz w moje ramię.

— Już dobrze — mówię. — Pewnie niechcący coś naciśnęliśmy.

Trwa tak, wczepiona we mnie, przez dobrą minutę; w końcu udaje mi się ją oderwać i posadzić. Czekałam przez chwilę, aż całkiem dojdzie do siebie.

— Ty go nie znasz — mówi tytułem wyjaśnienia.

Daję jej jeszcze kilka sekund.

— Pół roku to dość długo, można naprawdę się zbliżyć do człowieka — odpowiadam. — Na pewno rozmawialiście o czymś więcej niż o cenach olejków do masażu. — Jej ból jest o wiele bardziej pociągający niż rutynowe uwodzicielskie sztuczki. Trzymam ją pod wodą za jeden palec, a ona rzuca mi spojrzenie z ukosa. — Zakochałaś się w nim pomimo tego upodobania do sadyzmu?

— On to potrafi. Wie, jak wywołać w kobiecie silne pożądanie. Jak sprawić, żeby pragnęła tylko jego.

— Wielu mężczyzn chciałoby to umieć.

— Przy jego pozycji i pieniądzach to nie jest takie trudne. Zaczyna panować nad twoim życiem, kawałek po kawałku i nagle jest już tylko on. Staje się twoją obsesją, czy chcesz tego, czy nie. Kobiety często lubią przymus. Ja chyba też taka jestem. — Spogląda na leżącego Buddę z nefrytu. — Myślę, że można to wytrzymać dlatego, że nawet gdy on cię rani, czujesz pod spodem jego własny ból. Taka chora miłość, tak to widzę.

— Czy Damrong też się to przydarzyło?

Nikły uśmiezek.

— Nie, ona była inna. Silniejsza od niego. — Znów kose spojrzenie. — To dlatego musiała umrzeć, tak? — Nagle nurkuje, po czym wynurza się ociekając wodą, jakby brała chrzest w rzece.

— Nie wiem — odpowiadam. — Dlatego tu jestem. Moim zdaniem kluczem jest Tanakan, jego psychika. A ty na pewno sporo o nim wiesz.

— Zaczekaj — mówi Nok i wychodzi z basenu. Ciało ma idealnie proporcjonalne, jak Damrong, jak wyśmienite wazy i rzeźby na półkach. — Puścimy jakąś muzykę. — Dotyka elektronicznego przełącznika przy drzwiach i długa, niska nuta płynie nie wiadomo skąd. Poznają zenistyczny flet, z jego przeciągłą, oschłą, obsesyjną tęsknotą za nieskończonością. Dziewczyna wraca uśmiechnięta do jacuzzi i pokazuje mi, żebym zanurzył głowę pod wodę, gdzie dźwięk jest jeszcze bardziej obsesyjny: płynie niczym błaganie o wieczność, bez centrum i granic.

Nok kiwa poważnie głową i podejmuje temat na nowo.

— O tak, wiem sporo. On nie jest głupi, wie, że nawet kurwie trzeba coś dać, skoro romans ma potrwać pół roku. Potrafi się dzielić swoim sercem. — Jej lewa ręka wynurza się spod wody, głaszcze moją pierś, ale po chwili rezygnuje i znów się zanurza. — To jego druga natura, ta, dzięki której wybaczasz mu ten obłęd podczas pieprzenia. Musisz to zrozumieć, Sonchai, to nie jest typ szarżującego byka. Raczej pytona przyczajonego do ataku.

— Więc co go tak skrzywiło?

— Chyba sam fakt bycia Tajem. Społeczeństwo. Jego ojciec był chińskim biznesmenem, działał na pograniczu Tajlandii, Birmy, Laosu i Chin.

— Opium?

— Tak sędzę. Tanakan nie mówił mi o szczegółach, ale myślę, że jego stary handlował, czym się tylko dało. Między innymi nefrytem. — Wskazuje ręką półki z rzeźbami. — Jest ekspertem od nefrytu na skalę światową.

— Rozumiem. A matka?

— Tajska kurwa, jakże by inaczej. Była trzecią czy czwartą żoną, nie pamiętam. Wszystkie one mieszkały w wielkim domu w Chiang Rai, a on i matka byli na dole drabiny. Pokazał mi jej zdjęcie. Myślałam, że to coś znaczy, że jestem wyjątkowa, ale spytałam inne dziewczyny i okazało się, że wszystkim to pokazuje. Była niesamowicie piękna, nawet na kiepskiej fotce. Taka piękność z Isaan, wiesz.

Kiwam głową. Wyjątkowe piękno kobiet z Isaan — produkt trudnego życia, jak dzika róża wyrastająca ze skalnej szczeliny — jest jednym z tych zjawisk, o których często się rozmawia w branży. Zupełnie jakby natura wzięła odwet za tysiąc lat feudalnego ucisku, co jakiś czas wydając na świat owoc o takiej urodzie, o jakiej dziewczęta z klas wyższych mogą tylko pomarzyć.

— Z tego, co mówił, była twarda jak stal. Niezbyt skora do okazywania uczuć, ale potrafiła wydusić z jego ojca dość

pieniędzy, żeby posyłać syna do najlepszych szkół... Wszyscy w klasie wiedzieli oczywiście, kim jest jego matka. A on pragnął zwycięstwa, za każdą cenę. — Nok eleganckim gestem ręki ogarnia bezcenne wazy na półkach, nefryty, całe to niesłychane bogactwo. — Jest bardzo z tego dumny. Uważa, że matka wychowała go na prawdziwego mężczyznę, wojownika. Wcale nie myśli, że go wypaczyła, tylko przygotowała do rzeczywistości, takiej jak ją postrzegała. I może miała rację. A jak inaczej miałyby taka kobieta — albo taka jak ja, nie szukając daleko — wychowywać chłopca, mając taką wiedzę o świecie, jaką mamy? Udawać, że to Disneyland?

— Moja matka też była w branży — wyznaję.

Nok marszczy brew.

— Jakoś to wyczuwałam.

— Statystycznie to całkiem prawdopodobne. Prostyucja jest w Tajlandii jedną z większych gałęzi gospodarki i to od trzystu lat. W większości drzew genealogicznych dominują kurtyzany. — Chcę powstrzymać jej łakomą dłoń, ześlizgującą się coraz niżej po moim ciele, więc mówię: — Przepraszam, muszę się wysikać. — I wychodzę z jaccuzzi.

Łazienka jest na drugim końcu pokoju. Pełno w niej gadżetów z nierdzewnej stali. Wchodzę na pięć minut pod prysznic, dla zabicia czasu i ochłonięcia: dziewczynie udało się sprowokować sporą erekcję. Kiedy chcę wyjść z łazienki, drzwi nie chcą się otworzyć. Pukam coraz gwałtowniej, kopię, aż w końcu walę w drzwi ramieniem i ustępują. Kiedy podchodzę do jaccuzzi, Nok pływa twarzą w dół, a dysze wodne znów się same włączyły. Pierwsza moja myśl jest taka, że pewnie znów słucha muzyki pod wodą.

Przysiadam na brzegu i czekam, aż się wynurzy. Woda zabarwia się powoli delikatnym, spienionym różem. Zaczynam biegać jak szalony, nago, po wielkim pomieszczeniu. Są tylko jedne drzwi, te, którymi weszliśmy, ale to nie jest zwyczajna sypialnia, pełno w niej sprytnych urządzeń. Naciskam przełącznik dysz wodnych przy drzwiach i turbulencja ustaje. Z gardła

dziewczyny płynie długi, przejrzysty strumień rózu, w harmonii z odwieczną tęsknotą japońskiego fletu. Wskakuję do basenu, odwracam ją i badam fatalne cięcie, tuż pod jabłkiem Adama.

Świeże zwłoki są bardzo nieporęczne. Ślizgam się i zmagam z ciężarem przez dobrych pięć minut; wreszcie udaje mi się wyciągnąć ciało z wody i ułożyć na podłodze. Mogę tylko przykryć ją z szacunkiem jedwabnym prześcieradłem z łóżka.

Kiedy dochodzę do drzwi, dopada mnie depresja, silniejsza nawet niż strach. Czuję bezbrzeżny smutek, ponieważ to ja jestem przyczyną jej śmierci. Wychodzę do głównej sali, gdzie w basenie nadal pluszczą się nimfy.

— Co się stało? Za szybko doszedłeś? — pytają na widok mojej miny.

Nie odpowiadam, zjeżdżam windą na dół. Jestem pewien, że to portier doniósł Tanakanowi, że Nok coś kombinuje. Z tak-sówki dzwonię do FBI.

— Przynajmniej znam już miejsce zbrodni — mówię. — Śmierć Damrong sfilmowano właśnie tam, poznałem tego leżącego Buddę z nefrytu.

— I co chcesz zrobić?

— Nic.

— Na twoich oczach zamordowano kobietę, a ty nie kiwniesz palcem? Dlaczego nie aresztujesz Tanakana?

— Vikorn mi nie pozwoli — tłumaczę jej. — On sam już go szantażuje.

— Jest aż tak skorumpowany?

— Nie rozumiesz. To sprawa honoru, dlatego Tanakan na to poszedł. Dopóki współpracuje, Vikorn musi go ochraniać. Więc choć Tanakan płaci za to bardzo dużo, w sumie zyskuje na tym układzie.

— Masz rację, nie rozumiem.

— Pomyśl o Wall Street — mówię i rozłączam się.

Stoję na chodniku przed moją rudera i zastanawiam się, czy zadzwonić. Jest wprawdzie kwadrans przed trzecią nad ranem, ale osoba, z którą chcę porozmawiać, cierpi na bezsenność.



Odbiera po drugim dzwonku, bez cienia senności w głosie. Ponieważ jest noc na pustej i cichej ulicy, mówię szeptem:

— Przepraszam, jeśli panią obudziłem.

— Sonchai? Nie, nie obudziłeś mnie. Ale dlaczego ty nie śpisz?

— Pewnie dostarczą dzisiaj do pani zwłoki młodej kobiety. Używała imienia Nok. Ktoś jej poderżnął gardło tuż pod jabłkiem Adama.

Długie milczenie. Coś mi mówi, że nie pierwszy raz dostała taki telefon.

— Co mam zrobić? — pyta. — Tylko mi nie mów, że zatuszować sprawę.

Obezwładnia mnie obraz: naga Nok unosi się na wodzie, z jej szyi płynie różowy strumień, rozwija się na powierzchni niczym szal z muślinu.

— Przeciwnie, doktor Supatra — mówię. — Chciałbym wiedzieć, kto spróbuje ją zatuszować.

Jestem zarazem wyczerpany i podekscytowany. W agregacie przetwarzającym dane między moimi uszami buzuje jak w gnieździe szerszeni, ale ciało mam tak słabe, że ledwie się poruszam. Wiem, że i tak nie zasnę; po co odkładać do jutra upokorzenie, którego mogę doświadczyć już teraz? Zachowuję tylko tyle ostrożności, że wchodzę po cichu do mieszkania, żeby nie zbudzić Chanyi i Kluski, zabieram spod materaca służbowy pistolet i wracam na ulicę. Łapię taksówkę i każę się zawieźć z powrotem do Parthenonu. Wsiadam jednak sto metrów od klubu, płacę za kurs i czekam. Jest czwarta dwadzieścia trzy. Wychodzą ostatnie dziewczyny, w džinsach i koszulkach, żegnają się znużonymi głosami. Wychodzą też mężczyźni, pracujący głównie na zapleczu. Stoję w ciemnym kącie i czekam, aż wyjdą wszyscy, prawie wszyscy. Podjeżdża wysoka furgonetka bez okien, wygląda jak samochód dostawczy. W jasnym świetle przed wejściem widzę portiera, też już przebranego w szorty i podkoszulek. Wyniesienie worka ze zwłokami z budynku i załadowanie go do furgonetki trwa niecałe dwadzieścia sekund.

Samochód odjeżdża, a mężczyzna zostaje. Wyjmuje z kieszeni komórkę, słucha przez chwilę i patrzy wzdłuż *soi* w moją stronę.

Nagle myśliwy staje się zwierzyną. Czekam jak zalekniiony zając, gdy on niespiesznie idzie ulicą i staje przede mną. Wiem, że wypukłość w jego kieszeni to telefon, broń byłaby większa. Mężczyzna nie wygląda na niebezpiecznego: niższy ode mnie, po czterdziestce, z brzuszkiem.

Przygląda mi się z ciekawością.

— Chcesz mnie zabić? — pyta. Obiema rękami chwyta mnie nagle za klapy marynarki, ale nie ma w tym agresji. Dopiero po chwili rozumiem, o co mu chodzi: zaciąga mnie pod uliczną latarnię i ustawia się tak, żebym wyraźnie widział jego twarz. Jest wykrzywiona w duchowej udręce.

— Po prostu mnie zabij — mówi, wskazując wypychający mi kieszeń pistolet. — Wyświadczysz mi przysługę. — Widzę, jaki jest udręczony. Przelyka mocno ślinę. — Moja żona i córka są służącymi w jego domu. Dobrze je traktuje, nigdy żadnej nie tknął, bo nie są piękne. Ale ja jestem jego niewolnikiem. Mam nadzieję, że rozumiesz.

— Zwłoki odpowiadające twojemu opisowi przywieziono do kostnicy o szóstej rano — mówi doktor Supatra. Zadzwoń, gdy się ubierałem. Chanya jest w *wat*, poszła błagać Buddę, żeby przymknął oko na jej wcześniejszą profesję i żeby dziecko było zdrowe, zadowolone, a przede wszystkim miało szczęście w życiu.

— Kto je przywiózł?

— Inspektor Kurakit.

— Gdzie znaleziono ciało, jego zdaniem?

— W mieszkaniu wynajmowanym przez nieboszczkę.

— Czy wezwano panią do zbadania miejsca zbrodni?

— Nie.

— Dziękuję — mówię i rozłączam się.

Dzwonię do Manny, sekretarki Vikorna, i proszę o połączenie z szefem. Poznają z jej tonu, że już została ustawiona.

— Poszedł na ważne spotkanie.

— Nieprawda.

— Jest bardzo zajęty, detektywie. Nie wiem, czy znajdzie dziś dla pana czas.

— Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie pracuję przy sprawie tego morderstwa z dzisiejszego rana.

— Mam go zapytać w pańskim imieniu?

— Nie. Odpowie, że mam i tak za dużo roboty. Chcę sam z nim porozmawiać.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Oczywiście nikt nie oddzwania. Nasz protokół jest tak sztywny, że Vikorn równie dobrze mógłby polecieć na Księżyc. Nie ma szans na spotkanie, jeśli nie będzie chciał. Wniosek z tego taki, że muszę się dogadać z Kurakitem. Wiedziałem z góry, że właśnie on dostanie sprawę.

Nawet się wzajemnie nie nienawidzimy, bo żeby kogoś nienawidzić, trzeba go najpierw choć trochę rozumieć. A my z Kurakitem zupełnie się nie rozumiemy. Ja z jego punktu widzenia jestem idiotą, którego w ogóle nie należało przyjmować do policji. Jako były żołnierz i pobożny buddysta Kurakit uważa, jak miliony do niego podobnych, że życie jest proste: znaleźć posadkę, ustalić, kto rządzi, robić, co każe, i korzystać z awansów, które rozdziela. Moja skomplikowana psychika jest dla niego nieomylną oznaką szaleństwa. Oczywiście został ostrzeżony, że zadzwonię.

— Co tam słyhać? — pytam najdobroduszniej, jak potrafię.

— W porządku. — Podejrzliwy ton.

— Słyszałem o tej nowej sprawie z dzisiejszego rana.

— Od kogo?

— A co, to tajemnica?

— Sprawa jest moja. Pułkownik Vikorn zadzwonił do mnie o czwartej rano. Ty masz już za dużo na głowie.

— Nie chcę ci ukraść sprawy, ale możliwe, że ma związek z moim śledztwem. Może byśmy zrobili małą burzę mózgów?

— Burzę czego? O czym ty gadasz? Moja sprawa nie ma żadnego związku z twoją.

— Skąd wiesz?

— Pułkownik tak twierdzi. Powiedział, że jak zadzwonisz, mam cię poinformować, że nie ma związku.

— A zdradził ci, kto ją zabił?

— Nie.

— No to może powiedział, kto jej na pewno nie zabił?

— Może.

— Czy powiedział, że ważny bankier Tanakan nie ma z tym nic wspólnego?

— Tak. Nie. Nie chcę już z tobą gadać. — Rozłącza się.

Dzwonię ponownie.

— Daj mi chociaż adres, pod którym znaleziono ciało.

— Nie. Nie wolno mi tego robić.

Tym razem ja się rozłączam i dzwonię do doktor Supatry, żeby ją zapytać o adres, który Kurakit musiał wpisać na zgłoszeniu. Na razie jest zbyt zajęta, ale obiecuje przefaksować mi formularz, na którym jest również numer dowodu Nok i adres jej rodziców. Czekam więc na faks, a tymczasem dzwoni FBI.

— Sonchai, czy wiesz, że moim zdaniem robisz coś bardzo złego? Zastanawiałam się nad tym, ale nie ma innego słowa. Toż to średniowiecze, jak kastrowanie chłopców do chóru albo co. On to robi tylko po to, żeby móc się sprzedawać, prawda?

— Powiedziałem ci, dlaczego to robi.

— Nie kupuję tej twojej orientalnej ściemy. Wy po prostu... ja już was przejrzałam, po prostu opisujecie brzydkie rzeczy jako ładne, żeby móc je sprzedać.

— Reklama to zachodni wynalazek. Oglądałaś kiedyś reklamę papierosów? Pokazują czyste górskie strumienie, żeby sprzedawać truciznę, od której ludzie dostają raka płuc. Przez całe dzieciństwo byłem bombardowany czymś takim i ty pewnie też. A ta historia z Lekiem... dostałaś dawkę szoku kulturowego i tyle.

— Przecież to groteskowe. Wszystko mu obetną, a potem dadzą sztuczną pochwę. A fuj !

— A o implantach piersi też tak myślisz? Jeżeli tak, to możesz stworzyć u siebie w kraju piękne lobby zwalczające chirurgię plastyczną, starczy wam zajęcia na sto lat.

— Pewnie uważasz, że jestem kolejnym babskim *faran-giem*, szukającym fiuta? — łożądkuje się FBI do słuchawki.

— Uważam, że się zakochałaś w Leku — odpowiadam.

Mija dłuższa chwila.

— Czy on jest pedałem? — pyta ostrożnie.

— Broń Buddo, nie. Jeszcze nigdy nie uprawiał seksu i prawdopodobnie nigdy nie będzie. U takiego *katoja*, jakim zostanie Lek, cała żądza zawiera się w rozmowie. Jak dochodzi do konkretów, bywają bardzo pruderyjni. Mówiłem ci, to kobiecy duch w męskim ciele. Pragnie tylko wyrażać swoją wewnętrzną prawdę. Jeżeli to dla ciebie za trudne, to wybac.

Rozłączam się, mam dość. Kimberley natychmiast znów dzwoni.

— Powiedziałaś, wyrazić swoją wewnętrzną prawdę? Ja dokładnie to właśnie chcę zrobić, dlatego przyjechałam. Pytałeś kiedyś dlaczego, to teraz już wiesz. Nie myślałam o tym w ten sposób, dopóki nie powiedziałaś tego zdania.

— Jeżeli to ma polegać na uwodzeniu Leka, lepiej nie stosuj bombardowania precyzyjnego, to zawsze prowadzi do antagonizmów. Spróbuj raczej współodczuwania, spróbuj potraktować go poważnie. Chłopak ma dość odwagi, żeby się poddać operacji, docień go trochę.

— Naprawdę nigdy nie spróbował seksu? — pyta po chwili. — Ile on ma lat?

— Dwadzieścia dwa. A ja nie mam czasu. — Przerywam połączenie, wyłączam telefon i idę na lunch.



W firmie telefonicznej podają mi numer domowy rodziców Nok. Ale wciąż się waham. W końcu zginęła przez mnie. Czy potrafię spojrzeć w twarz jej rodzinie? Postanawiam najpierw obejrzeć mieszkanie.

Znajduje się na obrzeżach miasta, w pobliżu nowego lotniska, jeszcze nieotwartego. Kiedy docieram tam taksówką, po godzinie stania w korku na Sukhumvit, okazuje się, że Nok mieszkała w kawalerce, w bloku zbudowanym dla robotników z lotniska. Budynek kojarzy się raczej z więzieniem, pokoje trzy na cztery metry wychodzą bezpośrednio na korytarz. Jej pokój jest na piątym, najwyższym piętrze, bez windy. Drzwi cel

zamykane są w większości na kłódki, ale u Nok są otwarte. Pukam pomimo wszystko i wchodzę. W środku zastaję pięć osób, w tym małżeństwo w średnim wieku, pewnie rodziców, a poza nimi chłopaka koło dwudziestki, nastoletnią dziewczynę i siedmioletniego chłopczyka. W pokoju jest tylko materac i trochę damskich ubrań na wieszakach zaczepionych o gzyms. Mój wzrok zatrzymuje się na dziecku; mam nadzieję, że to nie jest syn Nok. W rozmowach ze mną nie wspominała o dziecku.

— Jestem detektyw Jitpleecheep — mówię.

W oczach pięciorga wpatrzonych we mnie ludzi nie ma cienia nadziei. Od policjanta nikt jej nie oczekuje, to pewnik. Na twarzach matki i córki widać strach, twarz syna jest gniewna. Natomiast ojciec i wnuczek chyba w ogóle nie rozumieją, co się dzieje.

— Mogę zapytać, co tutaj robicie? — pytam.

— Kuzyn do nas zadzwonił — odpowiada matka. — Mieszka na dole. Powiedział, że wczoraj jacyś ludzie wnieśli na noszach naszą córkę, było widać, że nie żyje. A potem przyszli jacyś inni ludzie i ją zabrali. Nie wiemy dokąd.

— Była naszą jedyną nadzieją — dołącza się brat. — Utrzymywała nas. I co my teraz pocniemy?

Mam wrażenie, że wszyscy milcząco mnie oskarżają, i muszę przyznać, że jest w tym pewna sprawiedliwość. Problemy nękające ubogie warstwy społeczeństwa przynajmniej w połowie spowodowane są przez policję.

— To była dobra dziewczyna — mówi matka. — Nie handlowała narkotykami, nie sprzedawała swojego ciała. Pracowała w restauracji. — Patrzę na siedmiolatka, nie zadając oczywistego pytania. — Nok wyszła za mąż za jego ojca — wyjaśnia matka — ale on sobie znalazł nową żonę i przestał płacić na dziecko.

— Rozumiem — mówię. — Oczywiście nie ma mowy, żeby Nok mogła utrzymać pięć czy więcej osób z pensji kelnerki, ale protokół wymaga podtrzymywania takich koniecznych złudzeń. Możliwe, że tylko matka jest dość bystra, żeby się orientować,

jak dziewczyna zarabiała pieniądze. Zresztą i tak w rodzinie nie mówiono by o tym otwarciu. Trudno jest jednak rozmawiać o sprawie, nie łamiąc tej *omertà*.

— Przysyłała nam co miesiąc dziesięć tysięcy bahtów — opowiada matka. — Musiałam za to wyżywić naszą piątkę i jeszcze moich rodziców. Cały czas spędzamy na pracy przy ryżu, gotówki w ogóle nie mamy. Moja matka ma cukrzycę. Lekarstwa dostajemy tanio, z funduszu zdrowia, ale ona musi być na specjalnej diecie. Ojciec też niedomaga — coś mu się porobiło z głową, chyba od tej pracy na roli, przez całe życie w skwarze. Syn chciał skończyć średnią szkołę, ale nie mieliśmy pieniędzy. Młodsza córka, ta tutaj, jest jeszcze dziewczicą, ale spotyka się tylko z miejscowymi chłopakami, a oni nie mają pieniędzy i piją albo biorą narkotyki. Nok chciała znaleźć dla niej dobrego męża, ale najpierw też musiałaby skończyć szkołę, bo inaczej nikt z lepszej sfery nawet na nią nie spojrzy. Nok powiedziała, że jest dość ładna, mogłaby nawet znaleźć sobie *faranga* i przeprowadzić się do Krung Thep. Nok mówiła, że *farangi* mają tyle pieniędzy, że jeden człowiek mógłby nas wszystkich utrzymać. A teraz co nam zostało, żebranina?

Jakbym widział moją rodzinę... Dzięki Buddzie moja matka miała dość oleju w głowie i siły przebicia: wytrzymała w branży na tyle długo, żeby coś odłożyć, a potem otworzyła własny burdel. Przed karmą nikt nie umknie, nawet Budda.

Teraz mówi brat.

— Nasz kuzyn powiedział, że to gliny ją przyniosły i potem zabrały. Na pewno jakiś bogacz ją wykorzystał i zabił, a później zapłacił policji za wyciszenie sprawy. — Patrzy na mnie oskarżycielsko.

— Wiem, że została zabita — mówię. — Ale nie sądzę, żeby ktoś ją wykorzystał seksualnie.

Na koniec przemawia ojciec. To typ człowieka, którego mógłbym nazwać solą tej ziemi. Mówi powoli, z namysłem, uprzejmie, głosem, który nigdy w życiu nie wypowiedział kłamstwa.



— Jesteśmy dobrymi buddystami. Dajemy dużo na *tamburi* w naszym *wat*. Nok także gromadziła zasługę, gdy tylko mogła, nawet tutaj, w Krung Thep. Całe życie pracowałem w polu, ale jako młody chłopak spędziłem rok w klasztorze. Gdy umrę, osiągnę nirwanę. Jak pomyślę, że moją córkę zabił zły człowiek, wydaje mi się, że zaraz zwariuję.

Mówi, trzymając głowę w grubych, sękatych dłoniach i kręcąc nią we wszystkie strony. Ten gest potęguje jeszcze moje poczucie bezradności. Chciałbym powiedzieć, jak na filmach kryminalnych, że dopadnę zabójcę Nok i doprowadzę go przed oblicze sprawiedliwości, lecz wątpię, żeby ci ludzie w to uwierzyli, choć są zupełnie nie z tego świata. Są łagodni, to prawda, ale już pogodzili się ze śmiercią Nok i teraz chcą tylko jakiegoś poczucia bezpieczeństwa, jakiegoś zastępstwa w miejsce swej jedynej żywicielki. Żadna tragedia nie może się równać z brakiem ryżu przez nieokreśloną przyszłość, już od jutra. Matka chyba czyta w moich myślach.

— Podróż kosztowała nas więcej niż tysiąc bahtów — mówi, patrząc mi w oczy. Wyciągam portfel, daję jej dwa tysiące, omiatam wzrokiem pokój (żadnej krwi ani śladów walki), składam się w *wai* i wychodzę. Przez chwilę stoję pod domem, czując się fatalnie. Budynek jest jednym z wielu bloków powstałych na fali spekulacji gruntami, a wszystkie one wyglądają podobnie: długie, pięciopiętrowe pudła, złożone z identycznych klitek. Mrugnąć raz i mamy Auschwitz czy Dachau. Mrugnąć dwa razy i jesteśmy w dowolnym miejscu Trzeciego Świata.

Mrugnąć trzykrotnie i może się okazać, że to przyszłość nas wszystkich w tej epoce funkcjonalnego barbarzyństwa. Muszę stąd iść.



Vikorn zadzwonił, gdy tylko wróciłem na posterunek.

— Gdzie ty się podziewałeś?

— Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa.

— Sonchai, tym razem cię nie proszę, tylko rozkazuję. Nie

zajmuj się tym, zostaw to Kurakitowi. Masz w ogóle szczęście, że jeszcze żyjesz. Wiem, że masz gdzieś wszystko poza własną świątobliwością, ale jeżeli nie przestaniesz się w to pakować ze względu na mnie, to zrób to przez wzgląd na Chanyę i dziecko. Tanakan rozgniecie cię jak pluskwę, bez chwili namysłu. Chcesz, żeby Kurakit prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa detektywa Jitpleecheepa? Dokąd cię to wszystko zaprowadzi?

Myślę o ojcu Nok i chcę odpowiedzieć: do nirwany. Ale za mało we mnie niewinności i odwagi, więc tylko stękam coś w rodzaju „dobrze”.

Zważywszy na okoliczności, towarzystwo rozszluszczanego handlarza narkotyków i producenta pornosów może być całkiem przyjemne. Właśnie napisał do mnie Yammy:

Jestem w Kimsee, piję. Przyłącz się.

Kimsee to japońska restauracja na Sukhumvit, pod wiaduktem kolejki napowietrznej i naprzeciwko Emporium. Wygląda, jakby ją żywcem przeniesiono z Tokio i zrekonstruowano tutaj, w Bangkoku, według wyśrubowanych japońskich standardów jakości. Jeśli nie liczyć tajskich kelnerek, wszystko kojarzy się tam z autentycznym Nipponem, włącznie z pijącymi ostro mężczyznami na etatach dyrektorskich, z których każdy ma własną butelkę najlepszej sake, podpisaną nazwiskiem i czekającą na niego na specjalnej półce.

Yammy jednak nie czekał, bo stoi przed nim litr, który już stracił połowę objętości. Kiedy siadam przy bejcowanym stole, pasującym do bejcowanego drewna ścian, Japończyk przywołuje kelnerkę, która nalewa trochę sake do kamiennego dzbanka, dla podgrzania. Po kilku minutach rozlewa ciepły trunek do maleńkich kubeczków. Yammy jest już w połowie swego *bento box*; dłubie ponuro pałeczkami w żółtym tofu.

— Ja chyba dłużej nie dam rady, Sonchai — mówi ze swoim miękkiem kalifornijskim akcentem. — To koniec, rezygnuję.

— No dobrze — odpowiadam, popijając łyk sake. — Porozmawiam z szefem.

Nie wiem na razie, czy to dobra strategia. A może on popadł już w tę swoją depresję tak głęboko, że nie da się go z niej wyciągnąć? Rzuca mi przebiegle spojrzenie.

— Trzeci film z serii jest dopiero w połowie kręcenia. Musicie znaleźć kogoś, kto go dokończy.

— Jasne.

— Nie martwisz się? — Spogląda znad pałeczek. — Cały kontrakt może być zagrożony

— Dobrze o tym wiem, Yammy, ale ty jesteś artystą, twoje prawo mieć humory. Jeżeli środowisko pracy ci nie odpowiada, nie możesz pracować i tyle. Vikorn musi to zrozumieć.

— Nie będzie chciał mnie załatwić?

— Może chceć, ale przecież już wiemy, że ty się śmierci nie boisz. Czekalesz już na egzekucję i właściwie musieliśmy cię błagać, żebyś się zgodził wyjść z pudła.

Uśmiecha się półgębkiem i przestaje grać.

— Posłuchaj, Sonchai, ja skończę ten film i pozostałych dziesięć też, ale potem...

— Yammy, daj sobie spokój. Jak będziesz się stawiał, to Vikorn i tak cię wywali. Może zabije, może odeśle z powrotem do więzienia. Może naprawdę masz w sobie taką wewnętrzną uczciwość, ale co z tego? Filmy i tak będą zrobione, nie przez ciebie, to przez kogoś innego. Ja się tylko boję, żeby Vikorn nie chciał mnie tym obarczyć.

Nie pomyślał o tym. Odkłada pałeczki i patrzy na mnie.

— Ciebie? Ale ty głównie wiesz o robieniu filmów!

— To prawda. Wyobrażasz sobie tę ohydę? Taki amator jak ja nie potrafiłby porządnie sfilmować nawet zwykłego penisa w pochwie. Na to potrzeba lat praktyki.

Yammy przestaje nadawać na dziesięć minut — w każdym razie takie mam wrażenie. W końcu zmusza mnie znów do spojrzenia w przepaścistą głębię swego ponuractwa.

— Masz mnie pilnować, prawda? To twoja robota. W takim razie musimy się razem upić. — Wychyla resztę sake i daje znak, bym go naśladował. A ja wciąż pielęgnuję w sobie poczucie winy i oplakuję Nok, więc pasuje mi to jak rzadko. Nie liczę, ile kubeczków ryżowego wina w siebie wlewamy, ale gdy zbieramy się do wyjścia, butelka sake z elegancko wykaligrafowanym nazwiskiem Yammy'ego jest pusta. Zapada zmierzch. Nad głowami dudni nam Skytrain, a powietrze na dole wypełnia trucizna sącząca się z pojazdów. Stragany z przekąskami i górami słodkości zastąpiły teraz budy z czymś bardziej konkretnym, dla wracających do domów zgłodniałych ludzi pracy. W sumie stwierdzam, że krajobraz jest jakiś bardziej płynny niż przedtem. Yammy jest w kiepskim stanie, a ja też ledwie stoję. Uczepił się mojej lewej ręki, żeby się nie przewrócić.

— Myślisz, że to takie proste wsunąć penisa do pochwy, gdy ani jedno, ani drugie do ciebie nie należy? Nie takie proste, jakby się wydawało. Wiesz, kim są największe primadonny w biznesie porno? To ogiery, mój drogi, ogiery, wcale nie dziewczyny. Jedno nieopatrzone słowo i od razu im flaczeje.

— Ty na szczęście masz Jocka.

Ciężkie westchnienie.

— Gdyby nie on, już dawno bym zrezygnował.



Tej nocy Chanya znowu mnie zaskakuje. Leżymy w łóżku, trzymam rękę na Klusce, właśnie skończyłem opowieść o śmierci Nok i czekam na kolejną podszytą strachem reakcję; spodziewam się prośby, żebym posłuchał Vikorna i dał sobie spokój ze śledztwem. Chanya tymczasem leży cicho przez dłuższą chwilę. I w końcu mówi:

— Zrób, co musisz zrobić, Sonchai.

— A co z tobą i dzieckiem?

— Trudno, musimy zaryzykować. Zbyt wielu ludzi w Tajlandii ucieka od działania. Takie siedzenie cicho w tajskim

stylu już się nie sprawdza. A może któregoś dnia jakiś bogaty człowiek zgwałci mnie, a potem przekupi policję? Zmiana musi się od czegoś zacząć.

— Nie mówiłaś tak ostatnim razem, kiedy wypłynęło nazwisko Tanakana.

— Wiem. Ale zginęła kolejna dziewczyna. To chyba buddyzm sprawia, że przeciętny Taj jest aż nazbyt pokorny.

— A inni są aż nazbyt bezczelni — mruczę sennie.

Każde poważne przestępstwo znajdzie jakieś wygodne wytłumaczenie: ciężkie dzieciństwo, upadek ze schodów na głowę, życie w miejskiej nędzy i tak dalej. Ale to, które zamierzam popełnić, ma naprawdę dobrą motywację: zamordowanie Nok, Pi-Oona i Khun Kosany. Nie dywagujmy więc na temat resztek wściekłości, jaką czuję na myśl o śmierci Damrong. Nok przynajmniej nie spiskowała ze swoim zabójcą. Chcę głowy Tanakana i do diabła z Vikornem. Ale jeżeli mam przeżyć, muszę zmienić się w lisa. Przyznaję, choć z niechęcią, że żyję tylko dzięki moim związkom z pułkownikiem; gdyby Tanakan mnie zlikwidował, natura jego układu z Vikornem zmieniłaby się na korzyść tego ostatniego, a on nie zna litości.

Nie mam jeszcze planu, co wprawia mnie w okropny nastrój. Wpadło mi tylko do głowy, że złapię portiera z Parthenonu i tak go przycisnę, że zacznie mówić. Ale jeżeli to uczynię, Tanakan się dowie i mnie zabije. Poza tym ten człowiek nie boi się śmierci ani więzienia; Tanakan zapewnia utrzymanie jego kobietom, a one są dla niego całym światem. Jeśli nie zechce, nie powie słowa. Czasem zazdroszczę moim zachodnim odpowiednikom prostoty ich żywota; stawianie złoczyńców przed obliczem sądu jest dla nich chyba najważniejszą rzeczą na świecie. Z drugiej strony to jednak trochę takie harcerstwo,

brak w tym moralnego niepokoju. Tą metodą nie wypali się zbyt wiele złej karmy.

Wciąż wściekły, postanawiam pospacerować wokół komendy. Przechodząc przez ulicę, mijam znów Internetowego Mnicha, ale nie jestem w nastroju do towarzyskich uprzejmości, więc rzucam mu kosę spojrzenia i idę dalej.

Jest jedenasta trzydzieści i wszyscy straganiarze pichcą w najlepsze przed południową godziną szczytu. Ustawili się naprzeciwko posterunku specjalnie z myślą o policjantach i obłudze. Dzięki temu liczą na dyspensę od aresztowania. Po wyposażeniu stoiska można poznać, co serwuje: mosiężny kociołek oznacza najpewniej zupę na wołowinie; wielka emaliowana niecka to świńskie nogi; ciemnobrązowy moździerz z wypalanej gliny, z drewnianą kopyścią, zawiera zabójczo ostrą sałatkę somtan; wok na węglach to smażenina i tak dalej.

Zawracam w stronę komendy, bo trochę już ochłonąłem. Zastanawiam się właśnie, czy nie czas wziąć tego mnicha na przesłuchanie, kiedy wychodzi z kafejki i wpada na mnie po raz kolejny. Otwieram usta, żeby go zrugać, ale zastygam w bezruchu, bo mnich unosi otwarte dłonie i patrzy na mnie z zagadkową, niemal rozbawioną miną. Nawiedzeni mnisi są w buddyzmie równie częstym zjawiskiem jak w innych religiach i dochodzę do wniosku, że ten rzeczywiście jest szalony, bo próbuje mnie nie przepuścić. W końcu udaje mi się go ominąć, ale gdy siadam za biurkiem, nadal o nim myślę. Po chwili przychodzi Lek.

— Ty wiesz, co zrobił przed chwilą ten Internetowy Mnich? Znowu specjalnie na mnie wpadł i pokazał coś takiego.

— Unoszę otwarte dłonie, wnętrzem w jego stronę.

— Mnie wczoraj zrobił to samo. — Zauważyłem, że Lek już się nie ekscytuje mnichem tak bardzo jak przedtem. — Może jest stuknięty. A pokazał ci bliźnę?

— Jaką bliźnę?

— Chyba dlatego tak podnosi ręce. Ma bliźnę na przegubie. Może podcinał sobie kiedyś żyły i teraz ma obsesję na jej punkcie?

— A bransoletki?

— Nie wiem, może je rozdaje każdemu, kogo spotka. Może to z niczym nie ma związku.

— Ale mnie nie dał.

Właściwie spostrzegłem wcześniej tę bliznę, ale nie zwróciłem na nią uwagi. Wzruszamy obaj ramionami. Żaden z nas nie ma ochoty zgarniać mnicha i zamykać go w wariatkowie. Ale to smutne, że taki młody człowiek mógł się doprowadzić do takiego stanu. Wyrzucam go z głowy i skupiam się nad tym, jak załatwić Tanakana, czy się to Vikornowi spodoba, czy nie. Przez resztę poranka nie myślę już o mnichu. Dopiero gdy siedzimy z Lekiem przy straganie z jedzeniem i zabieramy się do *kong kob kiao*, czegoś na ząb, myśl o nim znów powraca.

— Ta blizna — mówię do Leka, odkładając na stół rybne kluski na patyku.

— Jaka blizna?

— Na przegubie mnicha.

— Co z nią?

— Chcę, żebyś sprawdził, czy on nadal siedzi w kafejce. Ja wracam do komendy. Jeżeli siedzi, zapytaj, czy nie byłby tak dobry i nie przyszedł ze mną porozmawiać, dobrowolnie. Bądź uprzejmy.

Lek wzrusza ramionami. Może to ja niedługo wyląduję w wariatkowie.



Patrzę przez okno, jak Lek wychodzi z kafejki internetowej, przyglądając palcami włosy. Po kilku minutach zjawia się przy moim biurku, sam.

— I co?

— Powiedział, że z chęcią przyjdzie z tobą porozmawiać za jakąś godzinę. Najpierw chce trochę pomedytować w *wat*.

Czuję ukłucie irytacji, aleje lekceważę. Nie ma ludzi bardziej drobiazgowych od oszustów. Kiedy mnich wreszcie się zjawia, jestem już spokojny, ale natychmiast znów ogarnia mnie złość



na widok jego nieśmiałej, mnisiej pozy w stylu „na skraju nirwany”. Muszę wziąć się w garść, żeby nie zastosować agresywnej techniki przesłuchiwania. Skoro sam lubi nosić mnisie szaty, najpewniej podoba mu się, gdy inni też się płaszczą.

— Przepraszam, ale nie znam twego buddyjskiego imienia — mówię.

Trzeba przyznać, że jego zimna krew jest godna podziwu.

— To nie ma znaczenia. Z pańskiej twarzy czytam, że nie uważa pan, bym w ogóle miał buddyjskie imię. Prawda, że tak jest?

— Ilu reguł przestrzegasz? — pytam, znów wkurzony.

— Cóż za dziecinne pytanie, detektywie. Dobrze pan wie, że każdy mnich musi dochowywać dwustu siedemdziesięciu siedmiu ślubowań.

— Przepraszam — mówię. — To było głupie. — Zaskakuje mnie poziom jego tajszczyzny. Spodziewałem się zagubionego półanalfabety z ubogiej północy.

— Ja to rozumiem — odpowiada. — Uważa pan, że nie zachowywałem się jak mnich, więc nim nie jestem. To się nazywa utrzymywanie sztywnych wyobrażeń, czy też bardziej ogólnie, ignoracją. Czy pan się zawsze zachowuje jak detektyw, detektywie?

Elegancja tej odpowiedzi zostawia mi w ręce niewiele atutów.

— Jak na mnicha spędzasz sporo czasu w kafejce internetowej. Czy jesteś buddyjskim modernistą?

Uśmiech — nie protekcyjnalny, ale prawie.

— Oczywiście, że nie. Modernizm to przede wszystkim pewna forma rozrywki i to bardzo powierzchownej. Nie przetrwa katastrof ekologicznych albo niedoborów ropy naftowej, nie przetrwa nawet ataków terrorystycznych. I z pewnością nie może przetrwać w ubóstwie, które jest udziałem jakże wielu z nas. Jedno pstryknięcie wyłącznikiem i obrazy znikają z ekranu, a nas znów zaczynają nękać odwieczne pytania: Kim jestem? Skąd przychodzę? Dokąd idę? Ale gdy nie ma mądrości,

takie pytania zamieniają się w truciznę. A pomieszczenie szuka ujścia w bigoterii, która z kolei prowadzi do konfliktów. Jedna porządna wojna z zastosowaniem zaawansowanej techniki i wracamy do epoki kamienia łupanego. Na tym właśnie polega związek buddyzmu z modernizmem — ten drugi należy uznać za lekarstwo na ten pierwszy. — I nagle czarująco się uśmiecha. — Z drugiej strony wygodnie jest ściągać buddyjskie teksty z sieci, zamiast szperać po bibliotece. Do niedawna nie miałem pojęcia, jaka ograniczona jest therewada. Gdybym teraz chciał się wyświęcić, pojechałbym do Dharamsali, tam gdzie mieszka Dalajlama.

Odsuwam krzesło. Dociera do mnie, że sprawa przybrała niespodziewany, wręcz szokujący obrót. Ku swemu zdziwieniu stwierdzam, że zafascynował mnie ten młody *phra*, mnich, którego prawdziwa tożsamość staje się coraz bardziej nieuchwytna z każdym jego słowem. Czyżbym uważał jego manierę za oszustwo tylko dlatego, że jest zaawansowany w rozwoju i już nie zauważa, jak oddziałuje na innych? A może nie go to nie obchodzi? Z prawdziwym mnichem tak by było.

— Przejdźmy do pokoju przesłuchań — mówię.



— Obserwowałeś mnie przez cały tydzień. Dlaczego? — pytam, gdy już siedzimy w najmniejszym z naszych pokojów.

— Chciałem opowiedzieć panu o mojej siostrze — mówi z tą samą mieszaniną współczucia i obojętności, która może być, ale nie musi, autentyczna.

— Masz jakieś informacje na temat jej śmierci?

— Nie, żadnych.

— To po co miałbyś ze mną rozmawiać?

— Ponieważ to ona ma informacje, które chce panu przekazać. Odwiedza mnie co noc. Jej dusza nie zaznała ukojenia.

Trawię przez chwilę w myślach tę dowodową bombę.

— A po co te gry? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie tak zwyczajnie?

— Ja nie jestem zwyczajny. Jestem mnichem.

— A może to ma jakiś związek z tym? — Wskazuję na jego przegub, na krótką białawą bliznę, dokładnie taką samą jak na przegubie Damrong.

— Nie to, co pan myśli — odpowiada z uśmiechem. — Wygłupy nastolatków, nic wielkiego.

— W takim razie powiedz mi wszystko, co wiesz. — Wzdycham z rezygnacją.

— Nie tutaj. — Rozgląda się z lekkim grymasem po pustym pokoiku. — Wolę na dworze. Pan chyba też, prawda?

Idziemy więc na zewnątrz, w oślepiające światło i nieustającą uliczną krzątaninę. Zgodnie z protokołem trzymam się pół kroku za nim. Równo z nami posuwa się handlarz pchający wózek ze szczotkami, miotłami i ścierkami, a ja nadstawiam ucha, żeby nie uronić ani słowa.

Damrong, zdaniem jej brata, była żeńskim *arhatem*, buddyjską świętą. On sam urodził się jako Gamon, a teraz nosił buddyjskie imię Phra Titanaka. W dzieciństwie był bardzo chorowity. Ich matka już wtedy była uzależniona od *yaa baa* i zaczęła tracić rozum. Często dopadały ją ataki irracjonalnego gniewu. Ojciec był zawodowym przestępcą, całe ciało miał wytatuowane w magiczne inskrypcje w *khom*, pradawnym khmerskim alfabecie. Został rytualnie zamordowany przez miejscowych policjantów, gdy Gamon miał siedem lat. Oboje rodzice byli Khmerami i uciekli z kraju po bombardowaniach Nixona, które zdestabilizowały całą wschodnią część Kambodży. Dzieci urodziły się w obozie dla uchodźców po tajskiej stronie granicy. Phra Titanaka darzy swą starszą siostrę wyjątkowym szacunkiem.

— Bez niej w ogóle bym nie przetrwał — mówi. — Gdy ojciec jeszcze żył, brała na siebie każde lanie przeznaczone dla mnie, nie pozwoliła mu, żeby mnie choćby dotknął. Była tak dzika, że nawet on się jej bał. I broniła mnie też przed matką.

— Płaciła za twoją naukę?

— Tak, do samego końca.

Nasze spojrzenia się spotykają. Ja zdobyłem wykształcenie w ten sam sposób i trudno mi nie zapytać:

— Wiedziałaś, skąd biorą się te pieniądze?

— Nie od razu. Ale gdy podrosłem, trudno było się nie zorientować.

Zachowuje wspaniałą dyscyplinę. Pojedyncza łza, płynąca z jego lewego oka po policzku, na pewno wywołuje swędzenie, ale on nawet nie próbuje jej zetrzeć. Z poziomu jego zrozumienia nawet emocjonalna udreka jest tylko kolejnym złudnym zjawiskiem, jak wszystko w tym świecie. Bawi go mój podziw, bo nie wie, jak bardzo mnie kusiło, i nadal kusi, klasztorne życie. Jako nastolatek spędziłem rok w śródleśnym klasztorze i był to najspokojniejszy rok mojego życia, przepojony prostotą.

Stajemy na skrzyżowaniu, żeby przepuścić motorowy wózek, tak obwieszony losami na loterię i kolorowymi pismami, że nie widać kierowcy. Policjant we mnie każe mi zadać okrutne pytanie:

— Czy wiesz, że była wybitnie dobra w swojej profesji?

Powstrzymuje się od wzruszenia ramionami.

— Oczywiście. Była przecież piękna i wyjątkowo inteligentna. Tak właśnie opłacała moją naukę, odkąd skończyła szesnaście lat i mogła się sprzedawać. Z jej punktu widzenia dawała mi po prostu szansę, jakiej sama nigdy nie miała. Ale ja nie byłem taki mądry jak ona. Myślę, że w innym kraju albo gdyby się urodziła w innym środowisku, byłaby świetnym lekarzem.

— Lekarzem?

— Tak, miała naturalny dar uzdrawiania i była osobą wyjątkowo nieegoistyczną. Wiedziała mnóstwo o żywieniu i lekarstwach; dzięki temu uchroniła mnie przed zabiciem przez matkę. — Pozwala sobie na przełknięcie śliny. — Była też niezwykle łagodna.

— Kiedy się dowiedziałeś o jej śmierci?

Wzruszenie ramion.

— Przyszła do mnie we śnie.

Ponieważ mnich zgłosił się do mnie z własnej woli, nie mogę go zmuszać do udzielenia informacji. Ale jestem bardzo zaintrygowany.

— Nie masz mi jeszcze czegoś do powiedzenia? — pytam.

— Zadałeś sobie wiele trudu, żeby mnie sprawdzić.

— Musiałem wiedzieć, czy zechce mnie pan wysłuchać. To, że znalazłem w panu tak gorliwego buddystę, przepelnia mnie radością.

W mojej głowie pojawia się jednak pewna myśl, być może zrodzona w jego umyśle.

— Uznałeś, że nie żyje, bo przyszła do ciebie jako duch. Skąd miałaś pewność?

Odwraca się twarzą do mnie, z tą samą elegancją co przy każdym swoim ruchu.

— Na razie powiedziałem dość. Przyszedłem nawiązać z panem kontakt.

— I co będzie dalej?

— Gdy zdobędę więcej informacji, znajdę sposób, żeby je panu przekazać. Ale wolałbym nie przychodzić do komisariatu. Spotkamy się w tutejszej *wat*, jeśli pan nie ma nic przeciwko.

— Doświadczam poczucia utraty, boję się, że nigdy już go nie zobaczę. Uśmiecha się współczująco. — Proszę się nie martwić; jeśli Budda chce, żeby ludzie się spotkali, nic ich nie rozłączy.

Ja też się uśmiecham, zupełnie oczarowany tym niezwykłym świętym.

— To prawda — mówię. A potem glina we mnie znów zaczyna wymyślać te swoje wkurzające wątpliwości, więc tłumię je w zarodku

To żenujące, ale pragnę aprobaty tego młodzieńca. Odczuwam też potrzebę rozgrzeszenia.

— Czy wiesz, że twoja siostra pracowała też w klubie mojej matki? Bardzo dobrze znaliśmy się z Damrong.

Moje pytanie wywołuje zmianę w jego świadomości. Zmarszczone brwi, budząca lęk koncentracja w czakrze między oczami. Ta mina jest bezlitosna, nawet nie musi mówić: „Wiem o wszystkim”.

— Powiedziała, że jesteś świętym głupkiem — rzuca i przechodzi na drugą stronę ulicy.

Dopiero po jego odejściu uświadomiłem sobie, że zapomniałem zapytać, w którym klasztorze praktykuje. Proszę Leka, żeby sprawdził to w Sandze. Po półgodzinie staje przed moim biurkiem i oznajmia, że Sangha nie zna żadnego Gamona vel Phra Titanaki. Lek zachowuje się jakoś dziwnie; bawi się swoim inhalatorem do *yaa dum*, przeczesuje rękami włosy. Chrząka.

— O co chodzi, Lek? — pytam. Kolejne chrząknięcie.

— Ta kobieta *farang*. Wiesz która.

— Mógłbyś przynajmniej nazywać ją „FBI”. Byłoby uprzejmiej.

— Zaprosiła mnie wczoraj na lunch, jak ciebie nie było.

Odsuwam się z krzesłem, niepewny, jaki przybrać wyraz twarzy.

— Rozumiem.

— Ona chce, żebym się z nią ożenił. Pod warunkiem że nie poddam się operacji. — Patrzy mi prosto w oczy. Nagle jestem kimś z zewnątrz, półkrwi *farangiem*; może potrafię mu doradzić? Nic w jego pozie nie sugeruje nawet, że wziął na serio szaloną propozycję Kimberley; przepaść kulturowa jest za głęboka. Lek po prostu chce wiedzieć, jak ma się zachowywać Ziemianin wobec wyjątkowo namolnej kosmitki z Andromedy.

— Jeśli się z nią ożenisz, będziesz mógł korzystać z połowy jej dochodów. Na jej poziomie w FBI to jest około trzydziestu pięciu tysięcy dolarów na rękę.

Lek jakby od niechcienia przysuwa do siebie po biurku mój kalkulator i wbija jednym palcem cyferki, drugą dłońią wtykając do nosa sztyfcik inhalatora. Mruga na widok wyniku, to chyba więcej, niż myślał. Unosi bezradnie ręce.

— Ale nie mógłbym zostać kobietą, prawda?

Odchodzi, kręcąc głową, zdesperowany obecnym poziomem edukacji na Andromedzie. Jestem do pewnego stopnia wściekły na FBI, ale na razie muszę to zostawić i skupić się na braciszku Damrong.



Problem z niewiadomą, której najpewniej nie uda się ustalić, jest taki, że wyobraźnia może pod nią podstawić cokolwiek. Szalbierz czy szaleniec? Tym razem dzieję się swoim zwątpieniem z Lekiem.

— Zrobił mnie w konia. Przez moment myślałem, że jest prawdziwy.

— Bo jest — odpowiada Lek z niezachwianą pewnością, że mnich nie popadł w szaleństwo. — A ty zwariowałaś na jego punkcie, mistrzu — dodaje. — Jest taki, jaki ty sam miałeś się stać. — Jak prawdziwy *katoj*, mówi prawdę prosto w oczy, a słowo „mistrzu” dodaje dla złagodzenia ciosu.

— Ale Sangha nie zna takiej osoby.

Lek odkłada inhalatorek, by rzucić mi jedno ze swych rzadkich szczerých spojrzeń.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że jest prawdziwym mnichem, że spędził w klasztorze wiele lat. Gdyby tak nie było, nie potrafiłby tak chodzić ani tak mówić. Jest bardzo zaawansowany w praktyce. Prawdopodobnie wyświęcił się za granicą.

— Może w Kambodży, skąd pochodzili jego rodzice? Jakim sposobem ktoś taki mógł się w ogóle wydostać z Kambodży?

Z marszem na czole wstaję i znów wychodzę na spacer po ulicy. Muszę wybrać jakiś kierunek, idę więc za *salengiem*, pchającym powoli swój trójkołowy wózek w poszukiwaniu śmieci. *Salengowie* to nasi śmieciarze-czarodzieje; w ich rękach puszki po piwie zmieniają się w zabawki, a plastikowe butelki w malowane telefony wieszane na wystawach sklepów. Z puszek po coli potrafią uszyć kapelusz plażowy, a z chłodnic do ciężarówek zrobić ogrodową furtkę. Patrzą, jak grzebie w pojemniku

i triumfalnie wyciąga z niego złamaną parasolkę. Nie mam jego wysublimowanej pokory, wracam więc z uporem maniaka do rozmyślań na temat brata Damrong.

Chyba nie mogę być obiektywny, skoro tak bardzo się z nim utożsamiam. Nie muszę nawet znać jego biografii, bo czuję węchem każdy szczegół. Życie miał cięższe ode mnie, ale to tylko kwestia skali. Nong, moja matka, i ja także byliśmy o krok od katastrofy. Matka wybrała metodę przemieszczania, zabiegając szczególnie o klientów, którzy mogli nas zabrać za morze. Gamon natomiast został w domu, podczas gdy Damrong sprzedawała swoje ciało. Ceną, jaką zapłacił za przetrwanie, była zgoda na wykorzystywanie siostry przez napalonych mężczyzn — wszystkich ras i w każdym wieku. Sam przyznał, że był wrażliwym dzieckiem, ile nocy przeżył więc w udreće, zanim ktoś mu powiedział o metamfetaminie? Ale to kosztuje; jeśli jej potrzebujesz, a jesteś ubogi, prędzej czy później zaczniesz handlować.

Przechodzę do porządku nad tą intymną wiedzą o jego niedoli. Nie ma sensu odgrywać tych starych filmów w jego imieniu. Imponuje mi natomiast, jak wysoko potrafił się wzniesć ponad to wszystko. Ja nigdy nie sięgnąłem takich szczytów. Razem z moim nieżyjącym partnerem Pichaiem spędziłem rok w klasztorze w dżungli, była to część układu, który miał nas uchronić przed więzieniem. Gamon został mnichem dobrowolnie, na całe życie. Jego nauczyciel musiał być równie bezwzględny jak mój lub jeszcze surowszy. Jako nowicjusz Phra Titanaka nie przetrwałby długo, gdyby nie zaangażował się w tę praktykę kontrolowanej destrukcji „ja”, zwanej medytacją wi-passany. Wiem, że musiał zaczynać w piekle frustracji, z jego skomplikowaną kombinacją nędzy, zbrodni, narkomanii i sprzedawania własnej siostry. Naprawdę zagubiona dusza, ledwie o włos od popadnięcia w rozpacz i obłąd.

Wracam do komendy. Lek stoi przy oknie obok mojego biurka.



— Wszedł na dziesięć minut do kafejki — melduje rozmazonym głosem — a potem przeszedł przez ulicę w stronę *wat*. To bardzo świątobliwy braciszek.

Moja komórka nadaje podwójny sygnał. SMS od Yammy'ego.

Zacniemy od małej partii, żeby wypróbować muła. Ale mogę też zaryzykować wszystko na jeden duży transport. Jestem gotowy umrzeć za moją sztukę. Jak bardzo szczerzy muszę być? Jak zdesperowany? Yammy.

— Wszystko ci powiedział, tak? — To głos FBI, słabiotki, nerwowo poświst w moim telefonie.

— Tak.

— Jak bardzo jesteś wściekły, w skali jeden do dziesięciu? Tylko nie mów jedenaście.

— Jedenaście.

— Aha. U ciebie to oznacza powrót do czasów biblijnych. Uważasz, że zachodni umysł to jest jakiś frankensteinopodobny wytwór popapranej religii i bandy pedofilów ze starożytnej Grecji, kombinacja uczniackiej logiki, żądzy krwi i chwały, besserwischerstwa i zbawiania innych nawet za cenę zniszczenia, co doprowadziło na przykład do rzezi trzech milionów ludzi w Wietnamie, w większości kobiet i dzieci, a wszystko w imię wolności i demokracji, po czym zwialiśmy stamtąd, bo za drogo nas kosztowało. Zgadza się?

— Zgadza się.

— No więc się mylisz i to grubo. Nie miałam pojęcia, co mu powiem. Zabrałam go do dobrej tajskiej restauracji, co nawet Taj potrafi docenić, i patrzyłam, jak je palcami sałatkę *soman* z kleistym ryżem, i zobaczyłam, że miałeś rację: to absolutnie niewinna dusza. — Nie chcę moją odpowiedzią dodawać godności temu unizjonemu tonowi w jej głosie, więc milczę. —

Ale to niczego nie zmieniło. Poczulałam przyływ miłości, empatii, pożądania — cały pakiet, zupełnie obezwładniający. Nie wiedziałam, że taka kobieta jak ja może być zdolna do takich uczuć. Uwielbiam go. Totalnie, bezradnie i idiotycznie. Jestem zakochana po same uszy, Sonchai. To ty mi przecież kiedyś powiedziałaś, co jest kluczem do zrozumienia Buddy: że on był zakochany po same uszy w całym wszechświecie.

— W takim razie będziesz mogła bez problemu nadal kochać Leka, kiedy już przejdzie operację, prawda? — rzucam sarkastycznie i rozłączam się.



Zapomnijcie o Wat Po i Świątyni Szmaragdowego Buddy; większość naszych *wat* to rudery ze stadami głodnych kotów, zapchlonych psów i wyzutych ze wszystkiego ludzi, którzy wykorzystują współczucie Buddy pod drzewami *bodhi*, w towarzystwie zbieraniny mnichów o różnym stopniu zaangażowania w praktykę. (Niektórzy się ukrywają, inni płaczą, jeszcze inni są sfrustrowani albo ambitni, niektórzy są homoseksualistami, większość jest oddana Dharmie, a kilku jest prawie buddami). Ponad wszystko jest to społeczność, w której *look-sitowie*, pomocnicy w białych spodniach i koszulach, sprzątają i piorą szaty swych duchowych mentorów w zamian za szybką ścieżkę do oświecenia, *chart na* — w następnym życiu. Majstrowie gromadzą zasługę, naprawiając dachy mnisich chatki, i zawsze ktoś coś gotuje albo podjada — poza mnichami, którym nie wolno jeść po dwunastej w południe. Zostawia się tu dzieci, których rodziców nie stać na superszkoły z mandaryńskim i biznesowym angielskim, żeby chłonęły mądrość oferowaną przez mnichów. Ludzie mniej lub bardziej zaangażowani w buddyzm przychodzą i odchodzą nieustannie.

Można by uznać, że to średniowiecze, lecz ta tradycja jest o wiele starsza. W głębi duszy jesteśmy bardzo konserwatywni. Nasza wersja buddyzmu, zwana therawadą, ma ponad dwa i pół tysiąca lat i nie zmieniliśmy w niej jednego słowa. Szaty

naszych mnichów są szyte według wykroju jakiego używał Siddharta i wyznajemy te same Cztery Szlachetne Prawdy, które Największy z Ludzi ogłosił na początku swego nauczania. Pierwsza z nich mówi: Istnieje cierpienie.

I tylko *farangi* z tym polemizują.

Wkraczam przez rozklekotane, choć majestatyczne drewniane wrota na uświęcony teren i mam wrażenie, że on już na mnie czekał. Pokazuje mi go młody nowicjusz, bystry i zaangażowany: Phra Titanaka siedzi na balkoniku starej drewnianej *kuti*, chaty medytacyjnej. Wcale nie jest zdziwiony moim widokiem.

— Witam w moim pałacu — mówi z uśmiechem, podciągając szatę i pokazując rozpadający się niemal domek, użyczony mu przez opata w ramach gościnności. Składam mu *wai*, jak prawdziwemu mnichowi.

— Sprawdził pan w Sandze? — Uśmiecha się skromnie. — Nigdy o mnie nie słyszeli, prawda? — Śmieje się głośno. — Wyświęciłem się w Kambodży, bracie. Tajska Sangha mnie nie chce. Mówią coś o wyroku za przestępstwo. — Wzrusza ramionami, by zrzucić z nich świat.

— Ach tak? — pytam, jakbym nie wiedział.

— Czy to ci przeszkadza?

— Jestem policjantem.

— Nie — odpowiada wszystkimowiedzący. — Jesteś mnichem jak ja. Po prostu podpisałeś nie ten formularz. Jeszcze nałożysz szatę, *chart na*.



Sadowię się w lotosie naprzeciwko niego, plecami do lichej ściany z desek. Pod balkonikiem drapie się zawzięcie pies bezwłosy prawie, stojąc na jednej nodze. Niedaleko nas dwóch starszych mnichów rozmawia cicho w cieniu rozłożystego drzewa *bodhi*, które jest jakby centrum całego kompleksu świątynnego.

— To prawda, że mamy ze sobą wiele wspólnego — mówię. — Ciebie przed wejściem w stan mnisi utrzymywała siostra

prostytutka, a mnie matka prostytutka. Ty handlowałeś *yaa baa*, a ja widziałem, jak mój przyjaciel Pichai morduje naszego dealera. Spędziłem rok w buddyjskim czyścicu. Nasz opat przez trzy miesiące kazał nam oddychać śmiercią.

Jestem być może nieco melodramatyczny. Na jego ustach igra pełen sympatii uśmiech: oto mistrz przygląda się niezdatnym poszukiwaniom kogoś, kto nie dotarł nawet do średniego poziomu i pewnie nigdy nie dotrze.

— Oddychanie śmiercią to dobra praktyka — odpowiada.

Chciałbym usłyszeć więcej i wierzę się nerwowo, czekając na dalszy ciąg. Kiedy znów zaczyna mówić, jest to wyraz jego doskonałego współczucia.

— W Kambodży nadal można używać zwłok. Ja mieszkałem z trupem w celi przez rok, doświadczyłem jego rozkładu od etapu smrodu i much aż do gołego szkieletu. I obserwowałem, jak rozpuszczają się kolejne rodzaje przywiązania i niechęci, gdy ulegają rozkładowi narządy wewnętrzne, które je tworzyły.

— Rok? Ja bym chyba zwariował.

— No oczywiście, że zwariowałem — odpowiada z wyrozumiałym uśmiechem. — To, co świat nazywa normalnością, dla mnicha jest zgnitym kompromisem.

— Ale coś cię uratowało, chyba już ci nic nie dolega?

Zdziwiona mina.

— Uratowało? Nie ma niczego do uratowania, przyjacielu. Mówisz jak chrześcijanin. Nie można się rzucić w Niepoznawalne w nadziei, że tym gestem kupisz sobie zbawienie — musisz wskoczyć w sam środek, bez żadnych kombinacji. W nirwanicznym wszechświecie nie istnieje zbawienie, bo nigdy tak naprawdę się nie zagubiliśmy... ani nie odnaleźliśmy. To po prostu wybór pomiędzy nirwaną a niewiedzą. Taka jest właśnie ta dorosła prawda, do której poznania nakłania nas Budda. Jesteśmy sumą własnego spalania się. Nie ma spalania, nie ma istnienia.

Przyjmuję porażkę z respektem i lękiem, jak trójkowy uczeń, zdruzgotany ot tak, od niechcenia, przez prawdziwego jogina.

Widzę, że nie ma sensu dalej go sprawdzać, bo tylko robię z siebie durnia. Wracam do technik dochodzeniowych.

— Skoro takie jest twoje oświecenie, po co w ogóle tracisz czas na rozmowy ze mną?

— Powiedziałem ci już, duch mojej siostry nie może zaznać spokoju. Jako mnich nie mam już oczywiście nic wspólnego z jej dharmą, ale pozostały jeszcze resztki długu, który muszę jej spłacić. Mnich określa „dług” słowem, które nie ma odpowiednika w angielskim. Oznacza ono w mojej kulturze najpoważniejsze z możliwych zobowiązanie: *gatdanyu*, rodzaj „długu krwi”.

— Jak taki zwykły glina jak ja mógłby pomóc takiemu prawie *arhatowi* jak ty?

Może tylko mi się zdawało, a może rzeczywiście przez jego oblicze przemknął cień bólu.

— Jej duch domaga się sprawiedliwości. — Tyle tylko pada w odpowiedzi.

Mija kilka uderzeń serca. Ale to on pierwszy przerywa milczenie, by mnie zapytać:

— Dlaczego nie zadajesz mi pytań, które popchnęłyby sprawę do przodu? Czy nie po to tutaj przyszedłeś?

— Dobrze — mówię po chwili — czy wiesz coś o filmie, o *snuff movie*? — Milczy. — Ktoś mi go przysłał anonimowo. Przypuszczam, że ty. — Nadal cisza. — Myślałem, że chcesz pomóc w rozwiązaniu sprawy. Wiesz o tym filmie czy nie?

— Nadal mam kontakt z moją wioską — odpowiada w końcu. — Mnichom wolno pisać e-maile. — Następuje bardzo długa przerwa, podczas której przebywa chyba w innym wszechświecie. — Zadaniem Zachodu jest zmieniać ciała i umysły w produkty. I Zachód nie potrafi zrozumieć, że reszta świata może to uznać za obrzydliwość, za psucie naszej nirwanicznej natury.

Całą wypowiedz puentuje gniewne spojrzenie, a we mnie znów pojawia się wątpliwość co do niego; chyba wywołał je jakiś gest czy grymas albo nieznaczna zmiana tonu — wrażenie pewnej wulgarności.

Pokasłuję przepraszająco.

— Phra Titanaka, czy mogę zadać jedno bardzo osobiste pytanie?

— Dla mnicha nie ma osobistych pytań.

— Wobec tego, dla dobra śledztwa, powiedz mi proszę, jak bliskie związki łączyły cię z siostrą.

Strzela oczami, lecz nic nie mówi. Nagle wstaje i zostawia mnie na balkonie, a sam zmierza przez dziedziniec do *bot*, domu modlitewnego. Pozostaję w półłotosie, patrząc na jego elegancki chód i szafranową szatę, dopóki nie zniknął w *wat*. Przypuszczam, że chce, żebym sobie poszedł, i korci mnie, żeby tak uczynić. Czekam jednak, czując się głupio i zabijając czas obserwowaniem bezgłośnej, lecz nieprzerwanej krzątania w klasztorze. Po godzinie mnich wreszcie powraca. Nie okazując zdziwienia moją obecnością, siada po prostu naprzeciwko i mówi charakterystycznym, szorstkim tonem, wynikającym chyba z jego umysłowej dyscypliny:

— Byliśmy sobie najbliżsi, gdy ona miała dwadzieścia lat, a ja byłem jeszcze nastolatkiem. Zawsze powtarzała, jak jej przykro, że używa mnie jako poduszki do wypłakania, ale tylko tak mogła sobie z tym wszystkim poradzić. Mówiła, że jeśli sfinansuje moją edukację, to może ja ułożę sobie życie lepiej od niej.

— Czy opowiadała o swoich klientach?

Patrzę zafascynowany, jak jego łagodność przeobraża się w nienawiść. Zupełnie jakby zerwał z twarzy gumową maskę, ujawniając potwora z innej planety.

— A jakże. O tych wszystkich spoconych, różowych, brązowych, czarnych, spasionych, zdesperowanych, niekochanych, emocjonalnie kalekich, popapranych gównojadach. Musiała dawać z siebie wszystko, żeby grać entuzjazm. Czasami nawet musiała udawać, że się w którymś zakochała. Co za skurwysyny. — Patrzy na mnie spode łba. — Ale tak było tylko na początku. Potem została nieczułą profesjonalistką.

Uderza mnie nie tylko ta nagła zmiana w jego osobowości, lecz także to, że wydaje się tego nieświadomy. I jeszcze coś, od

czego włoski na karku stają mi dęba. Mówi dokładnie jak Damrong: ten sam głos, te same zwroty.

— Rozumiem — odpowiadam, całkiem już onieśmielony.

Mnich, wciąż posepny, odwraca głowę. Chyba rozumie, że powiedział coś niewłaściwego, ale nie wie co. Miętosi nerwowo rąbek szaty, cała jego łagodność gdzieś zniknęła. Widać, że chciałby się mnie pozbyć.

Pora więc wstać, złożyć mu *wai* i wyjść, wmawiając sobie, że człowiek, który wypowiadał te gorzkie i wulgarne słowa, to nie był mnich Phra Titanaka, tylko ktoś inny.

W stanie szoku przemierzam dziedziniec, mijając wielką białą *chedi*, czyli stupę, najstarszą część świątynnego kompleksu. Pytam starszego mnicha, gdzie znajdę opata. Odpowiada, że jest w tym samym *bot*, z którego dopiero co wyszedł brat Damrong.

Opat, siedzący w półlotosie pod baldachimem, jest pulchnym, niemal idealnym odwzorowaniem śmiejącego się Buddy. Odpowiada na moje *wai* skinieniem głowy. Wybieram najuprzejmniejsze słowa z bogatego repertuaru zwrotów, jakimi należy witać mnichów, i siadam, pilnując, żeby mieć głowę niżej niż on. Bystre oczy osadzone w jowialnej twarzy świdrują mnie na wylot. Wyjaśniam, że jestem detektywem, badam sprawę zabójstwa siostry Titanaki. Opat potwierdza, że udzielił gościny khmerskiemu mnichowi, który przybył w ubiegłym tygodniu i wygląda na bardzo oddanego praktyce.

— Czy nie zauważyłeś w jego zachowaniu czegoś dziwnego? — pytam.

— Dziwnego? Przestańmy dzielić włos na czworo; skoro ludzie koniecznie chcą mieszkać na polu kremacyjnym, to chyba jest wystarczająco dziwne jak na duchowe istoty?

— Wydaje się, jakby był dwiema różnymi osobami. Jego osobowość zmienia się w jednej chwili.

— Tylko dwiema? Może masz coś z oczami? Przypatrz się dobrze, to zobaczysz, jak się zmienia z każdym oddechem. I ty też. I ty też.

Składam *wai*, dziękuję za jego mądrość i opuszczam świątynię.



Nieoczekiwane pojawienie się mnicha w sprawie Damrong wpędziło mnie w emocjonalną ślepą uliczkę. Natężenie mojego poczucia winy z powodu śmierci Nok nieco osłabło za sprawą wielkiej góry cierpienia, na którą musiał się wspiać ten młody człowiek. Tak czy inaczej hasłem tego popołudnia jest długi masaż. Najczęściej chodzę do dość dużego i znanego salonu w bocznej *soi*, łączącej Sukhumvit i Soi 45. Wiele osób przechodzi tędy na skrót, dlatego pełno tu straganów z jedzeniem. Specjalność każdego można poznać po kształcie stoiska: jest opiekana wieprzowina z ryżem, gotowany kurczak z ryżem, sałatka somtan z kleistym ryżem, mango z kleistym ryżem, oraz mnóstwo *kong wan*, słodkości. (Nie przegap chrupiących krokietów z nadzieniem *kokosowym, farangu*). Patrząc, jak straganiarz przyrządza tajski budyń kokosowy w tradycyjnym stylu, lejąc masło do małych zagłębień w dużej, okrągłej patelni i polewając to słodkim mleczkiem z kokosa. Dziś rzadko się już widuje prawidłowo zrobiony budyń. A dzięki globalizmowi i modzie na fast food czasami ciągnie mnie do ciasta bananowego na parze.

Przyprowadziłem FBI w ramach naszej strategii: całuj i narpawiaj. Mieliliśmy wczoraj istną burzę mózgów. Przewaliło się to wszystko w huraganie e-maili, telefonów i SMS-ów, z których warto przytoczyć tylko te najbardziej raniące:

Ja: To tylko zwykły, hormonalny konsumpcjonizm. Niczym się nie różnisz od tych podstarzałych bolków grasujących po Nana Plaza.

FBI: Co ty powiesz? A ty i Damrong to co? Kiedy tobie się coś takiego przydarza, to fruują strzały Kupidyna, Orion maszeruje po nocnym niebie, a w głowie otwierają się lotosy, tak? Ale u zakochanej Amerykanki to konsumpcjonizm hormonalny i tyle.

Ja (świadom, że popełniam poważny taktyczny błąd): Właśnie tak. To właśnie ta różnica kulturowa.

FBI: W takim razie jesteś kulturowym szowinistą, robisz dokładnie to, o co zawsze oskarżasz Zachód.

Na szczęście, oboje dostrzegliśmy w porę siłę naszych szponów, więc zmieniamy temat. Zapraszam ją do salonu masażu, gdzie podpiszemy traktat pokojowy. A teraz Kimberley, rześka, uśmiechnięta i profesjonalna w każdym calu (choć wiem, że wczoraj poszła z Lekiem na drinka; zadzwonił do mnie potem i powiedział, że była nieco namolna, ale dała sobie spokój z przytulaniem, gdy usłyszała „nie”), oznajmia mi, że ma dobre wieści, którymi podzieli się ze mną podczas masażu.

— Tylko nie wiem, czy przypadkiem nie zasnę, Sonchai — mówi.

— Nawet powinnaś. Jeżeli nie przysypiasz, to znaczy, że masażystka jest kiepska.

Klimatyzowane wnętrza przynosi ulgę, gdy wchodzi się z gwarnej ulicy. Recepcjonistka pyta, czy chcemy tradycyjny tajski masaż, czy z olejkiem. Wybieram tradycyjny, nie pytając FBI o zdanie. Po dwie godziny na osobę. Dwie godziny całkowitej mentalnej pustki za jedyne trzysta bahtów to jak za darmo.

W poczekalni siedzi z trzydzieści masażystek; czytają czasopisma albo gawędzą półgłosem. FBI ma w związku z tym pytanie:

— Te dziewczyny... niektóre wyglądają... czy to zwyczajne masażystki, czy też są w branży?

Oto prosty umysł *faranga*.

— Na pierwszym piętrze tylko masują. Na drugim mogą być z branży, jeśli klient ma takie życzenie.

— Czyli moralność zależy od piętra, dobrze zrozumiałam?

— Na pierwszym jest tradycyjny tajski masaż, na drugim z olejkiem. Kiedy młoda kobieta naciera całe ciało mężczyzny olejkiem, trudno, żeby się chociaż trochę nie podniecił, a my jesteśmy narodem współczującym.

— Współczucie się opłaca, prawda?

— Kosztuje trzy razy więcej niż normalny masaż, ale cały zysk jest w napiwku. Dziewczyny uwielbiają pracę na drugim piętrze, ale my idziemy na pierwsze.

— Przyjęłam do wiadomości — mówi FBI.

Zanim wstąpimy schodami do nieba, musimy jeszcze dać sobie umyć stopy. Kimberley jest wyraźnie skrupowana, gdy jedna z dziewcząt prosi ją o zdjęcie butów i zajęcie miejsca przed miską ciepłej różanej wody. Nie ma tu kogo aresztować ani przesłuchać, nie ma do kogo strzelać, więc FBI nie może ujawnić swoich talentów. Marszczy nerwowo czoło; chyba się boi, że takie mycie stóp może się okazać antyamerykańskie, jak krykiet i komunizm. Ale po pięciu minutach patrzy na mnie rozpromieniona.

— Niesamowite, ile może dać człowiekowi taka prosta rzecz — mówi, a oczy jej się śmieją.

Mówię masażystkom, że chcemy leżeć obok siebie. Całe pomieszczenie jest wyłożone materacami, oddzielonymi tylko przez cienkie zasłonki, więc możemy sobie rozmawiać po cichu w trakcie masażu. Przebieramy się w cienkie bawełniane spodnie i koszulki. Kimberley kładzie się po sąsiedzku na swoim materacu, stękając z zadowoleniem.

Moja dziewczyna pracuje już nad stopami, rozplątując węzły nerwów i mięśni, połączone tajemniczo z różnymi miejscami w całym ciele. Zza zasłonki dobiega nagle „och!” Kimberley.

— O rany, coś mi strzeliło. To refleksologia, tak? Taka teoria, że każdy narząd jest połączony z podeszwami stóp?

— A każde uczucie zdradza się w odpowiednim narządzie.  
— Uświadamiam sobie, że powtarzam słowa Phra Titanaki. Myślę o nim, samotnym w celi z gnijącymi zwłokami. Sam nigdy bym się nie zdobył na coś takiego, ale rozumiem, jak działa: rozkład trupa postępuje równoległe do duchowego wyzwolenia. To bardzo radykalna technika, na którą dzisiejsi ortodoksi się krzywią, ponieważ Sangha nie chce być odpowiedzialna za ewentualne komplikacje. W Kambodży jednak nie mają takich skrupułów i ciekaw jestem, jakich komplikacji doświadczył brat Damrong.

— Tak, tak, znam tę teorię. Miłość to tylko reakcja chemiczna.

— Nie tylko miłość. To, co ślepiec nazywa prawdziwym życiem, dla widzącego jest tylko wirtualną rzeczywistością.

Znów cichy jęk.

— Już nie przyswajam. Jestem *farangiem* do szpiku kości, nie zapominaj o tym. Chcesz wiedzieć, co odkryłam?

— Jasne.

— Wiem już, kim jest ten facet z filmu, ten potwór w czarnej lateksowej masce. Nazywa się Stanislaus Kowlovski, krótko: Stan. Oboje rodzice to imigranci z Polski w drugim pokoleniu. — Nagle głośniejsze sieknięcie. — O rany, nie wiem, co to był za narząd, ale nagle mignął mi przed oczami wyraźny film z dzieciństwa. Na czym to skończyłam?

— Czyli mamy zabójcę?

— Nie w sensie fizycznym, ale mamy jego numer ubezpieczenia, odciski, wszystko. Izometria na waszych lotniskach działa bez zarzutu. Poprosiłam tylko naszych speców z Wirginii, żeby wyciągnęli z tego filmu zdjęcie jego tęczówek. Zabrało im to dosłownie pięć minut.

— A jak zareagowali na film?

Po chwili cichym głosem:

— Tak samo jak ja, Sonchai. Mężczyźnie chyba nawet jest trudniej patrzeć, jak piękna młoda kobieta umiera w ten sposób. Kiedy im powiedziałam, że to nie jest inscenizacja, że ona

naprawdę została zabita, nie mogli dojść do siebie. Twardzi agenci, którzy widzieli już niejedno, mieli łzy w oczach. Niesamowite.

— Szukacie go?

— Oczywiście. Wszyscy są bardzo zaangażowani. Na Zachodzie taka zbrodnia na tle seksualnym to zawsze jest hit sezonu. Powinniśmy go dopaść w ciągu kilku dni, chyba że ma mocne układy w jakimś innym kraju, w co wątpię. Urodził się w Kansas, ale to chłopca z Kalifornii, bez dwóch zdań.

— Był może oskarżony o gwałt?

— W ogóle nie był notowany, ale policja z Los Angeles zna go jako gwiazdę porno. Jego kutas grał drugoplanowe role w kilkunastu niskobudżetowych filmach.

— Heteroseksualne?

— Tak.

— I wszystkie sadomaso?

— Nie, ani jeden. Taki typowy ogierek — wiesz, uśmiechnięty, ochoczy, wysmarowany oliwką mięśniak, który od razu na początku wylatuje z kadru, a na zbliżeniu jest tylko ciało dziewczyny. Pokazali mi kilka jego zdjęć bez maski. Przystojne męskie zwierzę, mocna szczęka, uśmiech z reklamy pasty do zębów. Gdybym nic o nim nie wiedziała, zakwalifikowałabym go jako nieszkodliwego plażowego bufona, wiesz, dobry uniwersum, siłownia i nieładnie jest kopać w innych piaskiem, bo to wiocha.

Robimy przerwę w naradzie, bo dziewczyny nasilają tortury. Są to w większości wieśniaczki z Isaan, silne już od małego, gdy jeszcze nie zajmowały się masażem, zbudowane jak miniaturowe brunatne czołgi. Z łokciem w wątrobie niełatwo jest myśleć, ale próbuję.

— W takim razie zrobił to tylko dla kasy.

— A jakżeby inaczej? Wszystko się zgadza. To może dziwne, ale męskie gwiazdy porno kończą się szybciej od swoich koleżanek po fachu. Facet ma czterdzieści trzy lata, jest właściwie bankrutem, a jak się dzieje coś takiego, rekiny lichwy

zaczynają krążyć tuż pod powierzchnią. Współpracujemy z policją z Los Angeles. Au! Czy to jest zdrowe, takie wbijanie łokcia we flaki?

— Pomaga na trawienie. Czy teraz też ci mignęło wspomnienie z dzieciństwa?

— Dziesięć lat choroby lokomocyjnej. Mieszkaliśmy na Florydzie, a dziadkowie w Nowym Jorku. Cztery razy w roku jechało się na spęd rodzinny, zawsze samochodem.

Przerwa, bo moje stopy są wyginane w różne strony i mocno uciskane.

— Czyli właściwie szukamy jego mocodawców?

— Jestem optymistką. Gwiazdy porno raczej nie grzeszą wysokim IQ. Po kilku dniach wyciśniemy z niego wszystko.

Oboje milkniemy, będąc pod wrażeniem technicznej biegłości masażystek z Wat Po. Przychodzi taka chwila, gdy masażystka musi dotknąć genitaliów klienta, jeżeli to mężczyzna. Zazwyczaj jest już w pełni zrelaksowany i dziewczyna delikatnie przesuwa uspiętego członka z jednej strony jąder na drugą. Ten moment bywa zabawny, szczególnie gdy masaż jednak pobudził mężczyznę; dziewczyny robią wtedy często wielkie oczy, udają zaskoczenie: „Ojej, jak ty urosłeś!”. Tym razem jestem tak rozluźniony i otwarty, że ten erotyczny bodziec łączy mnie nagle z koszmarem, którego unikałem jakoś przez cały tydzień. Blokuję pojawiający się obraz, masaż wkracza już w fazę relaksacyjną i zapadam w drzemkę.



Budzę się w stanie kompletnej dezorientacji. Pomimo tego, co mówiłem FBI, zazwyczaj nie zasypiam podczas masażu. Dlaczego Kimberley odsunęła zasłonkę, kłęczy przy mnie i głaszcze mnie po głowie?

— Zacząłeś krzyczeć, kochanie. Przestraszyłeś dziewczyny.

— Wyraz jej twarzy jest kwintesencją współczucia. — Jesteś bardzo uczuciowy, Sonchai. Jakaś część ciebie nadal ją kocha, choć taka była niedobra. Każdy to widzi.

Ubraliśmy się, zapłaciliśmy i stoimy teraz w wąskiej *soi*, nie wiedząc, co począć dalej. Wreszcie zbieram w sobie odwagę i mówię do FBI:

— Chcę cię prosić o przysługę. Domyślasz się, o co chodzi?

— Oczywiście. Musisz jeszcze raz obejrzeć ten film i chcesz, żebym cię trzymała za rączkę.

Kładę dłoń na jej ramieniu.

— Dzięki, Kimberley.

Występ Stanisława Kowłowskiego pochłania mój umysł ze szczętem przez całą drogę do domu. Świadomość, że będę przez to wszystko przechodził ponownie, przypomina trochę myślenie o drugim skoku ze spadochronem. Sam nigdy nie skakałem, ale słyszałem relacje innych: pierwszy skok to pikuś, bo nie wiesz, czego się spodziewać. Przy drugim w głębi duszy budzi się bunt, pojawia się pytanie: „Po co ja znowu chcę przeżywać ten niewyobrażalny horror?”. Wiem przecież, że Vikorn nawet nie mrugnie, jeśli odstąpię od śledztwa w sprawie Damrong. Raczej będzie zadowolony.

Zadaję sobie to pytanie, wchodząc do domu, całując Chanę, poklepując Kluskę i zjadając posiłek, który żona postawiła przede mną z miłością i oddaniem w oczach. Nasze spojrzenia na chwilę się spotykają, a ona przełyka ślinę. O Buddo, myślę, wejrzała w moje serce. W tym momencie odzywa się intuicja kochanka, biorę więc Chanę w ramiona i całuję. Moje kochanie czuło się zagrożone, bo poszedłem na masaż z przyjaciółką... i to *farangiem*. Chanya nie bałaby się konkurencji ze strony Tajki, ale Kimberley budzi w niej obawę, reprezentuje w jej oczach zachodnią stronę mego umysłu, a ona, przy całej swojej miłości dla mnie, nie zapomina, że jestem *leuk kreung*, półkrwi, i gdzieś tam we mnie czają się skłonności *faranga*.



To nawet zabawne, jak bardzo serce może się pomylić, choć jednocześnie jest tak precyzyjne. Oczywiście, że myślę przez większość czasu o innej kobiecie, ale to nie jest bynajmniej FBI. I moja przysięga — którą składałam wśród mieszaniny płaczu i śmiechu, oświadczając, że jeśli chociaż pomyślę o prześpaniu się z Kimberley, zgadzam się odrodzić jako głodny duch — jest tak przekonująca, że Chanya teraz wstydzi się za siebie i chce mi wynagrodzić swoje zwątpienie. Obiecuje ugotować *pia neung menau*, rybę na parze w sosie cytrynowym. To moja ulubiona potrawa.

Kochamy się tak, jak jest to możliwe w jej stanie. Chanya bardzo chce dać mi przyjemność, bo potrzebuję ukojenia i pewności. Stosuje więc kilka sztuczek z czasów swej pracy w branży, co u obojga wywołuje uśmiech. Ja z kolei daję jej poczuć, jak bardzo ją kocham, wmuszam w nią tę pewność — bez hipokryzji i natarczywie. Później, pod wpływem subtelnych sygnałów, które odpowiednio interpretuje (to całe zespoły informacji, przekazywane poprzez delikatną zmianę nacisku przy dotyku albo przez intonację głosu i przepuszczone przez jej fachową wiedzę o mężczyznach), Chanya zadaje wreszcie właściwe pytanie:

— To znowu ona, tak?

Próbuję ją przytulić, ale się odsuwa.

— Muszę jeszcze raz obejrzeć ten film, kochanie. To dla mnie bardzo trudne. Kimberley mi pomoże.

— A dlaczego nie ja?

Długie milczenie, wypełnione udawką i oddzieleniem.

— Z powodu tego, co mogłabyś zobaczyć.

— Myślisz, że sobie nie poradzę z jakimś głupim filmem?

— Oczywiście, że sobie poradzisz. Ale ja nie poradziłbym sobie ze świadomością, że patrzysz, jak ja to oglądam.

Nie chcemy się sprzeczać, a Chanya tak przywykła do łagodności, że nie chce tego psuć z powodu takiego drobiazgu jak *snuff movie*. Patrzę, jak ogarnia ją boska senność, przywilej istot czystych.

Korzystam z okazji, żeby popieścić Kluskę; cały w zachwycie, obawach i oczekiwaniu. Medytacja wipassany działa na różne sposoby i chociaż nigdy nie byłem w niej mistrzem, udało mi się dotrzeć do tych rejonów psyche, gdzie kryje się wspomnienie narodzin. Wróciło do mnie od razu, gdy dowiedziałem się, że zostanę ojcem. Potrafię poczuć na nowo lęk, który rozbija nasze ulotne poczucie bezpieczeństwa wewnątrz łona: pierwszy łyk tlenu, piekący jak kwas, powietrze płonące w płucach niczym napalm, zwisanie głową w dół na podobieństwo nietoperza, podczas gdy ktoś w białej szacie daje ci klapsa w tyłek, a potem (i to nasz pierwszy posmak państwa policyjnego), jeśli już dość zobaczyłeś i postanawiasz wrócić, bo ta cielesna egzystencja ci nie odpowiada, pojawia się maska tlenowa. *Tu nie ma możliwości do wyboru, koleżko. Stawiłeś się w celu przeróbki.* Kto będzie niósł brzemiona? Jednak Pichai jest na razie dość wesoły w swym kurczącym się królestwie. Według badania USG kopie i wymachuje rączkami, okazując chwalebłą wiarę w przyszłość. W momentach zwątpienia obawiam się narodzin osiłka z hyzkiem na punkcie sportu. Postanawiam, choć niechętnie, odwiedzić w wolnej chwili tego *mo-ordu*, którego polecił mi Lek.



— Chcesz coś przeciwbólowego? — pyta Kimberley, gdy tylko usadowiłem się na sofie w jej pokoju hotelowym. — Nie mam koki, ale gdybyś potrzebował, tobyś sobie załatwił. Może łyk szkockiej? W barku są miniaturki.

Przynosi z minibaru dwie buteleczki, tę drugą dla siebie. Odkręcamy kapsle i stukamy się.

— Powodzenia — mówi FBI. Wyjmuję z kieszeni marynarki płytę z filmem i wkładam do odtwarzacza.

W pierwszej chwili wydaje mi się, że przełamałem wewnętrzny opór i odzyskałem obiektywizm. Oglądam przedłużającą się grę wstępną z pewnym dystansem, okiem fachowca. Trzeba przyznać, że Damrong porzuca wszelkie zahamowania.

Jej fellatio to forma sztuki, z całą elegancją, romantyzmem, humorem, dramatyzmem, napięciem i koncentracją na wizualnej stronie akcji, w mistrzowskim wykonaniu. Oto czarodziejka u szczytu swych umiejętności. Mężczyzna w masce też nie należy do amatorów. Rozumie, że w tym wyjątkowym przedstawieniu jest tylko rekwizytem i nie pozwala swemu ego na żadne wysoki. Szczególną gracją wykazuje się w scenie minetki, na klęczkach. Zaawansowane techniki filmowania przybliżają nam wszechstronność jego języka, katusze jej przyjemności. Kimberley zatrzymuje film na ujęciu Damrong, która z półprzykniętymi oczami wysuwa z ust koniuszek języka.

— Zastanawiałam się nad nią — mówi. — W moich oczach jest podobnym fenomenem jak Madonna. Właściwie całkiem zwyczajna twarz, nic szczególnego — co zresztą podkreśla czasem seksualną charyzmę. To naprawdę paradoks, ale sam widzisz, jak działa. — Naciska klawisz i Damrong znów ożywa. — Popatrz, jej to naprawdę sprawia przyjemność. Nic nie udaje, rzeczywiście jest podniecona.

Znoszę to z trudem. Świadomość, że Damrong doświadcza tak wielkiej przyjemności na dziesięć minut przed śmiercią, robi mi coś z głową. Nie ma w niej cienia strachu, jest w ekstazie. Proszę Kimberley o wyłączenie filmu, ale odmawia.

— Szorstka miłość, misiu — mruczy. — Tym razem musisz zjeść tę żabę.

— To daj jeszcze kielicha.

Wciska „stop” i przynosi kolejne cztery buteleczki z barku. Gdy akcja jest zatrzymana, można się trochę przyjrzeć scenografii. Tak jak zapamiętałem, w kadrze widać półkę z bezcenną rzeźbą, nefrytowym półleżącym Buddą. Ponieważ wiem już, na co patrzę, łatwo mi jest rozpoznać wystrój pokoju Tanakana w Parthenon Club. Łykamy po miniaturce i film leci dalej.

— Zaczekaj — mówię i FBI znów robi pauzę, pytając mnie milcząco: Co tam znowu?

— Nie dam rady obejrzeć tego drugi raz — wyjaśniam, więc puśćmy od początku to, co już widzieliśmy. Chciałbym

się więcej dowiedzieć o Kowlovskim, tylko ta cholerna maska przeszkadza.

— Patrz na jego ręce — mówi Kimberley. — Tylko one są ludzkie w tym filmie.

Puszczamy grę wstępną w zwolnionym tempie. FBI ma rację: jedyny klucz do psyche człowieka w masce to sposób, w jaki posługuje się rękami.

— Jest — mówi Kimberley i zatrzymuje film, gdy mężczyzna sięga do lewej piersi Damrong.

— Co? — pytam.

— Trzęsą się. Na pauzie tego nie widać. Patrz.

I rzeczywiście, jej kobiece oko dostrzegło to od razu, a ja byłem zanadto zafiksowany na Damrong.

— To niczego nie dowodzi — mówię.

— Może i nie, ale nic lepszego nie mamy. Ze Stanów przysłali mi kilka kawałków, które Kowlovsky kręcił niedługo przedtem. W tej wąskiej kategorii klasycznego porno był w pewnym sensie mistrzem.

— I ręce mu się nie trzęsły?

— Nie.

FBI przepuszcza kilka kadrów i znów zatrzymuje. Patrzymy na trzy palce, lekko podtrzymujące lewą pierś Damrong, ze świadomością, że drżą one całkiem wyraźnie. Właściwie drży cała dłoń, aż po przegub. Wymieniamy z Kimberley spojrzenia, a ona wciska „play”.

Teraz, gdy skorzystałem już z mądrości FBI, łatwiej zauważam kolejne tropy. Gra wstępna się skończyła i mężczyzna kładzie Damrong na plecach, by przystąpić do pierwszego z pięciu etapów stosunku, przed końcowym odliczaniem (ona na plecach, na pieska, na jeźdźca, plus kilka dość skomplikowanych ewolucji, w których on penetruje ją od tyłu, a ona wykręca ciało, żeby mógł jej wepchnąć język do gardła).

FBI puszcza pierwszą scenę penetracji w zwolnionym tempie. Jestem skupiony, więc widzę wyraźnie jak dłonie, dość dramatycznie rozdzielające jej chętne uda, zupełnie wymykają

się spod kontroli właściciela. W pewnej chwili Damrong sama wyciąga rękę i ściska jego palce uspokajającym gestem: oto wzajemna pomoc fachowców z branży. W dodatku szepce mu coś do ucha.

— Stop! — krzyczę. Tym razem Kimberley nie oponuje. Idzie do barku i wraca z ostatnimi dziesięcioma miniaturkami, mieszanką brandy, whisky, wódki i dżinu (potrzeba matką anestezji). Wychylam od razu dwie porcje; w tej scenie to mnie się trzęsą ręce. Nie mam wyboru, muszę pokazać Kimberley swoje żałosne, naznaczone łzami oblicze.

— Trzymaj się, żołnierzu — mówi, co tylko pogarsza sprawę. FBI musi utulić moją głowę w ramionach, pocieszyć jak dziecko.

— Do tego wszystkiego ona mu jeszcze daje moralne wsparcie — ledwie dobywam z siebie słowa.

Nawet FBI ma problem z panowaniem nad sobą.

— Mów o niej, co chcesz, ale to niezwykła kobieta.

— To prawie tak, jakby go kochała.

— A czemu nie? Na pewno on kocha ją, chociaż może o tym nie wiedzieć.

— A ty skąd wiesz?

— Inaczej nie cierpiałby aż tak bardzo.

— Jakim cudem facet w ogóle może występować, skoro ma takie problemy z głową?

— Viagra, Sonchai. Esencja życia przemysłu porno.

Wciska znów „play” i znajdujemy się teraz na terytorium właściwego stosunku. Kamera robi zbliżenia intymnych miejsc, które w tej skali powiększenia mogą właściwie być dowolną częścią ludzkiego ciała, czy wręcz genitaliami jakiejś człekopodobnej istoty. Jeden z fragmentów, bogaty w barwne odcienie — od głębokiej czerwieni do jasnego różu — kojarzy mi się z mięsożerną rośliną, na przykład dzbanecznikiem smukłym (*Nepenthes gracilis, farangu*).

— Patrz! — Krzyczę. Mężczyzna znów bierze ją od tyłu, ale kolana tak mu drżą, że nie potrafi utrzymać intymnego

kontakty. Trzykrotnie podczas tej sceny jej drobna, elegancka brązowa dłoń sięga do jego członka i wprowadza go na nowo.

— Sonchai, na miłość boską, uspokój się!

— To pierścionek ode mnie! — szlocham. Właśnie to sobie przypomniałem. Nasz romans trwał tak krótko, że właściwie nie było czasu na prezenty. Kupując jej srebrny pierścionek na stoisku z antykami w Wat Po, czułem się jak tandeciarz, bo ona przecież sypiała z milionerami. Przychodzi mi do głowy, że chyba nieprzypadkowo założyła ten pierścionek właśnie wtedy, że dokładnie trzy minuty i dwadzieścia pięć sekund przed swoją śmiercią (według licznika na odtwarzaczu) jest w pełni świadoma, że pewnego dnia będę patrzył na jej dłoń z moim pierścionkiem, gdy pociesza i uspokaja swego kata.

Gdy mężczyzna w masce prowadzi ją w końcu do czegoś w rodzaju kobyłki, na której może się oprzeć, żeby kamera nie przepuściła żadnego szczegółu wielkiego finału, a potem gmera przy pomarańczowej nylonowej lince tak niezdarnie, że Damrong musi ją podnosić z podłogi, nie wytrzymuję, chwytam pilota i wyłączam film.

Kimberley patrzy na mnie rozczarowana.

— Sonchai...

— Nie mogę.

— Jeśli teraz odpuścisz, to cię będzie prześladowało do końca życia.

— Jestem Tajem. Każdego Taja coś prześladowuje do końca życia.

— Sonchai!

— Wal się ze swoją szorstką miłością, Kimberley. To niszczy świat, nie rozumiesz?

I nagle jestem na zewnątrz, trzaskają drzwi. To autentyczny amok, z amnezją i wszystkimi szykanami: nie mam pojęcia, jak wyszedłem z mieszkania na korytarz. Ale wiem, że biegnę, bo tylko to można zrobić w takiej chwili.



Jadą taksówką w kierunku komendy, ale wysiadam przy *wat* Phra Titanaki. Przed masywnymi wrotami świątyni stoi rząd straganów oferujących świece, lotosowe wieńce i koszyki mnisie. Roztrzęsiony kupuję wszystkie rekwizyty niezbędne do porządnych egzorcyzmów. Koszyków nie robi się już dzisiaj z wikliny czy bambusa; są to te same półprzezroczyste wiaderka o trupim odcieniu, jakich używa się do mycia samochodu, tylko zabarwione szafranem. W środku znajdują sporządzony przez straganiarza zestaw przedmiotów, niezbędnych mnichowi do przeżycia jednego czy dwóch dni na tej duchowej pustyni, zwanej *maja*: paczuszka kawy rozpuszczalnej, herbatniki, mydło Lux, dwie puszki 7-Up, pudełko tubek do aromaterapii *yaa dum*, pastę do zębów, szczoteczkę i kadzidełko. Cała idea *tamburi* zasadza się na gromadzeniu skarbów na *chart na*, następne życie: dasz kwiaty, będziesz urodziwy; dasz pieniądze, będziesz bogaty; dasz lekarstwa, będziesz zdrowy; dasz świece, osiągniesz oświecenie. Ale gdy człowiek ma trzydzieści pięć lat, perspektywa następnego żywota jest dość odległa.

Im wyżej w hierarchii jest mnich, tym lepiej działa odprawiany przezeń magiczny rytuał. Zanoszę więc moje wiaderko z dobrami do opata, a on akceptuje podarunek lekkim skinieniem głowy. I oto jestem już w świątyni; klękę przed wielkim złotym Buddą na postumencie i składając drżące dłonie w wysokim *wai*, błagam go o zmiłowanie. Moja matka Nong zwykła *in extremis* obiecywać Buddzie tysiąc gotowanych jaj i kilka pieczonych głów świńskich, ale ja jestem z innego pokolenia: Będę lepszym mężem, doskonałym ojcem, lepszym policjantem, mądrzejszym nauczycielem Leka, bardziej oddanym budystą— zrobię wszystko, naprawdę wszystko, żebyś tylko uwolnił mnie od tego CZEGOŚ.

Nigdy nie wiadomo od razu, czy zadziałało, czy nie — wszystko zależy od nieprzewidywalnego współczucia Buddy — ale na razie jestem zadowolony, że zrobiłem, co się dało. Przez dwadzieścia minut usiłuję medytować, by dodać mocy mojej

suplikacji, a potem, bardzo już wyczerpany, opuszczam świątynię. Idę w stronę wielkich wrót, gdy kątem oka dostrzegam znajomą postać. Lek siedzi pod fikusem bengalskim w towarzystwie brata Damrong i wpatruje się weń z podziwem, uważając, by trzymać głowę niżej od niego. Phra Titanaka mówi powoli, a na ustach ma piękny, współczujący uśmiech.

Czy wiedziałeś, *farangu*, że starożytni postrzegali zazdrość jako zielonkawą wypustkę o kształcie rogu, która wnika z ciała astralnego bezpośrednio w otoczkę fizyczną? I takie właśnie rogi widywane były na całym świecie jeszcze przed erą żagla: wiedzieli o nich Majowie i Egipcjanie, Japończycy i ludzie epoki elżbietańskiej. Wiem to, bo sprawdziłem w sieci. No dobrze, skoro *Arbeit macht Frei*, to wracam do roboty, jak gdyby nigdy nic. Przekonam się, czy zdołam posunąć sprawę choć trochę do przodu. Okazuje się jednak, że konwencjonalna analiza materiału dowodowego jest tutaj nieprzydatna: nie ma jak udowodnić powiązań przyjemniaczka prawnika Smitha i nieprzyjemniaczka pornografisty Bakera ani z filmem, ani ze śmiercią Nok. Tanakan pojawił się tylko dlatego, że obu zbrodni dokonano w jego perfumowanym rajskim ogrodzie — ale taką poszlakę można łatwo odrzucić z pomocą tysiãbahtowego banknotu. Z drugiej strony, jeśli otworzę dolną szufladę biurka i wyjmę drewnianego birmańskiego fallusa, którego używam tylko *in extremis*, niczym światła Green Lantern — głównie dlatego, że jest uciążliwie wielki i ma pomalowaną na czerwono żołądz — i powieszę nad nim amulet, który Lek dostał jakoby od khmerskiego *moordu* wyższej rangi, to stworzę coś w rodzaju ołtarzyka pod monitorem. I jeśli teraz odchyłę się na krześle, przymknę oczy i odsunę wszelkie poboczne myśli — to co odkryję? Trzy ślepe myszy, napędzane ciasnymi spiralami karmy sięgającej setek lat w przeszłość, oraz czarnego kota, który z upodobaniem się nimi bawi.

Wystarczy już tego jasnowidzenia, lecz cały eksperyment



sprovokował bardziej rutynowe czynności śledcze. Zaglądam do danych, które przysłała mi rano Imigracja. Zastanawiający jest fakt, że wszyscy trzej — Baker, Smith i Tanakan — wrócili do Bangkoku z różnych miejsc za granicą w tym samym dniu, dwadzieścia cztery godziny po upływie czasu, w którym, zdaniem biegłych, musiała nastąpić śmierć Damrong. Przypadek czy nieunikniona reakcja trzech ślepych myszy, które już nie musiały się ukrywać, ponieważ kot zdechł?

2

## Człowiek w masce

FBI wpatruje się w wazę z tłustymi ślimakami gotowanymi we własnym soku, z brązowym sosem. Jemy obiad w D's, restauracji na otwartym powietrzu przy Silom, popularnej wśród pracowników barów Pat Pongu.

— Nie musisz tego robić — mówię jej. — Naprawdę, dużo ryzykujesz.

— Ale ja chcę. Nauczyłam się jeść tajskie jedzenie w Stanach, jak wróciłam po naszym pierwszym spotkaniu.

Nie komentuję tego, bo w Ameryce ani razu nie jadłem tajskiej potrawy. (Pojechaliśmy na Florydę; klient był muskularnym siedemdziesięcioletkiem, który chciał dobrze. Pamiętam jego wielkie dłonie, które ciągle coś naprawiały; musieliśmy z mamą patrzeć i bić brawo z okazji Zwycięstwa nad Bezpiecznikami, Pokonania Cieknącej Rury, Bitwy z Baterią Płaską i tym podobne. Nong nudziła się przy nim śmiertelnie i po tygodniu wymyśliła pretekst do nagłego wyjazdu — śmiertelną chorobę babci. Potem to ja musiałem odbierać w Bangkoku jego telefony, bo matka już nie chciała z nim rozmawiać. Miałem dwanaście lat). Martwię się nie tyle ślimakami, ile sałatką somtan, która bardzo interesuje Kimberley.

— Weź chociaż trochę kleistego ryżu — radzę jej. — Zrób z tego taką kulkę — pokazuję.

Patrzy na to z lekką niechęcią, bo już się uważa za specja od przypraw. Naśladuje mnie jednak, macza kulkę w sosie i żuje ochoczo, bez żadnych efektów ubocznych.

— Znakomite — mówi. Mógłbym zwrócić jej uwagę, że z tego końca sałatki nie ma chili, ale to i tak nic nie da. — Uważamy, że jest w Kambodży — oznajmia FBI. Wciąż odgrywamy Miłego i Sympatyczną, starannie omijając temat Leka.

— Kto taki?

— Kowlovski, człowiek w masce. Na lotnisku w Phnom Penh zarejestrowano tydzień temu jego portret izometryczny. Policja z Los Angeles dokopała się tymczasem do różnych dodatkowych informacji. Patrzymy na muchę w pajęczynie, Sonchai. Koleś miał poważne kłopoty. — Kimberley wyraźnie nie ma ochoty na ślimaki, ale honor każe jej spróbować przynajmniej jednego. — Jak to się je?

— Wyssij go.

Kimberley ssie i ślimak po chwili oporu wyskakuje z muszli do jej ust. Prawie się krztusi, ale po męsku opanowuje sytuację.

— Pieniądze?

Zakrywa usta i mówi przez palce:

— W sumie tak. Kalifornijska Pułapka. Żeby się dobrze sprzedać, trzeba robić wrażenie, żeby robić wrażenie, trzeba być trendy, żeby być trendy, trzeba mieć kasę, a żeby mieć kasę, trzeba się dobrze sprzedać.

— Kokaina?

— Cokolwiek. Ten koleś to zero, ma naturę kurwy: „Za pieniądze zrobię dla ciebie wszystko, tylko chcę przy tym wyglądać sexy”. Jest zadłużony u lichwiarzy i handlarzy, zalega z alimentami na dwójkę dzieci w Kansas, zalega z ratami za samochód, którym prawie nigdy nie jeździ, bo nie ma na benzynę. Bez przerwy ktoś go ściga. Naszym ludziom wystarczyło przeczesać, i to dość powierzchownie, świątek porno, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć. Tam nie ma tajemnic, to bardzo transparentne środowisko.

— Ale dlaczego Kambodża? Jeżeli zapłacili mu za to zabójstwo tyle, ile sądzimy, to mógł pospłacać długi i wrócić do dawnego stylu życia, czyli rutynowego grzmocenia za pieniądze. FBI wzrusza ramionami.

— Nie wiemy. Mamy tylko jednego świadka, który go widział w ciągu ostatnich kilku tygodni. To jego była dziewczyna, z którą utrzymuje kontakt. Powiedziała, że jest jedyną osobą, z którą w ogóle miał jakikolwiek głębszy związek. Uważa go za zagubioną duszę; stłumione potrzeby i tak dalej. To zresztą pasuje do wzorca prostytutki, zarówno żeńskiej, jak i męskiej.

Kimberley lepi kolejną kulkę z kleistego ryżu i tym razem macza ją głęboko w somtan, żeby dobrze nasiąkla sosem, a następnie wkłada do ust. Nie odważam się na tym etapie wchodzić w techniczne wyjaśnienia, lecz wiem, że intensywne, acz przelotne cierpienie, jakie chce sobie zadać, ma bezpośredni związek z nadmiernym pobudzeniem drugiej czakry, która z kolei zawiaduje jej uczuciem wobec Leka.

— Powiedziała coś jeszcze? — pytam.

Muszę niestety poczekać chwilę na odpowiedź, bo usta FBI płoną. Dostaje czkawki, jej czoło pokrywa się potem, a twarz obleka purpurą jak przy ataku serca. Najgorszym panaceum jest teraz zimna woda, lecz ona właśnie chwyta butelkę z kubelka z lodem. Skutek jest taki, że musi odwiedzić toaletę. Czekam na jej powrót, zagryzając somtan ślimakami. Chili z sałatki dobrze wchodzi z piwem Kloster. (Oba strumienie zderzają się gwałtownie w głębi przełyku, posyłając wspaniałą falę uderzeniową zszokowanym kubkom smakowym). Kimberley wraca do stolika ze stężałą twarzą.

— Tak. Powiedziała, że kilka tygodni temu wrócił z zagranicy jakiś zgaszony, a potem całkiem zniknął. Zazwyczaj jest chętny do przyjacielskiej pogawędki i w ogóle sympatyczny z niego człowiek, choć w takim raczej plastikowym stylu. A tym razem był mocno zdolowany. Dziewczyna czuła się zaskoczona jego głębią, nie przypuszczała, że w ogóle odczuwa takie stany. Chyba już podziękuję za te ślimaczki i sałatkę.

— Jak grzecznie poproszę w kuchni, na pewno chętnie usmażą ci stek.

— Właśnie przeszłam na dietę. Popatrzę, jak ty jesz, a jak zgłodnieję, skubną trochę tego fajnego, nieprzyprawionego ryżku, co?

— Dobra. Czy Kowlovski sprawiał wrażenie, jakby był przy forsie?

— Tak, koniecznie chciał zapłacić zaległy czynsz za swoje mieszkanie w Inglewood, spłacił krechę w spożywczym i sprezentował dziewczynie jedwabną bluzkę i spódnicę. Pytali ją, czy z tajskiego jedwabiu, ale nie wiedziała.

Wreszcie przynoszą nam pieczoną kaczkę. FBI przygląda się jej podejrzliwie, ale po moim zapewnieniu, że nie jest na ostro, odważa się posmakować i w końcu pałaszuje z ochotą.

Dzwoni jej komórka, tylko że dziś telefony już nie dzwonią. Z gadżetu płyną skoczne takty starego tajskiego przeboju, który polubiła kilka lat temu, *Sexy, naughty, bitchy*.

— Kimberley — rzuca do słuchawki. Słucha przez chwilę, mruczy „O cholera” i rozłącza się.

— Wczoraj popełnił samobójstwo. W Phnom Penh. Wygląda na to, że użył AK-47 i sznurka przywiązanego do spustu, co nie jest łatwe, ale jak ktoś się bardzo uprze... — Zatrzymuje wzrok na resztkach posiłku, potem patrzy na mnie. Trudno stwierdzić, co jest powodem mojej nagłej utraty apetytu: śmierć Kowlovskiego; sposób, w jaki ją sobie zadał; świadomość, że Człowiek w Masce nie zostanie już nigdy osądzony; pamięć o tym, co zrobił z Damrong; a może kielkująca dopiero myśl, że chyba czeka mnie wyprawa do Phnom Penh. I nagle dzień traci całą energię, wcale nie dlatego, że Merkury jest w regresji (choć faktycznie jest i jak podano, nasz premier pilnie obserwuje jego ewentualne niszczące oddziaływanie na życie polityczne; dla niżej podpisanego Merkury może sobie być gdzie chce, ale Jowisz w koniunkcji z Księżycem w Skorpionie oznacza: zwi-nać-się-w-kłębek-pod-kocykiem-z-dżoincikiem).

W całej tej sprawie jest jakiś trik, który sprawia, że ciągle mi

się wymyka niczym miraż. I wcale nie chcę jechać do Kambodży; oni nas nienawidzą. Obie strony tak często w przeszłości wydzierały sobie nawzajem ziemię, że nikt już nie wie, kto rozpoczął tę waśń, która nie słabnie nawet dziś, gdy coraz więcej Tajów wyprawia się do sąsiadów na hazard. Oni nam chyba nigdy nie wybaczyli porażki pod Angkor Wat przed siedmiuset laty. Khmerzy tak mocno wówczas zawierzyli magii, że całkiem zaniedbali szkolenie bojowe. Tajską inwazję można porównać do napadu gangu motocyklowego na osiedlowy sklepik. Zabraliśmy im wszystko: kobiety, chłopców, dziewczynki, niewolników, złoto, ich astrologię, architekturę świątyni, muzykę, taniec — to jeden z pierwszych przykładów kradzieży tożsamości. Ale nie zabraliśmy kuchni, bo nie dorównywała naszej, wtedy tak samo jak teraz. Gdybyśmy wiedzieli, że będą chować urazę przez tyle stuleci, okazalibyśmy pewnie więcej miłosierdzia.

Nagle zaczynamy z FBI unikać swojego wzroku. Zniknęło złudzenie, że pracujemy nad sprawą. Pozostało zastanawianie się, co z nami dalej będzie. Popatrujemy na siebie ukradkiem, gdy drugie nie widzi, zdziwieni i zatroskani nawzajem swoją karmą. Wreszcie Kimberley zaczyna jeździć łyżką po blacie; przygotowuje się, by zrzucić z serca kamień.

— Może to twój kraj tak na mnie działa — mówi. — Zaczynam się czuć jak facet z Zachodu, prowadzący się po Sukhumvit pod rękę z dziewczyną o połowę młodszą od siebie, z miną kota przy spodeczku śmietanki. Wiem, że sama się oszukuję. — W końcu spogląda mi w oczy. — W każdym razie wie to moja lewa półkula. Ale nie mogę się powstrzymać. Nagle jest znowu wiosna, taka wiosna, jakiej nigdy nie zaznałam, bo zawsze miałam mnóstwo ważnych celów do osiągnięcia. Kiedy on jest w pobliżu, doświadczam poczucia głębokiej miłości, współczucia, ciepła. Co jeszcze mam powiedzieć? To przecież właśnie tego powinnam doświadczać jako kompletny człowiek, prawda? Po to właśnie istniejemy, choć jest to niewykonalne. I nie mów mi, Sonchai, że nie przechodziłeś przez to samo z Damrong.

Biorę głęboki oddech.

— Oczywiście, że przechodziłem. Jak widzisz światło wpadające do trumny, to trudno jest dalej udawać martwego. Wiesz przecież, że obietnica życia nie jest tak całkiem pusta. Ekstaza to nie tylko nazwa narkotyku, a w historiach o rajach jest jednak trochę sensu. — Próbuję patrzeć na nią współczująco. — Jeżeli choćby cząstka ciebie wciąż jeszcze żyje, nie możesz odrzucić wyzwania.

— Więc mi przebaczasz? — pyta z pokorą w oczach.

Kładę moją małą dłoń na jej dużej.

— Tylko bądź ostrożna.

— Boisz się, że mogę go zniszczyć?

— Raczej odwrotnie.

Kimberley przygląda się drzewom wokół restauracji.

— On mnie właściwie nie zauważa, prawda? W ogóle o mnie nie myśli pod tym kątem.

— A jak się czują twoim zdaniem te dziewczyny na Sukhumvit, gdy spacerują z *farangami* uśmiechniętymi jak kot z Cheshire? Czy uważają, że trafił im się spodek śmietanki, czy raczej brudna robota, tyle że lepiej płatna niż w fabryce?

FBI kiwa głową.

— Ale ta operacja, Sonchai; to jest złe i tyle.

Wzruszam ramionami, bo nie ma sensu do tego wracać.

Siedzimy w milczeniu dobre dziesięć minut, tymczasem w restauracji zaczynają puszczać stare rockowe kawałki. Przy innych stolikach młoda tajska para zamierza chyba spędzić popołudnie w pobliskim hoteliku, pięciu dwudziestokilkuletnich kierowników działów umiła sobie lunch ryżową whisky, jacyś turyści pochylają się nad planem miasta — a dołem grają koty polujące na resztki.

— Pojadę z tobą — mówi FBI. — Musisz się wybrać do tego Phnom Penh, taki detektyw jak ty zawsze chce wszystko zobaczyć na własne oczy. Pojadę z tobą, bo przecież przyjechałam po to, żeby ci pomagać. Poza tym przyda mi się zmiana otoczenia, może w innym kraju przestanę tyle o nim myśleć.

FBI zostawia mnie przy stacji kolejki napowietrznej Sala Daeng i idzie się pakować. Dzwonię do Leka i umawiam z nim



na późne popołudnie w Don Juan's, ulubionym barze *katojów*. Sam wracam do komendy, odwalić trochę papierkowej roboty, a potem jadę do domu przebrać się i powiedzieć Chanyi, że wybieram się na dzień czy dwa do Kambodży, z FBI. Przez chwilę igra z zazdrością, lecz bardziej ją interesuje serial w telewizji. Owalny środek ciężkości zapewnia jej ostatnio stały poziom samozadowolenia.

— Wybieram się też do tego *moordu* od Leka — oznajmiam.

Przygląda mi się, sprawdza, czy mówię serio, i odpowiada z uśmiechem:

— W samą porę. Powiesz mi, czy jest dobry.

— To *katoj* — wyjaśniam.

Chanya robi wielkie oczy.

— To nawet lepiej — mówię. *Katoje* są powszechnie uważani za świetnych jasnowidzów.



Istnieje wiele określeń transseksualistów: inne kobiety, trzecia płeć, odmieńcy. Ja najbardziej lubię „przebrane anioły”. W Don Juan's jest ich mrowie. Gładkie, brązowe, kobietopodobne ciała, wyściełane biustonosze i poprawiane silikonem pośladki, mnóstwo biżuterii — głównie srebrnych naszyjników — kształtne nogi, lubieżny śmiech, tanie perfumy i wyrafinowana zniewieściałość; to kombinacja podnosząca desperatów na duchu przed nadchodzącą nocą. Można poczuć podziw dla ich odwagi. Ledwie poznaję Leka pod warstwą szminki, różu i tuszu; obcisła koszulka podkreśla jego pączkujące piersi. Włożył dzinsy zamiast spódniczki, chyba ze względu na mnie. Przepycha się w moją stronę między siostrami, rozpromieniony. To pewne, że od ostatniego miłosnego telefonu FBI nie poświęcił jej choćby jednej myśli.

— To mój szef, mój mistrz — oznajmia przyjaciółkom z nieskrywaną dumą. — Pracujemy nad najokropniejszą sprawą, jaką można sobie wyobrazić. — Zakrywa dłonią usta. — Ale nic więcej nie mogę powiedzieć, wszystko jest ściśle tajne.

— Pi-Lek to istna kokietka! — wykrzykuje *katoj* z długimi kolczykami ze sztucznych pereł. — To wielki zaszczyt pana poznać. Pi-Lek wszystko nam opowiedział, wiemy, że jest pan najbardziej współczującym gliną w Bangkoku, a pewnie i na świecie. Pi-Lek twierdzi, że tak naprawdę jest pan już Buddą i pozostaje na ziemi tylko po to, żeby rozprzestrzeniać oświecenie. To dla nas wielki honor.

— Lek jak zwykle przesadza, jestem zwyczajnym policjantem — odpowiadam, choć trudno jest nie dać się porwać tej lawinie wdzięku.

— Chodź, poszukamy Pi-Da — mówi Lek. Zwraca się do przyjaciół: — Możecie już zmykać. Mój mistrz nie przyszedł tu marnować czasu na głupie dziewczęta. — Odprawia je machnięciem dłoni, co prowokuje udawane lamenty i tupanie nogami. Lek bierze mnie za rękę i prowadzi przez tłumek przy barze na drugi koniec sali. Tym razem przedstawia mnie głosem znacznie mniej zniewieściałym.

— Pi-Da, to mój szef, detektyw Jitpleecheep.

Widać, że Pi-Da należy do innej kategorii *katojów*. Koło czterdziestki, z okrągłą twarzą i brzuszkiem, grubokościstej budowy — nigdy nie był zbyt piękny, lecz kobieca dusza i tak przez całe jego życie domagała się uzewnętrznienia. Lek powiedział mi, że Pi-Da występuje w kabaretach zwanych „brzydkie przebrania”, które działają w każdym prawie barze dla *katojów*, promując specyficzną subkulturę transseksualistów. Odgrywa też rolę „mądrej ciotki”, która unika zniewieściałej maniery w mowie i innych podobnych pułapek tego świata. Głos ma jednakże z natury wysoki i kobiecy. Wymieniamy krótkie *wai*, a on szacuje mnie wzrokiem. Potem bierze mnie za rękę i prowadzi do stolika. Siadamy i obserwuję, jak oczyszcza umysł, wpatrując się we mnie, czuję, jak penetruje moje serce. Wzdryga się, otwiera szeroko oczy, przez chwilę patrzy na Leka, potem znów na mnie i wreszcie mówi:

— Przykro mi, ale to jest dla mnie za mocne, nie mogę tam

wejść. Duchy są zbyt potężne. — Robi gest, jakby chciał mnie odepchnąć. Lek patrzy na to z zastygłą twarzą, obaj jesteście zdeprymowani.

— Postawiłeś mnie w kłopotliwej sytuacji — mówi Lek.

Trudno o większy grzech w tej kulturze. Twarz Pi-Da zapada się pod bezlitosnym spojrzeniem Leka, a gdy chłopak odwraca się zniesmaczony, *moordu* szepce z wyrzutem:

— Nie wiecie, o co prosicie.

— Podobno jesteś jasnowidzem. Podobno potrafisz bez lęku zajrzeć na drugą stronę — mówi Lek bardziej zmartwiony niż zły. Objawia się w tym cała niechęć *katoja* do sytuacji, w której nie jest traktowany poważnie: skoro Pi-Da nie radzi sobie z ciężkimi przypadkami, to co w ogóle z niego/niej za *moordu*?

Podstarzała królowa i nic więcej?

Wyraz twarzy Pi-Da się zmienił. Miejsce niemrawej ciotki zajął mężczyzna, którego dorosłość została zakwestionowana.

— Musimy pójść na górę — mówi do mnie ponuro. — I nie wezmę pieniędzy.

„Góra” to szereg pokoi używanych do składowania alkoholu i pudeł z przekąskami. Pi-Da uprzęta kawałek podłogi i wszyscy siadamy. Jasnowidz bierze mnie za rękę i zamyka oczy. Po minucie znów je otwiera, ale są jakby niewidzące. Patrzą ze zgrozą i fascynacją, jak wstaje, opiera się dłońmi o ścianę i pochyla z wypiętym tyłkiem.

— Sonchai, weźmiesz mnie od tyłu, o tak? Jeżeli chcesz, możesz mnie wychłostać. — To głos Damrong, idealny. — Taki wspaniały z ciebie kochanek, detektywie; jesteś jak szarżujący słoń! — Histeryczny śmiech.

Pi-Da potrząsa gwałtownie głową, jakby chciał się wyswobodzić. Odwraca się do nas z poszarzałą twarzą, wyraźnie wyczerpany.

— Więcej nie mogę zrobić — mówi. — Jej energia jest zbyt brutalna, zbyt silna. Jeżeli jej się poddam, może mnie zabić. To nie jest zabawa, to khmerska magia. Nie macie pojęcia, w co się wpakowaliście.

Odchodzi bez słowa, a Lek wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

— Tak — mówię — to prawda. Miałem z nią romans. — Nie mogę znieść jego wzroku, zbiegam więc schodami na dół i wychodzę na ulicę, w bezosobowe, nocne życie Bangkoku.

Jest wiele państw bankrutów i wiele kleptokracji, jest sporo krajów przegranych — i jest Kambodża. Po holokauście Nixona Pol Pota hojnie wspierała CIA. Dwa miliony ludzi zginęły podczas wojny domowej, lecz była to wojna domowa niepodobna do żadnej innej. Wszyscy tu pamiętają łomotanie do drzwi w środku nocy i ludzi wywożonych wozem zaprzężonym w woły, zazwyczaj pod eskortą nastolatka z bronią. Członków rodziny, których nikt już potem nie zobaczył — chyba że jako zwłoki, często okaleczone. Jest też słynna katownia Tuoi Sleng, gdzie odbywały się tortury; są góry czaszek na polach śmierci w Czo-eung Ek. Psychiczne blizny przenikające Kambodżan do szpiku kości skrywane są pod uniwersalnym ośpieniem. Wielu ludzi przypomina lunatyków, przypadkowy bandytyzm jest codziennym zagrożeniem, „dziejczyzny, karabiny, hazard i gandzia” zastępują gospodarkę, korupcja etykę pracy, a wykorzystywanie dzieci jest narodowym sportem. Jeżeli cię to bawi, możesz użyć lokalnej waluty, ale wszyscy wolą dolary. Kraj oczywiście przyciąga stada „wiecznie młodych” Europejczyków, ich blade twarze mającą za przyciemnianymi szybami jeepów. Duża część miasta jest w ruinie. W komendzie policji Kimberley pokazuje legitymację FBI. Żadne z nas nie ma uprawnień do prowadzenia śledztwa na terenie Kambodży, ale

nikt się tutaj nie przejmuje przepisami. Każdego można skłonić do współpracy z pomocą studolarowego banknotu.

Mieszkanie, w którym zmarł Stanislaus Kowlovski, znajduje się w bocznej uliczce, dwieście metrów od brzegu Mekongu. Umykamy przed oślepiającym słońcem, podążając za policjantem, którego mundur jest być może jedyną legalną rzeczą, jaką ma. To niski, przygarbiony, brązowy mężczyzna, któremu przy każdej dłoni brakuje jakiegoś palca. Spodziewa się, że krew i śluz na ścianie zrobią na nas wrażenie. Na nim robią. *Wielki Amerykanin, takie ciało i co? Nieżywy. Wariactwo. Co taki człowiek może wiedzieć o cierpieniu, przecież jest biały? W tym kraju jest pełno ludzi ledwie żywych z udreki, inni nie mogą chodzić, bo mina urwała im nogi, a ten facet miał wszystko. Z takim ciałem mógł mieć każdą kobietę, nawet wśród farangów. Wariactwo.*

Na komisariacie pokazali nam karabin, kałasznikowa chińskiej produkcji. Można je tutaj kupić bez problemu, lecz cena powyżej dwustu dolarów to zdzierstwo. Policjanci zostawili jednak sznur, użyty przez Kowlovskiego do pociągnięcia za spust, poprzez haczyk wbity w kolbę, którą musiał przytrzymać nogami. Bardzo krwawa śmierć — strzał wyrwał mu dolną część trzewi i złamał kręgosłup — ale metoda skuteczna. Koncentrujemy się z FBI wyłącznie na tym sznurze. Można uznać, że Kowlovski coś chciał przez niego zakomunikować, może wyznać: jest pomarańczowy, centymetrowej grubości, podobny do linki, którą zabił Damrong.

— Dobrze się czujesz? — pyta FBI.

— Oczywiście.

— I co o tym myślisz?

— Powiedz mu, żeby nam pokazał jego rzeczy.

Policjant najwyraźniej woli przyjmować polecenia od niej niż ode mnie. Prowadzi nas z dużego pokoju (linoleum, brudna kanapa, telewizor) do sypialni, gdzie na łóżku leży walizka. Żadnych wartościowych przedmiotów oczywiście w niej nie znajdziemy, jeśli takowe miał. Przerzucamy ubrania, dobrane

tak, by podkreślały jego wyjątkową muskulaturę (za duże na kambodżańskich policjantów); na dnie walizki znajdujemy pas na pieniądze. Pieniędzy w nim rzecz jasna nie ma, ale jest kilka biletów lotniczych i coś jeszcze. Zdziwiona FBI podaje mi lakierowaną bransoletkę ze słoniowego włosia. Mówię jej, że Tom Smith też taką nosił i Baker także ma podobną.

— Smith powiedział, że dostał ją od jakiegoś dziwnego mnicha przy stacji kolejki nadziemnej.

Kimberley kręci głową i patrzy na mnie pytająco.

— Myślałam, że twój przyjaciel mnich jest w Bangkoku.

— Mnisi mogą latać samolotami. To tylko godzina drogi.

— A co ze ślubem ubóstwa? Wolno im mieć pieniądze?

— Nie wolno — odpowiadam.

FBI unosi brwi, ale nie mówię nic więcej. Wniosek z tego płynie, jakby nie było, dość radykalny.

— A dlaczego Kambodża? — pyta Kimberley.

— Właśnie, dlaczego Kambodża?

— Mówiłeś, że tutaj był wyświęcony.

Kiwam głową.

Kimberley wzrusza ramionami, podnosi parę szortów i wywraca kieszenie. Wypada druga słoniowa bransoletka. Włoski na karku stają mi dęba.

— Ten mnich próbuje coś powiedzieć — mówi FBI.

— Chyba tak.

— A komu, jeśli nie tobie?

Przeszukujemy dokładnie wszystkie ubrania, ale nic więcej ciekawego w nich nie ma. W kostnicy identyfikujemy Kowlovskiego dzięki zdjęciom zdobytym przez Kimberley. Kiedy go podnosili, ciało złamało się w pół i obie części leżą w szufladzie osobno.

— W tym kraju to i tak cud, że głowa jest na górze, a nogi na dole — mruczy Kimberley.



FBI pragnie piwa i ja też. Najlepsze miejsce, jakie znam, to Foreign Correspondents' Club, nad samym Mekongiem (stary

kolonialny budynek, wentylatory pod wysokimi sufitami, porządnie odnowiony, świetne zdjęcia wojenne na ścianach). Patrząc z balkonu na chłopca pchającego koślawy ręczny wózek w poszukiwaniu turystów. Zniekształcona ludzka postać, przy-mocowana pasami do deski osadzonej na dwóch kołach od roweru, to pewnie jego brat albo krewny, ponieważ okazują sobie wiele czułości. Chłopiec podczas przerw w żebraniu całuje kalekę w jego wielką głowę, głaszcze, by po chwili pokazać go kolejnej parze turystów w średnim wieku, chyba Amerykanom. Obaj z kaleką są bardzo uprzejmi, lecz ich przesłanie jest jasne, bezpośrednio i dobrze wykalkulowane: *Ile chcecie zapłacić, żeby zniknęła wam sprzed oczu ta uniwersalna ikona poczucia winy?* Z tego, co widzę, chyba kilka dolarów. Małżeństwo rzuca jeszcze zakłopotane spojrzenie i odchodzi, a chłopak wiezie brata z powrotem nad Mekong. Co jeszcze można zrobić? — wydają się pytać milcząco Amerykanie; uczciwym ludziom trudno jest udźwignąć taką dawkę rzeczywistości.

— I co z tym mnichem, bratem Damrong? — pyta Kimberley, popijając piwo i ocierając rękawem białe wąsy z piany.

Ja akurat nie myślę o mnichu, tylko właśnie o niej. Wiem, że nie była nigdy w Kambodży, ale coś w kulturze tego zrujnowanego kraju sprawia, że te szczątki są jej bliskie. Jest tu wyraźnie bardziej rozluźniona, bardziej pewna siebie niż w mojej tak wymagającej ojczyźnie. Ubrana jest w spodnie wojskowego kroju i kamizelkę khaki z setką kieszonek.

— Wszystko się może zdarzyć, nie sądzisz? — mówi z upodobaniem. — Jesteś pewien, że naprawdę jest mnichem?

— O tyle, o ile. Na pewno praktykuje medytację i zna wi-passanę. Inaczej nie byłby aż takim dziwolągiem. — Opowiadam jej o nagłych przemianach osobowości Phra Titanaki.

— Dwubiegunowiec — diagnozuje FBI. — Prawdziwy psychopata nie byłby tak zorganizowany i zborny myślowo. Może czasami zapomina zażyć litu. Myślisz, że mógł załatwić Kowlovskiego?



— Tak to zaczyna wyglądać, prawda? Jedna słoniowa bransoletka to mógłby być przypadek, ale dwie...

— To jawna prowokacja. Ale w takim razie mnich musiałby znać nazwisko człowieka w masce jeszcze przed nami, a przecież nie widział filmu.

— Tak powiedział. Mnisi nie kłamią.

Kimberley prychna zniecierpliwiona, kręci głową i pociąga łyk piwa.

— Zdaje się, że Pol Pot też był mnichem?

— Krótko. Chyba nie odpowiadał mu ten stan.

— Czerwony Khmer buddysta?

— Dla mnie jest oczywiste, że brat Damrong tego nie zrobił. W ogóle nie jest podejrzanym.

— Ale wygląda na to, że wie o sprawie więcej od nas. Dlaczego bronisz religijnego świra, którego właściwie nie znasz, Sonchai? Dotarł do Kowlovskiego. Wręczał słoniowe bransoletki wszystkim głównym podejrzanym. A może to on sam sprzedawał siostrę? Może on sam nakręcił *snuff movie*?

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

— Ty po prostu nie rozumiesz — mówię. Tajka przyjęłaby to jako chamstwo, ale Kimberley jest w nastroju nieprzemakalnie pozytywnym.

— Czego nie rozumiem?

— *Gatdanyu*.

— A co to takiego?

Oddycham głęboko, bo znam już ten film. Chyba łatwiej by było objaśnić podwójną helisę DNA łowcom głów z Sumatry, niż wytłumaczyć *farangowi* co to jest *gatdanyu*. Odbiór może być tylko powierzchowny.

Opisuję więc, jak potrafię najlepiej, ukrytą strukturę społeczną, w której żaden cudzoziemiec nie rozpoznałby Tajlandii. Gdy buddyzm dotarł po raz pierwszy do naszych granic, nasi przodkowie przyjęli z entuzjazmem jego przesłanie szczodrości i współczucia. Jednocześnie dostrzegli konieczność dopasowania go do pewnego dziwactwa natury ludzkiej, które odkryli

podczas tych dziesięciu tysięcy lat przeżytych przedtem bez buddyizmu. I owo zastrzeżenie, jakie budziła w nich naiwność nowej wiary, można określić jednym słowem: odpłata. Jak sprawić, żeby ludzie uznali szczodrość za coś wartościowego? Trzeba im dać pewność, że się opłaci. W efekcie, każdy Taj to swoiste centrum nieskończonej pajęczyny moralnych zobowiązań i debetów, którą rozerwać może tylko śmierć. Każdą przysługę należy oczywiście oszacować według niepisanego systemu przeliczników. Jego podstawą jest Wielka Przysługa Narodzin; ten dług ma pierwszeństwo wobec wszystkich innych.

— Dlatego właśnie Tajlandia robi z wierzchu wrażenie kraju męskiej, szowinistycznej kultury, ale gdy zajrzeć głębiej, okazuje się, że wszystkich nas kontroluje Matka. Mnie na pewno.

— To dlatego pracujesz w jej burdelu, choć twoja subtelniej szałowa podpowiada co innego?

— Tak — przyznaję, nie patrząc jej w oczy.

— A kiedy widzę was, Tajów, takich zabieganych, jakbyście wszyscy byli jednoosobowymi firmami zbijającymi kokosy, to tak naprawdę patrzę na ludzi, którzy starają się uzyskać przysługę od A, żeby zapłacić nią za inną przysługę, wyświadczoną im wcześniej, może jeszcze w dzieciństwie, przez B, i tak dalej?

— Trafiony, zatopiony.

— Moment, a co z dziewczynami z barów? Chcesz powiedzieć, że się sprzedają, żeby spłacić dług wobec Matki?

— Tak. Właśnie to robią.

— A matki też tak rozumują?

— W tej kwestii działa *omertà*, ale nie ma Taja, który by myślał inaczej.

Kimberley spogląda na mnie znad kufla piwa, które przed chwilą zamówiła.

— O kurczę. — Wzdryga się, odstawia kufel, kręci głową. — To znaczy, że wiele z nich może zupełnie się nie nadawać do Branży. Po prostu jawny szantaż emocjonalny. Świadomie grzebią swoje szanse na udane małżeństwo, urodzenie dzieci, normalne życie?

— Teraz trochę przesadziłaś. Jakie szanse? Rozmawiamy o skrajnej biedzie, Kimberley.

— Ale jak to się ma do sprawy? Myślałam, że Damrong i jej brat nienawidzili swojej matki.

— O to właśnie chodzi. *Gatdanyu* jest bardzo praktyczne. Masz dług wobec konkretnej osoby, która faktycznie wyświadczyła ci przysługę. W tym przypadku Damrong była właściwie matką dla własnego brata. Ratowała mu wielokrotnie życie, łożyła na jego edukację.

— I kiedy nadszedł czas spłaty długu, on nie miał prawa się oszczędzać?

— Nie wiemy, ale tak przypuszczam.

— Czyli był przez nią zaprogramowany od wczesnego dzieciństwa?

— Najpewniej tak.

— Mój Boże, ten chłopak ma poważny problem.

— My też — mówię półgłosem, wskazując brodą ku rzece. Tego ranka przechadza się nad brzegiem Mekongu pan Tom Smith, oczywiście w sportowym ubraniu. Nie doświadcza jednak kulturowego szoku z powodu spotkania z chłopcem i jego sparaliżowanym bratem. Widać, jak uśmiechy zamierają im na twarzach, gdy ich odpędza jakimś ostrym słowem. Ponieważ ma koszulę z krótkim rękawem, łatwo jest dostrzec lśniąca brązową bransoletkę na lewym przegubie. Nie mówiłem jeszcze FBI o kliencie Smitha, australijskim Chińczyku, więc mówię teraz.

— Musimy stąd spadać — mówi Kimberley.

— Dlaczego?

— On jest ich *consigliere*, Sonchai. — Kręci głową. — Ja znam tego Chińczyka; zna go wielu innych agentów o międzynarodowym doświadczeniu. To właśnie ten aspekt mam tutaj zbadać, po to przyjechałam. — Marszczę ze zdziwieniem brwi. — Uważamy, że przewodzi mafijnemu syndykatowi bogatych psycholi, nazywamy ich „niewidzialnymi ludźmi”. Wygląda na to, że mają na koncie niejedną ponurą sprawę: pojedynki

gladiatorów na śmierć i życie na pustyni Sonora, *snuff movies* kręcone w Nikaragui, w których do ofiar strzela się z helikopterów po prostu dla rozrywki, sadomasochizm na sprzedaż w Szanghaju, porwania chłopców z rozbitych domów w Glasgow i sprzedawanie ich jako zabawek szejkom naftowym — takich historii nigdy się nie bada, bo dla Zachodu i Ameryki dzieją się gdzieś na marginesie, a stojących za tym ludzi zbyt trudno jest ująć, ponieważ są bogaci i ważni.

Nie całkiem mnie to zaskakuje, ale nie widzę też powodu do paniki.

— Nawet jeżeli Smith przyjechał tu w tym samym celu co my — mówię — to jeszcze nie oznacza, że naśle na nas szwadron śmierci.

FBI znów kręci głowę.

— Ja chyba rozumiem to miejsce lepiej od ciebie, Sonchai. Nie widzisz tego? Tu nie istnieje prawo. Istnieje bezprawie. A wiesz, co robią istoty ludzkie, gdy nie ma prawa? Po prostu usuwają inne istoty ludzkie, które stoją im na drodze albo zamierzają stać, albo teoretycznie mogłyby stać. To się nazywa Pierwsze Prawo Przetrwania Kaina. Pomyśl tylko: jesteś prawnikiem potężnej międzynarodowej organizacji, która na zewnątrz działa w branży pornograficznej, a tak naprawdę dostarcza chorej rozrywki psychopatycznym miliarderom. Wiesz, jaką daje władzę posiadanie haka na kilkunastu czy więcej najbogatszych zbrojeńców na świecie? Rozumiesz, co jest stawką w tej grze? Ludzie Smitha nakręcili ten film z Damrong, a teraz są zaniepokojeni, bo druga gwiazda zabiła się niecały kilometr stąd. Za jakieś pół godziny pan Smith podpłaci tych samych gliniarzy co my i pójdzie obejrzeć miejsce, w którym zaszlachtował się Kowlovski. Po drodze ci sami gliniarze opowiedzą mu o naszej wizycie, o naszych oględzinach miejsca zbrodni. I poinformują go, że planujemy zostać w Kambodży do jutra. I co zrobi pan Smith w kraju, gdzie dwieście tysięcy zdemobilizowanych Czerwonych Khmerów czeka na jakąś robotę? Ile czasu mu zajmie zmontowanie małego oddziału? Policjanci

najpewniej mu w tym pomogą; dla nich to pestka znaleźć kilku płatnych zabójców, być może nawet sami są płatnymi zabójcami, którzy czasami bawią się w stróżów prawa. Rozumiesz to? On musi nas załatwić tutaj, w Kambodży. Osobnicy jego pokroju nie przepuszczają takich okazji. Widziałeś, co się stało z Nok. Przyjmijmy, że mieszkalam tu w poprzednim życiu, wiem, gdzie jestem i co mówię. Dobrze, Sonchai?

— To nie było tutaj — mówię — tylko w Da Nang w Wietnamie. Byłaś oczywiście mężczyzną. I to czarnym. — Uśmiecham się słodko na widok jej zszokowanej miny. — Najlepiej leć od razu do Bangkoku. Ja chcę jeszcze odwiedzić rodzinną wioskę Damrong, a łatwiej mi to będzie zrobić łodem. Przekroczę granicę w prowincji Surin.

Postanawiamy przejść się nad Mekongiem, jak wszyscy. Krwawobrunatna, obrośnięta mitami rzeka, dla każdego ma chyba inne znaczenie. Nawet FBI niesie w sobie jej cząstkę (brawurowe akcje komandosów z Navy Seals przed trzydziestu laty?). Mekong to nasz Ganges, oczywiście stworzony przez smoka. Nie ma tu takiego ruchu, jaki widzi się na Chao Praya; Mekong w Phnom Penh to wciąż spokojny i leniwy ciek wodny, który o zachodzie słońca wtapia się w czerwoną ziemię świetlistą smugą, jak pełznący przez błoto fajerwerk. W ciągu dnia suną z jego nurtem powolne łodzie rybackie; albo w ogóle nie mają silnika, albo mają tak mały i cichy, że wraz z nieruchomym upałem i zarzucającymi sieci rybakami z czwartorzędu sprawiają wrażenie, jakby ten spokój panował tutaj nieprzerwanie od tysiąca lat. To właśnie *maja*, ułuda, *farangu*.

— Ja go kocham — oznajmia cicho FBI, patrząc na rzekę. Zostawia sobie furtkę do wycofania tych słów, ale na razie jest w uniesieniu, bo odważyła się to powiedzieć po raz pierwszy. — Przepraszam — dodaje, kładąc mi dłoń na ramieniu na znak panowania nad sytuacją. — Nigdy nie byłam szesnastolatką. To nie potrwa długo.

— Będziesz z nim już jutro — odpowiadam z uśmiechem.

— Już dziś — poprawia mnie, wciąż odwrócona ku rzece.

— Wysłałam mu SMS. — Pozwala opaść ręce, która wpierv muska, a potem chwyta mocno moją dłoń. — Nawet nie wiesz, jaki z ciebie jasnowidz, Sonchai. Zeszłej nocy miałam najwyraźniejszy sen w życiu. Wietnam i Da Nang. Masz rację, byłam czarnym dziewiętnastolatkiem. I umierając, myślałem tylko o jednym: o dziewczynie z Sajgonu. Obchodziło mnie tylko to, że już nigdy jej nie zobaczę. Umarłam wpatrzona w jej zdjęcie paszportowe.

— Lek?

— W każdym szczególe. — Przez chwilę patrzy mi w oczy, a potem odwraca wzrok i spogląda w górę rzeki, ku Laosowi. — To ty mi zawsze tłumaczyłeś, że my, ludzie, jesteśmy tylko zakończeniami karmicznych łańcuchów, splecionych intymnie z innymi i sięgających tysiące, a może miliony lat w przeszłość. Tylko nie chciałeś tego zastosować w odniesieniu do zakochanej Amerykanki, co, Sonchai?

*Touché* — i najchętniej tak bym to zostawił. Ale Kimberley jest przecież *farangiem*.

— Sonchai, nie musisz odpowiadać na to pytanie ani „tak”, ani „nie”. Wyczytam odpowiedź z twoich oczu. Czy to... to coś, co czuję... to jest naprawdę tylko odbicie seksualnej frustracji samotnej trzydziestolatki? Jeszcze inaczej: czy naprawdę uważasz, że chodzi tylko o dominację, pieniądze, władzę i egzotykę?

A może po prostu powiedziałaś tak tylko w złości? Wiem, on jest dziesięć lat młodszy ode mnie i bardzo kobiecy... — Pokaśluje. — No cóż, nie potrafię się temu oprzeć i tyle. To niezziemskie piękno, ta wrażliwość... dla mnie, bądź co bądź, amerykańskiej policjantki, istnienie kogoś takiego to w ogóle cud. Przedwczoraj wieczorem patrzyłam, jak się maluje przed wyjściem do tego baru. Przez całe życie śmiertelnie mnie nudziły te babskie rytuały, ale na niego mogłabym się gapić całą noc. Co się ze mną dzieje, Sonchai?

Piąta rano. Dworzec autobusowy w Surin jest wielki jak lotnisko, a autobusy odjeżdżają stąd we wszystkich kierunkach, choć większość do Bangkoku. Mój koczowniczy naród jest w ciągłym ruchu, nawet o tej porze. Niespokojny duch ukrywa się pod łagodną powierzchownością, ale wystarczy przejrzeć nasze życiowe rozkłady jazdy, żeby się przekonać, że nieustannie się przemieszczamy ze wsi do miasta i z powrotem. I każdy, niczym świątynny pies, niesie swoje pchły, bez przerwy się drapiąc. Zostawiłem FBI na lotnisku w Phnom Penh; wpatrzoną w zdjęcie Leka zrobione komórką. Jest rzeczywiście piękny, ale też bardzo etniczny; na wyświetlaczu telefonu wyglądał, jakby obserwował ją z innej planety. A ona miała w oczach pewność, że wszystko w nim rozumie.

Udało mi się zdobyć miejsce z tyłu autobusu do Ubon Ratchathani. Ogarnia mnie, jak zawsze w takich chwilach, uczucie ulgi, że wreszcie ruszamy. Kierowca wsiada i uruchamia silnik, jednocześnie puszczając głośno wideo na monitorze zawieszonym nad jego głową. Jest to niestety romansidło, pełne pustych plaż, zmysłowych spojrzeń i niekończących się zbliżeń załamanych oczu; po prostu sen okulisty. Zamykam więc oczy i w kilka sekund zapadam w sen. Muszę być bardzo zmęczony, bo zazwyczaj nie śpię w autobusie. Fotel jest dość niewygodny,

więc ciągle się poprawiam, klinując kolana o siedzenie z przodu, a kiedy ta pozycja staje się nie do zniesienia, obracam się i opieram głowę o szybę. I tak dalej. W przerwach oglądam mieszany pejzaż za oknem: niedokończone budowle, biedne osiedla mieszkaniowe, które też wyglądają jak niedokończone, choć stoją tak od lat; dzikie rzeczki, pozostałości dżungli. Ten jałowy krajobraz ciągnie się kilometrami, ale gdy dojeżdżamy do Pak Cheung, trochę się zmienia. Natura jest tu mniej stłamszona: popadające w ruinę osiedla są jak barykady przeciwko skradającej się w ich stronę, gęstej zieleni z głębi łądu.

Po lunchu wdaję się w rozmowę z młodą kobietą, siedzącą obok. Przez kilka minut gawędzimy o niczym, aż w końcu oboje przyznajemy się do pracy w branży. Ona pracuje przy Nana Plaza i ostatnio całkiem nieźle się jej powodzi. Jedzie na kilka dni do domu, by zobaczyć się z pięcioletnią córeczką. Tata jest tajski kochaś, który zniknął, gdy tylko mu powiedziała o ciąży. Nie mówi tego, ale wyraźnie czeka na tę chwilę, gdy sąsiedzi z wioski okażą jej szacunek za opiekę nad rodzicami i rodzeństwem. To jest zupełnie co innego, niż być jedną z wielu dziwek w wielkim mieście. Pytam, czy zna może przysiółek Czarne Wzgórze, z którego pochodziła Damrong. Kiwa głową; tak, była tam kilka razy, to bardzo biedna wioska, nawet jak na Isaan. Widziała dzieci jedzące ziemię; ludzie naprawdę żyją tam w skrajnej nędzy.

W Ubon Ratchathani wynajmuję jeepa z kierowcą i jadę do wioski. Jestem już w sercu prawdziwego Isaan. Zmierzcha, lecz światła jest dość, by przyjrzeć się krajobrazowi: jest mistycznie płaski, człowiek ma tutaj wrażenie, że znalazł się w najniższym punkcie Ziemi. Mijamy odkryte półciężarówki z robotnikami o dzikim wyglądzie i głowach owiniętych koszulami. Regularne szpalery drzew osłaniają od wiatru niewielkie gospodarstwa, gdzie kobiety gotują posiłki na paleniskach z węgla drzewnego; zieleń pól ryżowych bardzo podkreśla obecność słoni, zupełnie niewytłumaczalna. Gruboskórne kolosy pasą się albo stoją kompletnie nieruchomo, kontemplując pustkę. Przypomina



mi się, że przecież prowincja Surin to słoniowa stolica Tajlandii. W ostatnim tygodniu listopada w mieście Surin mają tu festiwal o nazwie Słoniowy Spęd i przez wiele dni drogi są zatarasowane przez stada tych zwierząt. Na wsi uważa się, że przebiegnięcie pod brzuchem sunącego ociężałe słońia przynosi szczęście dzieciom.

Dojeżdżamy do wioski po zmroku. Nie chce mi się już rozpytywać o rodzinę Damrong, jestem zbyt zmęczony. Dogaduję się z kobietą, która przenocuje mnie za drobną opłatą stu bahtów, ze śniadaniem. Dom stoi na palach, jak większość w tej okolicy. Wspinam się po drewnianych schodkach i wchodzę do środka. Całe mieszkanie to jeden duży pokój z kilkoma materacami na podłodze, a cały majątek gospodyni zgromadzony jest w jednym kącie. Ponieważ jest wdową i to w średnim wieku, przenocowanie mężczyzny nie grozi jej złą opinią w wiosce (dom stoi w części zamieszkaney przez jej krewnych). Jestem pewien, że moja gospodyni nie doświadczyła nigdy wielkomięskiej paranoi. Przenosi swoje legowisko w drugi koniec pokoju, a ja z wdzięcznością zasypiam. Rano dostaję ryż na wodzie ze smażonym jajkiem. Bardzo delikatnie zaczynam ją wypytywać o rodzinę Damrong. Nie przyznaję się, że jestem gliną.

Słyszała oczywiście o śmierci dziewczyny, cała wioska o tym mówiła. Skąd się dowiedziała? Wzruszenie ramion: wróble ćwierkały. Poruszam temat domu rodzinnego Damrong. Co to są za ludzie?

Pomimo meandrów uprzejmości i dyplomacji, jakimi ludzie ze wsi poruszają się po delikatnych tematach, trafiłem najwyraźniej na subtelny aspekt całej sprawy, znany tylko ziomkom z przysiółka. Widzę po minie mojej gospodyni, że upatruje w tym działania magii, karmy, a może nawet zemsty niebios. Kiedy wyjmuję portfel i oferuję jej osobną zapłatę za kawę, kobieta chwytą to w lot. Jej nastrój się zmienia i wyraźnie ucieszona zalewa mnie potokiem słów.

Otóż rodzina Damrong to trudni ludzie, wyjaśnia mi,

używając isaańskiego słowa, które oznacza lęk, szacunek i wątpliwość w jednym. Nawet na wsi istnieje granica szorstkiego sposobu bycia. Ojciec Damrong zmarł, gdy zaczynała dorastać. Był wsiowym bandytą, a podczas nocnych wypadów na rabunek do sąsiednich osad używał ochronnej magii. Miał tatuaże, które przez lata zapewniały mu bezpieczeństwo. W tych czasach, nie tak odległych, policji było w okolicy jak na lekarstwo, a jeśli była, to nie kwapiła się zbyt do działania. Ojciec Damrong zabił pięciu ludzi, głównie podczas pijackich burd albo tylko dlatego, że grali mu na nerwach — zwyczajowo, ciosem noża od dołu pod żebra. Zaloty do matki Damrong polegały na porwaniu jej i trzymaniu przez trzy dni w zamknięciu. Czy ją w tym czasie gwałcił, czy nie, było bez znaczenia, bo po tych trzech dniach żaden mężczyzna i tak by jej nie chciał. Musiała więc wyjść za wiejskiego bandytę. Nie przeszkadzało jej to zresztą, bo sama miała twarde serce (niektórzy powiedzieliby, że ciągnęło ją do złego), dlatego też bandyta wybrał właśnie ją. Nikt nie chciał z nimi wchodzić w układy; tych ludzi okrywał mrok. Śmierć Damrong postrzegano tutaj jako kolejny rozdział w czarnej historii tej rodziny.

Moja gospodyni zatrzymuje kompulsywny potok swej wymowy i spogląda na mnie.

— Wiesz o tym zwyczaju, że każe się dzieciakom przebiegać pod brzuchem słonia w czasie festiwalu? Ja widziałam na własne oczy, jak matka Damrong kazała jej to zrobić. To bardzo okrutny zwyczaj, niektóre dzieci są tak przerażone, że strach zostaje w nich na całe życie. Wyobraź sobie tylko, jak to przeżywał sześciolatek. Widzisz ogromne nogi, wielkie cielsko, a matka każe ci pod nim przebiegać z narażeniem życia. Słonie to nie są wcale łagodne olbrzymy, bywają złośliwe i nieobliczalne.

— Jak Damrong sobie z tym poradziła?

— Nigdy nie widziałam bardziej przerażonego dziecka. Ale matka ją zbiła, biła ją tak mocno, że w końcu bardziej się bała następnego ciosu niż przebiegnięcia pod słoniem. I przebiegła, ale widziałam w jej oczach nienawiść — nie wobec słonia

oczywiście, tylko do matki. Nie podeszła do niej, żeby się przytulić, tylko stała po drugiej stronie ulicy jak skamieniała. To była ładna dziewczynka; już wtedy było widać, co z niej wyrośnie. Bo jaki miała wybór?

Przerywa nam okrzyk zza okna. Jedna z sąsiadek dowiedziała się o gościu z miasta i chce go poznać.

— Rozmawiamy o Damrong! — odkrzykuje gospodyni.

— Idę tam do was! — woła sąsiadka.

Jest bardzo niska, może niecałe metr pięćdziesiąt. Dystroficzna karlica, najsprytniejszy rodzaj liliputa, ubrana w znoszony sarong. W ręce trzyma wiaderko z dużym, kolczastym, zielonym durianem, którego zapewne chce gdzieś sprzedać. Nazwanie jednak jej biedaczką byłoby nietrafne. Kobieta należy do rzadko już spotykanego typu osób, które wciąż egzystują na wsi, szczególnie tutaj, w Isaan. To ludzie, którzy żyją z ziemi w sensie dosłownym. Są obeznani z lasem i dżunglą tak doskonale, że mogą tam bez trudu przetrwać bez pomocy z zewnątrz. Kobieta ma głęboko pobrużdżoną twarz, wielkie czoło i młode, żywe oczy pod obwisłymi powiekami. Widać, że nigdy w życiu nie doświadczyła kryzysu. Funkcjonuje na poziomie żywiołów i dzieli swój umysł z duchami.

— Ten pan wypytywał o Damrong — wyjaśnia moja gospodyni.

— Ach tak, oczywiście — mówi karlica, bynajmniej niezdziwiona, że ktoś zjawia się nie wiadomo skąd i chce od razu poznać wszystkie plotki. — To takie smutne.

— Powiedziałam mu, że pochodziła z twardej rodziny.

— Twardej? — Karlica powtarza isaańskie słowo. — Tak, to nie żart. — Mierzy mnie wzrokiem i czuje chyba, że ma do czynienia z przedstawicielem władzy. — Mówią, że jej brat Gamon jest zupełnie załamany.

— O, tak — potwierdza szybko gospodyni, zła, że pominęła tak istotny szczegół. — Byli ze sobą tak blisko. No, ale on jest mnichem, na pewno sobie z tym poradzi.

— Mnich nie mnich — mówi z głębokim namysłem karlica — będziemy mieli szczęście, jeśli się nie zabije. Była dla niego jedynym oparciem.

Z dołu dobiega nas głos kolejnej ciekawskiej sąsiadki i wiem, że na mnie pora. Pokazują kobietom moją odznakę policyjną, ale nie są zbyt zaskoczone. Karlica podejmuje się zaprowadzić mnie do domu matki Damrong.

To jedyny dom w wiosce — właściwie duża szopa — który od frontu nie ma ogrodu, tylko olbrzymią stertę śmieci. Pale, na których stoi, wbito bezpośrednio w ziemię, bez cementowych cokołów. Są przegnięte, podobnie jak schody do drzwi wejściowych. Pukam kilkakrotnie. Gdy drzwi się w końcu otwierają, widzę jedno duże, niemal puste pomieszczenie, zastawione plastikowymi wiadrami, do których kapie z dziur w dachu woda. W odległym kącie miga czarno-biały telewizor stojący obok legowiska.

Matka Damrong, jak to nałogowa alkoholiczka, jest już pijana i bardzo chuda: szkielet odziany w znoszony szary sarong i czarną koszulkę z krótkim rękawem. Z jej nogami też dzieje się to samo, co u wszystkich pijaków: chodzi sztywno, podrygując, jakby połączenie nerwowe między mózgiem i kończynami zostało naderwane. Twarzy tak czarnej od lęku i nienawiści nie widziałem jeszcze nigdy. Przed dwudziestu laty mogła być twarda jak skała, ale ta twardość zniknęła; zostało tylko rachityczne ciało i zniszczony mózg jako narząd przetwarzający informacje — wyższej świadomości nie ma tam już od bardzo dawna. Widzę, że nie ma sensu pytać jej o cokolwiek, więc zmieniam taktykę w marszu.

— Twój syn, Gamon, cię pozdrawia — mówię, pokazując jej odznakę.

Wytrzeszcza na mnie oczy, najwyraźniej nie rozumiejąc słowa „syn”. Wypatruję jakiegoś śladu i ku swemu zdumieniu dostrzegam przyklepione do ściany reklamowe zdjęcie harleya-davidsona. Jeśli mnie wzrok nie myli, to Fat Boy. Jej oczy ożywają się na moment. Macha rękami, jakby coś odpędzała.

— Spieprzył sprawę.

- Przystąpił do Sanghi.
- Spieprzył sprawę — powtarza, patrząc gniewnie.
- A twoja córka, Damrong?

To imię chyba nic dla niej nie znaczy. Może pamiętałaby rodzinny przydomek Damrong, ale ja go nie znam. Wyjmuję więc zdjęcie, klatkę z filmu: piękna twarz kobiety pięć minut przed jej śmiercią. Stara kobieta reaguje dziwnie, jakby fotografia przywołała nie tyle wspomnienia, ile równoległy świat. Pokazuje na przepierzenie z płyty pilśniowej w rogu pokoju, z drzwiami zamkniętymi na skobel z tanią kłódką.

- *Borisot* — mówi; dziewica.



Znam tę wiejską tradycję: gdy dziewczyna osiąga dojrzałość, wydziela się dla niej osobne pomieszczenie — co pomoże ustrzec jej cześć, dopóki nie pojawi się kandydat na męża. Większość seriali o miłości eksploatuje ten wątek. Matka Damrong postanowiła widocznie pewnego dnia — z pomocą jakiegoś psychologicznego manewru w swej chorej wyobraźni — że będzie strzec dziewictwa córki, którą zmusiła do prostytucji i z którą od lat nie miała kontaktu. Dają jej dwieście bahtów, żeby znalazła klucz do kłódki i otworzyła pokoić. Jeśli nie liczyć podtrzymujących ściankę słupków, nie ma tam niczego — poza dwiema fotografiami Damrong. Większa to romantyczne, po-  
żółkle już zdjęcie w stylu ulubionym przez wiejskich fotografów: miękki rysunek, błyszczące oczy i sztywna biała sukienka z mnóstwem koronek. Damrong ma nie więcej niż trzynaście lat; zapewne kazano jej spoglądać w górę, w telewizyjne niebo z przystojnym mężem i klimatyzacją. Mimo wysiłków fotografa klasyczna uroda dziewczyny przebija się jednak przez tę sztuczność, jej moc jest niezaprzeczalna. Druga fotografia przedstawia dziecko, przebiegające pod brzuchem słonia. Stara kobieta dostrzega moje zainteresowanie i zaczyna bełkotać coś niezrozumiale po khmersku. Myślę, że beznadzieja, jaką teraz odczuwam, pomnożona przez milion, była tym właśnie uczuciem,

z którym Damrong postanowiła walczyć tego dnia, w bardzo młodym wieku.

— Tylko jedna rzecz, Matko — mówię, przykładając palec do jej ust. Ku memu zaskoczeniu natychmiast przestaje trajkotać, jak posłuszne dziecko. Odwracam ją łagodnie plecami do siebie i unoszę jej koszulkę. Poddaje się temu jak na badaniu u lekarza. Tatuaż tygrysa, a jakże, zaczyna się w dole pleców, a głowa zwierzęcia wygląda ponad lewym ramieniem. Bardzo ciekawe. Drugi tatuaż to skomplikowany horoskop. Oba są wyblakłe i pomarszczone, musiała je sobie zrobić jako nastolatka. Przyglądam się horoskopowi, napisanemu oczywiście w starym języku *khom*. Chyba nic więcej tu nie zdziałam, żegnaj się więc i schodzę na dół. Patrząc na rozpadającą się chatę, na przegniłe słupy, na szaleństwo starej kobiety, która zatrzaskuje właśnie za mną drzwi, doświadczam przyływu wściekłości. Jakież to psychologiczne szczyty musiała co dzień zdobywać Damrong, żeby w ogóle funkcjonować? Wstawać rano tylko po to, żeby podtrzymać wiarę w siebie, niezbędną do pracy? Jakież to nadludzkie moce sprawiły, że robiła to wszystko w tak genialnym stylu? Baker, Smith i Tanakan nie mieli oczywiście o tym pojęcia, gdy korzystali z jej wdzięków. Ja byłem lepiej zorientowany, ale starannie ukrywałem tę wiedzę przed samym sobą, by pławić się w rozkoszy. Wcale nie lepszy niż ci trzej, *mes semblables, mes frères*.

Przysiółek to chaotyczne skupisko gospodarstw. Zajmuje zadziwiająco rozległy teren, ponieważ każda rodzina ma wokół domu kawałek gruntu. Kilka obejść wygląda wręcz kwitnąco, stoją przy nich półcieżarówki pod zadaszeniem, większość jednak utrzymuje się po prostu przy życiu i nic poza tym. Wszyscy już wiedzą o przybyciu obcego, policjanta ze stolicy. Obserwuje mnie gromadka obdartych dzieciaków, lecz nikt z dorosłych nie chce być widziany w moim towarzystwie. Postanawiam spróbować szczęścia u sąsiadów Damrong. Pod okapem dachu przykucnęła kobieta w sarongu, tłukąc w moździerz przyprawę do somtan. Obserwowała mnie spod oka i kiedy przystaję przed furtką, woła:

— Jadł pan już obiad?!

— Jeszcze nie.

— Proszę zjeść z nami.

Odsuwam żelazną furtkę i wchodzę. Przybiega trójka dzieci, najmłodsze mniej więcej trzyletnie. Z domu wychodzi na niepewnych nogach starzec, na oko dobrze po osiemdziesiątce, z butelką bimbrowa w ręce. Płyną za nim złorzeczenia starszej kobiety. Po chwili pojawia się młoda dziewczyna, idzie bardzo powoli. Ta rodzina to niemal idealna replika rodziny Nok. Pierwsza z kobiet, koło pięćdziesiątki, widzi, że mierzę dziewczynę profesjonalnym okiem.

— Medykamenty — mówi.

— *Yaa baa?*

— Jej drugi mąż był handlarzem. Policja go zastrzeliła, ale zdążył jej pomieszać w głowie narkotykami, ma papkę zamiast połowy mózgu. Gdybym za nią nie poręczyła, zamknęliby ją na siedem lat w szpitalu dla wariatów. Muszę co miesiąc kupować jej leki, żeby całkiem nie ześwirowała.

— To jej dzieci?

— Każde z innego ojca. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby nie moja starsza córka.

— Pracuje w Krung Thep?

— Oczywiście. — Kobieta odwraca wzrok. Zaczyna podawać somtan i stawia między nami koszyczek z kleistym ryżem.

Żałuję obcesowości mego pytania i zmieniam temat, biorąc ryż z koszyczka palcami i lepiąc kulkę.

— Rozmawiałem z pani sąsiadką.

— Wiem. Przyjechał pan z powodu Damrong.

— Jak długo tu mieszkacie?

— Od zawsze. Jesteśmy wieśniakami, ten kawałek ziemi to cały nasz majątek.

Pozwalam jej mówić we własnym tempie. Obtacza swoją kulkę w czerwonym od chili sosie i zjada ją, a potem pyta:

— Więc jest pan policjantem i prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Damrong? Ta rodzina ma naprawdę złą karmę. —

Kręci głową. — Bo jak inaczej to wytłumaczyć? My też jesteśmy biedni, cierpimy tak samo jak oni, a jednak się nie stoczyliśmy. Jesteśmy dobrymi ludźmi, chodzimy do *wat*, zbieramy zasługę, w domu mamy czysto, nigdy nie złamaliśmy prawa. — Milknie na chwilę. — I kim ta matka będzie w następnym życiu? Nawet już mówić normalnie nie może. Pójdzie do piekła, a jak się stamtąd uwolni, to będzie miała szczęście, jeśli w ogóle się odrodzi w ludzkiej postaci. To strasznie smutne, taka beznadzieja. Co ci ludzie robią sobie z umysłami, niech pan powie? Nagle, jak spod ziemi, wyrasta przy furtce karlica. Zagląda na podwórko, a moja gospodyni pyta:

— Jadłaś już?

— Nie. — Kobieta przyłącza się do nas, siadając na macie z sitowia, która jest stołem i krzesłami. Siedzi wyprostowana jak struna; przypomina dziecko.

— Pytał o biedną Damrong — informuje ją gospodyni.

— Wiem — mówi karlica. Patrzy mi prosto w oczy, jakby uznała, że czas wreszcie wyjawić prawdę. — Bardzo mocny duch z bardzo kiepską karmą — wyjaśnia mi. — Dlatego odrodziła się w tej właśnie rodzinie. Była bardzo silna.

— Matka długo siedziała w więzieniu, prawda? — pytam.

— Tak.

— Ma na plecach khmerskie napisy i tygrysa.

— Tak.

— Zdaje mi się, że to horoskop w czarnej tradycji. Czy należała może do przestępczej sekty?

— Tak. — Kobieta kiwa głową, nie patrząc na mnie. Nawet podczas rozmowy na tak ponury temat jej oczy pięciolatki nie przestają tańczyć, przyglądać się domowi, dzieciakom, całemu dramatowi tego ubóstwa, a uśmiech nie schodzi z jej ust.

— Czarna magia? — pytam.

Wzruszenie ramion.

— Niedobrze jest rozmyślać o tym, co się u nich dzieło. To sprowadza nieszczęście.

— Czy używali do tego własnych dzieci?



— Tak.

— A co z jej bratem?

Przez oblicze karlicy przemyka cień zatroskania, lecz zaraz znika.

— Kochała go. Tylko dlatego przetrwał. Bardzo słaby duch. Teraz gdy jej już nie ma, może w ogóle nie przeżyć. — Zerka na mnie spod oka. — Czy wiesz, jak zginął jej ojciec?

— Jak zginął jej ojciec? Nie wiem. Powiedz mi.

— Bardzo niepomyślnie jest mówić o takiej gwałtownej śmierci. — Kładzie mi rękę na ramieniu. — Jestem niepowracającą.

Dziwnie jest słyszeć ten techniczny buddyjski termin z ust osoby, która jest najwyraźniej produktem szamańskiego kultu, ale kiedy Hindusi przynieśli buddyzm do Tajlandii, został on w dużej części wchłonięty przez lokalne, animistyczne wierzenia.

Dzisiaj dość często się słyszy, jak ludzie w rodzaju karlicy mówią o niepowracaniu. Szczególnie mnisi buddyjscy — jeśli uznają, że osiągnęli już ten poziom, zaczynają się bardzo pilnować, żeby nie wypowiadać słów, które mogłyby ich zmusić do ponownego odrodzenia w ludzkim ciele. Nawet niewłaściwy styl wymowy może zniweczyć plan porzucenia fizycznej powłoki.

Na wsi przestrzega się niewielu zasad dobrego wychowania. Skończyłem jeść, więc wstaję i zbieram się do odejścia. Rzucam jeszcze karlicy ostatnie spojrzenie.

— Kazali dzieciom patrzeć, rozumiesz? — mówi, nie podnosząc oczu. — Obojgu, żeby nie poszły w ślady ojca. Dziewczynka była już dość duża i jakoś to zniosła — tak jak mówiłam, bardzo silny duch. Ale chłopiec...

— Widzieli śmierć swojego ojca?

Kobieta przykładła palec do ust. Gdy wychodzę, gospodyni woła mnie nagłym tonem, jakby zapomniała o czymś bardzo ważnym.

— Oni nie są Tajami — oznajmia. — To Khmerzy, rozumie pan?

Na szosie łapię ciężarówkę, która za sto bahtów zawiezie mnie do najbliższego przystanku autobusowego. Kierowca to dobry wieśniak: cichy, uczciwy, oddany Buddzie. W otaczającej go przepyszej ciszy mój umysł rozwija nieprzerwanie swą opowieść:

*Przypadki Młodej Kobiety, Pielgrzyma z Trzeciego Świata.*

*1. Rodzi się z karmą, która odstręcają od medytacji; postanawia więc przespać całe życie.*

*2. Matka nie pozwala jej na możliwość 1, musi więc przebiec pod słońcem.*

*3. Jej bezwzględny i zły charakter wywołuje w końcu reakcję społeczeństwa, inną niż dobre sprawowanie. A to prowadzi do zniewolenia i głodu. Tylko seks i narkotyki mogą zapewnić jej pieniądze na przeżycie. Dostrzega światło.*

*4. Odnosi sukces w branży, a gdy jest u szczytu, żałuje porzucenia miłości. Lecz jest za późno, ma trzydziestkę, a na horyzoncie gromadzą się demony. Może ją uratować tylko śmierć. Ostatnie pytanie: kogo zabierze ze sobą?*

Witajcie w nowym tysiącleciu.

— Gdzie on jest, Lek?

Boli mnie, że używam takiego tonu, traktując mego podopiecznego jak nadasane dziecko, ale jestem już u kresu. Wróciłem dwa dni temu, a po bracie Damrong wszelki ślad zginął.

— Nie wiem — odpowiada spokojnie Lek, wydymając usta i wbijając wzrok w podłogę. Siedzimy w jednym z mikroskopijnych pokoi przesłuchań, co nie poprawia mu nastroju.

— Myślę, że kłamiesz, Lek. Na pewno się z nim spotkałeś po moim wyjeździe. Wiem, że cię wciągnął w tę historię. Widziałem wcześniej, jak rozmawialiście w *wat*.

Zrywa się z krzesła, jego mina wyraża skrajne oburzenie.

— Nigdy w życiu cię nie okłamałem! Nie potrafiłbym cię okłamać, mam wobec ciebie *gatdanyu*. Chronisz mnie w każdej minucie mojego życia, jeżeli złamiesz mi serce, to się zabiję.

— Wybacz, Lek. — Ocieram twarz dłonią. — Nie zamierzam nawet przed tobą udawać, że mam dość siły na tę sprawę. Będziesz musiał mnie znosić takiego, jaki jestem. Ale nadal sądzę, że się z nim widziałeś.

Nastrój Leka się zmienia; podchodzi, żeby mnie pocieszyć.

— Mistrzu, tak mi przykro. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

— Kiedy ostatnio się widzieliście?

- Przyszedł się pożegnać, gdy byłeś w Kambodży.
- Tylko tyle?
- Poprosił mnie o numer twojej komórki. Dałem mu.

Kiwam głową. Chyba nie mam wyjścia, muszę popłynąć z prądem i zdać się na łaskawość młodego mnicha. Widać w tym karmę; płacę cholernie wysoką cenę za dziesięć dni ekstatycznego nieszczęścia, spędzonych z Damrong.

Poza tą krótką sprzeczką z moim asystentem przez cały dzień jestem osowiały. Mówię Lekowi, że idę na masaż, ale to nieprawda, chcę tylko wyjść z komendy. Na ulicy — gdy mijam kafejkę internetową, która od zniknięcia mnicha straciła cały swój urok — dochodzę do wniosku, że może jednak warto wziąć ten masaż. Chory impuls czystej samodestrukcji podpowiada mi, żeby się udać na drugie piętro i pójść na całość. Być może właśnie tego mi trzeba? Dwóch godzin słodkiej, aromatycznej, oleistej, śliskiej i orgazmicznej rozwiązości? Wiem jednak, że na dłuższą metę nie pomoże to mojej samoocenie. Myślę też o Chanyi, choć wiem, że nie miałyby nic przeciwko, a nawet zachęcałyby mnie, jeżeli tylko poprawiłoby to mój nastrój. Koniec końców wybieram normalny zabieg na pierwszym piętrze.

Przez pierwszą godzinę mój umysł skacze, jak wesz na grzebieniu, ledwie świadom przyjemności masażu. W końcu się rozluźniam, udaje mi się odtworzyć echo tego spokoju, który towarzyszył mi kiedyś na stałe. Nagle dzwoni komórka. Zosta-wiłem ją w kieszeni spodni, które wiszą na haku nad matera-cem. I chociaż masażystka wbija mi właśnie kolano w krzyż, chwytam spodnie i gorączkowo wyłuskuję z nich telefon.

- Musimy porozmawiać — mówi Phra Titanaka.

Glina we mnie rozpoznaje słabość, może nawet przyznanie się do winy.

- Mów.

Daję znak masażystce, żeby przeszła do mniej intensywnych zabiegów (na przykład zawiązała mi stopy na supeł), bo chcę porozmawiać. W sumie nie ma to jednak znaczenia, bo i tak

koncentruję się w pełni na powolnej, przemyślanej, chłodnej opowieści mnicha.

— Sprzedali ją, gdy miała czternaście lat — mówi odłączony od ciała głos. — Rodzina tak postanowiła. Zapytano ją nawet o zdanie, ale mnie już nie. Zgodziła się pracować w burdelu w Malezji, na kontrakcie, ale umowa była taka, że rodzice mają się mną dobrze opiekować.

— Tak mi przykro.

— Twój smutek to łyżeczka cukru w oceanie goryczy.

— Z tego powodu też mi przykro — mówię.

— Pracowała po szesnaście godzin na dobę. Minimum dwudziestu klientów. Ale pierwszej nocy wystawili jej dziewictwo na licytację. Zwycięzca nie był bynajmniej łagodny.

— O Buddo, ja...

— Daj spokój, słuchaj najważniejszego. Kontrakt był na rok. Damrong wróciła do domu zupełnie odmieniona. Była nie do poznania. Ale sprawdziła, czy dobrze mnie traktowali. Wypytała mnie i ludzi z wioski, obejrzała dokładnie moje ciało, zważyła, zmierzyła i w ogóle. Nikt jej przedtem takiej nie widział. Stuprocentowo skuteczna, zimna jak lód. — Chwila milczenia. — Oni oczywiście wcale mnie dobrze nie traktowali. Przepuścili jej pieniądze na bimber i *yaa baa*. — Długa przerwka. — Musieli więc ponieść karę. Domyślasz się jaką?

Nie domyślam się, nie mam pojęcia, jak bezradna, uboga, wykorzystana i znękana piętnastolatka mogłaby ukarać dwoje zatwardziałych kryminalistów.

— Wydała ojca policji. Złapali go na gorącym uczynku podczas złodziejskiej wyprawy. — Wiem z jego tonu, że usłyszał mój stłumiony okrzyk. — Skutek był nawet lepszy, niż oczekiwałam, bo gliny miały już serdecznie dość jego bandyckich wyskoków. Zabili go w słoniowej grze, na naszych oczach. — Znów milczenie. — Damrong wpadła w ekstazę, pamiętam, jak błyszczały jej oczy. Potem podpisała następny kontrakt, tym razem do Singapuru. Matka przez te całe pół roku traktowała mnie bardzo dobrze. Jak była trzeźwa.

Po tych słowach mnich się rozłącza. Gdy dzwoni po raz drugi, jestem już po masażu i właśnie płacę.

— Zapomniałem o jednym, detektywie. Była umowa na piśmie, Damrong się na to uparła.

— Rozumiem.

— Proszę nie mówić nikomu. Nie mówić Vikornowi.

Rozłącza się, a ja myślę: Nie mówić Vikornowi? Zdradzić mojego mistrza? I myślę też: Pewnie, że tak. Pieprzyć Vikorna.



Umowa na piśmie wydaje się niepodobieństwem, ale jeżeli istnieje, skonstruował ją zapewne Tom Smith. Jego mocodawcy nie zaufaliby innemu prawnikowi. Szanse dotarcia do tego dokumentu wydają się raczej nikłe. A może Damrong miała kopię? Jeśli tak, to gdzie ona jest? Czemu nie przekazała jej dla bezpieczeństwa bratu?

Telefon dzwoni ponownie, gdy jestem już w domu i patrzę, jak Chanya gotuje mi jedzenie. Wiem, że coraz bardziej ją martwi mój stan i że obserwuje mnie bacznie, gdy wyciągam komórkę z kieszeni spodni (wiszą na drzwiach sypialni, bo przebrałem się w szorty). Niemal doświadczam emocji, wypełniających jej serce na widok mojej zmienionej twarzy: smutku, obawy, współczucia, szczypty gniewu. Moja żona myśli, że się od niej oddalam.

— Może pan rozmawiać? — pyta Gamon, wracając nie wiedzieć czemu do oficjalnej formy.

— Tak.

— Chodzi o *gatdanyu*. Co pan o tym sądzi?

— To jedyny sposób na jaki taki porządek w naszym kraju. Nic więcej nie mamy. — Drapię się w ucho. — Metoda nie jest doskonała, ludzie jej nadużywają, szczególnie matki wobec dzieci, ale innej nie ma.

— Jest pan półkrwi *farangiem*, więc pewnie patrzy pan na to czasem od innej strony.

— Jestem półkrwi *farangiem*, ale myślę jak Taj.  
— Był pan za granicą, mówi pan świetnie po angielsku, nawet po francusku.

— I co w związku z tym?

— Chcą wiedzieć.

— Wiedzieć co? — W moim głosie pojawia się nuta rozdrażnienia.

Zapada cisza. Może Gamon sam nie wie, o co mu chodzi?

— Co ja właściwie robię.

— Ja nie wiem, co ty robisz.

— Myślę, że pan wie. Chcę wiedzieć, czy z punktu widzenia *faranga* posuwam się za daleko.

— Za daleko?

— Czy cena, którą płacę, nie jest za wysoka.

— A jaka to jest cena? Czy Damrong dała ci jakieś wskazówki?

— Być może.

— I pieniądze, co? Zostawiła ci cały zarobek z tej umowy, prawda? Ile tego było? Na pewno sporo, znam jej skuteczność. Dlatego tak ci trudno się z tym zmierzyć. Dwa tygodnie temu byłeś bezradnym mnichem, dywagowanie o traumie dzieciństwa nie miało sensu, nie miałeś grosza przy duszy i najważniejszy był dla ciebie spokój. Chciałeś się poświęcić wyłącznie medytacji, jak *arhat* i to bardzo zaawansowany w praktyce. Potrafiłeś rozpuścić przeszłość, bo terażniejszość nie dawała ci szansy na... — Celowo przerywam w pół słowa; chcę sprawdzić czy złapał haczyk. Gdy słyszę: „Niech pan mówi dalej”, wiem, że od tego momentu wyzna mi wszystko bez ociągania.

— Na zemstę — mówię.

To słowo najwidoczniej nie skryształizowało się jeszcze na powierzchni jego umysłu niczym wirus, który nie ujawnia swej prawdziwej natury, dopóki nie zostanie sfotografowany pod mikroskopem.

— Zemstę? Od czego miałbym zacząć?

— Prawdopodobnie nawet byś nie spróbował. Nie byłeś

z tych, którzy cokolwiek kiedykolwiek zaczynają, zgodzisz się ze mną? Zawsze robiła to ona. Ona znalazła sposób na przetrwanie, nie ty. Przeżyłeś życie jako drugi skrzypek i nadal jesteś drugim skrzypkim. Jest raczej pewne, że nie wiedziałbyś, od czego zacząć, ale Damrong wiedziała. Opowiedz mi, co ci kazała zrobić. Chwila milczenia.

— Nie, tego panu nie powiem. Zresztą na pewno już się pan domyślił.

— Nie zostawiłaby strategii w twoich rękach. Widzę, że nic się nie zmieniło — po śmierci kontroluje cię tak samo jak za życia.

— Skoro myśli pan po tajsku, to musi pan rozumieć, że zawdzięczam jej wszystko. Gdyby uznała, że powinienem się powiesić na własnej mnisiej szacie, wykonałbym jej polecenie bez szemrania.

— To byłaby dla ciebie bułka z masłem, co? — pytam łagodnie.

Milczy przez dobrą minutę, wreszcie mówi:

— Tak, to prawda.

— A jak trudne jest to, co naprawdę masz zrobić?

— Muszę to wykonać i tyle.

— Ale jak? Opłacisz najemników z zagranicy? Na pewno teraz cię na to stać, ale trudno im będzie wytłumaczyć, o co chodzi. Nawet oni mają jakieś zasady. — Wsłuchując się we własne myśli, uświadamiam sobie nagle, kto mu pomoże, gdy przyjdzie czas działania. — To będą Khmerzy, tak? — pytam retorycznie. Nie wiem, dlaczego od razu na to nie wpadłem. Zdemobilizowani szeregowi żołnierze Czerwonych Khmerów mają wiele atutów. Po pierwsze, za pieniądze zrobią wszystko. Po drugie, wykonują rozkazy ściśle i bez wahania. Po trzecie, jest ich wielu, więc nie mogą się zanadto cenić. Po czwarte, znają się świetnie na słońcach. Po piąte, w razie czego potrafią zniknąć w dżungli albo, co bardziej prawdopodobne, w Poipet, gdzie zaopiekują się nimi generałowie — geriatrycy w stanie spoczynku na wózkach inwalidzkich.



Phra Titanaka jest jednak pełen niespodzianek.

— Poipet? — pyta na wdechu. — Był pan tam?

— Byłem. Tylko raz. — Migawka z pamięci: obskurne kambodżańskie miasto przy granicy z Tajlandią, mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej co Angkor Wat. Wszystko tam było pospolite i wulgarne, łącznie z twarzami dzieci — w większości prostytutujących się. I osławieni generałowie Czerwonych Khmerów rzeczywiście poruszali się na wózkach, podłączeni do butli z tlenem. — Byłeś tam kiedyś, Phra Titanaka?

— Tam przyjąłem ślubu.

Rozłącza się, ale mam teraz jego numer, więc dzwonię natychmiast, chociaż wątpię, czy mi odpowie.

— Tak?

— Powiedz mi chociaż o Kowlovskim.

— O kim?

— Jej partnerze z filmu.

— Ach, o człowieku w masce.

— Zająłeś się nim, prawda? Przypuszczam, że nadużyłeś mocy, rozwiniętych dzięki medytacji. Nie tknąłeś go nawet palcem, ale zabiłeś go na odległość, sprawiłeś, że popełnił samobójstwo. Myślę nawet, że poszło ci to całkiem łatwo; ten ersatz serca, który Kowlovski miał, był w pełni otwarty dla twego wglądu.

— Przyślę panu film — odpowiada po długim milczeniu i rozłącza się znowu.

Chanya udawała, że nie słucha rozmowy i nie dostrzega intensywności mojego zaangażowania. Podaje *pia neung menau* w wazie. Ryba o delikatnej fakturze upieczona jest perfekcyjnie, bez cienia surowości czy suchości, a równoważący jej naturalny smak cytrynowy sos to istna rozkosz dla podniebienia. Po jedzeniu poklepuję Kluskę, zachwycony, że możemy chwilę poudawać szczęśliwą rodzinę. Nasze wynajęte mieszkanie wydaje mi się małe, ściany cienkie, nasza egzystencja tutaj niepełna — ale to nie na zewnątrz szaleje burza, tylko w mojej głowie.

Kiedy układamy się w łóżku na łyżeczkę, Chanya wtulona we mnie tyłem, mój umysł wraca — ale nie do sprawy, tylko do łona. Odżywa doświadczenie totalnej paniki, gdy musimy się wydostać za wszelką cenę — chyba najbardziej pierwotne z ludzkich wspomnień, które zostaje w nas na zawsze, głęboko, niczym bóg strażnik przed wrotami *samsary*. Bez tej desperacji (zrodzonej z klaustrofobii), nie opuścilibyśmy nigdy naszej bezpiecznej przystani, lecz pamięć miesięcy spędzonych w oceanicznym spokoju sprawia, że potem przez całe życie próbujemy tam wrócić. Damrong zrozumiała tę prawdę o mężczyźnach.

Przesypiam parę godzin, a potem budzę się z dwoma słowami w głowie: słoniowa gra. Zna je każdy, kto miał do czynienia z przestępczością, ale skąd mam wiedzieć czy prosty kambodżański mnich czyta ten sam katechizm. Wyślizguję się ostrożnie z łóżka, biorę komórkę i wychodzę na podwórze.

— Słoniowa gra — szepczę, gdy odebrał. — Opowiedz mi o niej.

Westchnienie.

— Myślałem, że każdy tajski glina wie, o co chodzi. Policjanci budują kulę z bambusowych kijów, na tyle dużą, żeby do środka zmieścił się człowiek. Mój ojciec był niewysoki, może z metr sześćdziesiąt i bardzo szczupły, powiedziałbym, straszliwie chudy. W kuli jest kłapa zamykana na kłódkę. Tego dnia zabrali nas na policję i kazali stanąć pod ścianą na tyłach posterunku. Kilku uśmiechniętych gliniarzy wyprowadziło ojca na podwórze. Związali mu ręce z nogami jak świniakowi, wsadzili do kuli, zamknęli kłapę i przez kilka minut toczyli po podwórzu, tak dla zabawy przed główną atrakcją. Później przyprowadzili młodego słonia, ośmio czy dziewięcioletniego i uczyli go kopać tę kulę. Wtedy ojciec zaczął krzyczeć. Zawsze był twardelem, sam załatwił wielu ludzi, więc myślałem, że będzie trzymał fason do końca. A on pękł po pierwszym kopnięciu. Słonia to bardzo zaciekało. Obwąchał kulę trąbą i odkrył, że kiedy ją przetacza, ten człowieczek w środku zaczyna wrzeszczeć w niebogłosy. Policjanci pękali ze śmiechu, a słoniowi

bardzo się spodobała ta zabawa. Kopał kulę, gdy się zatrzymywała, popychał ją trąbą, potem znów kopał. Trwało to chyba z dziesięć minut, aż w końcu kula zaklinowała się w kącie podwórza i słoń stracił cierpliwość. Ludzie nawet nie wiedzą, jakie słonie są choleryczne. Ten walnął kilka razy w kulę trąbą, połamał konstrukcję, a potem chciał ją podeptać, ale wciąż była za duża, więc znowu wziął się za łamanie bambusów, aż w końcu kula się spłaszczyła i mógł w nią walić nogą z góry. Ojciec wrzeszczał jak opętany, ale nagle przestał, chociaż widziałem, że jeszcze żyje. Nie mógł już wydobyć głosu, słoń pewnie coś mu uszkodził. Udało mu się tylko zawyc po raz ostami, kiedy słoń zdeptał mu kręgosłup. A potem widziałem już tylko stos połamanych bambusowych drągów zmieszanych ze szczątkami człowieka.

Przez długą chwilę zastanawiam się, co powiedzieć. Trudno skwitować to milczeniem, ale Phra Titanaka jest człowiekiem myślącym i zwyczajowe kondolencje byłyby nie na miejscu. Mnich sam wybawia mnie z rozterki.

- Jest zdjęcie — mówi.
- Nie rozumiem.
- Mam zdjęcie, na którym widać jak słoń go rozdeptuje.
- Kto je zrobił?
- A jak pan myśli? Właściwie to mam więcej zdjęć. Zużyła całą rolkę filmu. Zeskanuję kilka i panu przyślę.

Przysłał mi zdjęcia e-mailem. Spodziewałem się kilku amatorskich fotek, na których nieostry słoń stoi na czymś nieokreślonym. Pomyliłem się. Miała aparat z dobrym zoomem. Oto zbliżenie słonia, obwąchującego wielką kulę z bambusowej plecionki, z wyraźnie widocznym w środku człowiekiem. Następnie skupiła się na tatusiu, zupełnie unieruchomionym. Był prawie nagi, tylko w obwisłych szortach, można zobaczyć jego wymyślne ezoteryczne tatuaże. I teraz okrutna sekwencja: słoń z uniesioną trąbą; trąba opada na bezbronno człowieka; zbliżenie przerażonych oczu tego człowieka; ujęcie rozwścieczonego słonia z trąbą wysoko w powietrzu; trąba rozłupuje kulę a szczapy bambusa pryskają naokoło; prawa przednia noga słonia uniesiona; prawa noga słonia miażdżąca człowieka.



Zacząłem się zastanawiać: Jeżeli ktoś w ogóle zna klucz, wzorzec zachowania, który mógłby opisać jej prawdziwą naturę, to właśnie ty. Ty, który całe życie spędziłeś z kobietami, który rozumiesz kobiety lepiej, niż kiedykolwiek rozumiałeś mężczyznę, który sprawiałeś, że zatwardziały prostytutki zakochały się w tobie — właśnie dlatego, że byłeś w ich życiu jedynym mężczyzną, który je rozumiał. Jeżeli ty jej nie rozgryziesz, to kto?

Nie wiem. Nie ja, bo byłem zakochany — to odpowiedź żałowana, lecz całkowicie zgodna z prawdą. Rozmawialiśmy rzadko, niewiele dzieliliśmy ze sobą myśli i uczuć, lecz Damrong nie robiła wcale wrażenia znudzonej profesjonalistki odgrywającej miłosną pantomimę. Naprawdę ją zainteresowałem, choć instynkt mi podpowiada, że była to ciekawość modliszki wobec skazanego na zagładę kochanka. Ona widziała we mnie kąsek, ja dla niej odkryłem serce.

Zwyczaj po seksie, który za każdym razem starała się uczynić najlepszym w życiu (nie dla mnie oczywiście, tylko dla wprawy, zupełnie jak światowej klasy primabalerina, która obserwuje krytycznym okiem swe ruchy w lustrze), jej długie czarne włosy były w dzikim nieładzie. Wzrok także często miała dziki od miłosnego szału; mam nawet jej zdjęcie w takim stanie: zmierzwione włosy, szaleństwo w oczach, naga, zgarbiona jak czarownica, brązowa skóra lśniąca od potu, pokój przesiąknięty wonią naszych zmagają. Lecz nawet w takich chwilach nie można było zakwestionować jej mocy, tak jak nie można zaprzeczyć naszym pogańskim korzeniom. Nasi przodkowie przez tysiące lat wzbogacali zbiorową świadomość coraz to nowym repertuarem miłosnych wabików: artyzm Damrong polegał na tym, że umiała poprowadzić mężczyznę przez tę zakazaną dżunglę zabójczych rozkoszy. Po latach praktyki wybór najbardziej bezbronnych ofiar był dla niej łatwizną.

Ja zwykle bywałem zbyt spięty. Bardzo się bałem, że mój występ nie był najwyższych lotów. Drżałem z obawy, że wyskoczy z jakąś kąśliwą uwagą albo porównaniem do innych, lepszych kochanków i stracę twarz. Nigdy tak nie postąpiła — lecz wystarczyło jej zrobić taką minę, jakby miała zamiar.

Oprócz fotografii mnich przysłał mi DVD z nagraniem swojej rozmowy z człowiekiem w masce.

Miejscem akcji jest mieszkanie Stanisłausa Kowlovskiego, to, w którym się zabił; poznałem je po rozdartej kanapie. Phra Titanaka kupił chyba za pieniądze Damrong kamerę cyfrową. Umieścił ją na statywie, bo przez całą rozmowę obraz jest

nieruchomy i ekran wypełnia nasz przystojny ogierek - już nie tak bardzo przystojny po wielu godzinach, a może dniach, w towarzystwie bezlitosnego badacza jego duszy. Nie da się stwierdzić, czy kamera była ukryta, czy nie, a mnich chyba nie do końca przeczytał instrukcję, bo nagranie zaczyna się w środku konwersacji. Phra Titanaka mówi niezłą angielszczyzną, choć z ciężkim tajskim akcentem.

SK: *Chcę wiedzieć, jak mnie znalazłeś, skąd znalazłeś mój adres w Los Angeles. Nie powiedziałeś mi tego.*

Mnich: *Mam kontakty po drugiej stronie.*

SK: *Aha, znowu mi będziesz wciskał te bajeczki o duchach?*

Mnich: *Niekoniecznie.*

SK, kręci głową: *To jest naprawdę dziwne, zupełnie pokręcone. Na początku myślałem, że chcesz mnie tylko przycisnąć. Coś tam o mnie wiesz, nie wiadomo co konkretnie, ale dobra, przekonałeś mnie, że w moim dobrze pojętym interesie jest polecieć do Phnom Penh. Potem uznałem, że zamierzasz mnie zabić. Jeszcze później przemknęło mi przez głowę, że chcesz tylko zbawić moją duszę, bo przecież nie bez przyczyny nosisz mnisią szatę.*

Mnich: *A po co miałbym cię zabijać? Jesteś martwy już od tysiąca lat.*

SK: *Oj, chłopie, nie strawię dzisiaj tego pieprzenia. Po prostu powiedz, ile chcesz. Pożyczę gdzieś kasę i będzie spokój.*

Mnich: *Powiedzmy, że zbieram historie o przyczynie i skutku. Wróćmy do momentu tego... zaćmienia, bo tak to chyba nazywamy... Ile lat wtedy miałeś?*

SK, z pomrukiem zniecierpliwienia: *Trzynaście. Okres dojrzewania. Wreszcie zrozumiałem, kim jestem. Kuta-sem. Wielkim, twardym... Mnich: Ale dlaczego?*

SK: *Powiedziałem ci, oficjalnie można się było stamtąd wydostać tylko przez sport, ale ja się do tego nie nadawałem. Pozostała mi rola żigolaka, rozumiesz?*

Mnich: *Głębiej, Stan.*

SK: *Jak to głębiej? Czego jeszcze chcesz się dogrzebać?*

Mnich: *Czy to wtedy zdecydowałeś, że coś takiego jak moralność nie istnieje?*

SK: *Tak, właśnie wtedy. W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Jakbym chciał być moralny, musiałbym wdać się w ten szwindel z drugimi narodzinami. I po co mi to?*

Mnich: *Ja myślę, że było coś jeszcze.*

SK: *Niby co?*

Mnich: *Myślę, że było poczucie niesmaku. Prawda?*

SK: *Niesmaku? Jak po seksie z kiepskim partnerem?*

Mnich: *Raczej jak coś w rodzaju rozpaczy, ale odczuwanej w brzuchu.*

SK, zdziwiony: *Tak, pamiętam to. Skąd wiedziałeś? Tak właśnie się czułem w tym małym miasteczku w Kansas. Zniesmaczony. Ale pierwszego dnia w Los Angeles to zniknęło.*

Mnich: *I jak pamiętasz to uczucie, ten niesmak?*

SK: *Wszyscy to mieli. Nazywaliśmy to małomiasteczkowym bluesem, ale to było coś poważniejszego.*

Mnich: *Takie głębokie wewnętrzne poczucie braku?*

SK, kiwa głową: *Tak. Pustka nagłownej ulicy, jak okiem sięgnąć.*

Nie doceniłem jednak komputerowej biegłości mnicha. Pociął nagranie i zrobił z niego dwa osobne odcinki. Teraz przechodzimy do części drugiej. Kowlovski jest zupełnie odmieniony — spocony i bardzo niespokojny. Twarz wykrzywiają mu nerwowe tiki; robi wrażenie osoby, która jest ciągle przerażona.

Mnich: *Wszystko dobrze, jesteś tu przecież, prawda?*

SK: *Nie, nie ma mnie. Rozpadłem się na tysiąc kawalków. Rozpieprzyłeś mi mózg, człowieku.* Mnich: *No co ty? Czym go tak rozpieprzyłem?*

SK: *Moją zbrodnią, kurwa, moją zbrodnią. Jakim cudem w ogóle na to wpadłeś? Niech to diabli!*

Mnich: *Naprawdę chcesz wiedzieć?* SK: *Pierdol się.*

Długa przerwa.

Mnich: *Jestem jej bratem. Przed śmiercią przysłała mi e-mail z nazwiskami i adresami wszystkich głównych graczy.*

SK, w szoku, ale z niedowierzaniem: *Nie!*

Mnich: *Tak. Zobacz, mam jej zdjęcie w pełni rozkwitu, miała dwadzieścia cztery lata.*

Mnich podaje Kowlovskiemu zdjęcie paszportowe. Człowiek w masce wpatruje się w nie skamieniały.

Mnich: *Jej szyja była wtedy w dużo lepszym stanie niż po naszym ostatnim spotkaniu.*

Wrzask Kowlovskiego, obraz znika. Ale po chwili jakimś sposobem znów się pojawia. Trudno powiedzieć, ile czasu minęło, może minuta, a może wiele godzin, ale cała sekwencja ma swoją emocjonalną logikę. Kowlovski póżeży skulony na podartej kanapie. Wygląda na wyczerpanego, ale w niebieskich oczach dziecka nie ma spokoju. Ciało spoczywa w bezruchu, a oczy skaczą niespokojnie w różne strony.

— *Ile razy z nią pracowałeś?* — pyta głos mnicha.

— *Tylko wtedy.*

— *Czy to jedyny snuff movie, jaki nakręciłeś?*



— *Jedyny. Ja nie robię takich rzeczy, w ogóle tego nie rozumiem. Ktoś mnie zmusił.*

— *Kto?*

— *Masz przecież listę najważniejszych graczy, tak powiedziałeś. Przesłała ci e-mailem.*

— *To tylko nazwiska. Skąd taki prosty mnich jak ja ma wiedzieć, co one oznaczają.*

— *Na to pytanie mogę ci odpowiedzieć. Oznaczają ważniaków. Władzę, pieniądze. Nie tych z listy, ale tych, którzy się kryją za nimi. Niewidzialnych ludzi.*

— *Niewidzialnych ludzi?*

— *No jasne. To przez nich ten świat jest taki popieprzony.*

— *Chyba zaczęłeś tak myśleć dopiero od niedawna, mam rację?*

— *Jesteście identyczni, ty i ona. Jakbyście byli jedną osobą.*

— *Więc pogawędziliście sobie, zanim ją udusiłeś?*

— *Przestań to powtarzać. Gdybyś widział ten film, tobyś wiedział.*

— *Co bym wiedział?*

Przerwa, Kowlovski oblizuje zaschnięte usta.

— *Musiała mi pomagać, bo wymiękałem. Mielśmy to nakręcić w niecałe dwie godziny, ale ja nie dawałem rady. Nie panowałem nad interesem, musiałem wziąć taką dawkę viagry, że ciągle pierdziałem. Jak w końcu miałem tę kretyńską erekcję, byłem tak zestresowany, że nie mogłem pracować. Co chwila wybuchiałem płaczem i prawie zemdląłem. Oni już chcieli odpuścić, ale ona się uparła. To było niesamowite.*

— *Co?*

— *Jej siła woli. Azjatycka siła woli, coś nieprawdopodobnego.*

— *Nie azjatycka. Z Trzeciego Świata. Dwieście lat nędzy i poniżenia dało w efekcie pewną liczbę mocnych jednostek.*

— *Ona była najmocniejsza ze wszystkich. Po prostu nie-ludzka. Może ty jesteś normalnym człowiekiem, ale twoja siostra na pewno nie była.*

— *Byłem normalnym człowiekiem, zanim ją zabiłem.*

Krzyk:

— *Ja jej nie zabiłem! Sama się zabiła! Spójrz wreszcie prawdzie w oczy!*

Przerwa.

— *Więc zemdlałeś, niewidzialni ludzie chcieli ograniczyć straty i przerwać filmowanie, ale ona wzięła sprawę w swoje ręce. Opowiedz o tym.*

— *Oznajmiła im, że zaczniemy od nowa na drugi dzień. Nie zapytała, tylko stwierdziła fakt. Wszystko wisiało na włosku i tylko ona miała jakiś pomysł, więc powiedzieli: dobra, porozmawiaj z nim. Weź go do domu, prześpij się z nim, zrób, co trzeba.*

Długa przerwa.

— *Rozumiem. Spędziłeś z nią noc.*

Wypowiada to łagodnym tonem i przez chwilę wydaje się, że współczuje Kowlovskiemu, który podnosi wzrok i patrzy na niego.

— *Zgadza się. Spędziłem z nią noc.*

— *Zrobiła coś, żeby wzmocnić twoją pewność siebie.*

*Co to było?*

— *Objaśniła mi świat ze swojego punktu widzenia. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto umiałby tak do mnie trafić. Wszystko, co nam wciskali, te chrześcijańskie historie, to kompletne bzdury, śmieci jak cała reszta, rozumiesz? Nie wiem, skąd ona wiedziała to, co wiedziała, ale na pewno nie nazwałbym tego bzdurami. — Patrzy otwarcie w twarz mnicha. — Wszystko się zgadzało, rozumiesz?*

— *Zgadzało?*

— *Z moim życiem. Z matką, która nie była matką, tylko obcą kobietą i zachowywała się jak postać z serialu, bo nie wiedziała, co ze mną zrobić. Z ojcem, którego w ogóle nie było, nawet kiedy był. Z tym wszystkim, o czym ludzie gadają. Damrong powiedziała, że niewidzialni kontrolują świat. Beznadzieja, która panuje na Zachodzie, jest odwrotnością tego, co robią na Wschodzie, to się równoważy. Na Zachodzie jest wysoki standard życia, ale brakuje serca, a gdzie indziej serca jest mnóstwo, ale stopniowo zżera je bieda. Nigdy w życiu nie słyszałem teorii świata, która by bardziej do mnie przemówiła.*

— *No i co z tego wynika?*

— *Totalne fiasko, tak powiedziała. A największy błąd to przywiązywanie tak wielkiej wagi do życia. — Wpatruje się w ścianę i najwyraźniej cytuje Damrong: — Kiedy przestajesz się tak czepiać życia, stajesz się wolny. — Jego spojrzenie powraca do mnicha. — To był najlepszy seks w moim życiu. A jako zapłaty zażądała, żebym się zgodził ją zabić. Chyba nie muszę dodawać, że do rana zdążyłem się w niej zakochać.*

— *Ale i tak to zrobiłeś.*

— *Zgodziłem się, tak czy nie? Po tej nocy nawet ja zrozumiałem, że nie ma innego wyjścia.*

— *Dała ci mały prezencik na wzmocnienie?*

— *Heroinę. Nigdy przedtem nie brałem i myślałem, że zneutralizuje viagrę. Ale nie.*

Długa przerwa, tak długa, że wygląda na koniec rozmowy. Potem Phra Titanaka mówi łagodnym głosem, przebiegły jak wąż:

- *Przychodzi we śnie, prawda?*
- *Co noc, człowieku. Co noc.*
- *Tylko, że to wcale nie są sny.*
- *Nie mów tak.*
- *Nawet ty rozumiesz, że to nie sny. Czy ona świeci, gdy się zjawia?*
- *Skąd to wiesz?*
- *I pieprzy się z tobą. Budzisz się cały mokry.*

Krzyk. Pusty ekran. Wpatruję się w niego przez kilka minut, aż w końcu zmuszam się do wyjścia z ciemnego pokoju i powrotu do mego biurka.



Nie powiedziałem ci jeszcze, *farangu*, jak się kończy film z Damrong. *Snuff movie*. Nie zdobyłem się nigdy na to, żeby go obejrzeć po raz drugi, i chyba się już nie zdobędę. Nie muszę zresztą, bo wrył mi się w pamięć na tysiąc żywotów.

On bierze ją od tyłu, a Damrong trzyma się ramy łóżka i mocno pracuje biodrami. Wrażenie jest takie, że to ona czerpie z tego przyjemność, nie on, choć trzyma rytm, żeby sprostać wyzwaniu jednoczesnego orgazmu. Następuje ten straszny moment, gdy Kowlovski odwija z przegubu pomarańczową linkę — i puszcza ją mu nerwy. Ręka wyraźnie mu drży, jest oczywiste, że opuściła go wszelka odwaga. Właściwie nie rzuca linki, tylko pozwala jej spaść na podłogę w geście rezygnacji. Ona natychmiast to spostrzega, delikatnie się rozłącza i podnosi linkę. Odwraca się do niego, ujmuje małą, silną dłońią jego zamaskowaną twarz, mówi kilka słów i podaje mu sznur. On jednak wciąż się waha, więc ona robi z tego zręcznie część występu: wyszukany, narcystycznym gestem przykłada linkę

do swego jabłka Adama i zarzuca końce na plecy. Teraz wreszcie Kowlovski zaczyna z ociąganiem naprężyć pomarańczowy sznur, a rzeźbione, wysmarowane oliwką mięśnie jego potężnych ramion grają w świetle jupiterów. Twarz kobiety wypełnia ekran: najwyższa błogość ostatniego orgazmu przemienia się w obrzmiały paroksyzm śmierci.

Na moje nieszczęście słyszę triumfalny krzyk Damrong jeszcze długo po tym, gdy zatrzymało się jej serce.

3

# SŁONIOWE PUŁAPKI

Na biurku dzwoni telefon. To Manny, sekretarka Vikorna, wzywa mnie do jego gabinetu, *pronto*. Zdradza mi szeptem, że coś poszło nie tak w sprawie Tanakana. Gdy wchodzę, pułkownik bez słowa wręcza mi kartkę, wydruk przysłanego e-mailem zdjęcia. Na fotografii widać słonia, szykującego się do uderzenia trąbą w bambusową kulę, w której uwięziony jest wytatuowany mężczyzna.

— Skąd pan to ma?

— Zgadnij.

— Tanakan? Ktoś mu to podesłał?

Vikorn odwraca się od okna.

— Sprawa jest poważna, Sonchai. Naprawdę, przycisnąłem go do granic jego tolerancji. Jeszcze krok i Tanakan jak nic kazałby mnie zabić. Musiałem bardzo precyzyjnie wyliczyć sumę.

— Pięć smoków?

Pułkownik kiwa ponuro głową.

— Trzymałem się tego, co mi przysługiwało, ale tak na styk. Jeszcze milion i miałby powód, żeby jednak zaryzykować wynajęcie ekipy. A teraz jeszcze to. — Pokazuje fotografię w mojej dłoni.

— On myśli, że dostał to od pana?

— A jakże. Myśli, że znalazłem trzeciego gracza, przed którym też niby muszę go chronić, czyli kombinuję, jak go mocniej przycisnąć. Myśli, że będzie musiał wyklądać na stół kilka

milionów rocznie. Podejrzewano, że jestem drobnym rzeźmieszkiem, który zamierza wysysać z niego krew bez końca. — Powstrzymuję się od komentarza. — Tak to jest, kiedy granice zaczynają się rozmywać; pierwszą ofiarą jest zawsze honor i szacunek.

— Co pan zamierza?

— To, co muszę. Pójdziemy teraz do niego i to na kolacjach. Przyznamy otwarcie, że szala przechyliła się na jego korzyść. Nawet zmniejszymy sumę. — Puka palcem w zdjęcie. — Musimy go przekonać, że to nie my.



Na tylnym siedzeniu sfatygowanego wozu patrolowego obserwuję, jak Vikorn ustawia swój umysł na poziomie unижonej pokory. Recepcjonistka w banku była nami oczarowana już przy pierwszej wizycie, a teraz przytłacza ją buddyjska postawa tego wysokiego oficera policji: jest taki skromny, a jednocześnie na wskroś profesjonalny. Dwóch barczystych ochroniarzy transportuje nas błyskawicznie do apartamentu Tanakana. Czekamy w pokoju konferencyjnym, tak jak poprzednio. Tym razem jednak Tanakan nie wychodzi do nas osobiście; przysyła swą perfekcyjną sekretarkę, która nie proponuje nam kawy ani drinków i nawet na mnie nie patrzy. Tanakan też nie wstaje na nasz widok, a sekretarka zamyka drzwi bez słowa. Vikorn przykłęka na grubym dywanie, wznosząc ręce w wysokim *wai*; ja muszę zrobić to samo. Ten gest ociepla nieco atmosferę, z minus pięciu do zera.

— Khun Tanakan — mówi Vikorn — jestem w pełni świadom, co pan sobie pomyślał, ale to nie jest tak. — Przez cały czas trzyma przed czołem złożone dłonie. — Pański pokorny sługa jest uczciwym handlowcem.

Tanakan spogląda na nas spođe łba, w mojej opinii nieco teatralnie.

— Chciałbym móc wierzyć pułkownikowi — mówi. — Niestety, coś, co z początku było czystym biznesowym układem pomiędzy dwoma ludźmi honoru, stało się...



— Nie z mego poduszczenia, Khun Tanakan. Czy jako dowód mojej szczerości zechce Khun Tanakan przyjąć ofertę obniżenia ceny?

Tanakan wstaje i wychodzi zza biurka.

— Od dziś ta waza już nie ma żadnej wartości, Vikorn — mówi. — Od dziś, gdy jeszcze raz usłyszę cokolwiek na jej temat, wybiorę pewien numer w mojej komórce. Gdzieś w mieście zadzwoni wtedy komórka pewnego właściciela motocykla i jego uzbrojonego adiutanta. Jestem pewien, że pułkownik rozumie, o czym mowa. Oczywiście, zawsze lepiej jest rozgrywać grę bez ofiar w ludziach, ale gdy ktoś zaczyna łamać zasady, nie można ryzykować. Bądź co bądź, bronię swojej pozycji i po naszej rozmowie byłem przekonany, że pułkownik jest moim głównym obrońcą. Zawiodłeś, Vikorn, nie wykonałeś dobrze swojej roboty.

Vikorn ma poszarzałą twarz, panuje jednak nad sobą: skłania głowę, wstaje i nagle jesteśmy już przy drzwiach. Tanakan jednak przywołuje nas z powrotem. Sięga po coś do szuflady i rzuca to przez biurko Vikornowi. To bransoletka ze słoniowego włosia.

— Prysłano ją z tym obrzydliwym zdjęciem — mówi i odwraca się do okna.

W drodze powrotnej do komendy Vikorn wygłasza na tylnym siedzeniu samochodu jedną ze swych homilii:

— Widzisz, co się dzieje, kiedy robotę zawodowców zaczynają psuć amatorzy? Tanakan wiedział, że został złapany na gorącym uczynku i był gotów płacić, dopóki negocjacje odbywały się dyskretnie, kulturalnie i profesjonalnie, a cena była w granicach rozsądku. Ale jakiś prymityw, jakiś dureń, musiał wtrącić swoje trzy grosze. Masz go znaleźć i dać mi jego adres.

Nie musisz tam być, kiedy przyjedzie motocyklista, rozumiesz?

Rzuca mi znękanę spojrzenie. Przelykam, skłaniam głowę.



Siedzę już przy biurku. Dzwoni telefon.

— Oglądał pan nagranie?

- Tak.
- To już pan wie, co zrobić?
- O czym ty mówisz?
- Można dostosować tę technikę do osobowości. Kowlovski był wyjątkowo głupi, z pańskimi obiektami będzie na pewno ciekawiej.
- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. Czy w ogóle chcę rozumieć. Z jakimi obiektami?
- Oznaczyłem je bransoletkami.
- Otwieram zdumiony usta.
- A jakim sposobem ja miałbym ich przesłuchać? Jeden jest znanym bankierem, drugi wybitnym prawnikiem, trzeci to wprawdzie menel, ale wszyscy mają doskonałe alibi.
- Nie mają.
- Nie tylko nie było ich w kraju, ale w ogóle każdy przebywał gdzie indziej. Jeden w Stanach, drugi w Angkor Wat, a trzeci w Malezji.
- Czyż to nie ciekawy zbieg okoliczności?
- No cóż, można to uznać za podejrzane, ale zarazem jest to dowód, że żaden nie był bezpośrednio zamieszany w... — szukam odpowiedniego słowa — w zabójstwo.
- Siostra mówiła, że odbywały się spotkania. Wie pan, zebrania głównych akcjonariuszy.
- Skąd to wiedziała?
- Była jedną z nich.
- Ta rewelacja to dla mnie szok.
- Brała udział w zebraniach biznesowych, podczas których rozpatrywano jej ciało i śmierć w kategoriach zysku firmy? Musiałbym mieć na to dowód.
- Nie ma lepszego jak przyznanie się do winy.
- A jak mam zmusić trzech wolnych ludzi, żeby się przyznali?
- Wolnych? Ja już nad tym pracuję. — Mnich się rozłącza.



Dzwonię do Vikorna na komórkę.

— Badałem sprawę. Mam zamiar przycisnąć Bakera i Smitha. Moim zdaniem jeden z nich maczał palce w tym słoniowym gównie.

— A po co ich przycisnąć? Wyślę motocyklistę.

— Nie, pułkowniku, nie jestem jeszcze pewien, który to zrobił. Ale na pewno coś z nich wyciągnę.

— Dobra, rób po swojemu. Ale ten, który wysłał zdjęcie, ma być powieszony za jaja, ładnie zapakowany i zaniesiony Tanakanowi w zębach.

— Wiem.

— Przypuszczam, że nasz bankier wolałby żywego, żeby się trochę z nim zabawić.

— Też tak sądzę.



Odchylam się z krzesłem, kładę nogi na biurku i robię z palców dłoni daszek. U mnie to nigdy nie działa, ale przez chwilę mogę się poczuć jak Philip Marlowe. Rozmyślam, marszcząc czoło. Trzech podejrzanych: Dan Baker, Tom Smith, Khun Tanakan. Ale właściwie o co podejrzanych? Nie jestem nawet pewien czy kontrakt Damrong był nielegalny w świetle tajskiego prawa. Więcej: nie wiem, czy w ogóle istniał. Może nikt nie popełnił żadnego przestępstwa, poza Kowlovskim? Była to zbrodnia przeciwko sercu — przeciwko człowieczeństwu, można by powiedzieć — która doprowadziła do kolejnych: Nok, której zaszlachtowana niewinność leży mi ciężko na sercu; jasnovidz Pi-Oon i jego płomienny kochanek. To właśnie chciał mi przekazać mnich. Zgadzam się, ale kogo mam nastraszyć pierwszego, Bakera czy Smitha? Tanakana muszę na razie zostawić w spokoju, bo chroni go Vikorn. Jestem w impasie, nie wiem, jak to rozegrać. Chyba nawet Marlowe nie pakował się w takie ślepe uliczki.

Jakby tak się przyjrzeć, to Baker powinien pójść na pierwszy ogień. Ma słaby charakter, przywykł wchodzić w układy z

glinami, prawdopodobnie nie wie, co to lojalność. Problem z Bakerem polega jednak na tym, że nie pasuje do układanki i zaczął mnie zastanawiać. Zamiast chińskich pudełek mamy w tej sprawie chińskie piramidy, jedna w drugiej. Tanakan i Tom Smith są częścią Wielkiej Piramidy międzynarodowych graczy. Smith blisko podstawy, a Tanakan na szczycie, ale to ta sama, ekskluzywna, globalna piramida. Dan Baker, drobny kombinator, zamieszkuje całkiem inną, tanią piramidę i to bardzo blisko podstawy.

Idąc dalej : intryguje mnie coś w prawniku Smisie — pomimo wysokiej inteligencji i życiowej mądrości czai się w nim, tuż pod powierzchnią, nowoczesna brytyjska histeria. Człowiek, który w szale zazdrości wielokrotnie tracił głowę, może ją stracić jeszcze nieraz. Rozważam nalot na jego mieszkanie, lecz w końcu postanawiam wybrać się na łowiecką wyprawę do biura. Ale nęka mnie coś, co jeden z moich wujów nazywa „sekundowym dotykiem”.

W powieściach kryminalnych ten problem zazwyczaj nie występuje, ale wygląda mniej więcej tak: Jakim sposobem zwykły, szeregowy glina z kraju Trzeciego Świata miałby zastraszyć sprytniejszego, lepiej wykształconego i, co najgorsze, lepiej ustawionego, szanowanego prawnika z Zachodu? Tak, jest to zwane poczuciem niższości, ale jeżeli ktoś czuje się jak ofiara, może za chwilę nią zostać. Wolałbym mieć w ręce jakieś konkrety, fakty, którymi mógłbym przygwoździć Smitha, ale gdy myślę o jego różnych wcieleniach, żaden z nich nie układa się w spójny obraz; to tylko miraż. Może w bardziej pruderyjnym społeczeństwie jego słabość do burdeli i prostytutek przemawiałaby przeciwko niemu. W Tajlandii jednak, dzięki jej naturalnej swobodzie obyczajowej, nikt nie zaprzeczy, że Smith jedzie na tym samym wózku co większość tutejszych mężczyzn. Skoro nie mogę go zapędzić do narożnika, potrzebuję czegoś, co doda mi chociaż pewności siebie. Siedzę więc pełen wątpliwości i z wielkim wysiłkiem układam plan akcji. Dopiero o osiemnastej decyduję się wezwać Leka.

— Czy masz w biurze sukienkę? — pytam go.

— Jasne, że nie — odpowiada z cwany uśmiechem. — I bez tego mam dość problemów, nie sądzisz?

— To idź do domu i przebierz się w najlepsze imprezowe ciuchy. Obcisła koszulka albo sweterek, żeby estrogen było widać, krótka miniówka, róż, tusz, kolczyki — pełny rynsztunek. Prowokacyjny, ale nie wulgarny. W końcu Parthenon to elitarny klub.

— I co mam zrobić?

— Pójdiesz tam jeszcze raz zapytać o pracę. Tym razem bądź poważny, muszą ci uwierzyć. Jak będziesz wychodził, daj portierowi karteczkę z moim nazwiskiem i numerem komórki. I szepnij mu do ucha: *Gdzie chcesz, kiedy chcesz, cena nie gra roli.*

Kładę z powrotem nogi na biurku i czekam.

— Targ Chatuchak, jutro o wpół do dwunastej, stragan trzysta dziewięć w północno-zachodniej części — mówi młoda kobieta i rozłącza się. Sprytne, bardzo sprytne, myślę. Chatuchak, wielki, niezbadany labirynt krytych straganów, to prawdziwe handlowe miasto, w którym sprzedaje się dosłownie wszystko: od tropikalnych ryb, wielobarwnych ptaków i egzotycznych storczyków — którym rzadko udaje się przetrwać podróż do domu — po plastikowe wiadra i wyjątkowo korzystne propozycje kupna nieruchomości na tropikalnych wyspach o niepewnym statusie własnościowym. Można tu nawet zlecić przegląd auta podczas robienia zakupów. Dziś piątek, więc będzie tłoczno. Trudno powiedzieć, kto przeważa w tłumie — *farangi* na wakacjach, nowomodne mieszcuchy, Tajowie z klasy średniej szukający okazji czy zwyczajni wielbiciele bazarów, którzy się tutaj snują dla samych widoków i zapachów. Tak czy inaczej przebijam się przez wypełnione ciałami alejki, stosując technikę uników i drobnych kroczków, by znaleźć się w końcu w północno-zachodnim narożniku placu przy straganie numer 398 w sekcji 57.

Nie wiem, dlaczego mnie zdziwiło, że sprzedają tu storczyki i tropikalne ptaki. W głębinach umysłu z czymś mi się one kojarzą, ale w tej chwili nie pamiętam dokładnie, jaki przekręt

się z tym wiąże. Dwie młode, ładne kobiety w fartuszkach z kieszeniami na banknoty nawołują klientów, skupiając się szczególnie na zasobnych z wyglądu rodzinach *farangów*, z otwartymi szeroko oczami chłonących egzotykę orientu. Przypomina mi się wreszcie ten przekręt i uśmiecham się. Kiedy kobiety nie patrzą, podchodzę do klatki o kształcie katedry. To więzienie papugi o wyjątkowo żywym, czerwono-żółtym ubarwieniu. Poślinionym palcem wskazującym zaczynam głaskać purpurowy grzebień na głowie ptaka. Kobiety natychmiast to spostrzegły, więc przedstawiam się szybko, zanim zdążyły mnie zbesztać: „Jestem Sonchai”. Jednocześnie unoszę palec, lekko poczerwieniały. Jedna z dziewcząt wpycha mnie błyskawicznie za foliową zasłonkę w głębi stoiska. Portier z Parthenonu jest bez koszuli, tylko szortach z nadwyżek wojskowych. Na nosie ma okulary. Ptak, którego trzyma mocno w lewej ręce, przypomina nieco arę, ale długie, środkowe pióra w jego ogonie idealnie pasują do przeróbki. Nie znam angielskiej nazwy, ale jest bardzo pospolity, szczególnie w Isaan, gdzie uważają go za szkodnika. Pióra ogona są w delikatnych odcieniach czekolady i *café au lait*, ale ich monochromatyczne piękno nie działa na prostaków, wymaga więc pewnej ilości farby, dzięki której przemówi do ich prostackich gustów — zupełnie jak Akropol w czasach swej budowy.

Portier jest bez wątpienia fachowcem. Używa cienkich artystycznych pędzelków i posługuje się grubym atlasem ptaków z całostronicowymi ilustracjami.

— To będzie czerwonoogoniasty ptak z tropików — mówi i odczytuje z książki: — Faeton czerwonosterny. — Zerka na mnie i zaczyna nakładać różowe, pomarańczowe i czarne cętki przy oczach i na skrzydłach. Krok po kroku, z koncentracją godną Picassa, zwiększa wartość handlową ptaka. — Tym się zajmowałem, zanim zacząłem pracować dla niego — mówi, rzucając mi znękanе spojrzenie. — Zanim straciłem niewinność, można by rzec. Teraz maluję za darmo, żeby nie wyjść z wprawy. Stragan należy do mojej siostry, a te dziewczyny to jej

córki. — Uśmiecha się z ironią. — Rodzinna firma, można powiedzieć, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Szczerze mówiąc, najlepszymi malarzami byli zawsze chłopcy. Mój ojciec też był prawdziwym mistrzem, gdyby zechciał, to nawet kosa we flaminga by zmienił. Ja mu nie dorównuję.

Skromność portiera mnie nie przekonuje; ptaka zresztą też nie, bo mistrzowski makijaż wyraźnie podniósł jego samoocenę: po powrocie do klatki skacze i czyści piórka, gotów puszyć się nową szatą przed płcią przeciwną.

— A jak ze storczykami? — pytam.

— To robota dla kobiet. Chłopcy nie mają tyle cierpliwości. Są niesamowite, prawda? — Przyglądam się różnym odmianom egzotycznych kwiatów o ciężkich główkach, które nie łamią im łodyg tylko dzięki ukrytym usztywnieniom z drutu. — Storczyki właściwie nie są oszukane — mówi portier.

— Tylko że po dwóch dniach zwiędną.

— No tak. — Portier kwituje to uśmiechem. — To produkt intensywnej uprawy, wymaga naprawdę mnóstwa pracy. Są hodowane z hybryd i tylko specjalista potrafi wyhodować takie paki, zazwyczaj tylko raz w życiu każdej cebulki. — Wskazuje kolekcję książek na półce. — Dziewczęta muszą się uczyć nazw po angielsku, bo przychodzą do nas hodowcy amatorzy i zadają trudne pytania. Jest z tym urwanie głowy, bo one słabo znają angielski, a tajskich książek nie ma. — Wyjmuje z klatki następnego ptaka, głaszcze go, ogląda z różnych stron, jak portrecista swego modela i mówi: — Przepraszam, ale lepiej mi się rozmawia w trakcie roboty. Malowanie przenosi mnie do lepszego świata. Co właściwie chciałby pan wiedzieć?

— Wszystko.

— O śmierci tej dziewczyny, Nok? Wiem niewiele. Ja tego nie zrobiłem, do mokrej roboty to on ma swoich fachowców. Ja tylko sprzątam.

— Ale klucz dostała od pana. I to pan na nią doniósł.

Nie poczucie winy, lecz głęboki smutek powleka jego twarz szarością.



— A co mogłem zrobić? Mówiłem jej, że ma być dyskretna. Ostrzegalem, że jeśli ktoś ją zobaczy w pobliżu jego pokoju, to nie będę miał innego wyjścia, jak powiedzieć szefowi. A wy co zrobiliście? Urządziliście sobie paradę przed tymi dziewczynami w basenie. Nie miałem wyboru.

— I tylko tyle ma pan do powiedzenia? Zabito przez pana młodą kobietę i tylko wzruszenie ramion?

Odkłada pędzel i patrzy na mnie w milczeniu. Nie spuszcza wzroku.

— No dobrze, przepraszam — mówię w końcu.

— To z mojej winy ją zabili? Czy z winy pańskiej obsesji na punkcie Damrong, tej czarownicy? Wie pan, co mi powiedział szef? Że oprócz pana nie interesuje się tym filmem żaden glina w mieście. Jeśli pan jutro zamknie śledztwo, Vikorn tylko odechnie z ulgą. Więc kto tu jest winny, ja czy pan?

Pokasluje, patrzę w podłogę, gapię się na ptaki i kwiaty, usiłuję się zagubić w zmysłowym bogactwie kolorów. Ale mój umysł już się pokrył jednobarwnym pyłem. Portier w geście staromodnej kurtuazji wraca do malowania i udaje, że nie widzi mojej udręki. Żeby zyskać na czasie wstaję i przyglądam się z bliska storczykom.

— Przypuszczam, że wie pan sporo o samej organizacji — mamrocę w końcu.

Mężczyzna kręci głową.

— Pan nie odpuszcza, co?

— Myślę, że to pan odprowadzał dziewczyny do pracy na zewnątrz, do niewidzialnych ludzi.

Skupia się teraz na ognie, nakładając purpurowe tony tak lekko, że pióra pozostają puchate.

— Aż tyle pan wie? Nok wszystko panu opowiedziała? — Zerka na mnie spod oka. — Dlatego właśnie musiała umrzeć.

— A ten film z Damrong? Kręcili go w Parthenonie, w pokoju Tanakana.

— Naprawdę? Ja go nie kręciłem. Czy pan myśli, że on mi się zwierza? Wiem tylko tyle, ile muszę.

— A wie pan, na czym polegał kontrakt?

— Jaki kontrakt?

— Była podpisana umowa, prawdopodobnie dobrowolna.

Ona zgodziła się umrzeć właśnie tak, za bardzo dużą sumę.

Przerzywa malowanie i patrzy gdzieś w przestrzeń.

— Co pan powie? A ile jej zapłacili? To faktycznie musiały być duże pieniądze, tak jak pan mówi. Sam bym poszedł na taki układ. Gdybym tylko mógł wydobyć rodzinę z jego szponów, zgodziłbym się umrzeć nawet tysiąc razy. Pan nie wie, jak to jest, kiedy się odda w zastaw własną krew i to dożywotnio.

Wciąż czuję się niezręcznie. Mamrocę żalonym, proszącym tonem.

— Sęk w tym, że takich układów nie zawiązuje się, ot tak. Wymagają delikatnych zabiegów, odpowiednich sygnałów w starannie wybranym momencie. Nie wiem, od kogo wyszedł pierwotny pomysł, od niej czy od nich. Nie wiem też, czy ten Anglik, Smith, brał w tym udział. — Portier coś mruczy pod nosem. — Może chociaż o nim mi pan coś opowie?

— Pomyłony palant, jak oni wszyscy. W społeczeństwie takim jak nasze trzeba być albo księciem, albo wieśniakiem. Pośrednie stany są zbyt trudne do zniesienia. — Rzuca mi bystre spojrzenie. — Wie pan, ja nigdy nie rozumiałem, co wy wszyscy widzicie w tej Damrong. Dla mnie to była zwyczajna khmerska dziewczyna, nic specjalnego. — W Phnom Penh można wynająć dziesięć takich za tysiąc bahtów. W ogóle mnie nie podniecała. Takich kurew bez serca jest na świecie mnóstwo i kosztują grosze.

Przełykam ślinę, bo brak mi odpowiedzi.

— Ten Anglik... był pośrednikiem? — pytam.

— Kolejny prawnik, który nie wiedział, gdzie jego miejsce w szeregu. Nie uspokoił się nawet wtedy, gdy już go ostrzegłem, uwierzy pan?

— Co to było za ostrzeżenie?

— Powiedziałem mu, że szef chce mieć jego dziewczynę. Myślałem, że pomagam, że ratuję komuś życie. Ale on chciał być mądrzejszy.

— Smith wiedział, że Tanakan ma chętkę na Damrong?

— Wiedział, ale wciąż nie chciał odpuścić farangowskich idei: równość, demokracja, honor, prawo do miłości i takie tam. Damrong powiedziała o nim Tanakanowi i w efekcie musiałem go trochę przycisnąć.

— To znaczy, że Damrong chciała załatwić Smitha, informując Tanakana, że ma w nim rywala? Dlaczego?

— Nie sądzę, żeby chciała go zabić. Z pańskich słów wynika, że miała własną kalkulację, a ja grałem wobec Smitha rolę dobrego doradcy. Na początek życzliwa sugestia. Potem uprzejme ostrzeżenie. Za trzecim razem pokazuje się narzędzia tortur. Było to dziwne, zupełnie jakby chciała, żeby obaj ją znienawidzili. Drażniła Smitha Tanakanem i na odwrót. Nawet nowicjuszki nie robią takich głupstw. — Patrzy na mnie, wzruszając ramionami.

— I co, Smith przeżył oświecenie, zanim pan go wykończył? Zaczął zabiegać, żeby Tanakan go skreślił ze swojej czarnej listy? Bo Tanakan nie musiał go przecież zabijać. Wystarczyło mu sprawić, że Smith byłby skończony jako prawnik.

— Tak jak powiedziałem, ona kombinowała, żeby obaj jednocześnie ją kochali i jej nienawidzili. Myślałem, że to kolejna kurewka, której się pomieszało w głowie, ale teraz nie jestem taki pewien. Może jednak wiedziała, co robi. — Portier umieszcza świeżo pomalowanego ptaka w klatce. — To wszystko, co wiem. Spotkałem się z panem, ryzykując życie, bo chcę uratować choć cząstkę mojej duszy, żeby się nie odrodzić w następnym życiu jako robak. Nie chcę pieniędzy, ale proszę już więcej mnie nie szukać.

W kancelarii Smitha nasz przystojny prawnik nie przyjmuje mnie już z taką atencją jak poprzednio. Tym razem nie przybyłem w roli gracza w międzynarodowym biznesie pornograficznym, lecz jako skromny miejscowy detektyw, nie zasługuję więc na respekt. Ktoś musiał mu dać cynk. Vikorn? W tej symfonii zdrad i podstępów zwyczajna podwójna gra to melodia mniej skomplikowana niż *Wlazł kotek...* Chyba nawet sam Vikorn już nie wie, po której jest stronie.

Smith wpuszcza mnie do swego gabinetu i natychmiast zapada się w swój dyrektorski fotel (czarna skóra i chrom, kołysze się i obraca na życzenie swego pana; Smith nawet nie wie, jak bardzo mi ten fotel przypomina ten, którego używał w Chicago w czasach prohibicji — w swoim poprzednim życiu). Nawet nie mówi drwiącym tonem: „No, słucham?”. Nie musi.

— Jestem nieco zaskoczony pańską postawą, panie Smith.

— Tak? Jaką postawą? — pyta, ujawniając przy tym nieco swe cockneyowskie korzenie.

— Zginęła kobieta, została zamordowana. Kobieta, w której był pan patologicznie, nazwijmy to, zakochany. Kobieta, której ciało...

— Daj pan spokój z tym azjatyckim melodramatem, detektywie. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— O morderstwie, panie Smith.  
— Aha... A kto umarł?  
— Damrong Tarasom Baker, między innymi. — Nie widać po nim śladu zdenerwowania. — Pańska kochanka, pańska dziwka, pańska zabawka. Pańska dręczycielka.

To chyba jednak nie działa. Kiedy już *farang*, a szczególnie prawnik, wpadnie w ten tryb, że „A” nie może być „nie-A”, wszelka łączność z sercem zostaje zerwana. Zupełnie jakby na poziomie czakry serca zakrecono zawór i została tylko gadająca głowa.

— Kobieta, na której punkcie miał pan dosłownie fioła, została zaszlachtowana jak cielak — ciągnę mimo wszystko sugestywnym tonem. Brak odpowiedzi, ale Smith poczuł się chyba ździebko niepewnie. — Kobieta, której byłego męża niedawno pan odwiedzał. — Dobry jest, potrafi przybrać kamienny wyraz twarzy i utrzymać go nawet pod presją. Ale jeżeli mnie wzrok nie myli, poruszył lekko małym palcem u lewej ręki, a prawym wskazującym potarł nos. Doświadczony myśliwy potrafi czytać takie tropy.

Zaczynam chodzić tam i z powrotem po gabinecie, technika analogiczna do zwyczajów zwierząt oznaczających terytorium moczem. To go irytuje, ale tylko trochę. Biorę głęboki oddech.

— A więc zginęła kobieta, jak powiedziałem. Została zabita. Tak się składa, że ciało tej kobiety doprowadzało pana do szaleństwa. I tak się składa, że jej śmierć została sfilmowana. — Przerywam nagle, by obserwować lekki skurcz mięśni, który pojawił się wokół jego ust. — Tak, sfilmowana, panie Smith. Dokładniej, nagrana na DVD. Jakich więc słów powinniśmy użyć, żeby społeczność międzynarodowa zaczęła trząść się z oburzenia? Może „naruszenie praw autorskich”? Tak, powiedzmy, że prowadzę śledztwo w sprawie skandalicznego naruszenia praw autorskich. Nie ma co się rozwodzić nad równoległymi zgonami innych osób: Nok, dziewczyny z Parthenon Club, niejakiego Pi-Oona, nieszkodliwego transseksualisty, który wiedział za dużo, i niejakiego Khun Kosany, niewolniczo

podporządkowanego pańskiemu szefowi, Khun Tanakanowi, który na nieszczęście podzielił się filmem ze swoją kochanką. Zostawia pan za sobą krwawy ślad, Khun Smith.

— Naruszenie praw? — Rzuca mi kosę spojrzenie. — To była kiedyś moja specjalność. Jaki rodzaj własności intelektualnej ma pan na myśli?

— Ach, jest pan ekspertem. — Pokasłuję. — Z jaką łatwością odkrył pan mój blef. Oczywiście, idiota ze mnie, jakże może być mowa o prawach autorskich, skoro nikomu się nawet nie śniło, żeby zarejestrować to wiekopomne dzieło? Ma pan rację, muszę wymyślić coś innego. A co pan powie na spiszek mający na celu produkcję pornografii i morderstwo, spiszek...

— Pomogę panu przejść do sedna — mówi Smith łagodnie, lecz krzywe spojrzenie wciąż szpeci jego przystojne oblicze. — Jeżeli mówi pan o filmie w wyjątkowo kiepskim guście, przeznaczonym, albo i nie, na elitarny rynek międzynarodowy, z grającą główną rolę, że tak powiem, zwyczajną prostytutką, z którą przyznaję, że miałem w pewnym okresie styczność — jeśli więc o tym pan mówi, to muszę panu oświadczyć, detektywie, że nigdy wzmiankowanego produktu nie widziałem na oczy.

Zaczynam się wahać, bo Smith zupełnie mnie zbił z tropu swoją otwartością. Jest jasne, że wie wszystko na ten temat i że mało go obchodzi, czy ja wiem, że on wie. Ten człowiek jest chroniony przez kogoś ważnego. Ciekawe. Muszę przejść do punktu drugiego szybciej, niż planowałem.

— Nie widział go pan? Ale słyszał pan o nim?

— Jak już wspominałem, mam tu różne powiązania, znam wasz język. O tym filmie słyszało mnóstwo ludzi. Naprawdę mnóstwo, detektywie, a to dzięki temu, że pan, jak dziecko, narobił wokół niego tyle szumu. Wszyscy wiedzą, że pan się w niej kochał na zabój. Tak samo jak ja. Czy słowo hipokryzja coś panu mówi? — Milknie i mierzy mnie wyjątkowo bezczelnym spojrzeniem. — Miała w komórce fotkę pańskiego kutasa. Z takiego zdjęcia trudno jest się domyślić właściciela, więc

nadawała im imiona. Pański miał na imię Detektyw. To ciekawe, jak w okolicy genitaliów przejawia się odmienność rasowa. Twarz ma pan białą, ale interes raczej brązowy niż różowy.

Nie chcę, żeby zobaczył, jak gwałtownie przełykam ślinę, ale on widzi. Próbuję udawać, że dreszcz, który mną wstrząsnął, był zwykłym wzruszeniem ramion.

— Obawiam się, że nie wyraziłem się dość jasno dla pańskiego biegłego w prawie umysłu — brnę dalej. — Mówię tutaj o satysfakcji udziałowca. — Zawieszam głos i przykładam palec do skroni. — Oczywiście, potrafię sobie bez trudu wyobrazić, że nie widział pan samego produktu. Nietrudno w to uwierzyć. Jak mogłaby się wobec tego rozpoczynać pańska historia? Może od tego genialnego, australijskiego powiedzonka, „kutas uderzył mu do głowy”? — Smith mruży oczy. — Wulgarny zwrot, określający zjawisko wielokrotnie badane, lecz nigdy nie rozpracowane. W przyszłości, gdy wszyscy będziemy na powrót androgeniczni, jak wytłumaczymy tę dziwną skłonność, właściwą szczególnie profesjonalistom — chciałoby się powiedzieć, szczególnie prawnikom, lekarzom, księgowym i dentystom, czyli przepracowanej klasie specjalistów, plus oczywiście politykom i bankierom — a więc tę dziwną przypadłość, tendencję do dzielenia się na dwie części? Trudno to nazwać inaczej, skoro tacy wojownicy testosteronu jak pan udają, że chcą służyć innym, podczas gdy tak naprawdę interesuje ich gwałt i grabież? Tak, nietrudno jest zrozumieć, dlaczego taka fakultatywna działalność ludzi pańskiego pokroju bywa, nazwijmy to, wewnątrznie sprzeczna. — Patrzę mu w oczy. — Wierzę, że nigdy nie widział pan tego filmu, panie Smith. Nie jest pan typem podglądacza.

Odczekuję chwilę, a on jest zbyt układny, by przerwać ciszę.

— Prawdopodobnie jest pan na tyle przebiegły, że mógł pan celowo nie obejrzeć tego filmu — ciągnę. — A może nawet nie dałby pan rady tego oglądać. Tyle wrażliwości chyba w panu zostało.

— No i co? — pyta, zadzierając głowę.

— No i to, że gdybym miał konstruować teorię pańskiego udziału w tej... nazwijmy to, sprawie praw autorskich; pan wie jak my, Tajowie, kochamy eufemizmy... a więc teoria taka brzmiałaby mniej więcej tak. Pewien prawnik, z doskonałymi kontaktami wśród tajskiej — i oczywiście międzynarodowej — elity finansowej, jest, proszę mi wybaczyć, jednym z tych samców alfa, których olbrzymi apetyt seksualny pobudza do działań społecznie użytecznych wyłącznie podczas godzin pracy. Nazwijmy tego przykładowego prawnika Smithem, jeśli pan pozwoli. A więc ten Smith, jak już wiemy, zakochał się bez nadziejnie w młodej kobiecie, która posiada powab czarodziejki. Smith Kirke, pomimo swej bojowej i biznesowej sprawności, wpada więc w trudną psychologiczną pułapkę. Dziewczyna przebadła już inne osobniki alfa i prawdopodobnie odkryła, że nasz prawnik niczym się od nich nie różni. Wie, jakie zwierzę czai się pod przebraniem profesjonalisty, i potrafi nim manipulować. Smitha początkowo to bawi, już przerabiał tę bajkę. Jednak dziewczyna jest zręczniejsza, niż przypuszczał. Nie działa według „Podręcznika obsługi *faranga* dla tajskich kurew”; o nie, ona naprawdę wszystko rozumie. W dodatku potrafi go przekonać, że sama też jest taką, nazwijmy to, miłośniczką ostrej jazdy. Inaczej mówiąc, jest Cipą z Najwyższej Półki i naprawdę potrafi przedłużać ekstazę. Pasuje również do wyobrażenia *faranga* o idealnej orientalnej kochance. Skórę ma miękką niczym ircha, twarz demonicznie piękną, ciało po prostu perfekcyjne, łagodny, szemrzący głos, którym mówi po angielsku z egzotycznym akcentem i wysławia się z niezwykle wyrafinowaniem. Po każdej schadzce pan Smith powtarza sobie, że musi przestać się z nią spotykać, bo go zrujnuje, ale już wpadł w sidła jej pięknego ciała, osaczył go jej bezlitosny chłód... — Przystaję przy jego biurku, nachylam się i patrząc mu w oczy naśladowuję najlepiej, jak umiem kobiecy głos: — Tom, jesteś nieprawdopodobny. Nie wiem, jak zniosę świadomość, że mógłbyś być z inną kobietą.

Słowa te są jednak dla niego raczej zapomnianym echem niż wygrawerowaną w sercu sentencją. Próbuje dalej.



— Czy wiedział pan, że jej mąż, przepraszam, były mąż, ukryty w garderobie, robił z pana gwiazdę filmową? Oczywiście, że nie. Myślę, że poznał go pan o wiele później. Wtedy gdy podjął pan obowiązki *consigliere* ojca chrzestnego, *jao paw*. A może woli pan określenie „radcy prawnego zarządu”?

Smith otwiera usta, ale nic nie mówi. Teraz z kolei próbuje imitować jego złożony akcent.

— Nie martw się o to. Nie będzie takiej potrzeby.

Zagłębił się wygodnie, kontemplacyjnie, w swym dyrektorskim fotelu i udało mu się zamknąć usta. Ja jestem już na końcu liny i z trudem zachowuję buddyjską cierpliwość. Zupełnie bez związku z tematem biorę kostkę cukru ze spodka z jego kawą.

— Nie słodzi pan? Cukier tuczy, co? — Kruszę kostkę w ręce i rzucam w jego stronę. — Heroina — mówię donośnym głosem. — Złapałem pana na gorącym uczynku. — Nie reaguje, potwierdzając moje wcześniejsze przypuszczenie, że ma ochronę. Strzepuje cukier, jego spojrzenie mówi: wal się.

— Pytam więc sam siebie — mówię, obchodząc biurko i stając nad nim— jaki związek może mieć pan Smith z filmem, którego nie widział na oczy, albo z zabójstwem, w którym nie mógł uczestniczyć, bo przebywał wtedy w innym kraju? A jednak cały mój instynkt gliny z Trzeciego Świata podpowiada mi, że Smith wie coś o tej sprawie, jest jakoś w nią zamieszany. — Przekrzywiam głowę i uśmiecham się. — Oczywiście chwilę potrwało, zanim to rozgryzłem. Prawo handlowe to nie moja specjalność, toteż długo się zastanawiałem, gdzie pana dopasować, panie Smith. W końcu przypomniałem sobie, że prawo handlowe jest właśnie pańską specjalnością. W ilu korporacjach jest pan członkiem zarządu? W ilu transakcjach zakupu gruntu, jak kraj długi i szeroki, jest pan cichym udziałowcem? Jak często pomagał pan *farangom* obchodzić nasze restrykcyjne prawo dotyczące obrotu ziemią w zamian za przyszłe zyski? I zrozumiałem: być udziałowcem w tym filmowym przedsięwzięciu to zemsta doskonała na kochance, która doprowadziła pana niemal do obłędu. Jestem przekonany, że tak właśnie jest.

Nie było dotąd w pańskim życiu kobiety, która zraniłaby pana aż tak mocno. Inne tylko drapały i gryzły, ona wysysała szpik z kości. Dopóki żyła, czuł się pan niepełny. Chyba uważał się pan za bardzo przebiegłego, czerpiąc liczony w tysiące, a może w setki tysięcy dolarów zysk z zaplanowanej i zarejestrowanej cyfrowo egzekucji demona, który pożerał pana na surowo, świetnie się przy tym bawiąc. Cóż to za elegancki finał.

Moje brwi wyrażają pytanie, a jego to chyba śmieszy. To dobry moment, żeby kopnąć jego fotel na kółkach, co też czynię, wkładając w to maksimum siły. Smith dosłownie pędzi przez pokój i zderza się ze ścianą. Przez moment myślę, że zachowa równowagę i godność, jednak kółka fotela kręcą się bardzo gładko. Traci stabilność, a Smith łąduje na podłodze z głową przyciśniętą niewygodnie do ściany. Podchodzę i przydeptuję mu lewą rękę. To go boli, ale nie dość mocno.

— Mam ochronę — stęka. — Jesteś tak upierdliwą gnidą, że musiałem dotrzeć wyżej.

— Do kogo? Do Vikorna?

— Za nisko. — Kpiący uśmieszek. — Nawet nie masz pojęcia, jakie mam układy.

Ja też się uśmiecham. Wypowiedź Smitha jest bez wątpienia swego rodzaju przyznaniem się do winy, choć nie wprost.

Próbuje uwolnić rękę spod mojego buta, ale nie daje rady. Żeby utrudnić mu to jeszcze bardziej, dostawiam drugą nogę, po czym kucam, całym ciężarem przygniatając mu ramię.

— Jeżeli tak brzmi pańska odpowiedź, panie Smith — mówię — to obawiam się, że ma pan pecha. Dziś nie pracuję dla Królewskiej Policji Tajskiej. Odwałam chałturkę dla Buddy. — Smith mruga. — Coś marnie mi wyglądasz, Tom. Czyżbyś spał z duchami?

Smith wydaje jęk zdumienia i maska spada. Uzmysławiam sobie, że mógłby mnie łatwo zrzucić, ale chce się dowiedzieć więcej i marchewka prawdy każe mu leżeć spokojnie.

— Opowiem ci, jak do ciebie przychodzi i to każdej nocy,

jeśli się nie mylę. Najpierw doświadczasz erotycznego pobudzenia, ale jesteś pogrążony we śnie, więc jest to raczej wszechogarniające uczucie lubieżnego oczekiwania, pewności, że na samym końcu tarła czeka cię wyzwolenie od nędzy wieczystej izolacji. Potem zjawia się ona, otoczona poświatą i w takim stroju, jaki najbardziej cię podnieca — w moim przypadku to czarna suknia balowa z dekoltem i nic pod spodem, no ale mnie kręca takie rzeczy. Niesamowite jest to, jak panuje nad ciałem ofiary. Potrafi zdalnie sterować twoim kutasem, kontroluje twój przepływ myśli. Jesteś jej niewolnikiem; nie spocznie, dopóki nie dojdiesz co najmniej dwukrotnie. Ale to nie jest taki normalny, skrócony i racjonowany orgazm, właściwy dla mizერიi współczesnej cywilizacji. Nie, Tom, dochodzisz jak satyr albo nie przymierzając tygrys: całkowicie, szaleńczo, bez hamulców. I budzisz się w kałuży nasienia, pokonany, pragnąc tylko jednego: żeby przeżyć to jeszcze raz od początku. Zgadza się? Smith milczy, ale uznaje, że wreszcie go zmiękczyłem. Po chwili pytam:

— To ile ona właściwie dostała? Milion dolarów?

Zwilża wargi językiem i odpowiada:

— Coś koło tego.

— To sporo. W tak biednym kraju jak Tajlandia milion to już granica pomiędzy zwykłym bogactwem a autentyczną władzą. Nie sądzisz jednak, Tom, że taka władza w rękach głupich i zawziętych wieśniaków z Trzeciego Świata może być niebezpieczna? — Smith patrzy na mnie, nie rozumiejąc. — Tam gdzie nie ma kultury pozytywnego myślenia, nie ma wiary w człowieczeństwo — a kto miałby ją mieć, egzystując przez całe dzieciństwo poniżej minimum socjalnego? — nie bardzo jest jak powstrzymać, jakby to powiedzieć... negatywne reakcje.

Oczywiście, kobieta z innej kultury, powiedzmy po Oksfordzie, zainwestowałaby w zrównoważony portfel akcji i zapewniła przyszłość swoim bliskim. Z drugiej strony taka kobieta na pewno nie potrafiłaby się zdecydować na przedwczesne odejście z tego świata. Ale warto pamiętać, że Damrong sporo podróżowała i spędziła z bogatymi mężczyznami dość czasu,

żeby wiedzieć, jak żyje i myśli ta druga część — a dokładniej, tych uprzywilejowanych pięć procent ludzkości. Trudno sobie wyobrazić, że młoda kobieta może wybrać śmierć, skoro stacją na mercedesa, prawda? A jednak wszyscy jesteśmy jakoś zaprogramowani, ale jej program działał inaczej. Kultura.

Widzę, że zdołałem w nim obudzić odrobinę zainteresowania łańcuchem przyczyn i skutków, odpowiedzialnych za jego obecne trudne położenie.

— Pozwolę sobie wyłożyć to prosto, po buddyjsku — mówię. — Wybacz moją naiwność, Tom, ale problem był taki: ona nie miała kogo kochać. Naprawdę. Na końcu okazało się, że nawet ukochany brat chce ją opuścić dla Buddy. Sfrustrowana miłość jest kiepska, to wiemy. A co powiedzieć o odwróconej miłości? Postawionej na głowie przez perwersyjny system ekonomiczny i brutalne dzieciństwo? W takich warunkach rozwija się nieuchronnie myślenie apokaliptyczne: iluzję nierówności może zniszczyć tylko śmierć. A Damrong miała pieniądze na inscenizację spektakularnego finału, którego jesteś elementem, Tom. — Smith chyba zaczyna rozumieć. — Jesteś cwany, ale cię wykiwała. Co ty sobie właściwie myślałeś, przyjmując tę posesję — czy to odpowiednie określenie? — w filmie, który chciała wyprodukować?

Smith chrząka, chyba ma zaciśniętą krtań.

— Działała z własnej i nieprzymuszonej woli. To był jej pomysł. Przyszła z tym do mnie, a ja zwróciłem się do pewnych biznesmenów, moich klientów. Sama wszystko zaprojektowała, to był produkt jej umysłu od początku do końca. Nie każdy kocha życie, a kończyła właśnie trzydziestkę. Dziwkom w tym wieku zdarzają się takie rzeczy.

— Właśnie tak uważam, Khun Smith, dokładnie tak. Czy pańska kultura nie kazała panu z kolei zlekceważyć tej możliwości, że Damrong jest na swój sposób, dziwny, bo trzecioświatowy, równie przebiegła jak pan? Nie przyszło panu do głowy, że jej pomysł ma drugie dno, prawda? — Smith marszczy brwi. — Uznał pan po prostu, że jej celem nie jest samounicestwienie,

rozumując w jej kategoriach, lecz raczej rodzaj przesłania, ostatni testament dla świata. Częściowo dosłowny, częściowo symboliczny akt odwetu. Właściwie można by powiedzieć, że to był dla niej trening poczucia własnej wartości.

— No i co z tego?

— Ty mnie pytasz, co z tego? Wszystko, Tom, wszystko! — Krzywię się z irytacją. — Nie spostrzegłeś tego wcześniej? Czy to przypadkiem nie te jej ćwiczenia w podnoszeniu samooceny doprowadzały cię do szaleństwa? Najpierw fundowała ci seksualną jazdę wszech czasów, twoja żądza osiągała dokładnie taki poziom ekstazy, jakiego mężczyzna twego pokroju oczekuje od kobiety. Ale potem, kiedy już zapłaciłeś, w ogóle przestałaś dla niej istnieć, aż do następnego razu. Nic w tym niezwykłego, tyle że u niej przepaść pomiędzy tymi skrajnościami była jak otchłań. Na tym właśnie polegał jej geniusz, jej poczucie własnej wartości. Na tej zdolności do wymazania człowieka z serca w dowolnej chwili, jakby był plamą, którą trzeba zetrzeć z podłogi.

— Co ty wygadujesz, człowieku?

— Mówię o przyczynie, dla której musisz umrzeć, Khun Smith. — Zaskoczenie w jego oczach. — Nie widzisz tego? Gdybyś rozumiał Damrong, rozumiałbyś też, jak niebezpiecznie było się godzić na takie przedstawienie za każdym razem, gdy korzystałeś z jej usług. Ona też przeżywała tę relację bardzo intensywnie, można było nawet pomyśleć, że cię pokochała. Niestety, u niej był to tylko objaw morderczych intencji. Musiałeś przecież zauważyć, że cię o mały włos nie załatwiła rękami Tanakana. Tłumaczyłeś sobie, że nie zostawiła ci wyboru, ale chyba nie rozumiałeś, że ona celowo doprowadziła do twojej porażki w starciu z Tanakanem. Chodziło o to, żebyś doszedł do wniosku, że uratujesz życie tylko wtedy, gdy ona swoje straci. — Twarz Smitha wykrzywia się jeszcze bardziej. Wreszcie spadło mu bielmo z oczu. *Zaplanowała to od samego początku!* — Ten pomysł nie pojawił się wcale pod koniec waszej znajomości — ciągnę z nowym zapalem. — Ona celowo wybrała

właśnie ciebie do jego realizacji. Przejrzała cię na wskroś, wiedziała, jaki skutek odniosą jej prowokacje i tortury. Ustawiła cię na ringu naprzeciw jednego z najpotężniejszych ludzi w Tajlandii... i złapałeś się na ten haczyk. W ciągu miesiąca twoje życie, tożsamość i kariera zawisły na włosku. Wiedziała, że w rezultacie zgodzisz się na jej pomysł, żeby w ten elegancki sposób z nią skończyć. — W oczach Smitha pojawia się zapowiedź obłędu. — Ile ty masz lat, Smith? Powiem ci: czterdzieści sześć. Dokładnie tyle miał jej ojciec, gdy go zabiła. Wstaję i zeskakuję z jego ręki.

— Nie ma znaczenia, czy cię zamknę, czy nie. Na pewno wolałbyś to drugie. W porządku. — Wyjmuję z kieszeni kartkę, rozkładam ją i wypuszczam z ręki, by opadła mu na głowę. To wydruk e-maila z fotografią wściekłego słonia o skłonnościach socjopatycznych. — Tak właśnie załatwiła swojego tatusia, panie Smith. A zdjęcia wykonała osobiście. — Pochylam się, dotykam lakierowanej słoniowej bransoletki na jego przegubie i puszczam do niego oko.

Ruszam do drzwi, lecz w progu odwracam się na chwilę, nie mogę się powstrzymać. Smith leży nieruchomo, wciąż jest w szoku.

— Słodkich snów — rzucam, wychodząc. W nagrodę słyszę jego jęk.

Nie mam pojęcia, jak i dlaczego miałby być zamieszany w całą sprawę Baker. Właściwie założyłem jego bezpośredni udział tylko dlatego, że mnich naznaczył go bransoletką i że dwukrotnie odwiedził go *consigliere* Smith. Wróciliśmy mentalnie na poziom *Gwiezdných wojen*: pilotuję na ślepo według wskazówek jakiejś bezcielesnej inteligencji. Brat Damrong nie odezwał się od trzech dni. Na tylnym siedzeniu taksówki urządzam burzę mózgów z Lekiem, próbując dojść, jakim sposobem taki pionek jak Baker mógł zostać udziałowcem w produkcji światowej klasy *snuff movie*.

Nowych kolesiów w kamienicy Bakera zauważyłem dopiero po wyjściu z taksówki. Nasze spojrzenia spotykają się na chwilę; doświadczam swoistego wglądu w pustkę, tak druzgocącego, że człowiek chciałby, żeby ludzie z takimi problemami obojętnie nosili ciemne okulary. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień i nie ma zamiaru odwrócić wzroku. Ubrany jest w mundur ochroniarza, z pałką i kajdankami przy pasie. Mówię coś szybko po tajsku, chcę się upewnić, że nie rozumie. Lek pochodzi z prowincji Surin i zna khmerski dialekt. Każę mu zapytać nowego ochroniarza, gdzie się podzieli ci poprzedni. Psychopata odpowiada wyjątkowo chętnie, ucieszony, że może mówić w swoim języku.

— Powiedział, że wynajęli nową firmę ochroniarską — tłumaczy Lek.

— Ilu ich jest?

— Chyba dziesięciu.

Teraz spostrzegam kilku innych. Nie wszyscy są w uniformach, ale mogę się założyć, że wszyscy są Khmerami.

— Powiedz mu, że przyszedłem do Khun Bakera, nauczyciela angielskiego.

Patrzę uważnie, ale Khmer nie reaguje na nazwisko. Wie jednak, które to piętro i wskazuje nam głową windę. Podczas jazdy rewiduję swoje podejście do Bakera, a gdy wysiadam, uderza mnie pewna myśl i gwałtownie wciągam powietrze. Każę Lekowi pojechać do biura Smitha i przyjrzeć się ochroniarzom; ma mi dać znać na komórkę. Lek wraca więc na parter, a ja pukam do drzwi.

Problem z intuicyjnym śledztwem jest taki, że człowiek robi czasem wrażenie niezbornego myślowo. Gdy Baker staje w drzwiach, zapominam o zaplanowanym ataku na jego psyche, bo nagle świta mi w głowie niesamowite przecucie. Dzwonię do Leka.

— Jak już obejrzysz tych ochroniarzy u Smitha, jedź do banku Tanakana. Może tam też się dzieje coś nietypowego — mówię to szybko po tajsku, więc nawet nie wiem, czy Baker zrozumiał, czy nie.



Dziwna rzecz, ale moja chaotyczna intuicja odblokowała umysł i teraz wiem już dokładnie, skąd Baker wziął się w tej aferze. Nawet nie jestem na niego zły, wręcz przeciwnie, pojawia się we mnie nuta litości.

— Khun Baker — mówię, wchodząc do mieszkania — przepraszam, że znów pana niepokoję. — Milknę nagle, bo rozmowa z Lekiem mnie rozproszyła i nie zwróciłem uwagi na wyraz twarzy Amerykanina. Facet jest zielony ze strachu. Podaję mu wydruk zdjęcia, które przedtem pokazywałem Smithowi. —



Pewnie już pan to widział? — Patrzy na zdjęcie, przełyka ślinę i wytrzeszcza na mnie oczy.

— Panie Baker — mówię — jeżeli będzie pan mówił, może panu pomogę.

Zamiast odpowiedzi pokazuje mi stojącą przy oknie kamerę na statywie. Jest wyposażona w długi teleobiektyw i pewnie nie bez przyczyny. Podchodzę i patrzę w wizjer. Kamera wycelowana jest w bramę posesji, gdzie siedzi dwóch strażników; grają w warcaby kapslami od piwa. Choć nic nie robią, wrażenie jest takie, że znudzeni kolesie czekają tylko na okazję do małej jatki.

— To Czerwoni Khmerzy — mówi Baker ochryplym głosem. — W ogóle nie mówią po tajsku. Ma pan z tym coś wspólnego?

— Nie, ale rozumiem pańskie obawy.

— Musi mi pan pomóc.

— Musi pan mówić.

Baker chyba już nie panuje nad umysłem na tyle, żeby złożyć składne zeznanie. Postanawiam mu pomóc.

— Problem, jak zawsze w takich poważnych kryminalnych przedsięwzięciach, polegał na zapewnieniu sobie lojalności pomniejszych wykonawców pewnych niezbędnych specjalistycznych usług. Najłatwiej było z ogierem — był winien pieniądze lichwiarzom z całego Los Angeles i nie miał przed sobą przyszłości, jeśli nie załatwi jakiejś większej gotówki. Poza tym wystąpił w filmie, więc tak czy inaczej był wśród podejrzanych. Ale co z całą techniką? Film został nakręcony przez kamerzystę dobrze znającego swój fach. Jeden obiektyw jest wycelowany z dołu, do ujęć na stojąco. Widać też fachowy montaż, co najmniej na poziomie zdolnego amatora. W każdym razie w Bangkoku niełatwo o takich specjalistów, szczególnie jeśli zależy nam na dyskrecji. Z drugiej strony, jaki kamerzysta spośród znajomych kandydatki na ofiarę chciałby w ogóle przebywać w kraju podczas produkcji takiego filmu? A pan był jej mężem, w dodatku notowanym na policji i znanym z kręcenia amatorskich

pornosów. Do czego mógł się pan przydać? Do szkolenia, jak sądzę. Miał pan wyszkolić kilku byłych Czerwonych Khmerów, bo wiadomo, że tacy wypełnią szczegółowo każde polecenie. Nie musieli być szczególnie utalentowani, wystarczyło, że wytworzą podstawowy produkt do dalszej obróbki, podczas gdy pan będzie przebywał na przykład w Angkor Wat. Prawdopodobnie przesłano panu surowy materiał e-mailem. No, ale Khmerów trzeba było wszystkiego nauczyć, a pan chciał za to działkę. Procentową czy konkretną kwotę? Długie milczenie, zaczynam myśleć, że już w ogóle się nie odezwie. W końcu odpowiada:

— Jedno i drugie. To był jej pomysł, upierała się, żebym ja to zrobił. Nie zaufałyby nikomu innemu, pracowała przecież ze mną tyle razy. Wiedziała, że nie schrzanię roboty. — Spogląda na mnie. — No i była jednak Tajką.

— Przesady?

— Oczywiście. Kiedy pracowaliśmy wspólnie, przez cały czas nam się szczęściło. Nawet już po rozstaniu robiliśmy nieźle pieniądze.

— Czy mógłby pan zidentyfikować tych swoich khmerskich uczniów?

— Być może. — Wzruszenie ramion. — Zwyczajne roboty do zabijania, jak oni wszyscy. Pionków się nie pamięta, nawet po tygodniu pracy.

— Robiliście próby?

— Na początku z manekinami, dopóki Khmerowie się nie oswoili. Potem już z prawdziwymi aktorami.

— W Kambodży?

— Jasne.

— Czy poza swoją byłą żoną znał pan kogoś z uczestników?

— Nie. Byłem odizolowany od reszty. Nie poznałem nawet osobiście głównego ogiera, zajmowałem się tylko montażem jego występu.

— A Tom Smith, ten prawnik? Zaczął pana nachodzić po moich odwiedzinach.

— Przedtem myślałem, że jest tylko frajerem z tego naszego filmu z Damrong. Nie wiedziałem, że też zainwestował w *snuff*. Ze mną kontaktowała się tylko ona, nie byłem zapraszany na spotkania ani nic. Oczywiście po jej śmierci musiał się mną zająć ktoś inny. Obserwowali pana. Po naszej pierwszej rozmowie Smith wszystko ze mnie wyciągnął. Jest dobry. Na jego pytania dużo trudniej się odpowiadało niż na pańskie. Musiałem go przekonać, że nie sypnąłem, bo kazałby mnie załatwić.

— Przepraszam — mówię i wyjmuję komórkę, która wibruje mi w kieszeni.

— Khmerzy w samochodach przed biurem Smitha — melduje Lek. — Teraz jadę do banku.

Chowam telefon i staram się nie patrzeć na Bakera tak, jakby już był martwy.

— Ale musiało być jakieś zabezpieczenie, jakaś klauzula zapewniająca panu część zysku. Nie wyobrażam sobie, żebyście się zgodzili pracować bez gwarancji, Damrong albo pan.

— Nie było gwarancji.

Teraz ja z kolei wybałuszam oczy.

— Kto w to uwierzy, panie Baker? To był kontrakt na śmierć, według którego nieboszczka miała otrzymać swoją część *post mortem*. Ta dziewczyna nie poszłaby na coś takiego bez żadnych zabezpieczeń.

Baker wzrusza ramionami.

— Dostała milion dolarów z góry. Powiedziała, że w razie czego ktoś wykorzysta te pieniądze do wymuszenia reszty. Była bardzo pewna swego, powiedziała, że mam się nie martwić o pieniądze, że mogę też zażądać zaliczki, ale nie ma powodu do obaw. Jeśli już Damrong mówiła coś takiego o pieniądzach, to było pewne, że sprawa jest pod kontrolą.

— To fakt, za milion można tu kupić armię egzekutorów.

— Kiwam głową. — Ale przecież główni gracze, niewidzialni ludzie, nie byli stąd. — Milknę, pocieram palcem lewą skroń. — Ona z kolei była Tajką, tak jak pan mówi, myślała w kategoriach personalnych. I w symbolicznych, a właściwie magicznych. — Patrzę na Bakera, próbując sobie wyobrazić, jak

Damrong postrzegła jego rolę. Pojawia się obraz, który nawiedza mnie po nocach: włosy w nieładzie, zgięta wół, szaleństwo w oczach, dziki uśmiech triumfu na ustach. A z dystansu: leśna kapłanka przygotowuje bogatą ofiarę dla bogów.

Baker jakby czytał mi w myślach.

— Tak — mówi — jak tak teraz na to spojrzeć, jest jasne, dlaczego nie bała się o wyegzekwowanie pieniędzy.

Ktoś puka do drzwi. Niezbyt mocno i tylko raz. Słaby zamek ustępuje po jednym kopnięciu i do mieszkania wchodzi człowiek, którego widziałem przedtem w mundurze ochroniarza, a za nim drugi z chińskim kałasznikowem. Pokazują Bakerowi, że ma iść z nimi, a on rzuca mi przerażone spojrzenie.

— Nie macie prawa zabierać tego człowieka — mówię. — Jestem oficerem Królewskiej Policji Tajskiej. — Nie rozumieją ani słowa. Wyjmuję legitymację policyjną, ale nie potrafią jej przeczytać. Zresztą to bez znaczenia — Baker ma iść z nimi i koniec. Podchodzę do kamery na statywie i patrzę przez wizjer. Na dole stoi toyota furgonetka, do której wpychają Bakera.

Dziesięć minut później, gdy nadal stoję w jego mieszkaniu, znowu dzwoni Lek.

— W banku Tanakana nic się nie dzieje — melduje. — Tyle że jego samego tu nie ma. Jest na jakimś spotkaniu z innymi bankierami, jakaś całodzienna narada. Pytałem o ochroniarzy; dobierają ich bardzo starannie. Nie ma mowy, żeby przyjęli człowieka, który nie zna tajskiego.

Mija kolejnych dziesięć minut i dzwoni Vikorn.

— Ktoś porwał Tanakana — mówi chrapliwie. — Dobrze zaplanowana akcja. Jakieś zbiry, wyglądali i zachowywali się jak Khmerzy; zablokowali jego samochód, jak wracał ze spotkania, i zabrali go. Jeżeli wiesz coś o tym i mi nie powiedziałaś, jesteś trupem.

— Pułkowniku...

— Czy ty w ogóle rozumiesz powagę sprawy?

— To nie pańska wina.

— Oczywiście, że moja, kretynie. To ja go szantażowałem, więc ja za niego odpowiadam. Dzisiaj umarł mój honor.

Vikorn się rozłącza. Kolejny telefon zaskakuje mnie jeszcze bardziej.

— Sonchai — mówi doktor Supatra — przyjechali jacyś ludzie z karabinami i zabrali ciało. — Nie mogę wydusić z siebie słowa. — Trzymali nas pod strażą z dziesięć minut. Weszli do kostnicy i zabrali zwłoki, nic poza tym. Chyba w ogóle nie mówili po tajsku; ktoś mi powiedział, że to byli Khmerzy.



Przyswajam tę informację i jednocześnie wybieram numer Kimberley. Wysyłam jej wiadomość:

Czy twoi fachowcy będą mogli mnie namierzyć po sygnałach z komórki?

Po pięciu minutach dostaję odpowiedź:

Spróbujemy. A dlaczego?

Odpisuję:

Bo chyba się wybieram w długą podróż.

Siedzę na łóżku Bakera przez dobrą godzinę. W końcu zjawia się kolejny Khmer z nieodłącznym kałachem. Pokazuje mi lufę, że mam iść przed nim, i popycha mnie przez całą drogę do samochodu, tym razem terenowej toyoty. Wsiadam do tyłu, razem z pół tuzinem Khmerów. Po pięciu minutach jazdy na wschód zawiązują mi oczy. I jednocześnie zabierają komórkę.

4

KONIEC GRY

*Najdroższy bracie*

*Kiedy będziesz to czytał, ja już porzucę to głupie ciało. Kochany, jesteś jedynym mężczyzną, jakiego darzyłam miłością. Jedynym na świecie. Kochanie, ja ciebie wcale nie uwiodłam podczas tych okropnych nocy naszej młodości. Potrzebowałeś tego samego coja i po prostu pocieszałyśmy się nawzajem, tak jak potrafiłyśmy. Sprzedałam dla ciebie moje ciało, dałam ci życie, jakiego nie miał nigdy żaden chłopak z wioski. Jesteś wykształcony, subtelny, nie jesteś już wieśniakiem, tylko wolnym człowiekiem. Teraz proszę o odpłatę: gatdanyu. Te wszystkie świnię muszą zginąć jako część mojej ofiary. Mój duch pozostanie z tobą na zawsze. Jeśli to zrobisz, zostaniemy kochankami w wieczności. Jeżeli nie, zniszczy cię moje przekleństwo. Ale wiem, że mnie nie zdradzisz.*

*Twoja kochająca siostra, Damrong*

Gamon vel Phra Titanaka w końcu pokazał mi ostatni e-mail od siostry. Polecenia wypisała w załączniku, długim i bardzo szczegółowym. Było tam wszystko, od wskazówek, jak wzbudzić moje zainteresowanie i zyskać sympatię, po prostą acz efektywną zagrywkę ze słoniowymi bransoletkami. Ze zdumieniem

czytałem instrukcję zniszczenia człowieka w masce, krok po kroku, włącznie z zapowiedzią jego samobójstwa i zaleceniem, by Gamon nagrał ich ostatnią rozmowę. Założyła z góry, że brat pokaże mi ten tekst, dzięki czemu mocniej mnie ze sobą zwiąże. Całą historię wyprodukował geniusz zła, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie spotkałem. Ale nie wszystko poszło zgodnie z planem. Baker na przykład zmarł przed czasem.

Po wjeździe do prowincji Surin zawiązali mi oczy i nie wiem nawet, czy jestem jeszcze w Tajlandii. Możliwe, że przedostali się leśnymi duktami do Kambodży. Farma słoniowa jest niewielka, ale może się poszczycić trzymetrowymi podestami, z których się wsiada na zwierzęta. Większość budynków popada w ruinę. Mój status jest niejasny dla mnie i wszystkich pozostałych, włącznie chyba z samym Gamonem. Pierwotny plan raczej nie zakładał mojej obecności przy ogłoszeniu wyroku, lecz jakaś słabość, być może sympatia do mnie albo potrzeba towarzysztwa, złagodziły jego stanowczość. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy po zdjęciu opaski, stał przede mną elegancki mnich w szafranowej szacie, z przewieszonym przez ramię kałasznikowem. Może to zabrzmiało dziwnie, ale przy mnie chyba zrobiło mu się głupio i przestał się obnosić z karabinem.

Khmerscy strażnicy dobrze mnie pilnują, lecz w przeciwieństwie do Smitha i Tanakana mam swobodę poruszania się po terenie, choć gdy podejść za blisko skraju dżungli, strzelają ostrzegawczo nad moją głową. Na noc zamykają mnie w drewnianej chacie, z której mógłbym bez trudu uciec; tylko dokąd tu uciekać? Mam tutaj większe szanse na przeżycie niż w dżungli. W takim skwarze wystarczy dzień desperackiego błądzenia w gąszczu i zaczynasz umierać z pragnienia.

Nie wiem, czy Gamon kupił farmę, czy tylko ją wynajął; w rozmowach nie wyjawia mi takich szczegółów. Upał jest gorszy niż w Bangkoku, a żaden z budynków nie ma klimatyzacji. Prąd bywa tylko wtedy, gdy Khmerom zachce się akurat uruchomić generator. Przez większość czasu nie ma nic do roboty poza gapieniem się na strażników, którzy żują betel albo strzelają



do drzew. Można też obserwować słonie. Są trzy — młode, drażliwe i każdy waży ze trzy tony.

Smith i Tanakan więzieni są w cementowych chatkach, które wyglądają na zbudowane niedawno, specjalnie do tego celu. Okienka wychodzą na podwórze, żeby widzieli słonie, łązące po terenie w ogromnych miękkich kapciach. Widzą też Khmerów, którzy budują wielkie bambusowe kule ze zwalonych na wysoką stertę drągów. Khmerzy pracują niespiesznie, robią przerwy na jakies pogaduszki albo puszczenie serii z kałacha w powietrzu. Miewają też niewytlumaczalne napady energii, której nie zużywają na pracę, lecz na strzelanie w dżunglę, gdy im się ubzdura, że coś tam się rusza. Tylko Gamon i ja wiemy, że śmierć Bakera mogła zmienić wszystko.

Próbował uciec, a może po prostu wołał zginąć od kuli. Udało mu się jakoś sforsować zamek w stalowych drzwiach więzienia. W środku nocy rozległa się seria z automatu, ale nie było w tym nic szczególnego. Poza tym żadnych krzyków, głośniejszej rozmowy. Przypuszczam, że strażnik strzelił odruchowo, a potem zapomniał o tym i poszedł spać. Rano zbudzili mnie, ponieważ Gamon medytował w swojej chacie i nie wolno mu było przeszkadzać. Poszliśmy na skraj posesji, gdzie leżały zwłoki. Seria przeszła mu głowę. Leżał tak jak upadł, dziwnie poskręcany, ponieważ jego mózg umarł w jednej chwili i ciało runęło zupełnie bezwładnie. Był nagi, jeśli nie liczyć brudnych szortów w panterkowy deseń. Armie owadów już się nim pożywiały (to inkarnacje dusz, które upadły na miliony lat — odór śmierci przyciąga je nieodparcie i trudno uwierzyć, że one także miały kiedyś ludzką świadomość, a to z kolei pokazuje, dokąd może prowadzić sekwencja źle dokonanych wyborów). Podwójny szereg czerwonych mrówek ciągnął tam i z powrotem do jamy ustnej, obfitej w smaczne kąski. Większe monstra, z trąbkami, także przejęte etyką pracy, zerowały na wypływającej z rany materii mózgu. W posępnym nastroju poszedłem do chaty Gamona. Kopnąłem w drzwi, a że był pogrążony w medytacji, kopnąłem także i jego, ale i tak musiałem go prawie nieść do

zwłok Bakera. W ciągu tych kilku minut zdążył je pokryć wielki rój much. Mnich w pierwszym odruchu zamierzał to chyba uznać za kolejne doświadczenie medytacyjne, karmiczny węzeł, który należy rozsypać mocą absolutnej prawdy. Prawo przyczyny i skutku podziało jednak na jego umysł i widziałem, jak ogarnia go przemożna udręka. Uczynił oto z najwyższej formy życia na Ziemi ucztę dla form najniższych; postawił cały budyzm i ewolucję na głowie. I chyba nagle ujrzał karmiczną cenę, jaką on także będzie musiał zapłacić. Zaczął wpadać w panikę. Chwyciłem go za rękę.

— Jeżeli teraz uciekniesz, Khmerzy nas pozabijają.

Wyglądał, jakby budził się ze snu.

— Chodź — powiedziałem, prowadząc go z powrotem do chaty. — Medytuj dalej.

Zostawiłem go tam i nawet już nie wiem, czy jest żywy, czy martwy.



Bez telewizji czas w dżungli się dłuży. Khmerzy nawykli do tego, potrafią się ułożyć w każdej niemal pozycji i godzinami wpatrywać w przestrzeń. Uwarunkowano ich jednak na wykonywanie rozkazów, a skoro to Gamon płaci, muszą się nim zajmować. On jednak potrafi siedzieć w medytacji dwanaście godzin bez przerwy. Jestem pod wrażeniem. Zanim zabili Bakera, zaglądałem do chaty mnicha, próbując sprawdzić, czy rzeczywiście praktykuje wipassanę. Chyba tak jest; jego ciało ma w sobie sprężystość, podszytą pustką i bezruchem, a to objawy świadczące o tym, co robi z umysłem. Moja hipoteza jest taka, że ten człowiek używa medytacji tak, jak używa się morfiny. Kiedy zostawał mnichem, coś mu się przydarzyło — uzmysłowił sobie, że istnieje wyjście, że możliwości umysłu są nieskończone, po co więc wybierać ciągły ból? Jednakże nie pomogło mu to wcale w kontrolowaniu tu i teraz — za co zresztą nasza gałąź buddyzmu często jest krytykowana. Buddyzm therawady nie budował nigdy opiekuńczych społeczności, nie

tworzył programów pomocy; przybył do nas w czasach rozpacz, gdy wydawało się, że gatunkowi ludzkiemu pozostało już tylko stoczenie się w barbarzyństwo. *Plus ça change*. Powiniennem zająrzeć także do Smitha i Tanakana, ale jak dotąd nie zdobyłem się na odwagę. Czasem, wbrew sobie, po prostu gapię się godzinami na słońce.

Moja znajomość planu Gamona sprawia, że zwierzęta wydają mi się wyjątkowo złowrogie. Świadomość ich obecności jest makabryczna. W wieku dorastania są już o wiele wyższe od największych koni i mają niezależne umysły władców dżungli. Wśród Khmerów jest chyba tylko jeden *mahaut*, treser słońi, odziany w brudne łachmany, kolorem i wzorem przypominające ich grubą skórę. Nie są trzymane w zagrodzie, mogą waleśać się swobodnie po terenie. Wczoraj jeden zaszedł mnie od tyłu — bo w tych swoich kapciach stąpają całkiem cicho — i lekko trącił trąbą pod kolanami. Padłem na ziemię i przez moment myślałem, że już po mnie, ale ta góra mięśni przeprowadzała tylko jakiś sobie wiadomy eksperyment i odeszła spokojnie, jakby musiała się od razu podzielić wnioskami z pozostałą dwójką.

Wiem, że prędzej czy później znów będę musiał zająrzeć do Gamona, choć nie mam pojęcia, co miałbym zrobić czy powiedzieć. Cały misterny plan jego siostry zaczyna się sypać. Postanawiam poczekać do jutra, a tymczasem zbieram się w końcu w sobie i idę odwiedzić więźniów. Pomimo różnic kulturowych łatwiej mi podejść do Smitha niż do Tanakana, tak jakby Chińczyk wciąż patrzył na mnie ze swego szczytu w feudalnej hierarchii. Otrząsam się z rozmyślań i wdziewam mój sarong, dużą płachtę szarej tkaniny, którą znalazłem w pralni zaraz po przyjeździe; koszulę i spodnie miałem przepocone i zaczynały śmierdzieć. Włożenie tradycyjnego stroju było bardzo wyzwalające.



Ze Smithem jest źle. Przygnębiające wrażenie sprawia ten przystojny *faranga*, gdy tak leży na podłodze celi w pozycji

embrionalnej. Jego depresja jest być może nieodwracalna i zastanawiam się, czy nie byłoby bardziej po ludzku zostawić go po prostu w spokoju. Obserwuję go najpierw przez kraty; widać, jak rusza oczami, a czasem drga mu ręka lub noga.

— Khun Smith — mówię — to ja, detektyw Jitpleecheep. — Smith mruga i wpatruje się w jasny snop światła padającego z okienka.

Moja obecność wprawia go w jeszcze większe pomieszenie. Nie jest pewien, czy to naprawdę ja, a jeśli tak, to czy przynoszę mu ratunek, czy pogardę i kpinę. Trwamy tak dobre dziesięć minut, nie wiedząc, jak możemy się porozumieć. W końcu Smith dźwiga się z ziemi, niczym zwierzę wychodzące ze snu zimowego. Udaje mu się wstać. Ma na sobie stary sarong, tak jak ja; to obraz jak z opowieści o indyjskim radży: biały człowiek zostaje tubylcem. Kraty rzucają na niego paski pionowych cieni niczym wielki kod kreskowy.

— Ty — mówi Smith, jakbym to ja był źródłem jego niedoli. Podchodzi do okna jak człowiek ciekaw wyglądu diabła, który zadaje mu katusze. — Ty.

— Ja tego nie zrobiłem — mówię. Ruchem podbródka przypomina mi, że jednak jestem wolny, a on nie. — To Dameron — wyjaśniam. Na dźwięk jej imienia wstrząsa nim dreszcz. — *Farangowi* trudno to zrozumieć — mówię, drapiąc się po głowie, bo dotarło do mnie, jak trudno jest to ogarnąć człowiekowi Zachodu, nawet gdy spędził jakiś czas na Wschodzie. — Zostawiła wskazówki. — Smith kręci głową. — Nie bała się śmierci, bo w pewnym sensie oczekiwała jej przez całe życie. A potem pojawiły się pieniądze. Rozumiesz, Smith? Pieniądze.

W jego spojrzeniu jest coś bezbronnego. Co jest takiego w nas, Azjatach, że ciągle czujemy się winni wobec Zachodu, jakbyśmy w głębi serca zawsze wiedzieli o czekającej go katastrofie? Może mogliśmy jej jakoś zapobiec? Ja w każdym razie czuję się w obowiązku, by podjąć chociaż próbę wyjaśnienia.

— Śmierć — mówię. — Czy zastanawiałeś się kiedyś, Tom,

co to oznacza? Mniejsza z religią, chodzi o taką podstawową obserwację. Damrong wiedziała to samo, co wie dziewięćdziesiąt procent ludzkości: śmierć zwiastuje pieniądze. I nie mówię tu o maszynach do zabijania ludzi, bo to jest rzeźnictwo z epoki kamiennej. Mówię o śmierci jako idei, śmierci jako orężu umysłu, śmierci jako rzeczywistości, z którą skonfrontować się może tylko dorosły. Nie miałeś szans na zwycięstwo, Tom. Przegrałeś tę wojnę w chwili, gdy po raz pierwszy spojrzaleś na nią pożądlivym wzrokiem. I podczas gdy ty myślałeś o kupowaniu jej ciała, ona tworzyła plan o wiele szerszy, można by rzec, holistyczny. — Milknę, szukając właściwych słów. Nie jestem pewien, czy naprawdę myślę to, co za chwilę powiem, ale i tak muszę to powiedzieć. — Tom, czy tam skąd pochodzisz, są w ogóle jacyś dorośli ludzie?

Oczywiście nie udaje mi się do niego dotrzeć. Teraz już zdobył pewność, że jestem tylko pomyłonym mieszkańcem, orientalnym maszkaronem wydelegowanym przez barbarzyńską moc jako jego dręczyciel. Odpuszczam więc, choć źle mi z tym.

Khun Tanakan słyszał naszą rozmowę i podszedł do swego okienka w sąsiedniej celi.

— Ile chcesz? — syczy. — Po prostu wymień sumę. — Nawet w tej krótkiej wypowiedzi pobrzmiwa w każdej sylabie jego wysoka pozycja w naszej kulturze, zażyłość z najwyższymi prominentami, wyrafinowanie, wewnętrzna twardość. Jego tajski jest o wiele elegantszy od mojego. Zastanawiam się wręcz, czy nie przejść na angielski.

— To nie zależy ode mnie — mówię.

— Od Vikorna? Vikorn za tym stoi?

— Nie — odpowiadam. — Tylko dziewczyna.

— Co ty wygadujesz? Ona nie żyje.

— Tylko w sensie dosłownym. Można powiedzieć, że jej wola żyje własnym życiem. — Tanakan wybałusza na mnie oczy. — To głównie za pańskie pieniądze sfinansowany został ten projekt, prawda, Khun Tanakan? To pan zapłacił za jej usługi milion z kawałkiem, pomijając drobny wkład Toma

Smitha. Oczywiście potrzebował pan adiutanta, frajera, *consigliere*, żeby nie uczestniczyć w tym bezpośrednio. No i potrzebny był egzekutor: Khun Kosana, pański fatalnie niedyskretny kamrat-niewolnik ze swym kochasiem Pi-Oonem. Gdyby nie to, kazałby pan zabić Smitha tylko z tego powodu, że Damrong posłużyła się nim, żeby wzbudzić w panu zazdrość. W końcu jest wyższy, młodszy, silniejszy, no i biały. Oczywiście, mógł go pan zgładzić w przypadkowym odruchu mocy, że tak powiem. Jak Nok. Damrong musiała nieźle zależeć panu za skórę; zatruwała pańskie życie za dnia i w nocy, całymi miesiącami. W końcu zdecydował się pan na gest tak bezwzględny jak inwestycja w ten film, w *snuff movie*. Czy przyzna pan, że ją kochał?

— Bredzisz od rzeczy.

— Tak, chyba mogę użyć wobec pana tego słowa. Dziwne, prawda? Jest pan o wiele twardszy, o wiele mocniejszy od Smitha, a jednak słowo „kochać” bardziej kojarzy się z panem niż ze Smithem. Bo przecież Damrong była dokładnie pańskim przeciwieństwem, śmiem powiedzieć: pańską drugą połówką. Pan w apartamencie, ona w rynsztoku. Przekreśliła nóż w pańskim sercu, opowiadając o Smitsie, przystojnym *farangu*, który w dodatku miał większego. Po mistrzowsku sączyła panu jad w żyły dokładnie w tych momentach, gdy czuł się pan zwycięzcą. Zgadza się?

— Mów dalej.

— Żądza nie rozróżnia klas. Damrong rozumiała w pełni, w każdym intymnym szczególe, tę gadzią stronę pańskiej natury. Znała źródło pańskiej ambicji wyrastającej z nienawiści do życia... ponieważ napędzał ją dokładnie ten sam impuls. Pańskie materialne bogactwo było odwetem na życiu. Z nią w końcu stało się tak samo. No i w tle była przecież zawsze pańska matka, też identycznie jak w jej przypadku. Wieczorem, po całym dniu, tylko dziwka potrafiła pana podniecić.

Jego spojrzenie przewierca mnie na wskroś.

— Przeprowadź słonia. Niech to się już skończy — mówi i odchodzi w kąt celi, gdzie nie dociera światło.

— Ach, nikt nie wątpi, że jest pan twardszy niż stal, Khun Tanakan. Wie o tym każdy, kto pana poznał. Ale proszę się zastanowić: skoro nachodzi pana, gdy tylko zechce, noc po nocy i gwałci, choć przebywa pan w fizycznym ciele, to jakie szanse będzie pan miał po tamtej stronie jako duch?

Chińczycy są straszliwie zabobonni, jeszcze bardziej od nas. Widzę, jak Tanakan zaciska prawą dłoń, jak drży, odwracając się do ściany.

W rogu podwórza Khmerzy wrócili do pracy nad pierwszą bambusową kulą. Nabiera już kształtu, ale wciąż jest bardzo koślawa. Po godzinie odehciewa im się. Jest za gorąco. Nie ma pośpiechu, przedstawienie nie zacznie się dzisiaj, ani nawet jutro.

Zalążkiem świtu jest krwista czerwień wierzchołków drzew na wschodzie i kosmiczny poblask zwiastujący nieznośną udrękę kolejnego dnia. Po dwudziestu minutach niebo zaczyna oślepiać. Wrze, a ty robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby się przed nim ukryć. Samo słońce zazwyczaj jest niewidoczne za pulsującą zasłoną wilgoci; niezdrowe, agresywne światło i gorąco promieniuje z całego nieboskłonu. Budzę się wcześnie, przed pierwszym brzaskiem, myję w kamiennym korycie przed chatą i owijam sarongiem.

Jeszcze mokry, w wilgotnym sarongu, postanawiam wejść po schodkach domku Gamona. Nie pukam, lecz popycham drzwi, które ustępują. Domyślam się, że gdyby nie żył, nie siedziałby w półłotosie, lecz oznak życia jest poza tym niewiele. Mnich medytuje plecami do ściany, pod oknem. Podchodzę bliżej i chyba chcę nim potrząsnąć, ale Budda kieruje mną inaczej. Głaszczę więc delikatnie piękną twarz i całuję go lekko w czoło.

— Phra Titanaka, mój bracie — szepczę.

Otwiera oczy w innym wszechświecie. Uśmiecha się szczerze jak ktoś, kto porzucił ego. Chętnie przyjmuje widoczną w moich oczach miłość, lecz nagle wraca mu pamięć, a wraz z nią udręka.

— Gamonie — mówię — musimy ich wypuścić. Baker już nie żyje, choć nie całkiem z naszej winy. Jego śmierć nie



przysporzy nam wiele złej karmy. Ale jeżeli postąpimy według planu Damrong, co z nami będzie? Zostaniemy na milion lat zamknięci w kamieniu.

— A jeśli jej nie usłucham? — pyta z przerażeniem w oczach. — Czy masz pojęcie, jaką ona ma moc? Odwiedza mnie każdej nocy i wciąż uprawiam z nią seks.

— Bo jej na to pozwalasz. Jesteś buddyjskim mnichem, jak możesz się godzić na rolę niewolnika?

Moje słowa go poruszyły. Mruga i przygląda się swej mnisiej szacie.

— Tak już do niej przywykłem — mówi — że zapominam, że już od dawna nie mam prawa jej nosić.

W swym pomieszczeniu wstaje i pod wpływem dziecinnego impulsu zrzuca szatę. Nie tego się spodziewałem i chcę go poprosić, żeby się ubrał, ale kiedy tak stoi przede mną tylko w bokserkach, z szafranową tkaniną udrapowaną wokół stóp, widzę fascynującą metamorfozę. Mnisia powierzchowność rozpuszcza się w ciągu niespełna minuty, razem z właściwą jej osobowością. Wyłania się drugie ja: twardsze, prymitywniejsze, bardziej przystosowane do przetrwania, bardziej skłonne do zbrodni. Mam przed sobą młodego mężczyznę, który kiedyś palił *yaa baa* i handlował narkotykami. Głos ma teraz mocniejszy, bardziej ochrypliwy. Podchodzi do jedyne go okna i wygląda na podwórze, gdzie przechadzają się jego słonie zabójcy.

— Gamonie — mówię.

— Nie powiedziałem ci wszystkiego — wzdycha ciężko.

— To powiedz teraz. Możemy uratować komuś życie.

— Ten jej ostatni e-mail nie zawierał całej historii. Stara się panować nad głosem. — Właściwie wcale jej nie zawierał.

Chyba chce spojrzeć mi w twarz, lecz nie potrafi. Patrzę na jego profil na tle rozjaśnionego brzaskiem okna.

— Jeśli nie chciała o czymś pamiętać albo myśleć, po prostu zniknęło to z jej umysłu. — Zbiera się na odwagę i odwraca do mnie. — Dostrzegłeś akcent kazirodztwa, ale nie pojąłeś jego znaczenia.

— Powiedz mi, przyjacielu, póki jeszcze jest czas.

Jęk z głębi serca.

— Zaczęło się tak, jak napisała: dwoje wystraszonych dzieciaków w wilgotnej i cuchnącej chacie. W jednym pokoju mususia i tatuś — piją, palą, *yaa baa*, pieprzą się, imprezują; czujesz to, prawda? W drugim my, czasem od dwóch dni bez jedzenia, bo odlecieli za daleko. Potem, gdy mama była nieprzytomna, a tatusiowi odbijało, wzywał Damrong do siebie.

Lubił mieszać seks z tymi swoimi czarami. Ona tam szła, a po powrocie wyglądała jak śmierć. Siedemdziesięcioletnia czternastolatka. Ale dzięki temu przestał wykorzystywać mnie. Już wtedy posłużyła się własnym ciałem, żeby mnie chronić. — Długie westchnienie. — Ale miała też swoje potrzeby.

Po chwili milczenia mówi dalej mocniejszym głosem.

— Tak się to właśnie zaczęło. Pokazała mi, czego chce i jak mam to robić. A kiedy trochę podrosłem, pokazała mi, czego ja chcę i zrobiła to dla mnie. To było już po pierwszym wyjeździe.

Można powiedzieć, że pierwsze doświadczenia seksualne miałem światowej klasy. — Odkasłuje. — Nie ma w tym niczego złego, to tylko prymitywne tabu, które ma zapobiegać zepsuciu plemiennego genotypu i które w epoce antykoncepcji przestaje mieć zastosowanie. Jeżeli kogoś takie rzeczy bulwersują, niech sobie raczej wyobrazi, jak przeżylibyśmy to wszystko z Damrong, gdyby nie kazirodztwo.

Zapada długie milczenie.

— Z pierwszego wyjazdu do Singapuru wróciła całkiem odmieniona. Skończyła ledwie osiemnaście lat, ale już osiągnęła pełnię kobiecości. — Gamon zwilża usta językiem. — I została dziwką. Dziwki chorują na chroniczny brak miłości, wiesz o tym. Pieprzą się na okrągło, ale nie wypływa z tego choćby kropla miłości, więc ogarnia je swoiste szaleństwo. Pragną własnego, prawdziwego kochanka, choćby nawet brzydkiego, starego i złamanego przez życie *faranga*...

— Albo kogoś z bliskiej rodziny.

Gamon kiwa głową.

— Po każdym wyjeździe wracała spragniona mojej bliskości. Zazwyczaj zatrzymywała się w hotelu w Surinie i wzywała mnie przez telefon. Jeśli akurat dobrze jej poszło, brała pięcogwiazdkowy apartament; lubiła demonstrować moc swoich pieniędzy. Pragnęła mnie tak bardzo, że to był prawie gwałt. Ale ja również łaknąłem miłości. — Mija kilka uderzeń serca. — Potem mnie rozpieszczała, kupowała mi motorowery, co tylko chciałem. Któregoś razu zarobiła tyle, że kupiła mi harleya, Fat Boya. Później musieliśmy go sprzedać, bo przyszedł gorszy czas. Wciąż powtarzała, że nasza miłość to jedyny sposób, że gdyby nie ja, to nie wytrzymałaby w branży. — Gamon przygląda mi się z ciekawością. — A twoja matka jak sobie z tym radziła? Pytała cię bez przerwy, czy jeszcze ją kochasz?

— Tak, przechodziliśmy przez ten etap.

Paryż, stary Truffaut chrapiący pod jedwabną pościelą w swej ogromnej sypialni z belle epoque; Nong zmartwiona, czy nie mam jej za złe, że jest z takim starcem: „Kochasz mnie, Sonchai? Powiedz, że kochasz mamę i że mi wybaczasz”.

— Ale nie próbowała cię uwieść?

— Nong? Nie, to by było niewyobrażalne.

— A ja od ukończenia piętnastu lat wciąż słyszałem to samo: Jeżeli mnie zostawisz, zabiję się.

Upał zaczyna swój atak, na brązowej skórze mnicha wykwitają magicznie kropelki potu, a w mojej głowie świta myśl: No jasne, jaki ja byłem głupi. Przecież musiała mieć prawdziwego kochanka, żeby w ogóle przetrwać to wszystko. Najlepszy byłby kaleka, na przykład kulawy. Przebłysk wspomnienia: szliśmy kiedyś po Sukhumvit, trzymając się za ręce, byłem szczęśliwy do obłędu i nagle potknąłem się o wąż do studzienki — takie idiotyzmy przydarzają się tylko zakochanym. Przez kilka dni kulalem i myślałem, że Damrong będzie mną pogardzać, ale jej reakcja była wręcz odwrotna. Opiekowała się mną, kazała się wspierać na swoim ramieniu, potrafiła masować mi kostkę na środku ulicy... Okazywała miłość, ponieważ byłem bezradny; ze swej uwodzicielskiej palety wybierała dobroć.

— Rozumiem — mówię do Gamona.

— Chyba jednak nie. Kiedyś w Szwajcarii zrobiła trasę, która trwała pół roku. Zarabiała takie pieniądze, że nie chciała stracić ani jednego klienta, więc nie skończyła, dopóki nie zaspokoila wszystkich. — Gamon uspokaja bicie serca i ciągnie dalej: — I to ja nie mogłem tego znieść. Po prostu nie dawałem rady. Bez niej byłem jak nieżywy. Palilem za dużo *yaa baa*, zacząłem nim handlować, złapali mnie. Musiała przyjechać, przepłacić gliny i wyciągnąć mnie z więzienia.

Nagle okropnie się krztusi, kaszle chrapliwie, w końcu kręci głową i pokazuje tę cienką białą bliznę na przegubie, dokładną replikę blizny Damrong.

— Dziecinada, orientalny teatr, ale krew była prawdziwa — mówi. — Ślubowaliśmy oddać za siebie nawzajem życie. Ona obiecała, że już nigdy nie zostawi mnie na tak długo, ja obiecałem, że się poprawię, że pójdę do dobrej szkoły w Bangkoku, do której chciała mnie posłać, nauczę się angielskiego — będę tym człowiekiem, którego uratowała. I kiedy ona się już wypali, koło trzydziestki, z kolei ja będę się nią opiekował. Spłacę dług: *gatdanyu*. To właśnie, detektywie, było sednem tej sprawy. Możesz ją nazwać „Sprawą spleconego długu”.

— Ale jednak zostałeś mnichem — mówię.

— Starala się wracać regularnie. — Gamon trze oczy, lecz opowiada dalej. — Ale pojawiła się sposobność pracy w Ameryce, a ona była zachłanna. Załatwiła sobie wizę przez jakieś układy w mafii i wyjechała. Tym razem na dwa lata. Ja już nie byłem nastolatkiem, skończyłem uniwersytet, zdobyłem dyplom z socjologii, a jakże. Ona nawet nie miała pojęcia, jakie to było bezużyteczne. — Patrzy mi szczerze w oczy. — A ja od początku wiedziałem, że jestem zbyt popapwany, żeby podjąć jakąś normalną pracę. Ale nie chciałem wracać do narkotyków, bo to by była zdrada. Więc zrobiłem to, co zrobiłby w takiej sytuacji każdy młody Taj czy Khmer — przyjąłem schronienie w Budzie, Dharmie i Sandze. Ale tajaska Sangha mnie nie chciała z

powodu kryminalnej przeszłości, więc pojechałem do Poipet po kambodżańskiej stronie. To gangsterskie miasto, z którego pochodzili nasi rodzice. Nikt tam się nie przejmował kryminalną przeszłością. Powiadomiłem ją e-mailem, nie miała nic przeciwko. Myślała, że po miesiącu czy dwóch zrzucę szatę, bo nie wytrzymam nudy. Ja też tak myślałem.

Wpatruję się w niego, zawieszony pomiędzy zgrozą, zdumieniem i admiracją.

— Och — mówię tylko.

— Właśnie, och.

— Odkryłeś powołanie?

— Wszyscy tak mówili, od opata po mojego mistrza medytacji. „Jest inkarnacją, to pewne, był blisko, od setek lat, flirtował z buddyzmem, ale nie postawił nigdy ostatniego kroku”. Odkryłem, że wipassana przychodzi mi z łatwością, naturalnie. Po pierwszym tygodniu mogłem medytować po dwie godziny bez przerwy. Po roku przez całą dobę. Po raz pierwszy w moim dwudziestoczteroletnim życiu na tej ziemi doświadczałem wolności i szczęścia.

— A ona przez cały czas siedziała w Stanach.

— Tak.

— I łatwo ci było uwierzyć, że to sam Budda wkroczył, żeby uwolnić cię od całej karmy, nawet od *gatdanyu*.

— Właśnie tak było.

— A gdy wróciła?

Gamon odwraca się znów do okna.

— Zamknęli ją za prostytutkę i prowadzenie burdelu w Fort Lauderdale, razem z amerykańskim mężem. Wyrokiem mało się przejęła, ale była wściekła na tamtejszych mężczyzn. Jej zdaniem Amerykanie to albo niedojrzali chłopcy w męskich ciałach, albo absolutne zwierzęta. Tego męża też nienawidziła. Dwa lata bez jednej choćby sytuacji emocjonalnej to już było zbyt wiele dla młodej kobiety, nawet tak szczególnej jak Damrong. Przez ten drugi rok w Stanach tęskniła za mną do obłądu.

— Pisała?

— Tak, e-maile. W Kambodży reguła jest o wiele luźniejsza, mnisi wędrują sobie po Internecie i nikt się na to nie krzywi.

Mój głośny wdech brzmi w tej maleńkiej, gorącej chatce jak syk węża.

— Żyłeś podwójnym życiem.

Kiwa głową.

— Nie umiałem jej napisać, że to się dzieje naprawdę, że jestem mnichem z powołania. To było za trudne.

— A potem wróciła ze Stanów.

— Potem wróciła — powtarza bez cienia uśmiechu. — Aż kipiała ze złości, że nie ma do mnie dostępu. — Pokasłuje. — Wiesz, jak to jest w Kambodży, przekupiła paru mnichów, żeby patrzyli w inną stronę, ogoliła głowę, ubrała się na białą jak *looksit* i zakradła do klasztoru. — Patrzy na mnie wyzywająco, z ironicznym uśmiechem. — Wyobrażasz to sobie? Od dwóch lat nie miałem seksu. I nagle jej nagie ciało, jakże zmysłowe z tą ogoloną głową. Nieruchome, kuszące w świetle świecy. Obłąd. Po tej nocy znów była górą, bez dwóch zdań, choćbym nie wiem jak walczył ze sobą. Próbowałem liczyć, ile ślubowań złamałem: seks, przyjmowanie kobiety pod swoim dachem, oszukiwanie opata, recydywa. Przez dwa tygodnie, aż do następnego wyjazdu, przychodziła do mnie codziennie.

— Wytworzył się wzorzec, co?

— Oczywiście.

— Nie potrafiłeś się przystosować, to było niemożliwe. Nie miałeś wyboru, musiałeś się rozdwoić.

— Ona wracała do prostytutki, a ja do medytacji. Medytowałem po dwadzieścia cztery godziny raz na trzy dni, aż pozbyłem się jej z umysłu. Wipassana działa w każdej sytuacji. — Rzuca mi posępne spojrzenie. — Ale jeżeli mnich jest słaby, nawet sukces będzie go prześladował. W samym środku ukojenia pojawiają się demony.

Podchodzę do okienka i wyglądam ponad ramieniem Gamona. Trzy słonie zbiły się w stadko, obwąchują ziemię zroszoną krwią Bakera. Gdy się przebywa przez jakiś czas w pobliżu

tych zwierząt, zaczyna się zauważać oznaki ich nieprzeciętnej inteligencji. Jestem przekonany, że komunikują się między sobą, jakby i one dyskutowały o sprawie. Nauczyłem się czuć respekt dla tych olbrzymich, wszystkowiedzących dźwigów, dla wężących niestrudzenie trąb. Słonie sprawiają wrażenie, jakby rozumiały wszystko. To chyba dżungla tak na mnie działa.

— Przypuszczam, że najbardziej cię poraniła słoniowa gra — mówię do mnicha. — Policjanci zabili ci ojca.

— Właściwie to nie była rana. — Wzrusza ramionami. — Raczej inicjacja. Ledwie skończyłem dziesięć lat. Dorośli, moja siostra, należeli dla mnie do tej pory do świata bogów. Jak policjanci wytoczyli tę bambusową kulę, w pierwszej chwili myślałem, że to taka zabawa. I w ciągu następnego kwadransa przestałem być dzieckiem. Największym szokiem była jej radość, ten niesamowity entuzjazm, z jakim robiła zdjęcia. Kupiła bardzo drogą minoltę z wielkim czarnym zoomem. Kiedy zacząłem medytować, to właśnie ten obraz powracał najuporczywiej: nie jego śmierć, tylko ona z aparatem, fotografująca tę śmierć. Ta niebywała radość, te szaleńcze okrzyki triumfu. Była dla mnie wszystkim, więc gdy zabrała mnie do swojego świata, przyjąłem go jako rzeczywistość — bo co miałem zrobić? Ale to ją zmieniło. — Gamon milknie, pokasłuje, czeka na moje pytanie. Kiwam głową. *Mów dalej.* — To był jej pierwszy wielki sukces. Zaczęła sobie uświadamiać własną moc. W gruncie rzeczy jednym ciosem zniszczyła potwora, który dręczył nas po całych nocach przez kilka lat. Przestała być ofiarą. — Drży cały, już nie próbuje udawać opanowania. — To ona się uparła, żebyśmy zobaczyli egzekucję. Dowiedziała się o pomysle policjantów i przekonała ich, żebyśmy mogli być przy egzekucji. Sami na pewno by nas tam nie zaprosili.

Wzdycham ciężko. Nie ma tu nic do dodania. Jest tak, jakby minęła epoka.

Odwracam się do niego i widzę, że też obserwuje słonie.

— Magia używa mocy rytuału — mówi powoli — która jest

niczym więcej, jak tylko zdolnością umysłu do koncentracji na zakazanej wiedzy, na ciemnych siłach ukrytych głęboko we wszystkich kulturach i czekających, aż ktoś taki jak Damrong na nowo je odkryje. Nie chciała być znów ofiarą, nawet gdy zdecydowała się umrzeć. Własną śmierć też musiała zmienić w zwycięstwo, jeszcze większe i bardziej krwawe. Wiedziała, że prędzej czy później straci mnie dla Buddy, dlatego chciała się wymknąć, dopóki była jeszcze u szczytu możliwości. Tylko po to, żeby mnie kontrolować z tamtej strony lustra. Zyskała dzięki temu jeszcze większą władzę nade mną niż za życia. — Brat Damrong patrzy na szafranową tkaninę na podłodze, potem na mnie. — Jestem drugim dzieckiem, detektywie. Podporządkowuję się. Co mam zrobić?

— Nałóż z powrotem szatę, Phra Titanaka. Samowolne zrzucanie szaty jest niezgodne z regułą, tylko Sangha może to zrobić.

Zostawiam go, schodzę po drewnianych schodkach i wracam do własnej chaty, gdzie próbuję przygotować umysł do kolejnego dnia w tym piekle. Stojąc w cieniu, wpatruję się w zamknięte drzwi Gamona i zastanawiam się, jaki to potwór się tam wykluwa, skoro jego czas wreszcie przyszedł.



Wczoraj znowu wydarzyło się coś, co przerwało nudę. Dwóch Khmerów postanowiło ożywić atmosferę, zabijając jednego ze słoni, który po śmierci Bakera nie był już niezbędny. Można było odczytać ich zamiary, obserwując język ciała i uśmieški na ich twarzach. Rozmawiali z *mahoutem*, który wyraźnie protestował; tłumaczył im chyba, że to szaleństwo, że postępują źle, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Wyśmiali go jednak i chwycili za automaty. Strzelali z bezpiecznego ukrycia w chacie, przez podwórze. Rozłupali słoniowi czaszkę i odstrzelili trąbę. Wielka siła zwierzęcia utrzymywała je przy życiu jeszcze przez godzinę. Khmerowie byli zafascynowani zachowaniem dwóch pozostałych słoni, które obwąchiwały swego umierającego brata i gładziły trąbami, porykując żałośnie z wielkiej rozpacz, od której krajało się serce. Oni jednak zaśmiewali się do rozpuku.

Po południu Khmerzy zasnęli na swoim balkonie i wtedy zwierzęta zaatakowały. Jednemu z mężczyzn udało się uciec. Smith, Tanakan i ja patrzyliśmy, jak słonie rozwalają chatę i tratują drugiego w fanatycznej orgii pierwotnego szału, sapiąc i prychnając, znów stając się panami sytuacji. Po kilku minutach wszystko zmieniło się w stos drewna, kości i krwi. Dwa olbrzymy rozrzucały wokół belki i przebijały zwłoki Khmera

klami — był to wyraźnie akt zemsty, skoro wcześniej zmiażdżyły mu klatkę piersiową. Dla uratowanego Khmera wszystko to było równie zabawne jak poprzednio. Tanakan i Smith natomiast poszarzeli na twarzach; ja najpewniej też.

Szokujące jest to, jak szybko przywykliśmy do nowej rzeczywistości: chata rozbita w drzazgi, martwy słoń na środku podwórza, odór ludzkich szczątków gnijących na stosie drewna. Naszym prawdziwym bogiem jest przetrwanie na ziemi, inaczej wyemigrowalibyśmy wiele tysięcy temu na inne, mniej wymagające planety. Teraz już wszyscy — Smith, Tanakan i ja — jesteśmy dzikusami, ponieważ zaakceptowaliśmy barbarzyństwo. Sprawiliśmy, że nawet zwierzęta nas znienawidziły. Co do Gamona nie mam pewności, bo nie pokazał się dzisiaj ani razu, nawet w samym apogeum strzelaniny, wrzasków, porykiwań i śmiechów.

Kiedy przyjrzałem się w końcu z bliska szczątkom rozwalonej przez słońce chaty, odkryłem kilka woreczków z *yaa baa* w postaci sproszkowanej. Przedtem widziałem czasem, jak Khmerzy oblizują palce, ale nie zwróciłem na to uwagi. A oni nie mierzyli ilości zażywanego narkotyku, tylko po prostu zwilżali palce i zanurzali je w proszku, gdy tylko któryś uznał, że odlot słabnie.

Dzięki buntowi słońi reszta Khmerów spróbowała się jednak skoncentrować na pracy. Nagle zabrali się rażno do budowy bambusowych kul i do wieczora wszystko było gotowe. Patrzyłem (Smith z Tanakanem zapewne też), jak wytaczają je na otwartą przestrzeń między chatami, sprawdzają wytrzymałość i działanie drzwiczek na zawiasach. Dwóch podeszło do okna Smitha, by się upewnić, że jego kula ma odpowiednie rozmiary — jest bowiem dużo większa od kuli Tanakana. Potem wrócili do swoich chat i czekali. Po pewnym czasie wpatrywaliśmy się wszyscy już tylko w jedno miejsce — w zamknięte drzwi Gamona.



Mijały godziny. Nauczyłem się rozpoznawać subtelne odcienie upału. Nagły i wściekły żar poranka bardzo się różni od bezlitosnego skwaru pełnego dnia, a ten z kolei od posępnej, roztopionej miedzi późnego popołudnia. Jest chyba około szesnastej, gdy zauważam lekkie drżenie rozchwierutanej chaty Gamona, co oznacza jakiś ruch w środku. Wreszcie drzwi się otwierają, ale dopiero po kilku minutach pojawia się w nich ludzka sylwetka.

Wydaję zduszony okrzyk, jak chyba wszyscy pozostali. Po schodkach zaczyna zstępować, powoli i majestatycznie, postać w czarnej sukni balowej i peruce z długich, czarnych azjatyckich włosów. Musielibyście się znajdować pod mocnym wpływem zachodnich przesądów, żeby zobaczyć w tej nowej istocie tylko zdolnego transwestytę. Nikt z nas chyba tak jej nie postrzega, może poza prawnikiem Smithem. To po prostu Damrong — w każdym ruchu, każdym geście, w najdrobniejszym niuansie. Na przedramionach wyskoczyła mi gęsia skórka, a kark zeszywniał — w tym nieznośnym gorącu jestem jak skutny lodem. Przejęty trwożą i zafascynowany czekam na pierwsze słowa, jakie padną z tych ust, pociągniętych czerwoną szminką.

Postać idzie przez podwórze eleganckim krokiem, z pięknie wyprostowanym kręgosłupem, a w uwodzicielskim kołysaniu jej bioder nie ma ani grama przesady.

— Już czas! — woła tym miękkim, zniewalającym głosem. Czerwoni Khmerzy, zdumieni i wyraźnie poruszeni, wstają i wytaczają wielkie bambusowe kule na środek podwórza. — Przyprowadzić więźniów — rozkazuje Damrong; to jest jej głos. Mówi po khmersku, ale jej zamiar jest oczywisty.

— Nie! — wyrzywa mi się odruchowy protest.

Wstaję, a ona odwraca się do mnie, by spotkały się nasze spojrzenia. Nie potrafię się na to zdobyć, nie jestem w stanie podnieść na nią oczu.

— Witaj, Sonchai — mówi, parodiując uwodzicielski ton. — Czy już dzisiaj jadłeś? — przecząco Kręcę głową, zupełnie oniemiały. — Spójrz na mnie, kochanku. Popatrz mi w oczy.

Znów kręcę głową jak wioskowy głupek. — Nie ucieszyłeś się na mój widok, najmilszy?

— Bła, bła, bła — wyduszam z siebie. — Co zrobiłaś z Gamonem?

— Ty to lubisz zadawać trudne pytania — odpowiada z uśmiechem. — Czyżbyś go kochał bardziej niż mnie? Coś mi na to wygląda. No cóż, Gamon siedzi w swojej chacie i medytuje. Idź tam, przywitaj się z nim.

Już przedtem byłem wystraszony, a teraz paraliżuje mnie skrajne przerażenie. Myślę, że nic na świecie mnie nie zmusi, bym zajrzał do chaty Gamona. Poza jedną rzecz.

— Idź do niego, Sonchai — rozkazuje Damrong — albo spójrz mi w oczy. — Robi krok w moją stronę i przekrzywia głowę, jakby chciała mnie zmusić do kontaktu wzrokowego.

Odwracam się i po chwili maszeruję w stronę chaty.

Wstępuję powoli na niepewne schodki; przeczuwam już, co zobaczę w środku. I widzę: siedzi w półłotosie, ubrany w szafanową szatę. Oczy ma szeroko otwarte i szkliste, lecz ciało Damrong zaczyna już gnić, a chatę wypełnia odór formaldehydu. Nagle wszystko zaczyna do siebie pasować. Logika magii wymagała widocznie użycia zwłok, ale czy rzeczywiście uwięziła ducha Gamona w tym truchle? To szokujące, nawet w jej wykonaniu. Dobrze chociaż, że zwłoki są nieruchome. Korzystam ze sposobności i znajduję moją komórkę skonfiskowaną przez Khmerów. Wybieram numer Kimberley.

— Gdzie jesteś? — pyta od razu.

— Nie mam pojęcia.

— Dramat?

— Na całego.

— Zostań na linii jak najdłużej. Spróbuję cię przerzucić do Wirginii.

Kładę telefon na podłodze, nie rozłączając się, z nadzieją, że bateria wytrzyma.

Z zewnątrz dobiega szcęk otwieranych stalowych drzwi. Wychodzę na balkon. Khmerowie wyprowadzają Smitha i

Tanakana ze związanymi z tyłu rękami. Smith, jako przywykły do logiki *farang*, pomimo przerażenia utrzymuje jakoś równowagę umysłu. Tanakan z kolei trzęsie się jak dziecko i chyba zasikał sarong.

— Witajcie, kochankowie — mówi Damrong. — Zaskoczył was mój widok? — Podchodzi do nich eleganckim krokiem i głaszcze Smitha po policzku.

— Pierdolony zbok — mówi Smith.

Damrong reaguje tym swoim cyniczno-wesołkowatym śmiechem, który pamiętam tak dobrze.

— Oj, Tom — mówi — ty zawsze trafiasz jak kulą w płot. Dlatego właśnie wpadłeś w ten bajzel. Gdybyś urodził się w Azji, rozumiałbyś o wiele więcej. — Anglik odwraca głowę i spluwa. Imponuje mi jego odwaga, ale obawiam się, że nie na długo jej starczy. — Skoro uważasz, że jestem tylko pierdolniętym zbokiem w przebraniu, to może spojrzysz mi w oczy? Wyświadczysz mi tę drobną przysługę?

Widzę, że i on także nie potrafi znieść jej spojrzenia. To równie sprzeczne z intuicją jak lęk dzikiego zwierzęcia przed ogniem. Damrong ujmuje go dłonią za podbródek.

— Nazwij mnie jeszcze raz pierdolonym zbokiem, Tom. Proszę.

Coś się stało z jego tożsamością. Na pewno chciałby w takiej chwili okazać hart brytyjskiego ducha, ale nie potrafi. Damrong rozbija jego centrum — owo skomplikowane, wewnętrznie sprzeczne, iluzoryczne, ale niezbędne do życia poczucie „ja”, bez którego jesteśmy zaledwie bezradnymi dziećmi. Kiwa na Khmerów, którzy zmienili się w jej pokornych niewolników. Jeden przytrzymuje głowę Smitha, a drugi nie pozwala mu zamknąć oczu. Patrzę zafascynowany, jak Damrong staje tuż przed nim i spogląda mu z bliska w źrenice. Nie wolno ci tego robić, myślę. Nie wolno zmuszać dziewiczej duszy do kontaktu z tamtą stroną bez przygotowania. Zniszczysz coś więcej niż tylko jego ciało.

Działanie tej energii ma taki skutek, jakby go wychłostano.

W jednej chwili Smith staje się oklapła szmatą, cieniem bez własnej woli. Wybuchła płaczem, nie mogę na to patrzeć. Bełkoce coś niewyraźnie, chyba „mamo”, ale nie jestem pewien. Zgwałciła go.

Odwraca się od niego z pogardą i podchodzi teraz do Tanakana, który zaczyna mówić coś szybko po tajsku. Początkowo nie rozróżniam słów, lecz po chwili już wiem. Tanakan wylicza swoje bogactwa — posiadłości, pałace, wyspy, złoto, akcje, udziały — ofiarowując jej to wszystko, błagając, żeby zgodziła się przyjąć, choć towarzyszy temu bolesna pewność, że przecież nie da się niczego ofiarować duchowi. Zwraca się do niej słowami przysługującymi tylko rodzinie królewskiej i Buddzie. Tu nie ma próby oporu jak wcześniej u białego; Chińczyk przyjmuje nową rzeczywistość bez zastrzeżeń.

— Zbuduję dla ciebie świątynię — mówi. — Twoje imię i wizerunek będą czczone jako święte. Jestem miliarderem, dla mnie to żaden problem.

Damrong parska śmiechem i mówi coś po khmersku. Nie trudno to zrozumieć, gdyż strażnicy prowadzą już Smitha i Tanakana do bambusowych kul.

Zmuszam się do myślenia o najbardziej nieprawdopodobnym i nielogicznym rozwiązaniu, takim, na jakie nawet Arystoteles nie wpadłby i przez milion lat. Choć czuję wewnętrzny sprzeciw, wiem, że muszę wrócić do chaty Gamona.

Rozbieram zwłoki i sam wkładam szafranową szatę. Następnie, starając się nie patrzeć na ohydne rozcięcie w kształcie Y na jej piersi i nie zakrzusić odorem, dźwigam ją (bez wnętrzości jest o wiele lżejsza) i wynoszę z chaty. Po drodze chwytam kałaznikowa Gamona i gazową zapalniczkę, którą zapalał świece.

Nienawykły do noszenia szat (nie mówiąc o zwłokach), potykam się na schodkach, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Sadystyczna, pierwotna orgia już się rozpoczęła. Khmerowie związują obu mężczyznom nogi, po czym zmuszają ich do przyjęcia pozycji embrionalnej i krępują jeszcze mocniej, jak prosiaki. Tanakan jest nieduży, więc łatwiej go wepchnąć do kuli.

Twarz ma skurczoną jak pięść. Wychodzę na środek podwórza, ale nikt na mnie nie patrzy. Kładę trupa na ziemi i zbliżam płomień zapalniczki do małego palca jego lewej ręki.

Z ust Damrong wyrывa się diaboliczne przekleństwo. Macha gwałtownie lewą ręką, jakby niechcący ją sobie oparzyła. Z niedowierzaniem patrzy na mnie, świętego głupka przebranego w szatę Phra Titanaki. A ja celuję z automatu w głowę trupa.

Jeśli ktoś chciałby się mimo wszystko doszukiwać racjonalnych odniesień do tej sceny, upierać się, że „A nie może być nie-A”, zrezygnowałby natychmiast, widząc, jak Damrong fru nie w moją stronę (jakieś trzy metry nad ziemią, przechylona jak helikopter przy skręcie, rozwiane czarne włosy, grymas wściekłości na twarzy, miotły brak). W tej sytuacji nie mam już wyjścia. Naciskam spust kałasznikowa i puszczam krótką serię w zwłoki. W oddali słyszę chyba warkot śmigieł.



Jednak to nie helikopter (nie wiem, skąd wiedziałem, że FBI przysłał czarny) najbardziej przeraził Khmerów — lecz magia. Maszyna jeszcze krąży nad terenem, gdy umykają ile sił w nogach do dżungli, razem z *mahoutem* i słoniami. Rozczochrany, w byle jak zawiązanej szacie, podchodzę do leżącej na ziemi postaci w czarnej balowej sukni. Peruka spadła mu z głowy. Gdy go odwracam, jeszcze oddycha, lecz w lewej skroni, tam gdzie trafiłem w głowę trupa Damrong, ma straszną ranę. Otwiera jednak oczy i chyba mnie poznaje. Podtrzymuję jego ogoloną głowę obiema dłońmi.

— Odeszła, czuję to. Odeszła na zawsze — szepce z uśmiechem, po czym dodaje: — Tylko nie ratuj mi życia, błagam.

— Oczywiście, Phra Titanaka, nie będę — odpowiadam.

— Byłem prawdziwym mnichem, Sonchai. Gdybym nie był, nie czułbym tego bólu, prawda?

— Byłeś prawdziwym mnichem z powołania, przyjacielu — zapewniam go.

Znów się uśmiecha.

— Doszedłem wysoko, detektywie, naprawdę wysoko. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, jak blisko jest nirwana. Doświadczyłem absolutnej miłości, kosmicznej mocy współczucia, umysłu Buddy, tylko nie potrafiłem nigdy utrzymać tego stanu. Zbyt wiele poprzednich żywotów zmarnowałem, a w każdym z nich była obecna ona. Była dla mnie za silna, a ja tak bardzo pragnąłem ją uratować. Myślałem, że jak zostanę mnichem i przyłożę się do poważnej praktyki, to ją zmusi do pójścia w moje ślady. Ale ona miała inne pomysły. Zawsze robiła wszystko po swojemu.

Chce jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie gaśnie.

Wracam do bambusowych kul. Tanakan jest dobrze zamknięty w swojej, ale przerażeni Khmerowie porzucili związanego Smitha na zewnątrz. Chińczyk już odzyskał werwę i z wnętrza swego okratowanego łona woła, żebym go wypuścił. Podchodzę do Smitha.

— Potrzebuję komórki — mówię, ale on nie reaguje. Muszę wrócić do chaty Gamona po swoją; niestety, wyczerpała się bateria. Na szczęście Kimberley już wyskoczyła z helikoptera i biegnie w moją stronę. Styl komandoski, czarny kombinezon, krótki karabinek o seksownej kolorystyce (*café au lait* z ciemną czekoladą).

— Co się tu wydarzyło? — pyta, stając w pół kroku, niepewna w co ma celować.

— Duch Damrong uwięził jej brata we własnych zwłokach, dzięki czemu mogła się posłużyć jego ciałem do rytualnego zgładzenia tych dwóch typów — wyjaśniam, wskazując na Smitha i Tanakana. — Strzeliłem trupowi w głowę i jej plan spalił na panewce. W sensie technicznym można by to nazwać magią współodczuwania. Ogół ludzkości nie będzie miał dostępu do takich metod jeszcze przez dobrych tysiąc lat. Mogę zadzwonić z twojej komórki?

Podaje mi telefon, wybieram numer z pamięci.

— Yamahato-san — mówię. — Mam dla ciebie robotę.



## Epilog

Kilku wysłanych przez Vikorna osiłków aresztowało mnie zaraz po wylądowaniu w Bangkoku. Pułkownik wpakował mnie do celi i zastanawia się, co ze mną zrobić. Nie wie wszystkiego, ale na pewno wie tyle, że na pewien czas przestałem być policjantem, a on stracił przez to przewagę nad Tanakanem i przeszedł mu koło nosa najpiękniejszy przekręt w życiu. Wiem, że się jeszcze waha — czy mnie w ogóle zlikwidować, czy może tylko zredukować do roli absolutnego niewolnika. Nie przejmuję się tym zbyt, bo mam w rękawie asa. A tymczasem napawam się samotnością i solidnym, kojącym rytmem więziennego życia. Nie przeszkadza mi nawet poranne opróżnianie kibli, choć smród jest obezwładniający. Wykorzystuję to jako praktykę buddyjskiej pokory. Po czterdziestu ośmiu godzinach zaczyna jednak mi się nudzić, posyłam więc pułkownikowi karteczkę z wiadomością po tajsku: มีดีใจ . Mam film.

Vikorn nie jest z tych, którzy przepuszczają smaczne kąski. Odpowiedź mam już po godzinie: มีดีใจอะไร . Jaki film?

ขอมารับไม่มีดีใจคุณธนาคารและคุณสมิท . O tym, jak nagi Khun Tanakan i nagi Khun Smith przyznają się do winy, czarno na białym.

Moja rehabilitacja jest równie błyskawiczna, jak wcześniejszy upadek. I teraz siedzę już naprzeciwko Vikorna w jego gabinecie.

- Chcesz cygaro? — pyta.
- Pan wie, że nie palę.
- A może gandzi? Chłopaki zgarnęli dealera, miał towar pierwsza klasa. Masz. — Wyjmuje z szuflady biurka plastikową torebkę z zielonym suszem. Właściwie chciałem odmówić, ale głęboka zieleń trawki i obfitość pączków złamały moją silną wolę. Jednak gdy sięgam po torebkę, pułkownik nakrywa ją swoją sękatą łapą.
- Gdzie masz film?
- W sobie wiadomym miejscu.
- Naprawdę do wszystkiego się przyznali, „czarno na białym”? Współudział w produkcji *snuffmovie*, czerpanie zysków, cały pakiet?
- Tak jest. Nadzy, pochyleni na kozłach w upokarzającej pozycji. Bardzo elegancki materiał. Yammy poczynił duże postępy.
- Yammy? On to nakręcił?
- Zna pan kogoś lepszego?
- No dobra. Ile chcesz?
- Trzydzieści procent na cele dobroczynne, plus dwadzieścia pięć milionów dolarów w gotówce dla Yammy'ego, na film fabularny. Wydaje się dużo, ale przechwyci pan połowę fortuny Tanakana, więc chyba nie ma problemu?
- Najpierw pokaż mi film.
- Czy ja wyglądam na idiotę?
- Ojej, no dobrze, jeśli materiał jest rzeczywiście taki dobry, to zgoda.
- Chcę to mieć na piśmie. Wierzę, że jest pan honorowy.
- Vikorn marszczy brwi, ale wyjmuje długopis i po kilku minutach podaje mi podpisane zobowiązanie. Wyciągam z kieszeni płytę DVD, wkładam ją do odtwarzacza i puszczam nagranie.



Fajnie było oglądać majstersztyk Yammy'ego przy akompaniamencie rehotu pułkownika i przyjmować jego gratulacje.

FBI stała przy Japończyku z automatem, a on z pomocą dwóch kamer zmieniał ponurą opowieść w magiczną. Zmusił Smitha i Tanakana, żeby wyznawali wszystko powoli, z namysłem — jakby recytowali poezję, stojąc na tle prostej scenografii ze zniszczonej przez słońce chaty. Obaj mężczyźni mówią poważnym, modulowanym tonem, wyliczając kolejno szczegóły układu z Damrong i tej zabójczej namiętności, która do niego doprowadziła. Za scenopis posłużyły nam jej obszerne notatki.

Czasem wydaje mi się, że życie wróciło do normy, ale tak nie jest, bo nigdy normalne nie było. Iluzja ciągłości prysła, koncentracja siadła do zera. Wczoraj, prawie nieświadom tego co robię, kupiłem przycisk na biurko w formie mosiężnej figury Ganesia, boga słonia. Nawet przez minutę nie jestem wolny od myśli o Gamonie. Często znajduję jakąś wymówkę i idę do *wat* pomedytować, ale nawet wtedy widzę go wszędzie. W głowie wciąż rozbrzmiewają mi słowa, które powiedział kiedyś niemal mimowolnie: „Gdy zerwiesz ostatnią zasłonę, pojawia się pewność, że to miłość jest podstawą ludzkiej świadomości, że poza nią niczego nie ma. Wpadamy w obłąd dlatego, że się jej ciągle sprzeniewierzamy”. Trudno tak żyć, ale chyba powinniśmy próbować.

Muszę wspomnieć o jeszcze jednym drobiazgu. Kilka nocy temu przyszła do mnie Damrong. Nie miałem siły się opierać, ale w tym śnie (jakże kojące, tak to można nazywać) postać w szafranowej szacie, z przewieszonym przez ramię automatem, uniosła rękę w uspokajającym geście Buddy i zjawa zniknęła. Zbudziłem się raptownie, lecz Chanya obok mnie spała spokojnie.

Ciekawa rzecz, bo nie kto inny jak Vikorn ciągle mi przypomina, że w domu czeka na mnie kochająca żona w ciąży. Kto by przypuścił, że stać go na troskę o moje zdrowie psychiczne?

A co z FBI? Wypadki zepchnęły jej wielką namiętność na

drugi plan. Wiedziony nagłą i nieco chorą potrzebą czynienia dobra, zabrałem ją wczoraj do baru Don Juan. Zdawałem sobie sprawę, że Lek ma tam próbę katojskiego kabaretu. Wśliznęliśmy się niepostrzeżenie i usiedliśmy z tyłu, a Lek z kumplami wyglupiali się, śpiewali, improwizowali i żartowali sprośnie z tego, że Pi-Lek pójdzie niedługo pod nóż. Dla ukojenia wziąłem FBI za rękę, ale ją cofnęła. Byłem pewien, że jest na mnie zła, bo pokazałem jej, jak doskonale Lek się wtopił w ten swój świat i jaki jest on nieprzenikniony nawet dla mnie, a co dopiero dla kobiety *faranga*. Myliłem się.

— To było słodkie, Sonchai — powiedziała później, gdy siedzieliśmy przy drinkach w Pat Pongu — ale ty już jesteś nieaktualny, jak mawiała moja babcia. Minał tydzień i w tym czasie ja też dorosłam. Wiem, że odmienne kultury wytwarzają bardzo różne typy istot ludzkich. Dla Amerykanina to trudne, ponieważ imperium, którego nazwy nie odważę się tu wypowiedzieć, nie chce, żebyśmy byli świadomi istnienia innych kultur. Ale ja nie jestem taka głupia. Wiem, że on mnie nie może pokochać. Kurczę, może faktycznie jest kobiecym duchem w męskim ciele? Wiem też, że jeśli kolejny raz odwrócę się od miłości, zostanę już na zawsze mrówką robotnicą, która nie zna niczego poza pracą. Dla kobiety po trzydziestce, szczególnie w Stanach, to klasyczna pułapka. Niech będzie, że to dziwne, niech będzie, że jesteśmy niekompatybilni, ale muszę dociągnąć tę historię do końca. Poszliśmy na układ. Po operacji Lek nie ma szans zostać w policji, a ja nie zniosę myśli, że sprzedaje się w barze na Soi ileś tam. Będę jak jeden z tych białych mężczyzn, zakochanych bez wzajemności w dziwce — co miesiąc będę mu przysyłać pieniądze, żeby nie musiał pracować w branży, a on za to mnie czasem odwiedzi w Stanach. Oczywiście już jako ona, wiadomo. W końcu do mnie dotarło, że mam jednak coś, czego on może potrzebować i że są to pieniądze. I wiesz, co jeszcze? Któregoś dnia udało mi się go rozśmieszyć,

więc porozumienie między obcymi gatunkami jest jednak możliwe! Myślę, że będziemy dobrymi przyjaciółmi. I nie zapominać o atrakcjach mojego kraju — on bardzo chce zobaczyć Hollywood i Wielki Kanion. Jeśli chcesz pomóc, to miej oko na niego i zdawaj mi sprawę na bieżąco — kończy FBI z uśmiechem.

I to by było tyle, *farangu*, z wyjątkiem jednej rzeczy: nigdy nie odkryłem, kto mi przysłał ten film z Damrong.

Twój w Dharmie, Sonchai Jitpleecheep.

## Dodatek

Erotica Inc. — Raport specjalny.  
Rozwój technologii prowadzi Wall Street  
na rynek pornografii

Timothy Egan („New York Times”)

Data publikacji: 23 październik 2000.

### Sprostowanie dodano

Larry W. Peterman był właścicielem sieci sklepów wideo w tej dolinie szerokich ulic i wszechobecnych kościołów. Jego oferta nie różniła się od innych w kraju — od filmów Disneya po seksualne przygody pielęgniarek. Interes pana Petermana kwitł do ubiegłego roku, kiedy to został oskarżony o rozpowszechnianie materiałów obscenicznych i stanął przed groźbą bankructwa i aresztowania.

Tuż przed rozprawą adwokat Petermana, Randy Spencer, wpadł na pewien pomysł, kiedy patrzył przez okno sądu w Provo w stanie Utah na budynek hotelu Marriott. Spencer posłał do Marriotta prywatnego detektywa, polecając mu spisać wszystkie filmy o tematyce seksualnej, dostępne dla gości hotelowych na płatnych kanałach. Następnie postarał się o dane

dotyczące wykupywania kanałów erotycznych w lokalnych sieciach telewizji kablowych i satelitarnych.

Jak się okazało, mieszkańcy Utah, które szczyli się często mianem najbardziej konserwatywnego regionu w Stanach, korzystali w nieproporcjonalnie wielkiej liczbie z tych samych produkcji filmowych, które prokuratura uznała w przypadku Petermana za obsceniczne i nielegalne. Ponadto o wiele więcej mieszkańców Utah korzystało z filmów dla dorosłych za pośrednictwem telewizji, niż kupowało je w sklepach Petermana.

Jak można zarzucać popełnienie przestępstwa jednemu sprzedawcy filmów, argumentował adwokat, skoro największe amerykańskie korporacje — w tym sieć hoteli, mająca w swym zarządzie W. Mirta Romneya, przewodniczącego Komitetu Igrzysk Olimpijskich w Salt Lake City i nadawcę satelitarnego, którego popiera Rupert Murdoch, prezes News Corporation — sprzedają dokładnie ten sam produkt?

— Wiele z tych produkcji jest wyjątkowo sprośnych i we mnie budzą odrazę — powiedział Spencer, obrońca z urzędu, który określa siebie jako zadeklarowanego mormona. — Jednak jest faktem, że mnóstwo ludzi w Utah płaci za oglądanie pornografii. A to oznacza moim zdaniem, że nie odbiegamy od normy.

Po kilku zaledwie minutach rozprawy sąd uwolnił Larry'ego Petermana od wszystkich zarzutów. Jego przypadek pokazuje, co stało się z branżą, która funkcjonowała na obrzeżach biznesu w podejrzanych dzielnicach wielu miast i której przedstawiciele nawet nie marzyli o wprowadzeniu swoich firm na giełdę.

Dzięki postępom techniki pornografię jest dzisiaj łatwiej zamówić z dostawą do domu niż pizzę, a decyzje sądowe dają jej prawną ochronę. Z tych właśnie przyczyn sprzedaż seksu w obrazach stała się w Stanach Zjednoczonych przemysłem przynoszącym dziesięć miliardów rocznego przychodu, według danych Forrester Research z Cambridge (Massachusetts) i Komisji Papierów Wartościowych i Giełd.

Niezależnie od tego, co mówi nam to zjawisko o samym

społeczeństwie amerykańskim, korzyści finansowe z rozpowszechniania ostrej erotyki poprzez film i Internet są tak wielkie, że wśród dystrybutorów znajdujemy najbardziej rozpoznawalne marki kraju.

General Motors Corporation, największa firma na świecie, sprzedaje teraz więcej ostrego porno rocznie niż Larry Flynt, właściciel imperium „Hustlera”. Prawie dziewięć milionów Amerykanów, subskrybentów kontrolowanej przez GM telewizji DirecTV, wydaje niemal dwieście milionów dolarów na filmy erotyczne płatne od projekcji — to dane dystrybutorów filmów, których firma nie kwestionuje.

EchoStar Communications Corporation, druga największa platforma satelitarna, w którą inwestuje m.in. Murdoch, zarabia na sprzedaży ostrych filmów przez satelitę więcej niż Playboy — najstarsza i najsławniejsza marka z branży erotycznej — zarabia na swoim czasopiśmie oraz programach kablowych i internetowych łącznie, jak pokazują dane o dochodach obu firm.

AT&T Corporation, największa spółka telekomunikacyjna w kraju, oferuje abonentom swej sieci kablowej kanał z ostrym porno o nazwie Hot Network. Ma poza tym firmę sprzedającą seksfilmy do niemal miliona pokoi hotelowych. Jeden na pięciu abonentów kablówki AT&T płaci średnio dziesięć dolarów za film, żeby obejrzeć to, co sam dystrybutor nazywa „Prawdziwym amerykańskim seksem na żywo, nieudawanym przez aktorów”.

Chociaż wielkie korporacje zarabiają na seksie krocie — całkowicie legalnie — sam temat pozostaje tabu, które omawia się wyłącznie na zebraniach zarządu. Duże sieci satelitarne i kablowe prawie wcale nie reklamują swoich produktów oznaczonych potrójnym X, a w raportach rocznych wspomina się o nich tylko mimochodem.

Żaden z zarządzających wielkimi firmami, posiadającymi miliony udziałowców i czerpiącymi wysokie zyski z filmów dla dorosłych — AT&T, Time Warner, General Motors, EchoStar,



Liberty Media, Marriott International, Hilton, On Command, LodgeNet Entertainment i News Corporation — nie chciał wypowiedzieć się publicznie na temat erotycznej gałęzi swej działalności biznesowej.

— Nie ma takiej możliwości — powiedział nam przedstawiciel AT&T. — To jak ciotka wariatka, która mieszka na strychu. Wszyscy o niej wiedzą, ale nie wolno o niej rozmawiać.

Co do hoteli, to seks w płatnej telewizji przynosi im większy dochód niż piwo, wino i przekąski z minibarów w pokojach. Dwie czołowe firmy z tej branży informują, że około półtora miliona pokoi hotelowych, czyli 40 procent wszystkich pokoi w kraju, wyposażonych jest w odbiorniki do sprzedaży filmów, jakie jeszcze nie tak dawno można było oglądać wyłącznie w specjalnych salach kinowych. Według danych branży hotelarskiej filmy takie kupuje co najmniej połowa gości, co oznacza, że płatne projekcje mogą generować nawet około stu dziewięćdziesięciu milionów dolarów zysku rocznie.

Poza tym Amerykanie kupują lub wypożyczają do domu filmy z ostrą erotyką o wartości ponad czterech miliardów dolarów rocznie, a dodatkowe osiemset milionów wydają na mięką erotykę — wszystko to razem daje 32 procent dochodu tej części handlu filmami, która oprócz zwyczajnych produkcji oferuje pornografię. Według dwóch firm analitycznych, badających rynek wypożyczalni, takie sieci jak np. Tower Records mają w kategorii „erotyka” około pięciuset tytułów, o wiele więcej niż filmów historycznych czy przyrodniczych.

W Internecie z kolei seks należy do tych niewielu jego działów, które skłaniają ludzi do ujawniania numerów kart kredytowych. Według dwóch organizacji badających Internet około jednej czwartej stałych użytkowników sieci, czyli dwadzieścia jeden milionów Amerykanów, przynajmniej raz w miesiącu odwiedza jedną z sześćdziesięciu tysięcy stron z seksem — jest ich więc o wiele więcej niż korzystających ze stron sportowych czy rządowych.

Chociaż szacunki te mogą być znacznie zawyżone przez

niektórych sprzedawców pornografii internetowej, analitycy z Forrester Research oceniają, że strony z erotyką mogą przynosić około miliarda dolarów rocznego dochodu, stanowiąc prawdziwą gratkę dla firm wystawiających karty kredytowe, wyszukiwarek internetowych i informatyków tworzących witryny, wśród wielu innych z handlowego łańcucha pokarmowego.

Niektóre z najpopularniejszych miejsc w sieci — zawierające szybkie linki do stron o takich nazwach jak *Virgin Sluts* („Dziewicze szpary”) czy *See Teens Have Sex* („Zobacz nastolatki uprawiające seks”) — są własnością oficjalnie działającej spółki z Boulder w Kolorado. New Frontier Media, bo o niej tu mowa, funkcjonuje na giełdzie jak inne firmy i spodziewa się, że w ciągu kilku lat wprowadzi swoją sieć wideo do dwudziestu pięciu milionów gospodarstw domowych. Współpracuje ona z innymi podobnymi firmami, na przykład EchoStar oraz In Demand — największym dystrybutorem płatnych projekcji telewizyjnych, którego współwłaścicielami są między innymi AT&T, Time Warner, Advance Newshouse, Cox Communications i Comcast.

Inna spółka, LodgeNet, której prezesem jest Scott C. Petersen, ma sto osiemdziesiąt milionów rocznego przychodu ze sprzedawania hotelom filmów porno i innych form rozrywki. LodgeNet jest jednym z większych pracodawców w Sioux Falls (Dakota Płd.), gdzie ma swoją siedzibę. Należy ona do klientów giganta księgowości, firmy Arthur Andersen. Jedna piąta publicznych udziałów LodgeNet jest własnością firmy inwestycyjnej z Nowego Jorku, Red Coat Capital Management.

— Czujemy się dobrze z tą działalnością — powiedziała Ann Parker, rzeczniczka firmy handlującej na pozagiełdowym rynku Nasdaq. — Jesteśmy dobrymi obywatelami korporacyjnej wspólnoty. Łożymy na cele dobroczynne.

Największy dostawca ostrej pornografii, zarówno w formie filmów, jak i w Internecie, Vivid Entertainment Group z Van Nuys w Kalifornii, którego założycielami i głównymi właścicielami są Steven Hirsch i David James, odbył ostatnio wiele

rozmów z bankami inwestycyjnymi, przygotowując się do wypuszczenia w przyszłym roku na rynek pierwszej puli akcji, dzięki czemu może się stać pierwszym miliarderem w branży porno.

— Przemysł rozrywkowy dla dorosłych właśnie eksploduje — mówi Bill Asher, prezes Vivid, której biura znajdują się w nowym budynku ze szkła i granitu, mieszczącym wiele innych firm inwestycyjnych i kapitałowych. — W tej chwili mnóstwo ludzi robi duże pieniądze. Ktoś musi jakoś to kontrolować i uznaliśmy, że to może być nasza firma. Naszym zdaniem jesteśmy predystynowani do przewodzenia tej branży.

Ku zaskoczeniu Lany'ego Flynta, który zaczynał w branży pornograficznej od sprzedawania kiepskiej jakości zdjęć nagich dziewcząt w swych klubach striptizowych, jego konkurentami na wartym dziesięć miliardów dolarów rocznie rynku są wielkie korporacje, których szefowie należą do amerykańskiej elity finansowej.

— W porównaniu ze spółkami takimi jak: General Motors czy AT&T jesteśmy drugą ligą — powiedział Flynt. — Ale nie dziwi mnie wcale, że oni w to weszli. Zawsze mówiłem, że poza potrzebą przetrwania najmocniejsza jest w nas potrzeba seksu.

### Czynnik technologiczny Mamo, to jest bez zszywek!

Rządowe opracowanie sprzed trzydziestu lat określiło wartość detaliczną twardej pornografii w USA na pięć do dziesięciu milionów dolarów — tyle przynosi dziś pojedyncza popularna strona internetowa o tematyce erotycznej. Wydawało się wówczas, że branża pozostanie tam, gdzie jest — raczej w ukryciu. Choć rentowna, to borykająca się nieustannie z problemami prawnymi.

Zdaniem fachowców z branży rynek pozostawał stosunkowo niewielki głównie z powodu barier pomiędzy produktem a

konsumentem. W poszukiwaniu ostrych filmów erotycznych czy czasopism potencjalny klient musiał się zazwyczaj wyprawić do podejrzanej dzielnicy miasta, nawiedzanej przez osobników o wątpliwej reputacji. Sklepy z takim towarem musiały się liczyć z częstymi nalotami policji, co narażało konsumentów na dodatkowe ryzyko — wstyd czy nawet aresztowanie.

W 1975 roku Sony Corporation wypuściła na rynek odtwarzacz wideo, a po dziesięciu latach magnetowid był w 75 procentach amerykańskich gospodarstw domowych. Gdy miejsce akcji przeniosło się z kin do mieszkań, branża rozrywki dla dorosłych zmieniła się już na zawsze. Na przykład sam tylko film *Głębokie gardło* przyniósł sto milionów dolarów zysku ze sprzedaży, właśnie dzięki popularności magnetowidów — jak pisze Frederick S. Lane III w swej książce *Obscene Profits: The Entrepreneurs of Pornography in the Cyber Age*.

Jednakże, choć większość Amerykanów miała już odtwarzacze, nadal trzeba było się pofatygować do sklepu czy wypożyczalni, co mogło prowadzić do kłopotliwych sytuacji. Ta ostatnia bariera upadła dzięki płatnym projekcjom telewizyjnym oraz Internetowi.

Telewizja kablowa i satelitarna umożliwia widzom subskrypcję różnorodnych programów erotycznych, począwszy od miękkiego „Playboya”, po Hot Network (własność Vivid) i Erotic Television Network (którego dystrybutorem jest New Frontier) na bardziej dosadnym krańcu tego spektrum. Konsumentom mogą teraz oglądać filmy o uprawianiu seksu, w ogóle nie wychodząc z domu.

Dopiero gdy bariera prywatności została wyeliminowana, inwestorzy i wielkie korporacje mogli się zorientować, jak liczni są odbiorcy pornografii. Dwadzieścia procent gospodarstw domowych z dostępem do kablówki lub wideo gotowych jest płacić za oglądanie ostrych filmów, a z tego dziesięć procent chce płacić regularnie — jak informują dystrybutorzy, New Frontier i Vivid. Wyjaśnia to częściowo dziesięciokrotny wzrost produkcji filmów porno w ostatniej dekadzie. Według rocznego

raportu o produkcji filmowej w rejonie Los Angeles obecnie kręci się co roku niemal dziesięć tysięcy filmów pornograficznych.

Jak pisze „Adult Video News”, magazyn będący dla pornografii odpowiednikiem „Billboardu” w branży muzycznej, w ubiegłym roku Amerykanie wypożyczyli filmy z twardym porno siedemset jedenaście milionów razy. Przemysł pornograficzny ma nawet własne nagrody filmowe, wzorowane na Oscarach.

W ostatnich latach liczba wypożyczeń jednak się ustabilizowała. Przyszłość należy do płatnych projekcji telewizyjnych, popularnych ze względu na łatwość dostępu i dobrą jakość techniczną telewizji cyfrowej — oraz do płatnych filmów z Internetu, dzięki innowacjom technologicznym, ułatwiającym przesyłanie liniami kablowymi i telefonicznymi większej liczby obrazów, o wiele szybciej, wprost na ekran komputera.

— Wideo zmieniło sposób odbioru pornografii, ponieważ ludzie mogli ją teraz oglądać w zaciszu własnych mieszkań — mówi Barry Parr, analityk handlu elektronicznego z International Data Corporation. — Porno w Internecie prowadzi krok dalej: mogą to teraz robić w warunkach całkowitej intymności.

Liczba osób odwiedzających strony erotyczne w sieci wzrosła od ubiegłego roku dwukrotnie i rośnie szybciej niż przybywa nowych użytkowników Internetu w ogóle. Najpopularniejsze strony odnotowują do pięćdziesięciu milionów odwiedzin miesięcznie, według obliczeń firm analitycznych Nielsen/Net Ratings oraz Media Metrix. Jedna na tysiąc osób odwiedzających takie witryny decyduje się na subskrypcję, według informacji czołowych dostawców porno w sieci oraz Flying Crocodile Inc., spółki z Seattle zajmującej się badaniem i obsługą rynku erotyki internetowej.

W tym samym czasie, gdy technologia zaczęła ułatwiać ludziom korzystanie z pornografii, padały również przeszkody prawne. Przełomem w definiowaniu pojęcia nielegalnej pornografii stało się orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie Miller

kontra stan Kalifornia z roku 1973; głównym kryterium ma być określenie, czy jest ona obsceniczna dla „przeciętnej osoby, przy zastosowaniu współczesnych standardów społecznych”. Początkowo werdykt ułatwił prokuratorom ściganie publikacji i filmów o tej tematyce. Miało to jednak krótkie nogi. Skoro *Głębokie gardło* przyniosło sto milionów dolarów przychodu ze sprzedaży, to co w tym wypadku jest „standardem społecznym”?

— Sąd może i scedował prawo do definiowania granic obsceniczności na społeczności lokalne, ale standardy tychże społeczności diametralnie się zmieniły — pisze Frederick Lane w swej książce *Obscene Profits*.

Lany Peterman, sądzony w ub, roku w Utah za rozpowszechnianie materiałów o treści obscenicznej, był jednym z nielicznych sprzedawców wideo w kraju oskarżonych o takie przestępstwo w ostatnich latach. Cztery tysiące mieszkańców Utah, stanu uważanego za bastion moralności i wartości rodzinnych, podpisało petycję domagającą się jego skazania.

Peterman wykazał jednak, że taka sama liczba osób korzysta z jego oferty filmów erotycznych. Adwokat argumentował, że jego klient nie naruszył standardów społecznych, ponieważ mieszkańcy Utah kupili od jednego dostawcy satelitarnego dwadzieścia tysięcy płatnych projekcji z ostrą erotyką w tym samym okresie, w którym miał on jakoby łamać prawo. Jest to liczba dwukrotnie wyższa niż w większości miast wielkości Provo. W miejscowym hotelu Marriott goście kupowali ponad trzy tysiące projekcji rocznie, jak zeznał jeden ze świadków. Po procesie Petermana hotel zrezygnował z oferty filmów dla dorosłych.

— Mój klient to płotka — powiedział mecenas Spencer. — Mała, rodzinna firma w bardzo wielkim biznesie.

Czynnik korporacyjny  
To sprawił popyt, twierdzą firmy

W czasie gdy w każdej kampanii politycznej, od prezydenckiej po wybory do lokalnych rad szkolnych, porusza się kwestię naruszeń moralności w mediach, uwikłanie dużych firm w handel pornografią rozmywa kontury tej debaty.

Senator John Ashcroft, republikanin z Missouri, publikował ogłoszenia, oskarżające Hollywood o „niszczący wpływ” na społeczeństwo i krytykował swego demokratycznego oponenta, gubernatora Mela Carnahana, za przyjęcie dotacji od Christine Hefner, szefowej „Playboya”.

Carnahan, który zginął przed tygodniem w katastrofie lotniczej, w odpowiedzi wypomniał Ashcroftowi przyjęcie pieniędzy od Charlesa W. Ergena, prezesa EchoStar, sprzedającej płatne projekcje dla dorosłych poprzez swą sieć satelitarną DishNetwork.

— Skoro chce walczyć w ten sposób, znajdzie się w większych opalach ode mnie — powiedział Carnahan.

Stronnicy Ashcrofta argumentowali, że obie firmy coś jednak różni: EchoStar nie produkuje pornografii, lecz tylko ją sprzedaje; tymczasem „Playboy” tworzy własne filmy i zdjęcia.

— Rozszerzyliśmy ofertę na życzenie klientów — powiedział Judiann Atencio, rzecznik EchoStar. — Mamy coś dla każdego, od hurlingu po krykieta. Mamy też erotykę, skoro ludzie jej chcą.

Kiedy AT&T ogłosiła start swojej Hot Network z ofertą ostrej erotyki dla ponad dwóch milionów subskrybentów sieci kablowej, firma spotkała się z miażdżącą krytyką i naciskami ze strony grup religijnych i obywatelskich mających udziały w spółce.

Grupa inwestorów, do której należą Sisters of Charity of New York, Evangelical Lutheran Church of America oraz Mennonite Church, oznajmiła zarządowi AT&T, że jej członkowie nie chcą inwestować w firmę sprzedającą pornografię.

— Istotą naszego zatroskania jest sam fakt zaangażowania wielkich korporacji w obrót twardą pornografią — mówi Mark Regier, zarządzający wspólnym funduszem ośmiuset tysięcy członków kościoła mennonickiego. — To niebywałe, żeby

firma o takiej tradycji jak AT&T, angażująca się w akcje charytatywne, zamierzała się zajmować pornografią i to w takim stopniu. Wielu ludzi nie rozumie nawet, jak sędzę, co oznacza zniesienie barier w dostępie do takich materiałów, a to właśnie czyni AT&T.

Firma ma jednak poważne motywy biznesowe, by uruchomić zyskowną sieć Hot Network. W przeciwieństwie do dystrybutorów normalnej hollywoodzkiej produkcji producenci filmów porno oferują zazwyczaj sieciom 80 procent zysku, w porównaniu z 50 lub mniej procentami za zwykłe filmy fabularne.

Sprzedaż filmów pornograficznych napędzają również tzw. impulsywne zakupy, gdy do uruchomienia projekcji wystarczy wklepanie kodu na pilocie klienta.

— Technologia impulsów jest niesamowita — mówi Bill Asher z Vivid Entertainment, firmy produkującej setki filmów i utrzymującej, że ich sprzedaż dla gospodarstw domowych, nadawców kablowych i satelitarnych oraz hoteli idzie w miliony kopii. — Ma do niej dostęp już ponad trzydzieści pięć milionów domostw — twierdzi Asher — i ta liczba wciąż rośnie bardzo szybko. Klucz do tego sukcesu to prostota i prywatność.

Firmy oferujące ostrą erotykę niechętnie ujawniają swoje dochody w tej kategorii, jednak raport sporządzony przez spółkę Showtime Event Television wymienia kwotę trzystu sześćdziesięciu siedmiu milionów dolarów zysku z płatnych projekcji dla dorosłych w ubiegłym roku — to ponad sześciokrotny wzrost w porównaniu z rokiem 1993, znacznie przewyższający zyski z innych „transmisji”, takich jak boks czy wrestling.

Time Warner, EchoStar, General Motors i AT&T zgodnie twierdzą, że odpowiadają tylko na potrzeby rosnącego rynku, który dostarcza Amerykanom pornografię do domów. Podkreślają zarazem, że dzięki nowej technologii rodzice mogą bez trudu zablokować dostęp do tych projekcji dzieciom.

— Nazywamy to „wybór i kontrola” — mówi Tracy Hollinsworth, rzeczniczka AT&T Broadband, nadającego telewizję kablową. — W zasadzie można zablokować pilotem każdy



program, którego ktoś sobie nie życzy. A jeśli sobie życzy, oferujemy szeroką gamę programów obecnych na rynku.

Podobne decyzje podjęły sieci hoteli, gdy kilka grup nacisku zażądało od nich usunięcia płatnych projekcji dla dorosłych, jakie dostępne są obecnie w 60 procentach hoteli średniej i wysokiej klasy. Na usunięcie erotyki zdecydowała się tylko jedna niewielka sieć — Omni Hotels.

— Zauważyliśmy, że na początku były to po prostu treści „dozwolone od lat 18”, ale dość szybko pojawiły się filmy zwyczajnie sprośne, a potem ostra pornografia — powiedział Jim Caldwell, prezes Omni. — Pomyślałem sobie: Co my właściwie robimy? Przecież w restauracjach hotelowych nie mamy kelnerek topless.

Caldwell powiedział, że filmy erotyczne kupowała ponad połowa wszystkich gości.

— Anonimowość ma tu wielkie znaczenie — dodał.

Decyzja Omni o usunięciu porno z piętnastu tysięcy pokoi hotelowych będzie kosztowała firmę prawie dwa miliony dolarów rocznie. Caldwell dodał jednak, że otrzymał listy i telefony z podziękowaniami od pięćdziesiąt tysięcy osób.

Większe sieci, na przykład Marriott, który określa się jako największa na świecie firma zarządzająca hotelami (trzysta tysięcy pokoi w samych Stanach) oraz Hilton (dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy pokoi), nie dokonały żadnych zmian.

Niektórzy krytycy uważają, że Marriott, którym zarządza kilku prominentnych członków Kościoła Mormońskiego, choć nie jest w żaden sposób związany z samym kościołem, powinien zrezygnować z filmów dla dorosłych ze względu na negatywny stosunek mormonów do pornografii. Szefowie firmy twierdzą jednak, że działają na zasadzie franszyzy i nie mogą wymusić jednomyślnej decyzji na właścicielach hoteli, którzy płacą za przynależność do sieci Marriotta.

Dwie firmy dostarczające porno do hoteli są notowane na Wall Street i w ostatnich latach ich akcje cieszyły się rosnącym powodzeniem. Liderem jest On Command z Denver, o wartości

ponad czterystu milionów. Głównym właścicielem spółki jest Liberty Media, kontrolowana przez Johna C. Malone'a, magnata telekomunikacji i członka zarządu AT&T, który ostatnio zgodził się zakupić 15 procent udziałów w spółce Murdocha, News Corporation.

Prezesem On Command jest z kolei Jerome H. Kern, były prawnik z Nowego Jorku, który aktywnie wspiera akcje obywatelskie i wolontariat, zasiada w zarządzie New York University i szefuje Volunteers of America w Kolorado.

On Command nie ujawnia swych zysków z filmów dla dorosłych, lecz podała w dorocznym raporcie, że zarabia dwadzieścia trzy dolary miesięcznie na każdym z osmiuset trzydziestu pięciu tysięcy pokoi hotelowych, do których dociera. Cel firmy to zyskanie jeszcze miliona pokoi. Według analityków co najmniej połowa tych wpływów pochodzi z pornografii. Niedawno firma poszerzyła ofertę o całodzienną telewizję erotyczną dla klientów hoteli, w cenie 15,99 USD.

— Ważne jest, na jaką publiczność można liczyć — mówi Asher. — Słyszałem, że w niektórych hotelach osiemdziesiąt pięć-dziewięćdziesiąt procent zysków z oferty pokojowej generowanych jest przez kanały erotyczne.

### Czynnik pieniądza Duży zysk, większy w drodze

Chociaż duże spółki dostarczające filmy erotyczne do mieszkań i hoteli nie chcą się wypowiadać na temat popularności pornografii, producenci i dystrybutorzy twierdzą, że liczby są ogromne. Zeznania i dokumenty ujawnione przy okazji sprawy Petermana także dają pewne pojęcie o potencjale zysku.

— Chociaż tych materiałów się nie reklamuje i nie steruje się rynkiem, są jednym z głównych źródeł naszych dochodów — powiedziała Peggy Simons z TCI Cable, świadek w sprawie Petermana. Kontrolowana przez J.C. Malone'a TCI została później kupiona przez AT&T.

— Gdy rozmawiamy z szefami firm w cztery oczy, mówią nam, że jesteśmy świetni, że przynosimy im wielkie pieniądze — opowiada Asher, którego spółka jest właścicielem Hot Network, dostępnej w szesnastu milionach domostw. — A przy okazji mówię swoim największym klientom — my się w ogóle nie znamy.

Asher chciałby, żeby jego firma, zarabiająca na sprzedaży osiemdziesięciu milionów rocznie, działała bardziej otwarcie.

— Największym problemem jest wizerunek tego biznesu w oczach opinii publicznej — mówi. — Ludzie myślą, że prowadzi go mafia albo kolesie z łańcuchami na szyjach. A ja pochodzę z Paris w stanie Illinois i mam dyplom z zarządzania.

Hot Network pokazuje ludzi uprawiających seks na różne sposoby, „powszechnie akceptowane”, jak określa to firma. Wykluczone są sceny przemocy, seks pod przymusem, używanie narkotyków, sadyzm i seks z nieletnimi.

Analitycy handlu elektronicznego i telekomunikacji uważają, że rynek erotyki zasadniczo się ustabilizował, lecz nowe technologie zapewnią mu dopływ nowej klienteli.

— Te nowe możliwości jeszcze się ludziom nie znudziły i sędzę, że się nie znudzą — mówi Sean Calder, wiceprezes do spraw handlu elektronicznego w Nielsen/Net Ratings, która bada popularność witryn internetowych. — Liczby pokazują, że potrzeby są ogromne. Wiele osób loguje się na przykład o trzeciej czy czwartej nad ranem.

W rosnącym rynku pornografii dużą rolę odegra wart trzydzieści miliardów dolarów projekt wymiany łączy kablowych przez nadawców, co zwiększy przepustowość linii i umożliwi zakupy impulsowe.

— Firmy takie jak AT&T planują z wyprzedzeniem, na dziesięć lat naprzód, gdy pięćdziesiąt milionów Amerykanów będzie mieć szerokopasmowe łącza oraz interaktywną telewizję i Internet, wszystko w jednym dużym odbiorniku — powiedział Bryn Pryor, dziennikarz z branżowego magazynu „Adult Video News”.

— Ale nie tylko technologia zachęca grube ryby do wchodzenia w ten biznes — dodał Pry or. — To jest po prostu rynek, na którym nie można stracić.

#### Sprostowanie:

25 października 2000 roku, środa. W poniedziałkowym artykule na temat inwestowania przez wielkie firmy w sektorze rozrywki dla dorosłych, opisaliśmy nieściśle relacje pomiędzy News Corporation i EchoStar Communications Corporation, dostarczającej filmy erotyczne drogą satelitarną na zasadzie subskrypcji. W tekście zacytowana została wypowiedź prawnika, który reprezentował właściciela sklepu wideo w Provo (Utah) i który twierdził, że oskarżenie wobec jego klienta jest niesprawiedliwe, ponieważ wiele firm dostarczających tego rodzaju rozrywki jest mocno wspieranych finansowo przez wielkie korporacje, takie jak News Corporation.

W trakcie procesu, który zakończył się 31 marca 1999 roku, News Corporation posiadała 37 procent udziałów w EchoStar, jednak w następnym okresie obliczeniowym, w czerwcu 1999, udział ten wynosił 14 procent. Ostatnie zeznanie podatkowe News Corporation wykazuje 11 procent, lecz rzecznik firmy oświadczył, że jej udziały w EchoStar wynoszą obecnie tylko 6 procent. Rzecznik oznajmił także, że News Corporation nie kontroluje bezpośrednio EchoStar i nie inwestuje w filmy „dla dorosłych”.

## Posłowie

O niesławnej „słoniowej grze” przeczytałem po raz pierwszy w *The Damage Done* Warrena Fellowsa (Asia Books).

Inne źródła mojej inspiracji:

*The Bangkok Post*.

Pasuk Phongpaichit i Sungsidh Piriyarangsana: *Corruption and Democracy in Thailand* (Silkworm Books).

*The Dhammapada*, oprac. Narada Thera (Buddhist Cultural Centre, Tajlandia)\*.

\* Wersja polska: *Dhammapada. Ścieżka mądrości Buddy*, Misja Buddyjska „Trzy Schronienia”, Szczecin.

Alan Klima: *The Funeral Casino* (Princeton University Press).

Sungsidh Piriyarangsana i Nualonoi Treerat: *Guns, Girls, Gambling and Ganja* (Silkworm Books).

*Kum Chat Luk*, tajska gazeta codzienna.

*The Sandhinirmochana Sutra*, przekład Thomas Cleary (Shambala South Asia Edition).

Philip Cornwel-Smith: *Very Thai* (River Books).

Colin Martin: *Welcome to Hell* (Asia Books).

Joe Maier: *Welcome to the Bangkok Slaughterhouse* (Asia Books).

## Spis treści

1	Produkt doskonały	9
2	Człowiek w masce	229
3	Słoniowe pułapki	283
4	Koniec gry	317
	Epilog	345
	Dodatek	351
	Posłowie	366